

Judith Gould

Szmaragd

wielkiej damy

Dedykuję tę książkę pamięci Lucy Gaston, mojej niezwykłej ciotki Mame, która pozwoliła mi patrzeć na świat swoimi oczyma. Bez jej wiary, zaufania i bezwarunkowej miłości nigdy nie zostałabym pisarką, a tym bardziej kobietą, jaką jestem dzisiaj. Poświęcam tę powieść także pamięci innych osób, które w cudowny sposób wpłynęły na moje życie: Patricii Carpenter, kruchej piękności o wielkiej odwadze, Cassandry „Mrs Greenthumbs” Danz, skarbnicy dowcipu, która rozśmieszała cały naród, występując w programie „Na żywo z Remisem i Kacie Lee” i bez której uroczyste obiady w Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie już nigdy nie będą takie jak kiedyś, Richarda Bernsteina, wspaniałego artysty i człowieka, wieloletniego autora fantastycznych okładek czasopisma „Inter-wiew”, Alberto Silviero, starego przyjaciela i zdolnego artysty, Samuela Wheelera, kochającego wuja, oraz Marka Wheelera, prawdziwego złotego chłopca. Będzie mi was wszystkich brakowało, ale zachowam was w czulej pamięci.

P r o l o g

Paryż, 1970

Wybrała się do niego o poranku pewnej mglistej niedzieli, kiedy prawie cały Paryż jeszcze spał. Kierowca wysadził ją na pustej bocznej ulicy i dalej poszła pieszo, wystukując obcasami głośne staccato na mokrym chodniku. Na wypadek - mało prawdopodobny - gdyby ktoś miał ją zobaczyć, włożyła ciemne okulary, żeby zasłonić swe słynne fiołkowe oczy, a sukienkę od Mainbochera schowała pod eleganckim beżowym prochowcem Burberry. Nie pozostawiając niczego przypadkowi, nakryła włosy wielkim czarnym kapeluszem, opuszczając woalkę tak, że zasłoniła jej powszechnie znaną twarz.

Dotarła do tylnego wejścia najelegantszego sklepu jubilerskiego w mieście, należącego do Julesa Levanta Joail-liera. Mijając wyblakłe zdjęcie Colette, przyklejone w oknie tuż przed jego drzwiami, wzdrygnęła się z obrzydzenia. Słynna pisarka mieszkała przez wiele lat na piętrze tego budynku, otoczona tłumem wielbicieli. Tłusta sekutnica, pomyślała złośliwie, starając się wyrzucić z pamięci obraz ciężkiego makijażu i kręconych włosów Colette.

Ściągnęła usta w wąską karminową linię i uniosła rękę - w robionej na zamówienie rękawiczce z cielej skóry - do zaśniedziałego mosiężnego dzwonka. Ten przy głównym wejściu, od strony dziedzińca starego Palais Royal, wyglądał zupełnie inaczej: był tak starannie wypolerowany, że niczym lustro odbijał twarze naciskających go klientów.

Drzwi otwały się natychmiast i sam *monsieur* Levant, niski, korpulentny, nieskazitelnie ubrany sześćdziesięcio-pięciolatek, ruchem ręki zaprosił ją do środka. Dostrzegła, że włosy na skroniach mu posiwiały i mają taki sam kolor, co jego jedwabny krawat, zawiązany starannie w windsorski węzeł. Miał na sobie świetnie skrojony garnitur z granatowego tenisu, a buty, lśniące czarnym połyskiem, bez wątpienia pochodziły od Lobba. Te szczegóły miały dla niej pierwszorzędne znaczenie, ponieważ uważała, że wygląd mówi o człowieku wszystko. I tym razem, jak wielokrotnie wcześniej, upewnił ją, że ma przed sobą człowieka, na którego klasę i dyskrecję może liczyć.

Jego branża, jakkolwiek ekskluzywna, przyciągała różnych podejrzanych osobników. Zwłaszcza takich, którzy pożyczali gotówkę pod zastaw wyrobów jubilerskich albo po prostu odkupywali biżuterię, korzystając z okazji. Niektórzy płacili marne grosze, a potem chwalili się swoimi zdobyczami przed gadatliwymi kolegami i klientami. Kilka takich pożalowania godnych opowieści dotarło już do jej uszu; najczęściej dotyczyły kogoś spośród zubożałych znajomych, czyniąc go obiektem drwin.

To tłumaczyło, dlaczego zwróciła się do Julesa Levanta. Już kilka lat wcześniej zarekomendowała jej go mecenas Blum, słynąca w całym Paryżu tyleż z nieznośnie wybuchowego charakteru, co ostrego prawniczego umysłu. Choć nie lubiła madame Blum i uważała jej brzydotę za odpychającą, zawsze słuchała jej rad. Tym razem także okazało się, że prawniczka miała rację. Dyskrecja Levanta była wręcz

legendarna, a uczciwość w negocjacjach - cecha niekoniecznie powszechna u Francuzów - sprawiała, że ta sfera jego działalności otoczona było tajemnicą, co wysoce cenili sobie plutokraci, robiący z nim interesy. Nazwisko jubilera przekazywano sobie dyskretnym szeptem, najczęściej pomiędzy tymi samymi klientami, którym zdarzyło się przyjść do Levanta z ofertą sowitej zapłaty za najbardziej poszukiwane klejnoty na świecie.

Znaczną część jego klienteli stanowili rentierzy, potrzebujący małego zastrzyku gotówki, żeby przetrwać do nadejścia kolejnego czeku, jako że zwykle wystawny styl życia nie pozwalał im się zmieścić w miesięcznych dochodach. Zastawiali u monsieur Levanta swoje cenne świecełka, po czym odkupywali je z niemałym, acz wciąż przyzwoitym procentem. Inni, jak jego aktualna klientka, potrzebowali znacznie pokaźniejszego dopływu kapitału, żeby uzupełnić topniejące zasoby.

Nie ulegało dla niej kwestii, że muszą zostać zachowane wszelkie niezbędne pozory, by ona i jej starzejący się, schorowany mąż mogli nadal otrzymywać hojne prezenty od przyjaciół i bogatych znajomych. Oboje przywykli do życia w królewskim stylu i była gotowa zrobić wszystko, żeby ten stan nigdy się nie zmienił.

Była wdzięczna - o tyle, o ile pozwalały jej ograniczone zdolności przeżywania emocji - mecenas Blum. Za to, że skierowała ją do tego człowieka. Jules Levant stał się jej kołem ratunkowym.

Przeszli przez hol wyłożony grubym dywanem, po czym jubiler otworzył przed nią drzwi niewielkiego pokoju po prawej stronie.

Środek zajmowało wspaniałe ogromne bureau blat inkrustowane cyną. Przy obu dłuższych bokach stały parami złożone krzesła w stylu Ludwika XV, tapicerowane beżoworóżowym zamszem. Tym samym materiałem pokryte były ściany, pozbawione wszelkich dodatkowych ozdób, poza wielkim barokowym lustrem w złożonych ramach. Na podłodze leżał dywan w identycznym kolorze. Wiedziała, że ta stonowana kolorystyka wnętrza, jak również blade, także lekko różowawe światło starannie ukrytych żarówek mają specjalne znaczenie: skóra nabierała przy nich wyjątkowo korzystnego odcienia i biżuteria prezentowała się na niej doskonale. Levant podsunął jej krzesło.

- Merci - powiedziała wyniosłym, szorstkim głosem.

Na jednym końcu biurka stało dobrze jej znane obrotowe lustro; z jednej strony dawało powiększone odbicie, z drugiej normalne. Dokładnie naprzeciwko znajdował się wielki kryształowy wazon pełen czerwonych róż o długich łodygach; stanowił fałszywą nutę w tej prawie monochromatycznej przestrzeni. Jakże niewłaściwie wyglądają cieplarniane róże w tym pomieszczeniu, pomyślała. Ale cóż, większość ludzi nie ma żadnego wyczucia.

Jubiler usiadł naprzeciw niej i złożył ręce na blacie. Paznokcie miał starannie wymanikiurowane i pociągnięte bezbarwnym matowym lakierem, na jednym z pulchnych palców lśnił złoty sygnet. Elegancki patek philippe ledwie wystawał spod mankietu spiętego złotą emaliowaną spinką w kształcie połówki globusa. Autorski wyrób Fulco di Verdury, zauważyła w myślach. Levant albo kupuje na

aukcjach, albo robi dla siebie świetne kopie. Postanowiła wspomnieć o tym sycylijskiemu hrabiemu, kiedy następnym razem zajrzy do jego sklepu w Nowym Jorku lub gdy spotkają się w Palm Beach.

- W czym mogę pani pomóc, madame? - zapytał Levant, udając, że nie wie, z kim ma do czynienia.

Uniosła woalkę i założyła ją na rondo kapelusza.

- Mam trochę biżuterii do sprzedania - oznajmiła rzeczowym tonem. Ściągnęła rękawiczki, odłożyła je na biurko i otworzyła czarną torebkę od Hermesa trzymaną na kolanach. Wyjęła dużą sakiewkę z czerwonej skóry obszytą w środku miękką irchą. Kładąc ją na blacie, spojrzała na Levanta stalowym wzrokiem. - Wszystkie te klejnoty muszą zostać przerobione - powiedziała z naciskiem. - Inaczej nie będę ich mogła panu zostawić. Muszą też być sprzedawane osobno, porozdzielane, nie w komplecie. - Obserwowała go uważnie, czekając na reakcję.

- Ależ oczywiście, madame - zapewnił ją bez wahania. Otworzył szufladę po swojej stronie biurka i wyjął z niej spory kawałek beżoworóżowego zamszu, który następnie rozłożył na blacie. - Doskonale rozumiem.

Zdawał sobie sprawę, że ta biżuteria - cokolwiek mu przyniosła tym razem - może zostać rozpoznana przez wielu z jego klientów, czy nawet przez przypadkowego amatora wyrobów jubilerskich, który zechce zajrzeć do jego sklepu. Siedząca przed nim dama mogła być fotografowana w tych klejnotach, a jej znajomi na pewno widzieli, jak nosiła je na jakimś przyjęciu lub kolacji.

Rozsunawszy tasiemkę sakiewki, zaczęła wyjmować swoje skarby i układać je ostrożnie na zamszu. Ruchy miała delikatne, jej wymalowane na czerwono paznokcie połyskiwały, odbijając światło. Levant obserwował ją z dobrze wypracowanym, neutralnym wyrazem twarzy, uśmiechając się prawie niezauważalnie. Jednak w miarę jak wyjmowała kolejne precjoza, coraz trudniej mu było zachować obojętność. Oczy mu rozbłysły, z początku zaciekawieniem, później nieskrywanym zachwytem. Poczł mrowienie w palcach i niemal wstrzymał oddech.

Na blacie przed jego oczyma leżał wspaniały szmaragdowy naszyjnik; w oprawie z misternie giętego żółtego złota tkwiły wielkie kamienie jednakowej wielkości, barwy i szlifu. Naszyjnik już sam w sobie był wyjątkowo piękny, ale obok niego znalazły się inne części kompletu: bransoleta, kolczyki i broszka. Levant rzadko - jeśli w ogóle - widywał szmaragdy tak doskonale dobrane wielkością, do tego w najbardziej pożądanym i cenionym odcieniu ciemnej zieleni. Jednak to nie uroda klejnotów, jakkolwiek rzadka, sprawiła, że zabrakło mu tchu w piersi. To ich pochodzenie odebrało mu mowę.

A więc to prawda, pomyślał. Prawdą jest to, co powtarzano od dziesięcioleci. W końcu mam przed sobą dowód!

Jeśli jego przypuszczenia są słuszne, miał przed sobą klejnoty, których istnienia, aż do tego momentu, nie był pewien. Na całym świecie krążyły o nich mroczne pogłoski i szeptane ukradkiem domysły; stanowiły temat niechętnych i lekceważących uwag ze strony członków królewskich rodów w całej Europie, powodowały

kłótnie i niesnaski wśród wtajemniczonych koneserów z międzynarodowej elity.

- Och, zapomniałam o czymś jeszcze. - Wbiła w niego zimne spojrzenie. - Ten szmaragdowy wisior z naszyjnika musi zostać sprzedany oddzielnie. Nie może być dołączony do żadnego z pozostałych kamieni. - Choć jej głos brzmiał spokojnie, wręcz beznamiętnie, nie było wątpliwości, że wydała mu rozkaz.

- Oczywiście, madame - zapewnił ją ponownie. - Jak zawsze chętnie spełnimy pani życzenia.

Nigdy nie nosił jubilerskiej lupy zawieszanej na szyi, uważając ten zwyczaj za zbyt pospolity i niegodny jego zawodowego statusu, ale po raz pierwszy tego pożałował. Miał ochotę natychmiast przystąpić do oglądania szmaragdów, zwłaszcza wisiorka przy naszyjniku. Zamiast tego wziął głęboki oddech, ponownie otworzył szufladę i bez pośpiechu wyjął lupę, jakby odprawiał jakiś rytuał.

Obserwowała go, na pozór spokojnie i bez emocji, z wysoko uniesioną głową, jakby mu przyniosła zwykłą jubilerską galanterię. Jest bardzo dobrą aktorką, uznał Jules; przerażająco dobrą. Nie chciałby być jej wrogiem.

- Piękne - powiedział w końcu, nie odrywając wzroku od szmaragdów.

Lekko skinęła głową.

- Tak.

Nadal nie okazując, jak bardzo jest przejęty, ostrożnie podniósł naszyjnik i zaczął oglądać kamienie jeden po drugim, specjalnie

zaczynając od zapięcia, a nie od wisiora. Wiedział, że jeśli jego domysły co do pochodzenia klejnotu są słuszne, właśnie w tym kamieniu znajdzie potwierdzenie. Nie śpieszył się; patrzył przez lupę na każdy ze szmaragdów, zachwycając się ich doskonałością. Nie widział żadnych pęknięć ani innych skaz, co w przypadku szmaragdów stanowiło rzadkość, nie były też nabłyszczane olejem ani inną substancją dla pogłębienia koloru.

- Kolumbijskie - mruknął jakby do siebie. Dopiero po chwili podniósł wzrok. - Najlepsze.

Znów skinęła głową. Karminowe wargi wygięły się w ledwie widocznym uśmiechu.

Jules Levant ponownie skupił uwagę na naszyjniku, cierpliwie badając następny kamień.

- Ważne szmaragdy - powiedział obojętnym tonem, wciąż oglądając je przez lupę - ...te o znaczeniu historycznym, że się tak wyrażę, pochodzą z kopalni Kleopatry w Egipcie. - Popatrzył na nią z uśmiechem. - Ale pani z pewnością to wie.

Przytaknęła z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Dlaczego ten głupiec nie przejdzie od razu do rzeczy?, pomyślała z irytacją. Dlaczego musi to jeszcze przeciągać swoimi durnymi uwagami? Ale to była część gry, oczywiście, i o tym także wiedziała.

Wreszcie jubiler przysunął soczewkę lupy do wisiora. Kiedy dostrzegł tę jedną szczególną skazę na kamieniu, nie mógł opanować drżenia rąk. Pośpiesznie odłożył naszyjnik i lupę na blat, z nadzieją że znakomita klientka niczego nie zauważyła. Drobne kropelki potu

zrosiły mu czoło; wytarł je wykrochmaloną białą chusteczką wyciągniętą z butonierki.

To prawda. Z wrażenia zaschło mu w gardle. One naprawdę istniały i były tutaj. Z tym jednym, najważniejszym kamieniem. Miał je w rękach.

Kusiło go, żeby natychmiast przystąpić do ustalania ceny. Wiedział bez oglądania, że reszta szmaragdów będzie tak samo bez skazy, ale miał świadomość, że mimo to powinien je zbadać. Grę należało doprowadzić do końca. Jeszcze raz wziął do ręki lupę i zmusił się do obejrzenia bransolety, każdego z kolczyków i na końcu broszki. Wreszcie popatrzył na swoją klientkę.

Napotkał kamienne spojrzenie wielkich fiołkowych oczu. Może te oczy kiedyś były piękne, ale życie uczyniło je twardymi, pomyślał.

- Szmaragdy są piękne - zaczął z uśmiechem. - Co do tego nie ma wątpliwości. - Odchrząknął. - Ma pani na myśli jakąś sumę?

- Owszem. - Otworzyła torebkę, wyjęła z niej poskładany arkusik grubego kremowego papieru i podała mu nad biurkiem.

Levant spojrział na cyfry. Musiała mieć mózg jak kalkulator, a poza tym znała swoje kamienie. Wzięła nawet pod uwagę to, że zostaną sprzedane bez podawania, skąd pochodzą. No tak, ale była u niego nie po raz pierwszy.

Poniósł wzrok znad papieru.

- Myślę, że suma jest do przyjęcia - oznajmił. - Przeprowadzimy to tak, jak wcześniej?

- To by mi odpowiadało - odrzekła krótko.

- Dobrze. Dopilnuję wszystkiego zaraz z rana. Będzie pani miała gotówkę najpóźniej jutro po południu.

- Świetnie. - Zamknęła torebkę i zaczęła wkładać rękawiczki.

Levant poderwał się z miejsca i okrążył biurko, żeby odsunąć jej krzesło. Wstała, odwróciła się i wyciągnęła rękę.

- *Merci, monsieur* Levant.

Ujął końce jej palców i pochylił się, jakby chciał je ucałować, uważając jednak, by przypadkiem nie dotknąć ich ustami.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekł z galanterią. - Zawsze do usług.

Cofnęła dłoń.

- Doceniam to. A teraz muszę już iść.

Skierowała się do drzwi, a Jules pośpieszył, żeby je przed nią otworzyć. Następnie przeszli holem do tylnego wyjścia.

- *Au revoir* - pożegnał ją, przytrzymując zewnętrzne stalowe drzwi.

Założyła ciemne okulary i opuściła ciemną woalkę na twarz.

- *Au revoir, monsieur* Levant - odpowiedziała. Oboje wiedzieli, że żegnają się tylko na pewien czas. Że jeszcze się spotkają. Znana na całym świecie dama wyszła, i postukując obcasami o kamienny bruk, szybko się oddaliła.

Levant zamknął drzwi i przez chwilę patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Gdyby tak można było sprzedać te szmaragdy w obecnej postaci..., pomyślał ze smutkiem. I gdybym mógł podać, skąd pochodzą... Byłyby warte miliony dolarów.

Ram wymknął się z pomieszczenia w piwnicy, gdzie znajdowały się monitory wideo, zamykając za sobą drzwi na klucz. Omijając windę - Levant nie mógł wiedzieć, że był na dole - wszedł schodami na parter, a potem, przeskakując po dwa stopnie naraz, wbiegł wyżej, do pracowni. Usiadł na wysokim taborecie przy stole roboczym, przybierając niedbałą pozę, mimo że serce mu waliło z podniecenia. Odetchnął kilka razy głęboko, żeby się uspokoić.

Nie mogę w to uwierzyć!, tłukło mu się po głowie. Docierały do niego różne pogłoski o tych klejnotach - ostatecznie każdy o nich kiedyś słyszał - ale nie wiedział, na ile te opowieści są wiarygodne. A na temat kobiety, która właśnie wyszła od Levanta, krążyło tyle plotek, że trudno było oddzielić prawdę od ludzkich wymysłów. Jednak po tym, co zobaczył na ekranach monitorów, był pewien, że chodzi o słynne legendarne szmaragdy.

Wkrótce usłyszał zgrzyt windy, potem odgłos otwieranych drzwi i w końcu kroki Levanta na korytarzu. Pochylił się nad misterną platynową oprawą, czekając na nadejście swojego szefa i mentora w jednej osobie.

- Ram - odezwał się Jules, wchodząc do pracowni z czerwoną sakiewką w dłoni. Uśmiechnął się do swego dwudziestojednoletniego protegowanego, Algierczyka o śniadej karnacji i błyszczących ciemnych oczach.

- Tak, proszę pana. - Ram spojrzał na niego pytającym wzrokiem.

- Oto powód, dla którego kazałem ci tu dzisiaj przyjść. - Jubiler położył sakiewkę przed chłopakiem. - Odłóż to, nad czym pracujesz, bo mam dla ciebie ważne i pilne zadanie. Chcę, żebyś powymyślał te szmaragdy. - Postukał lekko palcami w czerwoną skórę. - Oprawy trzeba pociąć i natychmiast przetopić. Są zbyt ozdobne i niemodne jak na dzisiejsze upodobania. Kamienie schowaj w sejfie. Wszystkie razem. - Zamilkł na chwilę, jakby się nad czymś namyślał, a potem odchrząknął i dodał: - Jednak nie, wisior z naszyjnika schowaj oddzielnie. Powinien z niego wyjść ładny pierścionek. W tym tygodniu zdecydujemy, jak je na nowo oprawić. Pomożesz mi wybrać wzory.

- Tak, proszę pana. Mam kilka narysowanych projektów. Może rzuci pan na nie okiem?

Levant pokiwał głową.

- Tak, tak - powiedział szybko. - Oczywiście, chłopcze. Może jutro po południu. Rano mam pewną sprawę do załatwienia, więc będę musiał wyjść.

- W porządku. Zaraz się tym zajmę. - Ram wskazał na sakiewkę.

Levant skierował się do drzwi; już w progu przystanął i się odwrócił.

- Aha, Ram, nie wspominaj Solomonowi o tym, co dziś robiłeś. Wolałbym, żeby o niczym nie wiedział. - Miał na myśli swojego asystenta, doskonałego szlifierza, z którym pracował od lat.

- Oczywiście, proszę pana.

Ram patrzył, jak Levant wychodzi i dopiero kiedy usłyszał, że zasuwają się drzwi windy, otworzył sakiewkę i wyjął z niej szmaragdy. Następnie wziął lupę i najpierw obejrzał wisior z naszyjnika.

Jest dokładnie taki, jak myślałem! Zsunął się z taboretu i podszedł do szafki, w której trzymał aparat fotograficzny. Następnie rozłożył zawartość sakiewki na blacie stołu, ustawił oświetlenie i zaczął robić zdjęcia. Fotografował klejnoty razem i oddzielnie, pod różnymi kątami, używając różnych obiektywów, cały czas dbając o to, by złota oprawa była dobrze widoczna. W końcu zadowolony wyjął film z aparatu i schował do teczki. Miał zamiar po wykonaniu pracy zleconej przez Levanta sfotografować również puste oprawy i kamienie luzem.

Z innej szafki wyjął granatowy zamszowy woreczek z nazwą firmy. Zamierzał włożyć do niego nienaruszone złote oprawy i zabrać ze sobą do domu - do maleńkiego mieszkanka na czwartym piętrze bez windy, które wynajął dla niego Levant - i tam je ukryć. Gdyby szef życzył sobie zobaczyć stopione złoto, Ram miał odpowiedniej wielkości bryłkę, żeby mu pokazać. Miał ich zresztą więcej; gromadził okruchy złota, pochodzące z codziennego odkurzania roboczych stołów, i trzymał je do takich właśnie celów.

Wrócił na swoje stanowisko pracy, włączył mocne lampy i zaczął wydłubywać szmaragdy z opraw, co było zajęciem dość prostym, ale żmudnym. Levant nigdy nie zauważył różnicy, pomyślał. Nikt nie zauważy. A jeśli zaczeka na właściwy moment...

Pracował, rozważając gorączkowo różne możliwości. Dzięki Hannah Levant, żonie jubilera, która przed dwoma laty zmarła na raka piersi, zaczął pracować w tym sklepie W Wieku zaledwie piętnastu lat. Podobnie jak mąż, Hannah dała zwieść smagłej urodzie Rama, jego chęci do nauki i uprzejmości... chociaż ich pierwsze spotkanie raczej nie zapowiadało późniejszej przyjaźni, a już na pewno nie pozwalało się spodziewać, że Levantowie właściwie go zaadoptują.

Wtedy, późnym wieczorem, gdy pierwszy raz spotkał Hannah, był z Ahmedem, kolegą z osiedla. Obaj mieli puszki z farbą w sprayu i malowali jaskrawoczerwone swastyki na murze cichej uliczki za sklepem jubilerskim. Kiedy Hannah Levant wyszła i bez lęku spojrzała mu w twarz, Ramtane Tadjer stanął jak wryty, nogi odmówiły mu posłuszeństwa, podczas gdy Ahmed rzucił swoją farbę i uciekł.

Hannah chwyciła Rama mocno za łokieć i wciągnęła do sklepu, a tam, usadziwszy winowajcę na krześle, zrobiła mu długi wykład na temat bezsensowności tego, co robił. Przyznał się, że nie ma pojęcia, co oznacza swastyka. Wykonywał tylko polecenia Ahmeda. Tamtego wieczoru, wzruszona łzami w wielkich ciemnych oczach Rama, łzami, które wzięła za objaw szczerych wyrzutów sumienia, Hannah go pokochała. Skończyło się na tym, że oboje z mężem przygarnęli chłopca i traktowali, jakby był ich własnym synem.

Minęło pięć lat, odkąd zabrali go z obskurnych wysokich bloków na przedmieściach Paryża, znanych jako osiedle Bosquets. Mieszkało tam wiele algierskich rodzin, podobnych do jego zubożałej

rodziny. Przez kilka tygodni sypiał w jednym z pomieszczeń w piwnicy pod sklepem - gdzie szybko się zadomowił - a potem Levantowie zabrali go do maleńkiego mieszkanca przy *rue des Rosiers*, w samym sercu starej dzielnicy żydowskiej. Kupowali mu ubrania, o jakich wcześniej mógł tylko marzyć, dobrze mu płacili i zaczęli go uczyć od podstaw jubilerskiego rzemiosła. Pilnowali przy tym, żeby miał dość czasu, by skończyć gimnazjum.

W wieku zaledwie dwudziestu jeden lat Ram zyskał zadziwiająco rozległą wiedzę na temat gemologii, wyrobu i projektowania biżuterii oraz kupowania i sprzedawania cennych klejnotów. Szybko stał się ekspertem, zarówno za sklepową ladą, jak i w warsztacie, chłonał wszystko, co mu przekazywano, gładko wchodził w świat sztuki jubilerskiej. Wydawał się stworzony do tego zawodu.

Po śmierci Hannah Levant obiecał, że w przyszłości zrobi go swoim wspólnikiem, ale ta przyszłość wydawała się młodzieńcowi zbyt odległa. Zazdrościł swemu dobroczyńcy wspaniałego apartamentu i bentleya z szoferem, który woził go do i z pracy, podczas gdy Ram musiał pedałowac na kupionym z drugiej ręki rowerze. Nade wszystko jednak pragnął władzy i statusu, jakie posiadał *monsieur* Levant dzięki swej pozycji w środowisku jubilerów handlujących najcenniejszymi klejnotami.

Ram wiedział, że przez niektórych klientów i wielu eleganckich obywateli Paryża jest postrzegany jako „inny” - Algierczyk z osiedla na przedmieściach, bez wykształcenia, bez pieniędzy i bez

perspektyw. Odczuwał swoją inność bardzo boleśnie i przysiągł sobie, że kiedyś to się zmieni. Zamierzał kiedyś stać się jeszcze bogatszy i potężniejszy niż *monsieur* Levant.

Te klejnoty pomogą mi osiągnąć nie tylko to, lecz o wiele więcej, myślał, pracując. Niepowodzenie tej sławnej damy oznacza szczęśliwy los dla mnie.

Zaczął oddzielać wisior od naszyjnika, lecz nagle zawahał się i jeszcze raz obejrzał go przez lupę. Na jego zmysłowych ustach zaigrał uśmiech.

Oto moja droga do prawdziwego bogactwa, większego niż wszystko, co mógłby zaoferować ten sklep, uznał.

R o z d z i a ł 1

Nowy Jork, 2004

Allegra Sheridan siedziała przy swoim biurku, pochylona nad szkicownikiem ułożonym dokładnie pośrodku blatu. Pracowała nad szczegółami nowego projektu naszyjnika. Z westchnieniem rezygnacji odwróciła ołówek i umieszczoną na jego drugim końcu gumką zaczęła ze złością wymazywać delikatne linie, które dopiero co naniosła na papier. Beznadzieja, pomyślała, krzywiąc się z niezadowolenia. Kompletna beznadzieja.

Zupełnie nie mogła się skupić. Nie była w stanie narysować pięknego wisiora, który uporczywie tkwił w jej wyobraźni. Odgarnęła niecierpliwie luźny kosmyk jasnych włosów i siedziała, wpatrując się w szkicownik, jakby chciała wzrokiem wyczarować na kartonie obraz wyśnionego klejnotu.

Czy może być coś gorszego niż pusta kartka?

Rzadko czuła się aż tak podle, ale też jej obecne złe samopoczucie miało oczywisty powód. Milczenie stojącego na biurku telefonu miało dziwnie oskarżycielską wymowę. Powtarzała sobie wielokrotnie, że nie ma się czego obawiać, że kiedy wreszcie zadzwoni, wiadomości będą pomyślne. Musiały być.

Nie pamiętała już, kiedy ostatnio była tak zdenerwowana. Ale też nie co dzień zdarzała się sytuacja, że jej zawodowa przyszłość zależała od jednej wyczekiwanej rozmowy.

Kiedy wreszcie rozległ się dzwonek, Allegra omal nie wyskoczyła z fotela. Szybko chwyciła słuchawkę, ale się zawahała, nim ją podniosła. Nie pokazuj po sobie, jak bardzo jesteś zdeterminowana, nakazała sobie w duchu. Odczekaj dwa sygnały. Trzy.

W końcu odebrała.

- Studio Sheridan - odezwała się najpogodniejszym tonem, na jaki mogła się zdobyć. Odetchnęła głęboko.

Jason Clarke, jej asystent, wiedział, że czekała na ten telefon - sam także siedział jak na szpilkach - i nie mógł się powstrzymać, by na nią nie spojrzeć, choć zdawał sobie sprawę, że może ją tym jeszcze bardziej zirytować. Nim szefowa odwróciła się do niego plecami, dostrzegł, że jej twarz przybrała posepny wyraz.

Oho, jeśli się nie mylił, chodziło o Fionę Bennett, a to z całą pewnością oznaczało kłopoty. Zobaczył, jak ramiona Allegry opadają. O Jezu, musi być naprawdę kiepsko. Usiłował skoncentrować uwagę na trzymanym pęsetą rubinie, który miał pod lupą. Na próżno. Jego najbliższa przyszłość także zależała od tego, czego się wkrótce mieli dowiedzieć. Uświadomił sobie, że choć wpatruje się z natężeniem w lśniący kaboszon, tak naprawdę niczego nie widzi. Gdyby na kamieniu były jakieś skazy czy inne niedoskonałości, na pewno by je przeoczył. Odłożył rubin na drewniany roboczy stół i wypuścił z ręki lupę, umocowaną do łańcuszka na szyi. Przysłuchując się temu, co Allegra mówiła do słuchawki, próbował się domyślić słów Fiony Bennett.

Szefowa, wciąż odwrócona do niego tyłem, słuchała z napięciem. Kiedy się wreszcie odezwała, jej stanowczy ton w najmniejszym stopniu nie zdradzał niepokoju męczącego ją przez cały dzień. Widać nie chciała dać po sobie poznać, że rozczarowanie jest tak bolesne, że chce jej się płakać.

- Ależ oczywiście, Fiono - powiedziała spokojnie. - Wiem, że zrobiłaś, co mogłaś, ale... - Zaśmiała się nerwowo. - Rozumiem, że nic z tego, prawda?

Słuchała jeszcze przez chwilę, pożegnała się niemal wesoło, dzięki długo ćwiczonej umiejętności robienia dobrej miny do złej gry, po czym wolno odłożyła słuchawkę. Patrzyła przed siebie oczami nagle pozbawionymi blasku.

Jason wytarł ręce w roboczy fartuch i napił się stojącej zawsze pod ręką wody mineralnej.

- Chcesz o tym pogadać? - zapytał cicho. Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Tak naprawdę nie ma o czym gadać, Jason - odrzekła beznamyślnym tonem. - To była Fiona. Nie wezmą od nas biżuterii.

- Niech to szlag. - Jason głośno wypuścił powietrze. - Podała ci chociaż jakiś powód, Ally? - Był jedną z niewielu osób używających tego zdrobnienia.

Usiadła przy swoim biurku, wzięła do ręki szklankę z sokiem i bezmyślnie obracała ją w palcach.

- I tak, i nie - powiedziała, nie patrząc na Jasona.

- W takim razie, co mówiła? - naciskał, już lekko zniecierpliwiony. - Jaką wymówkę ci przedstawiła?

Allegra potrząsnęła głową, jakby chciała z siebie zrzucić poczucie przegranej.

- Te same bzdury, co zawsze. Tyle że tym razem nieco zmodyfikowane. - Zdecydowanym ruchem odstawiła szklanekę na biurko, wyprostowała się i uniosła głowę. - „Och, Allegro, moja droga - zaczęła, przedrzeźniając afektowany ton Fiony. - Uwielbiamy twoje prace. Naturalnie. Wszystkim się podobają. Doszliśmy jednak do wniosku, że nie możemy wprowadzić twojej pięknej linii. Jak dla nas jest po prostu zbyt interesująca”.

- Jezu! - Jason parsknął głośnym śmiechem i zaraz zasłonił usta dłonią. - Och, przepraszam, ale nie mogłem się powstrzymać. Co za gówniane tłumaczenie!

Do wielkich oczu Allegry powrócił błysk emocji.

- Słyszałeś kiedyś takie bzdety? - rzuciła ze złością. - Zbyt interesująca? - Walnęła pięścią w biurko. - Jak można w ogóle odpowiedzieć na coś takiego?

- Nie można - przyznał Jason. - Nie mogła suka po prostu powiedzieć, że w tej chwili niczego nie kupią? Musiała i dodać coś, co miało złagodzić cios.

- Niech idzie w cholerę z takim łagodzeniem. W niczym nie ułatwia sytuacji. - Westchnęła ciężko. - A sytuacja jest taka, drogi Jasonie, że szybko pójdziemy na dno.

- Naprawdę jest aż tak źle? - spytał z niedowierzaniem.

Allegra smętnie pokiwała głową.

- Owszem. W tej chwili brakuje nam prawie wszystkiego.

Kamieni, złota, platyny i srebra. Co ja mam, u diabła, teraz zrobić? - Spojrzała na Jasona bezradnie, nie oczekując od niego odpowiedzi. - Co my teraz zrobimy? Nie wiem nawet, jak długo jeszcze będę w stanie wypłacać ci pensję. - Znow uderzyła dłonią o blat. - Niech to szlag. Najpierw straciliśmy największego odbiorcę, kiedy zamknęli Ponte Vecchio, a teraz jeszcze to...

Jason rozparł się na krześle i założył nogę na nogę, uważając, żeby nie stracić drobnych rubinów porozkładanych na stole. Przejechał palcami po rozczochranych jasnych włosach, a potem spojrzał z troską na Allegrę.

- Posłuchaj, Ally - zaczął. - Jakoś się ułoży. Zawsze się jakoś układało, nie? Przetrwaliśmy ciężkie czasy. Zapomniałaś, że mamy swojego anioła stróża?

- Nie zapomniałam, ale tym razem naprawdę nie wiem... Tym razem trzeba cudu, żebyśmy się utrzymali na powierzchni. - Zabębniła palcami w biurko. - Mam wrażenie, że wróciliśmy do punktu wyjścia. - Oparła się łokciami o blat i ukryła twarz w dłoniach.

- Wcale nie - próbował ją podnieść na duchu. - Przeszliśmy długą drogę. - Miał wrażenie, że mówi w pustkę, że Allegra w ogóle go nie słucha.

- Kilka chudych lat - odezwała się po chwili głosem pełnym żalu - aż w końcu zauważono naszą pracę. Kilka tłustych lat i te wszystkie pieniądze z Internetu, które ludzie musieli gdzieś wydać. I wszystko

się rozwiało jak dym. - Uniosła ręce, przesadnym gestem ilustrując ostatnie zdanie. W końcu spojrzała na Jasona smutnymi oczyma. - A wraz z tym dymem uleciały nasze najlepsze kontakty. Zaczynam mieć wrażenie, że szczęście opuszcza mnie na dobre.

- Nie, Ally. Nie wierzę w to. Twoje prace są piękne, wszyscy tak uważają. Trzeba tylko trafić na właściwego odbiorcę. Już wyrobiłaś sobie markę. Masz nawet naśladowców. Z czasem może być tylko lepiej.

- No cóż, tylko że czasu to ja akurat nie mam za wiele - odpowiedziała rzeczowo Allegra. - Właściciel nie będzie czekał na czynsz tylko dlatego, że ja potrzebuję czasu. Wiesz, jaki z niego dupek. - Ze zdenerwowania jej głos stał się nieco piskliwy. - Dostawcy kamieni też nie zechcą czekać na pieniądze. Podobnie jak ci od metalu. Wyobrażasz to sobie? - Łzy znów napłynęły jej do oczu.

Jason miał ochotę podejść i objąć ją pocieszająco. Ogarnęło go irytujące poczucie bezradności. Wiedział, że Allegra rozpaczliwie potrzebuje wsparcia, ale sam niewiele mógł jej zaoferować, nie tylko finansowo. Pracując z nią od lat, przekonał się, że upór i niezależność nie pozwolą jej ani poprosić o pomoc, ani tej pomocy przyjąć. Chyba nie znał nikogo, kto byłby aż tak do bólu samodzielny jak ona.

A teraz mogę paść ofiarą tego jej uporu, pomyślał. Bo jeśli ona pójdzie na dno, to ja razem z nią. Co powinienem zrobić? Oparł głowę na splecionych dłoniach i zaczął się zastanawiać nad swoim położeniem. Nagle przypomniał sobie spotkanie z Cameronem Cummingsem sprzed paru dni i mimowolnie się uśmiechnął. Ten

powszechnie znany projektant biżuterii spytał go, czy zastanawiał się kiedyś nad odejściem od Allegry i poprosił, żeby się z nim skontaktował, gdyby był zainteresowany pracą. Cóż, może do tego dojść - i to szybciej, niżby się spodziewał. Zwłaszcza, jeśli Allegra zbankrutuje.

Patrzył, jak wstała od biurka i zamyślona podeszła do okna. Poruszała się zgrabnie i elegancko. Zabawne, pomyślał. Cameron też użył właśnie tego słowa - „elegancka”. Cummings wyznał mu, że ma bzika na punkcie projektów Allegry.

- Są tak samo eleganckie jak ona - powiedział. - Jest najlepsza w tej branży. Żałuję, że nie mam jej talentu. - Zaśmiał się. - Albo chociaż jej projektów.

To nasunęło Jasonowi myśl, że może jednak istnieje sposób, żeby uratować Studio Sheridan.

- Ally?

Odwróciła się do niego. - Tak?

- Widziałem się przedwczoraj z Cameronem Cummingsem.

- I...? - Uniosła pytająco brwi.

- Powiedział, że ma bzika na punkcie twoich projektów.

- I dobrze - mruknęła obojętnie.

- Pomyślałem sobie, że może... - Urwał zakłopotany.

Potrzebował chwili, żeby zebrać się na odwagę i dokończyć. - Wiesz, mogłabyś mu zaproponować, żeby kupił kilka twoich prac. Może...

- Dość - przerwała mu ostro. - Nie ma mowy, żebym sprzedała swoje szkice Cameronowi Cummingsowi. Czy komukolwiek innemu,

skoro już na ten temat mowa. Nie wspominaj o tym więcej, Jason.
Nawet o tym nie myśl.

- Przepraszam - bąknął speszony. - Nie chciałem cię zirytować...

- Zapomnijmy o tym. - Odwróciła się z powrotem twarzą do szyby i patrzyła ponad dachami SoHo w stronę rzeki Hudson. Zimowe słońce, ledwie widoczne zza szarej mgły, właśnie zachodziło, znacząc lekkimi różowymi smugami powierzchnię chmur.

- Może byś już poszedł do domu? Chciałabym zostać sama.

- Jesteś pewna? Mógłbym jeszcze zostać... Pokręciła głową.

- Nie, Jasonie. - Idź już. Naprawdę chcę pobyć sama. Nie ma po co tu siedzieć. Może porozmawiamy później, dobrze?

- Jak sobie życzysz, Ally - powiedział z westchnieniem. Zdjął fartuch, wytrzepał nad płachtą służącą do wychwytywania opiłków, rozpiętą wokół jego miejsca pracy, a potem rozwiesił starannie na oparciu krzesła. Następnie zabrał z wieszaka przy drzwiach kurtkę i plecak.

Otwierając drzwi, rzucił za siebie:

- Do jutra.

- Dobranoc, Jason - odpowiedziała Allegra. - Przepraszam, że jestem taka marudna.

- Ally, ja wiem, że będzie lepiej. Trochę...

- Później, Jason - przerwała mu zdecydowanie.

- W porządku. - Cicho zamknął za sobą drzwi.

Po jego wyjściu Allegra nadal gapiła się w okno, ale jej uwaga skierowana była do wewnątrz; usiłowała opanować burzę emocji,

jakie wzbudził w niej telefon od Fiony. Uświadomiła sobie, że jej kariera znalazła się w punkcie wymagającym podjęcia trudnej decyzji.

Czy powinna starać się jakoś przetrzymać kolejny kryzys finansowy i nadal pracować? Czy raczej poddać się i poszukać stałej posady, która zapewni jej utrzymanie, a biżuterią zajmować się w wolnych chwilach? Na samą myśl o tym ostatnim zrobiło jej się niedobrze. Skąd u mnie ta potrzeba, żeby się ciągle sprawdzać, zastanawiała się. Czemu nie mogła się zadowolić projektowaniem dla jakiejś uznanej firmy jubilerskiej? Dlaczego drażniła ją myśl o projektowaniu wzorów do masowej produkcji?

Przez ostatnich kilka lat miała wiele okazji, by związać się z którymś z czołowych wytwórców biżuterii, ale zawsze odrzucała ich propozycje, niezależnie od tego, jak były intratne i jak bardzo potrzebowała pieniędzy. Woląла zachować kontrolę nad powstawaniem wymyślonych przez siebie klejnotów, a poza tym, a może przede wszystkim, broniła swojej niezależności.

W przeszłości niejednokrotnie była też kuszona przez pośredników zaopatrujących butik - osoby takie jak Fiona Bennett - obietnicami, że zamówią u niej duże ilości biżuterii. Jednak Allegra dawno zrezygnowała z podejmowania się takich zleceń, wiedząc, że jej projektów nie da się reprodukcować małym kosztem. A nie zamierzała pozwolić na to, by warsztaty w Chinach czy gdzie indziej robiły tanie podróbki jej wzorów, stosując byle jaki metal zamiast złota czy platyny i syntetyczne kamienie zamiast prawdziwych.

Widziała, jak inni projektanci się na to godzili, a po pewnym czasie ich prace przestawały być rozpoznawalne.

W głębi duszy miała nadzieję, że dostanie się do wielkiego jubilera, takiego jak Buccellati, Bulgari lub Verdura i będzie sprzedawać wyroby sygnowane swoim nazwiskiem, jak Elsa Peretti czy Paloma Picasso u Tiffany'ego. Lubiła sobie wyobrażać reklamy w gazetach i magazynach poświęconych modzie: „Allegra Sheridan dla Verdury”. Albo Bulgarię. Ale tak się nie stało. Przywiozła do Nowego Jorku swój talent i ambicje, ale nie miała odpowiedniego nazwiska ani kontaktów, żeby trafić tak wysoko. Nie znaczy to, że umniejszała zasługi Palomy Picasso czy Elsy Peretti. Ceniła ich perfumy i podziwiała sukces, ale zastanawiała się, czy osiągnęłyby tak wiele zdane same na siebie.

No i proszę, stałam się ofiarą własnych wysokich wymagań, pomyślała, spoglądając w stronę West Village; zbankrutuję i nikt nie będzie oglądał ani nosił mojej biżuterii.

Potrzebowała miejsca, gdzie mogłaby sprzedawać swoje wyroby, ale taki punkt w Nowym Jorku kosztował fortunę. Ludzie, widząc biżuterię na rozkładówce magazynu mody, powinni móc wskoczyć w taksówkę i udać się do sklepu, skąd pochodziły prezentowane klejnoty. W jej wypadku to było niemożliwe. Musieli zadzwonić pod podany numer telefonu i umówić się na spotkanie, co, jak dawno odkryła, skutecznie zniechęcało większość potencjalnych nabywców. Nie mówiąc już o tych, którzy z reguły kupowali pod wpływem impulsu. Nie było sklepu, gdzie mogliby spełniać swoje

pragnienia. Jednak na początku musiała zgromadzić wyposażenie i narzędzia potrzebne do pracy i przez pierwszych kilka lat wszystkie zarobione pieniądze przeznaczala na spłacanie kredytów. Otwarcie sklepu przekraczało jej możliwości.

Zamyśliła się tak głęboko, że aż podskoczyła, kiedy ktoś zbliżył się do niej po cichu i położył jej ręce na ramionach.

- O Jezu, Todd! - wykrzyknęła. Nie odwracając głowy, rozpoznała dotyk jego dużych dłoni i wyraźny męski zapach. - Nie słyszałam, jak wszedłeś. Przestraszyłeś mnie śmiertelnie.

- Przepraszam, nie chciałem. - Delikatnie rozmasował napięty kark Allegry, a potem cmoknął ją w czubek głowy. - Mam pomysł - oznajmił, spoglądając przez okno na światła miasta, błyskające we wczesnym zimowym zmierzchu.

- Jaki? - spytała z zaciekawieniem. Przyjemny masaż poprawił nieco jej nastrój.

- Pozwól, że cię zaproszę na wystawną kolację - powiedział uwodzicielskim szeptem. - Tylko my dwoje. No, zgódź się, Ally. Oboje poczujemy się o wiele lepiej.

Odwróciła się w końcu i zajrzała mu w oczy.

- Widziałeś się z Jasonem, tak? Potwierdził kiwnięciem głowy.

- Powiedział mi, co się stało. Bardzo mi przykro.

- Nie chcę o tym teraz rozmawiać.

Todd uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Dobrze. Skoro tak sobie życzysz, nie usłyszysz ode mnie ani słowa więcej na ten temat.

- Świetnie. Poza tym wiesz, że nie stać cię na wystawną kolację.
Ale miło, że zaproponowałaś.

- Mogę zapłacić kartą - podsunął.

- Chcesz powiedzieć, że nie jest wyczyszczona do zera?

- Jeszcze nie.

- Nie, Todd. - Pokręciła głową. - Nie pozwolę ci na to. Nie chcę się czuć winna, że wydasz na mnie ostatnie pieniądze. Mogą ci być potrzebne.

Todd popatrzył na nią przebiegle.

- I co z tego? Daj spokój, Ally. - Nie zdejmował dłoni z jej ramion. - Gdzie się podziała ta piękna dziewczyna, która nigdy nie bała się ryzykować?

- Dorosła i stała się kobietą - odpowiedziała. - A właściwie starą panną. W dodatku bez grosza przy duszy.

- To jeszcze jeden powód, żeby pójść zaszaleć - kuśił. - W naszej sytuacji, jaką różnicę robi parę dolarów? Poza tym niedługo spodziewam się małego dopływu gotówki.

Allegra zaśmiała się pobłaźliwie.

- Szczególna logika, Todd. - Pieszczotliwie potargała mu kruczoczarne włosy.

- Więc się zgadzasz? - Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając idealnie równe, białe zęby.

- Nie powinnam, ale... zgoda.

- To rozumiem - ucieszył się, żartobliwie klepiąc ją w pośladek.

- Zabawimy się na całego. Na ten wieczór zapomnimy o pracy.

Żadnych zmartwień. Żadnych problemów. Tylko jedzenie, picie i tańce.

- Tańce też?

- Dlaczego nie? Możemy przetańczyć całą noc. Będziemy się wólczyć od klubu do klubu.

Znów się roześmiała.

- Jesteś stuknięty, Toddzie Hall i chyba dlatego tak bardzo cię kocham. - Pocałowała go w koniuszek nosa. -Przynajmniej czasami.

Nie przestał się uśmiechać, choć poczuł ściskanie w gardle.

Kochał ją od dawna, a mimo to wzruszał się zawsze, kiedy mówiła te słowa. Objął ją i przyciągnął do siebie. Całowali się długo i namiętnie.

- Ja też cię kocham, Ally - powiedział, oderwawszy się wreszcie od jej ust. -I nie tylko czasami.

Ich związek trwał od dawna i nie brakowało w nim kryzysów - kłótni, rozstań i dramatycznych powrotów -głównie z powodu skłonności Todda do oglądania się za innymi kobietami. Próbował przekonać Ally, że już nad tym panuje. Przysięgał, że jego wiecznie nienasycony apetyt na seks należy już do przeszłości. Pragnął Allegrę bardziej niż kiedykolwiek.

Była twórczą projektantką, znawczynią kamieni szlachetnych, producentką biżuterii i właścicielką firmy, a do tego uderzająco piękną i bardzo pociągającą kobietą. Todd nie interesował się gemologią, a tym bardziej kręgiem wytwórców rzadkiej biżuterii, wśród których tak doskonale czuła się Allegra. Nie znosił większości jej klientów, podobnie jak nie cierpiał ludzi, którym jego ojciec

architekt projektował domy, i egzaltowanych wielbicieli malarstwa jego matki.

Po przepracowaniu kilku lat w wywiadzie wojskowym spróbował swoich sił jako dziennikarz śledczy. Szło mu znakomicie, ale szybko zmęczyły go panujące w gazecie biurokracja i asekurantwo. Albo „zarzynano” mu teksty z powodów politycznych, albo zmuszano go do pisania bezsensownie długich reportaży na tematy lubiane przez wydawcę.

W końcu zajął się tym, co najbardziej lubił: został deweloperem i przebudowywał stare obiekty przemysłowe w śródmieściu Nowego Jorku na luksusowe lofty. Trafił do tej branży właściwie przez przypadek. Kiedy nagle odkrył, że czynsze w centrum miasta, w okolicach takich jak So-Ho czy East Village, zaczynają gwałtownie rosnać do astronomicznych sum, pożyczył pieniądze od rodziców, żeby kupić niewielki niszczejący budynek. Następnie, wyposażony w plany architektoniczne sporządzone przez ojca, doglądał gruntownej przebudowy. Zysk zainwestował w inne podobne obiekty, powtarzając cały proces, dopóki nie zgromadził pokaźnego majątku w nowojorskich nieruchomościach. Chociaż w pewnym sensie odżegnywał się od elitarnego świata rodziców, to, że wychował się w środowisku związanym ze sztuką, działało na jego korzyść. Miał dobry gust i wyczucie stylu. Praca przy renowacji starych domów, choć wyczerpująca i często zaskakująca trudnościami, przynosiła mu wiele satysfakcji. Czasami miewał problemy z płynnością finansową,

jak w tym momencie, ale wiedział, że na dłuższą metę jego wysiłki muszą się opłacić.

Przez lata stał się znany jako prężny deweloper, do tego zniewalająco przystojny, a o jego osiągnięciach często pisały gazety i czasopisma. Zawsze miał powodzenie u płci przeciwnej, a dzięki popularności zawodowej tym bardziej lgnęły do niego atrakcyjne, seksowne kobiety, czasem bardzo bogate, zafascynowane jego męską urodą. A Todd bynajmniej się od nich nie opędzał. Nie raz i nie dwa zdarzyło mu się ulec.

Te nic nieznaczące flirty, przygody na jedną noc i przelotne romanse odbiły się na jego związku z Allegrą. Poza tym, do czego się otwarcie przyznawał, panicznie bał się zobowiązań. Nie miał ochoty pakować się w stadło przypominające małżeństwo jego rodziców. Niemniej jednak z upływem lat krótkie, luźne znajomości zaczynały go męczyć.

- Co powiesz na to, żebym poszedł do domu, wziął prysznic, przebrał się i wrócił tu po ciebie? - zapytał.

- Dobry plan - pochwaliła, stukając go palcem w klatkę piersiową.

- Będę z powrotem za... powiedzmy godzinę. No, może półtorej. Okay?

- Będę gotowa.

- Świetnie. - Wyciągnął rękawiczki z kieszeni znoszonej skórzanej kurtki. - Cześć. - Cmoknął ją na pożegnanie.

- Cześć.

Allegra odprowadziła go spojrzeniem, kiedy się oddalał korytarzem do głównego wyjścia, po czym zamknęła drzwi i rozejrzała się po pracowni. Półki zajmujące całe ściany od podłogi po sufit zastawione były przezroczystymi pudełkami, wypełnionymi złotym, srebrnym i platynowym drutem, arkuszami platyny, srebra i złota, materiałami polerskimi, półszlachetnymi kamieniami i paciorkami, gotowymi formami, gumą i gipsem do odlewania form oraz niezliczonymi narzędziami. Jednym słowem wszystkim, czego potrzebuje dobrze zorganizowany jubiler. W pobliżu niemieckiego stołu roboczego znajdowały się różnego rodzaju szczypce, młotki i pierścienie miernicze. Obok nich tokarki, wiertła i piły uruchamiane pedałem, rylce o różnych ostrzach, wulkanizator, urządzenie do wstrzykiwania wosku, walce do polerowania. Wszystko to składało się na całkiem niezłe... i kosztowne wyposażenie pracowni.

Na półkach z książkami stały katalogi dostawców metali i kamieni, a także producentów sprzętu i narzędzi jubilerskich. Szkicowniki z projektami, niektóre w drogich twardych okładkach, stały w schludnych rzędach, zajmując osobną szafkę. Zawierały mnóstwo szczegółowych rysunków biżuterii, którą Allegra wymyśliła i chciała powołać do życia. W niektórych przypadkach jej się to udało.

Na ścianach wisiały szkice kilku jej ulubionych projektów, zestawione ze zdjęciami gotowej biżuterii. Paru klientów uważało, że te rysunki same w sobie są dziełami sztuki i chciało je kupić, lecz Allegra zawsze odmawiała; wołała, żeby nie oglądano tego, co uważała za wstępne stadium tworzenia niepowtarzalnego klejnotu.

Świadectwo pychy, pomyślała z ironią, rozglądając się wokół siebie. Ale nigdy jej się nawet nie śniło, że będzie aż tak bardzo potrzebowała pieniędzy.

Jej wzrok przyciągnął roboczy stół Jasona. Podeszła bliżej, marszcząc gniewnie czoło.

- Cholera - zaklęła na głos i zaraz sobie przypomniała, że to z jej winy chłopak pozostawił swoje miejsce pracy w nieładzie.

Kazała mu wyjść, bo chciała zostać sama. Na blacie leżały rubiny, wprawdzie drobne, ale i tak warte tysiące dolarów. Sprawdziła, czy nie ma tam też resztek metalu lub odłamków innych kamieni, ale niczego więcej nie znalazła. Zgarnęła więc rubiny do zamszowego woreczka, który następnie umieściła w brzydkim starym sejfie w kącie pracowni. Trzymała tam najcenniejsze szlachetne i półszlachetne kamienie, choć miała świadomość, że prymitywny szyfrowy zamek nie stanowiłby poważnej przeszkody dla w miarę sprytnego złodzieja. Docisnęła ciężkie drzwi i kilkakrotnie obróciła pokrętłem zamka.

Przeciągnęła się, unosząc ramiona nad głowę. Postanowiła nazajutrz przypomnieć Jasonowi o obowiązujących ich zasadach. Zasada numer jeden głosiła, że każde z nich pod koniec dnia ma zostawiać cenne kamienie w sejfie i zbierać specjalnym odkurzaczem resztki kruszców z roboczego stołu. Zbiornik odkurzacza był regularnie opróżniany do pojemników, osobnego dla każdego z metali. Te drobiny metalu, czy to było złoto, platyna, czy stosunkowo niedrogie srebro, wracały do zakładów, z których pochodziły, gdzie

odkupywano je na wagę. Mogło się to wydawać przesadną skrupulatnością, ale uncja platyny czy złota kosztowała setki dolarów, więc w ciągu lat wartość tych resztek sięgała znacznych sum.

Zauważyła katalog paryskiego domu aukcyjnego Dufour na szczycie sterty czasopism do przejrzania. Nosił tytuł: „Wspaniałe klejnoty”. Wzięła go do ręki z zamiarem przejrzania podczas kąpieli. Jeszcze raz obrzuciła wzrokiem pracownię i z zadowoleniem uznała, że wszystko jest na swoim miejscu. Pogasiła światła i przeszła do drugiej części studia, służącej jej za mieszkanie. W małej kuchni otworzyła lodówkę utrzymaną w stylu lat pięćdziesiątych i wyjęła z zamrażalnika butelkę stolicznej. Napeliła szklanek do wysokości trzech palców i zabrała ze sobą do niewielkiej sypialni.

Odstawiła szklanek na stolik przy łóżku, podeszła do szafy i zaczęła przeglądać sukienki. Przesuwała wieszak za wieszakiem po drążku, szukając czegoś, co by pasowało na wieczorne wyjście i jednocześnie poprawiło jej humor. Czerń, czerń, czerń, pomyślała z niechęcią, cała szafa tonie w czerni. Allegra należała do typowych nowojorskich elegantek, których garderoba, choć bezsprzecznie szykowna, miała nieco pogrzebową kolorystykę.

Nagle dostrzegła tę sukienkę. Już zapomniała, że ją ma, tymczasem była idealna na dzisiejszy wieczór. Od Gucciego, z długimi rękawami i podniesionym stanem, z prześwitującą wstawką na dekolcie, ledwie zakrywała pośladki. Doskonała, żeby pokazać długie, szczupłe nogi. I czarna.

Świetnie, pomyślała Allegra, nikt mnie w niej jeszcze nie widział, a jest seksowna i dobrze na mnie leży..., i pasuje do mojej biżuterii.

Przewiesiła sukienkę z szafy na drzwi i sięgnęła na półkę po pudełko, w którym trzymała szpilki od Christiana Louboutina, z czarnego aksamitu, z szeroką atłasową wstążką wiązaną w kokardę na kostce. Z kasetki na toaletce wyjęła kolczyki z czarnymi diamentami oraz naszyjnik i bransoletkę stanowiące z nimi komplet. Sama wybrała kamienie i zaprojektowała wzór, a Jason wykonał całość. Nie były to jej ulubione kamienie, wręcz przeciwnie, ale ostatnio zyskiwały popularność, więc uznała, że stanowią dobrą reklamę jej pracy.

Przyłożyła naszyjnik do dekoltu i przejrzała się w lustrze. Doskonale, uznała z zadowoleniem. Wisiorek w kształcie gruszki zamierzała wsunąć pod przezroczystą wstawkę sukni; miała nadzieję, że będzie wyglądał intrygująco i przyciągnie uwagę. Blask ciemnych kamieni na tle jej pełnego biustu powinien dać odpowiedni efekt.

Po wymoczeniu się w relaksującej pianie - co wręcz uwielbiała - zrobiła staranny makijaż, wyszczotkowała długie włosy i na końcu włożyła biżuterię. Przeglądając się w pełnowymiarowym lustrze na drzwiach sypialni stwierdziła, że wygląda świetnie. Do nadejścia Todda zostało jej około piętnastu minut, więc wyciągnęła się na łóżku, popijając drobnymi łyčzkami stoliczną.

Rozglądając się wokół, uświadomiła sobie, że i tak ma szczęście, bo udało jej się zdobyć to cudowne, choć może trochę ekscentryczne

mieszkanie o niewielkich, lecz wysokich pokojach, Na początek umeblowała je przypadkowymi zdobyczami z pchlich targów i sprzętami wyrzucanymi przez znajomych, nie licząc kilku oryginalnych rzeczy, które Todd znalazł w kupionych przez siebie domach. Stworzyła tu sobie kryjówkę przed hałasem i pośpiechem Nowego Jorku, a za ścianą miejsce pracy.

W tym przytulnym gniazdku brakowało jej tylko jednego - ukochanej osoby, z którą mogłaby je dzielić. Wprawdzie był Todd, ale wciąż miała wobec niego mieszane uczucia.

Gdyby wiedziała, że naprawdę jest gotowy dorosnąć i nie będzie już ulegać tym ciągłym pokusom, na jakie jest wystawiany.

Pociągnęła kolejny łyk wódki. Miała świadomość, że nie chodzi tylko o jego flirty. W jej życiu także było kilku mężczyzn, przed spotkaniem Todda i potem, kiedy go już знаła. Wcześniej zawsze miała jakiegoś chłopaka, a później, kiedy odkryła, że Todd ją zdradza, odpłacała mu, wdając się w krótkotrwałe i czasami niszczące romanse z innymi mężczyznami.

Niektóre z tych znajomości trwały jakiś czas, a kilka nawet zapowiadało się obiecująco. Na przykład z Anthonym, czarującym i niewiarygodnie przystojnym, ostro popijającym byłym modelem, bywalcem przyjęć i właścicielem klubu. Po nim pojawił się Louis, jeszcze przystojniejszy, dobrze się zapowiadający malarz, podobnie jak Anthony skupiony na sobie do tego stopnia, że Allegra wolała zostać sama, niż czuć się przez niego zaniedbywana. Louisa zastąpił Dickie, uroczy, bogaty i utalentowany brytyjski rysownik, amator

kolczyków w różnych miejscach ciała, tatuaży... i heroiny, jak się okazało.

Kiedy już porzuciła nadzieję na znalezienie odpowiedzialnego, dojrzałego mężczyzny, przy którym mogłaby się ustatkować, poznała Allena Bancrofta, bogatego bankiera. Wydawał się odpowiedzią na jej prośby - zawsze w eleganckim garniturze, stonowanym krawacie i wyglansowanych butach, schludnie ostrzyżony. Miał nienaganne maniery, wykształcenie, właściwe pochodzenie i znajomych. Szybko się jednak przekonała, że pod efektowną powłoką Allen był najbardziej wyuzdanym facetem, jakiego spotkała w życiu. Jego potrzeby - kiedy już je poznała - wzbudziły w niej odrazę.

Wzdychając, podniosła się z łóżka. Odnalazła czarną wieczorową torebkę wyszywaną koralikami, zaklinając w duchu Todda, by się nie spóźnił. Potrzebuję czegokolwiek. .. albo kogokolwiek, byle nie myśleć o moim beznadziejnym życiu uczuciowym. A raczej braku życia uczuciowego. Wkrótce skończę trzydzieści trzy lata, a nie mam przed sobą żadnych perspektyw w tym względzie, nie licząc wiarołomnego Todda Halla, pomyślała.

Jakby na zawołanie rozległ się dźwięk domofonu, sygnalizujący, że Todd czeka już na dole. Allegra ruszyła do holu, żeby mu otworzyć, kiedy zadzwonił telefon. Sięgnęła po słuchawkę, ale w ostatniej chwili się rozmyśliła.

Mam to gdzieś. Niech się nagra na sekretarkę. Dość telefonów na dzisiaj, postanowiła.

R o z d z i a ł 2

Czego się dowiedziałaś, Sylvie? - spytał swą ciemnowłosą asystentkę Hilton Whitehead, spoglądając na nią od progu. Jej gabinet znajdował się na parterze jego trzypoziomowego poddasza w Upper East Side. Przez przeszkloną ścianę za jej plecami widać było światła miasta odbijające się w East River, a za rzeką rozświetloną migotliwie dzielnicę Queens.

Sylvie spojrzała na niego zza hebanowego, wypolerowanego na błysk biurka Ruhlmana.

- Włączyła się automatyczna sekretarka, więc zostawiłam wiadomość. - Jej angielszczyzna nosiła ledwie wyczuwalny ślad francuskiego akcentu. - Ale proszę się nie martwić - dodała, widząc wyraz troski na jego twarzy. - Znam Allegrę, wkrótce do mnie oddzwoni. Ma mój numer na komórkę i domowy, więc jeśli nawet się nie odezwie przed moim wyjściem, to złapie mnie pod którymś z tamtych numerów. Okay?

- W porządku. - Uspokoił się, wiedząc, że może na niej polegać. Sylvie Javelle była kompetentna, godna zaufania i sumienna aż do bólu, a do tego atrakcyjna i zadbana. Dość koścista, bez grama tłuszczu, z płaską klatką piersiową, wydatnym nosem, wielkimi oczyma i mocno zarysowaną szczęką, według amerykańskich standardów nie mogła uchodzić za piękność, ale nadrabiała te niedostatki urody świetnymi fryzurami, perfekcyjnym makijażem i doskonale dobranym strojem. Według Hiltona miała też żywiołowy temperament, rzadki u Francuzek.

- Wychodzisz już? - spytał.

- Za jakieś dwadzieścia minut - odpowiedziała, wyciągając z szuflady biurka torebkę od Hermesa, stanowiącą jej główną inwestycję we francuskie rzemiosło. - A dlaczego pan pyta? Jestem do czegoś potrzebna? - Nie mogła się powstrzymać przed zadaniem tego pytania, ledwie zdołała powściągnąć uśmiech. Wiedziała, że tego dnia nie będzie już żadnych spraw, przynajmniej w biurze, ponieważ pojawiła się Kitty i na swych niebotycznych obcasach pomaszerowała prosto do sypialnego apartamentu Hiltona Whiteheada.

- Nie. - Pokręcił głową. - To wszystko. Do zobaczenia jutro.

- Dobranoc, panie Whitehead.

- Cześć, Sylvie. - Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Minął prywatną windę i ruszył schodami na górę.

Po jego wyjściu Sylvie spryskała się obficie perfumami Ferme Tes Yeux JAR'a, po czym podniosła słuchawkę telefonu i wcisnęła klawisz radial. Jeden sygnał. Drugi. Trzeci. Czwarty. Znów włączyła się sekretarka Allegry. Merde, zaklęła w duchu Sylvie; mam nadzieję, że wkrótce uda mi się z nią skontaktować. Nie wiem, czy mnie pokocha, czy znienawidzi, ale nie mogę się doczekać, żeby jej powiedzieć, co się święci.

- Nuda! - mruknęła z niechęcią Kitty. Odrzuciła na podłogę przewertowany katalog aukcyjny. Nie wyobrażała sobie, by w dwudziestym pierwszym wieku ktoś mógł być zainteresowany brzydkimi, drogimi bibelotami wystawianymi w Sotheby's.

Ułożyła się wygodnie na stercie poduszek wyścielających wielkie łóżko Hiltona i czekała, aż skończy swoje sprawy i do niej przyjdzie. Westchnęła ze zniecierpliwieniem, pstrykając długimi, starannie wymodelowanymi paznokciami. Sięgnęła po smukły kryształowy kieliszek z szampanem stojący na stoliku przy łóżku. Świeżo nałożony lakier na paznokciach odbił błysk światła. Kitty kilka razy poruszyła ręką, podziwiając odcień „Gorzkiej Czekolady”. Uznała, że dokonała trafnego wyboru. Ten ostatni produkt Diora nie tylko pasował do jej szminki, ale też wyglądał pięknie i seksownie przy lekko oliwkowej karnacji. Zadowolona pociągnęła łyk szampana. Odstawiając kieliszek, dostrzegła na stoliku inny katalog, z galerii Dufour w Paryżu. Na okładce widniał tytuł „Wspaniałe klejnoty”.

- No, to już lepsze - uznała.

Zaczęła od niechcenia przerzucać kartki, zerkając na prezentowaną tam biżuterię i ceny wywoławcze. Większość klejnotów wydała jej się brzydka. Wręcz groteskowa. Zdecydowanie zbyt staroświecka jak na jej trzydziesto-czteroletni gust. Kitty nie cierpiała niemodnej biżuterii. Kojarzyła jej się z okropnymi upudrowanymi wdowami, zaludniającymi słynne kurorty dla bogatych staruchów, takie jak Monte Carlo. Już miała odrzucić katalog śladem poprzedniego, kiedy jej uwagę przykuł pierścionek ze szmaragdem. Rozłożyła katalog na łóżku i dokładnie przyjrzała się zdjęciu.

- O kurczę - szepnęła z uznaniem. - To mi się podoba.

Wielki ciemnozielony kamień tkwił w bardzo nowoczesnej złotej oprawie, zaprojektowanej tak, by sama nie zwracała uwagi, lecz

uwypuklała niezwykle urodę szmaragdu. Jednak mimo że sam pierścionek wystarczył, by w oku Kitty zabłysła pożądlivość, to pochodzenie klejnotu przyprawiło ją o dreszcz emocji: według katalogu należał do jej królewskiej wysokości księżniczki Karimy.

Nie trzeba było więcej, by ożywić wyobraźnię Kitty. Śledziła niezwykle losy księżniczki - która stała się kimś w rodzaju jej ideału - odkąd była dzieckiem. Wiedziała, że ta legendarna arabska piękność była partnerką jednego z najbogatszych włoskich przemysłowców. Wiedziała, że ma domy na całym świecie, w których z niezrównaną wy-stawnością gości członków królewskich rodów, międzynarodową śmietankę bogaczy i paru wybrańców, mogących się poszczycić jedynie sławą.

Do tej pory Kitty nie wiedziała jednak, że księżniczka postanowiła sprzedać swą kolekcję biżuterii. W katalogu pisano, że słynna dama wyruszyła ostatnio w duchową podróż i chce poświęcić resztę życia działalności charytatywnej. Zysk ze sprzedaży klejnotów miał być przeznaczony na ten nowy cel.

Jezu Chryste!, pomyślała Kitty, duchowa podróż! Musiała kompletnie odjechać po prochach. To jedyne wytłumaczenie tak wariackiej i bezsensownej zmiany życia.

Przygryzła wargę o smaku „Gorzkiej Czekolady”, wpatrując się w towarzyszące artykułowi zdjęcie swej idolki. Nadal wyglądała bardzo... atrakcyjnie, Kitty musiała to przyznać, ale nietrudno było dostrzec, że czas odcisnął na urodzie Karimy swoje bezlitosne piętno. Raczej nie przyciągała już uwagi bogaczy, których byłoby na nią stać,

chyba że któryś gustował w chodzeniu do łóżka z kobietą w wieku własnej matki.

O kurczę. Ma okropne zmarszczki, stwierdziła Kitty, przyjrzawszy się fotografii z bliska; Czemu ta szurnięta suka nic z nimi nie robi? Naprawdę musiało jej poważnie odbić.

Kitty nie miała szacunku dla kobiet niekorzystających z wszelkich dostępnych cudów kosmetyki i chirurgii, żeby powstrzymać działanie czasu. Czyż sama nie poświęcała długich godzin na konserwację i poprawę urody, którą łaskawy Bóg uznał za stosowne ją obdarzyć? Właściwie dbanie o wygląd stanowiło główne zajęcie Kitty. To była jej praca, do tego została stworzona i sownie jej się to opłacało.

Powróciła wzrokiem do pierścionka. Nawet zdjęcie oddawało wyjątkową szlachetność kamienia. Miał prosty szlif, często stosowany w przypadku szmaragdów, żeby zminimalizować straty materiału. Nie było to dla niej niespodzianką. Nie był też nieskazitelny. To także nie stanowiło zaskoczenia, ponieważ niezwykle rzadko trafiały się szmaragdy bez jakiegś, choćby drobnej, skazy. Dziwne było raczej to, że katalog otwarcie o niej wspominał. Zazwyczaj sprzedający starał się umniejszyć znaczenie tego rodzaju niedoskonałości, a już z pewnością o nich nie trąbił, tak jak w tym przypadku.

Kitty zastanawiała się, o co, u licha, może chodzić. W końcu cena szacunkowa była astronomiczną. Prawdopodobnie ze względu na osobę właścicielki. Mimo skazy, wiele kobiet dałoby się zabić za pierścionek, który kiedyś zdobił długie palce księżniczki. Sama

poznała kilka bogatych wariatek, mających obsesję na punkcie wszystkiego, co należało do Marii Antoniny i gotowych wydać krocie, żeby zdobyć na przykład jej wysadzany drogimi kamieniami grzebień do włosów.

Hilton wreszcie pojawił się w swojej ogromnej, obficie przeszklonej sypialni. Rozmiary tego pokoju musiały przytłaczać zwykłego człowieka, ale Hiltonowi całkowicie odpowiadały. Miał w sobie coś takiego, że zdawał się wypełniać każde pomieszczenie, do którego wchodził. Dopiero gdy rozpiął koszulę i pasek u spodni, zauważył, że leżąca nago na pościeli Kitty jest czymś bez reszty pochłonięta.

- Co tam masz? - spytał od niechcienia, rzucając koszulę na krzesło.

- Katalog biżuterii - odpowiedziała, nie patrząc na niego.

- Który? - Przystąpił do ściągania spodni.

- Z galerii Dufour. - Wciąż nie odrywała wzroku od zdjęcia. - W Paryżu.

- Jest tam coś ładnego? - Nadal nie okazywał większego zainteresowania.

W końcu na niego spojrzała.

- Owszem.

- Co?

- Pierścionek ze szmaragdem. Ale nie taki zwykły.

- Pokaż. - Zbliżył się do łóżka, żeby zerknąć do katalogu. Kitty podsunęła mu zdjęcie przed oczy.

- Należy do księżniczki Karimy - powiedziała z naciskiem.

Zagwizdał cicho przez zęby.

- Cena z księżycyca.

- Wiem. - Kitty wydeła kształtne usta. - Nie stać mnie na niego.

- Niewielu ludzi na tym świecie na niego stać - stwierdził

spokojnie Hilton, zdejmując bokserki i skarpetki. Posadzka z czarnego marmuru przyjemnie chłodziła bosc stopy.

- Kiedy dorastałam... - powiedziała Kitty tęsknym głosem - ona była moim wzorem. Zawsze marzyłam, żeby być taka jak księżniczka Karima.

- Oprócz ciebie marzyło o tym z milion dziewcząt w twoim wieku.

- Była najpiękniejszą kobietą na świecie i jedną z najbogatszych. I do tego księżniczką!

Hilton, już całkiem rozebrany, przysiadł na krawędzi łóżka. Położył na ustach Kitty palce, które ucałowała, patrząc w jego bystre brązowe oczy. Przesunął dłoń po jej szyi w dół, na piersi, gdzie zatrzymał się dłużej, pieszcząc najpierw jedną, potem drugą.

Kitty zadrżała z podniecenia; porzucony katalog zsunął się z łóżka na posadzkę. Objęła Hiltona za szyję i przyciągnęła go do siebie. Ułożył się obok niej i pocałował ją namiętnie, głęboko, wodząc przy tym rękami po całym jej ciele. Potem przeniósł usta na jej ucho i szyję; każde delikatne, wilgotne muśnięcie jego języka wzbudzało w niej przyjemny dreszcz.

Na dłużej skupił się na jej piersiach, pieścił je i całował, czując, jak coraz silniej wzbiera w nim pożądanie.

Różowe pączki brodawek nabrzmiały pod jego dotykiem. Kitty wydała z siebie głośny jęk i opuściła ręce na jego krocze. Kiedy zacisnęła dłoń na twardym, potężnym członku, Hilton bezwiednie wstrzymał oddech. Wyprostował się, odchylając głowę do tyłu, a Kitty, naśladując jego pieszczotę, przesuwając wargami najpierw po jego piersi, później coraz niżej, kreśląc językiem leniwe kręgi wokół pępka, a potem zmierzając jeszcze niżej.

Hilton zastygł w bezruchu, oparł się o wezglowie łóżka i zacisnął zęby. Kitty poruszała rytmicznie głową, to zwalniając, to przyspieszając tempo.

Nikt na świecie nie potrafił robić tego tak, jak Kitty Fleischman, pomyślał. Popatrzył z góry na zmierzwioną burzę jej czarnych włosów na swoim podbrzuszu i uśmiechnął się, odczuwając nie tylko przyjemność, ale i podziw.

- Au... - syknął w pewnym momencie, przytrzymując jej głowę. - Nie tak ostro, dziecinko. Musisz uważać. Niech to trochę potrwa.

Kitty spojrzała na niego wielkimi oczyma w kształcie migdałów.

- Och, Hilton, tak dobrze się bawiłam - powiedziała głosem małej dziewczynki.

Rozciągnęła w uśmiechu wypełnione kolagenem wargi pokryte resztkami czekoladowej szminki, a następnie podniosła się na kolana, wysuwając w jego stronę wielkie, chirurgicznie powiększone piersi.

Wzrok Hiltona natychmiast przyciągnęły sterczące brodawki, podobne do dojrzałych truskawek domagających się zerwania. Wiedział, że nie są tak do końca darem matki natury, co więcej, znał Reida Thorntona, chirurga plastycznego, który wykonał poprawki, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Podniecały go wystarczająco. Może tym bardziej dzięki świadomości, że Kitty poszła pod nóż dla niego, a nie zrobiła tego dla swego byłego męża.

Ułożyła się obok niego, kładąc mu głowę na ramieniu. Hilton objął ją i przygarnął do siebie zaborczo. Kitty uniosła palce do ust, a potem delikatnie obwiodła jego sutki, ledwie dotykając napiętej skóry.

- Jak przyjemnie... - zamruczał, odpowiadając taką samą pieszczotą. Za każdym razem zdumiewała go gwałtowność, z jaką ich ciała reagowały na wzajemną bliskość. Przypuszczał, że działa się tak za sprawą jakiejś tajemniczej chemii. Niezależnie od przyczyny, seks z Kitty był najlepszy, jaki uprawiał w życiu, a już dawno stracił rachubę co do piękności, które przeszły przez jego łóżko.

Był pełnym wigoru trzydziestoosmiolatkiem, a odkąd skończył szesnaście lat, rzadko zdarzało mu się spędzać noc bez damskiego towarzystwa. Uwielbiał kobiety i bardzo ich potrzebował. Kiedy nie pracował - a pracował naprawdę ciężko - to one oprócz polowania wypełniały mu prawie cały wolny czas. Golf, tenis czy pływanie jachtem -rozrywki cenione przez jego kolegów - zupełnie go nie pociągały. Kiedy nie uganiał się za dziką zwierzyną w jakiejś egzotycznej części świata, rozglądał się za świeżym kobiecym ciałem. Największą radość sprawiało mu samo zdobywanie wybranki, bo

mając już ją w rękach, niezmiennie zaczynał się nudzić i rozpoczynał ływy od nowa.

Wsunął rękę pomiędzy jędrne uda Kitty, a potem włożył palec głębiej. Była wilgotna i gorąca. Pragnęła go, bez wątpienia. Potwierdzała to, wydając z siebie cichutkie jęki.

Zaczął ją całować, najpierw czule i delikatnie, potem, w miarę rosnącego podniecenia, coraz bardziej namiętnie, wręcz natarczywie.

Kitty ponownie ujęła jego członek i słyszając, jak Hilton głośno wciąga powietrze, uśmiechnęła się z satysfakcją. Świadomość, że tak łatwo potrafiła go podniecić, dawała jej poczucie mocy i władzy, a właśnie to sprawiało jej największą rozkosz. Uwielbiała bowiem manipulować ludźmi, żeby osiągnąć to, czego chciała. Seks z Hiltonem sam w sobie był oczywiście przyjemny, lepszy niż z większością mężczyzn, których poznała od tej strony, jednak stanowił dla niej wyłącznie preludium do zapewniania sobie określonych korzyści.

Hilton jęknął i wiedziała, że zbliża się kolejna faza ich miłosnego aktu. Wsunął się w nią głęboko, tyle że tym razem nastąpiło to zaskakująco szybko. Na ogół, w przeciwieństwie do innych jej partnerów, nie lubił pośpiechu. Podczas długiej gry wstępnej doprowadzał ją i siebie do stanu takiego napięcia, że w końcu niemal rzucali się na siebie, by ostatecznie zaspokoić pożądanie. Tym razem wszedł w nią jednym mocnym pchnięciem. Kitty chwyciła go kurczowo za ramiona i uniosła biodra; rozkołysali się oboje w szaleńczym rytmie. W końcu porwana falą orgazmu, Kitty

zaczęła rzucać głową na boki, jej krucze włosy smagały poduszkę. Wtedy Hilton wbił się w nią jeszcze mocniej, po czym zeszywniał i z okrzykiem triumfu osiągnął szczyt.

Opadł na nią wyczerpany, z trudem chwytając powietrze. Skórę miał lśniąca i śliską od potu. Całował ją czule, jakby dziękował za to, że obdarzyła go swym wspaniałym zmysłowym ciałem. A ona leżała odprężona, zadowolona, że po raz kolejny zdołała zaspokoić tego wyjątkowego mężczyznę.

Hilton wolno przetoczył się na bok, pociągając ją za sobą.

- Było cudownie - szepnął, gładząc Kitty po ramieniu.

- Zawsze jest... cudownie... z tobą - odpowiedziała, nadal mocno zdyszana. - Jeszcze nigdy żaden mężczyzna... nie dał mi tyle rozkoszy, co ty... Nigdy.

Hilton uśmiechnął się i pocałował ją, zastanawiając się jednocześnie, czy w tym, co powiedziała, jest choć trochę prawdy. Nie wątpił w swe męskie talenty, ale większość kobiet, które znał dłużej niż kilka tygodni, chciało od niego więcej niż tylko seksu. Znacznie więcej.

Kitty jednak stanowiła dla niego zagadkę, której na razie nie potrafił rozwiązać. Był przekonany, że lubiła uprawiać z nim seks, ale czy chciała czegoś więcej? Spotykali się od pół roku - jak na niego był to długi romans z jedną kobietą - i nadal nie wiedział, czego się po niej spodziewać. Przez te sześć miesięcy o nic go nie prosiła. O nic.

Czasami sprawiała wrażenie zepsutej rozpustnicy, zajętej wyłącznie własnym ciałem, strojami, makijażem, dietą i zakupami.

Była bystra, ale jeśli nawet miała jakieś zainteresowania intelektualne, nic o nich nie wiedział.

Hilton zdawał sobie sprawę z tego, że Kitty tak naprawdę nie potrzebuje jego pieniędzy, choć nie było to wystarczającym argumentem, by sądzić, że ich nie chce. Ostatecznie są kobiety - i mężczyźni także - którym nigdy nie jest dosyć, niezależnie od tego, ile by mieli. Kitty, podobnie jak on, dorastała niemal w biedzie, obecnie jednak była dobrze zabezpieczona. Posiadała kilka milionów dolarów w bezpiecznych inwestycjach i luksusowo wyposażony apartament w pobliskim wieżowcu, dzięki krótkiemu małżeństwu i szybkiemu rozwodowi ze znacznie starszym od niej producentem filmowym, którego poznała na festiwalu filmowym w Cannes.

Hilton chciał wierzyć w to, co Kitty mu powiedziała, ponieważ ją lubił, a nawet podziwiał. Była tym, co Francuzi określają mianem *tordue*, kobietą, która o wszystko musiała walczyć. Prawdopodobnie między innymi dlatego tak go pociągała... poza tym, że miała fantastyczne ciało, ma się rozumieć.

Przytulił ją, na co odpowiedziała słodkim pocałunkiem.

- Zgłodniałaś? - zapytał. Potwierdziła, kiwając głową.

- Umieram z głodu. Wiesz, że seks zawsze tak na mnie działa.

- Na mnie tak samo - przyznał. - Willie i Boyce są na wakacjach, a kiedy ich nie ma, nikogo nie zatrudniam. Może wyjdziemy zjeść na mieście coś naprawdę dobrego? Możemy też zostać w łóżku i zamówić jedzenie tutaj.

Zastanawiała się przez chwilę.

- Chodźmy do Swifty'ego - powiedziała w końcu. - Jedzenie jest w porządku, choć nic nadzwyczajnego, a zabawnie będzie patrzeć, jak te wszystkie snoby ślinią się na nasz widok.

- Chętnie - zgodził się z uśmiechem.

Wiedział, jak bardzo Kitty lubi się chwalić swoim ciałem, ciuchami i nim. Sam raczej trzymał się w cieniu i nie dbał o to, że należy do nowojorskiej, a właściwie światowej elity - co tym bardziej przyciągało do niego towarzyskich snobów, których starał się unikać - ale był bardzo bogaty, przystojny i wolny, więc i tak padał ofiarą dziennikarzy, pisujących do plotkarskich gazet, i paparazzich.

- Wezmę prysznic - oznajmił. - Chcesz się do mnie przyłączyć?

- Lepiej skorzystam z drugiej łazienki, bo nigdy nie wyjdziemy do tej restauracji. - Postukała go znacząco palcem w pierś.

- Będę gotowy za minutkę. - Pocałował ją i skierował się do wielkiej łazienki wyłożonej marmurem, wyposażonej w złotą armaturę i kryształowe lustra.

Usłyszawszy szum wody, Kitty podniosła katalog z podłogi i odszukała interesującą ją stronę. Przyjrzała się dokładnie najpierw pierścionkowi, a potem cenie wywoławczej. W końcu z głośnym westchnieniem odłożyła katalog na stolik przy łóżku.

Spojrzała w stronę łazienki, w której zniknął Hilton. Może mi się uda namówić go na ten pierścionek, pomyślała. Z pewnością było go stać. Ale czy zechce jej go kupić? Tego już nie była pewna. Nie miała ochoty ryzykować przyszłości, jaką mógł jej zapewnić, domagając się czegoś, co mógł uznać za niepotrzebną rozrzutność. Pierścionek ze

szmaragdem - nawet jeśli należał do księżniczki Kari-my - był niczym w porównaniu z tym, co mogła zyskać, gdyby jej się udało złapać Hiltona Whiteheada na męża numer dwa.

Przez ostatnich kilka miesięcy o nic go nie prosiła. Nada. Zilch. Zero. I to jej się opłaciło, bo zasypywał ją prezentami. Cierpliwość przynosiła owoce. Teraz jednak Kitty stanęła przed prawdziwym dylematem. Pragnęła pierścionka księżniczki Karimy. Musiała go mieć.

Zsunęła się z posłania i przeszła po marmurowej posadzce do szafy, gdzie trzymała trochę ubrań na takie okazje jak dzisiejsza. Dzięki temu nie musiała wracać do swojego apartamentu, żeby się przebrać. Otworzyła szafę i błyskawicznie dokonała wyboru: sukienka od Roberto Cavallego z postrzępionym dołem. Ekstrawagancka, z ozdobnymi nadrukami i dekoltem do pasa. I rozcięciem po same majtki. Do tego obszerny czarny płaszcz. Długi do kostek, z kapturem. Odpowiedni na zimny nowojorski wieczór.

Och, ależ zrobię furorę!, pomyślała z zachwytem, faceci zaczną się ślinić, a te stare suki będą odwracać fatalnie podciągnięte twarze na pomarszczonych szyjach, żeby zobaczyć jedyną kobietę, której uda się złapać na męża najbardziej pożądanego singla w Nowym Jorku. Kitty Nguen Fleischman. Przyszła pani Hiltonowa Whitehead.

Nie liczyło się dla niej, czy małżeństwo potrwa dziesięć minut, czy dziesięć lat, zależało jej na samym ślubie. Była gotowa zdobyć Hiltona za wszelką cenę. Po to, żeby go oskubać na parę milionów dolarów i zyskać rozgłos.

Zostanę współczesną księżniczką Karimą, przysięgła sobie w duchu, wszystkie kobiety na świecie będą mi zazdrościć. Trzeba się ciężko napracować, żeby stać się legendą, ale mogę tego dokonać.

Założyła dwudziestopięciokaratowy naszyjnik z brylantami, otrzymany od Fleischmana zamiast pierścionka zaręczynowego, i przejrzała się w lustrze, wydymając powiększone kolagenem wargi.

- Oprócz tej błyskotki jest tam o wiele więcej do wzięcia - powiedziała do swego odbicia. -I zamierzam wybrać coś dla siebie.

Scandalous

R o z d z i a ł 3

Ram po raz ostatni spojrział na znajomy pierścionek ze szmaragdem, widoczny na jednym ze zdjęć w katalogu domu aukcyjnego Dufour. Zanim zamknął katalog i odłożył go na szczyt okazałej sterty podobnych wydawnictw, piętrzącej się na jego biurku, czułym gestem pogładził błyszczącą okładkę. Zupełnie bez potrzeby ułożył na wierzchu rzeźbiony przycisk do papieru w kształcie żółwia, pilnując, by znalazł się dokładnie pośrodku.

Wreszcie mogę zakończyć swoją pracę, pomyślał. Chciało mu się krzyknąć z radości. Pracę, która zaczęła się trzydzieści lat temu. Całe ciało miał napięte, szczęki go bolały od zaciskania zębów; próbując się odprężyć, odchylił głowę na oparcie antycznego, wyściełanego skórą fotela w stylu Ludwika XV. Serce mu waliło jak oszalałe. Odetchnąwszy głęboko, zdjął okulary w złoconej oprawie, schował je do etui z krokodylowej skóry i przetarł oczy.

Był zbyt podniecony, żeby usiedzieć spokojnie w miejscu, wstał więc i przeszedł po bezcennym osiemnastowiecznym dywanie aubusson do jednego z czterech okien balkonowych w swojej bibliotece. Roztaczał się z nich widok na szarą i zimną, lecz elegancką rue Elzevir, przy której mieszkał. Odsunął lekko spłowiała ciemnozieloną zasłonę obszytą bogato pasmanterią i z zadowoleniem wyjrzał na zewnątrz.

Będę miał cały Paryż u swoich stóp, pomyślał z satysfakcją, spoglądając na wytworny osiemnastowieczny hotel particulier po przeciwnej stronie ulicy. Ciężka dębową brama stała otworem,

ukazując starannie utrzymany klomb, obecnie bezlistny, pośrodku wyłożonego wapieniem dziedzińca, na którym stał błyszczący czarny bentley starego hrabiego de Sabin.

Cała śmietanka towarzyska będzie zabiegać o zaproszenia na moje przyjęcia. Nawet ten arogancki stary hrabia i jego jędzowata żona, cieszył się. Choć od wielu lat mieszkali po sąsiedzku, nigdy nie uważali za stosowne odpowiadać na jego ukłony.

Odwrócił się od okna i potoczył wzrokiem po bibliotece. Rzeźbiona boazeria na ścianach i wykonane z tego samego drewna półki z tysiącami oprawnych w złoconą skórę tomów lśniły dostojnie w świetle dwóch antycznych żyrandoli zwisających z kasetonowego sufitu. Obrazy wczesnych impresjonistów otoczone ciężkimi złoconymi ramami świadczyły nie tylko o zamożności, ale też o wysokiej kulturze i wyrobionym guście właściciela. Były tam również dwie niezłe rzeczy namalowane przez Picassa, które kupił w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Poza tym pokój niewiele się zmienił od czasu, gdy odziedziczył dom po Julesie Levancie.

Podobnie jak reszta siedemnastowiecznego Hotel particulier, ściany biblioteki oglądały wielu bogatych i sławnych oraz, co było dla Rama ważniejsze, kilku prawdziwych arystokratów.

Był rok 1980, kiedy staruszek wreszcie przeniósł się na tamten świat - nie bez pewnej zachęty - zostawiając wszystkie swe ziemskie dobra wychowankowi. W następnych latach, już jako właściciel wspaniałego domu i szacownej firmy jubilerskiej Julesa Levanta, Ram

przekonał się jednak, że mimo swej nieco mrocznej urody, doskonałego gustu, zasobnego portfela i znaczącej pozycji nadal uważany jest przez swych głównych błękitnokrwistych klientów za kogoś w rodzaju służącego.

Zaopatrywał ich w najpiękniejszą biżuterię, z kamieniami niedostępnymi gdzie indziej i oprawami o niezrównanych wzorach i wykonaniu. Nosili jego klejnoty na balach i przyjęciach w swoich rezydencjach i pałacach, w luksusowych nadmorskich lub górskich letnich domach, w chatach narciarskich i na jachtach oraz w nielicznych pensjonatach godnych ich obecności. W zamian dawali mu niewiele poza swymi pieniędzmi. I choć były to całkiem duże pieniądze, Ram pragnął czegoś więcej.

Prawie nigdy nie zapraszano go na przyjęcia. Ludzie tacy jak Rothschild, Bourbon, d'Orlean czy Habsburg korzystali z jego gościnności, nigdy się nie rewanżując. Nie mówiąc już o mniej utytułowanych, choć często bogatszych członkach międzynarodowej elity, którzy bywali w jego sklepie i domu, ale nie poczuli się do podtrzymywania znajomości. Mimo że posiadał fortunę, wspaniały dom w Paryżu, willę na Lazurowym Wybrzeżu, gromadę służących, rolls-royce'a z szoferem, ferrari i wszystkie inne atrybuty arystokratycznego stylu życia, nie uważali go za jednego ze swoich.

Wzorem Levanta skupował dyskretnie biżuterię od zubożałych właścicieli, oferując uczciwą cenę za ich skarby, a także pożyczal gotówkę tym, którzy znaleźli się w chwilowej potrzebie, przetrzymując zastawione przez nich rzeczy do czasu, aż byli w stanie

je wykupić. Z początku sądził, że tego rodzaju przysługi zaskarbią mu wdzięczność klientów, ale szybko odkrył, że często bywało wręcz przeciwnie. Wielu z tych, którym pomógł, żywiło do niego niechęć, ponieważ był świadkiem ich finansowych niedostatków.

To miało się w końcu zmienić. Ostatni fragment układanki, którego tak potrzebował, wreszcie znalazł się w zasięgu jego ręki, a wraz z nim setki milionów dolarów.

Miał się stać bogatszy od większości tych, którzy nim pogardzali. Wiedział, że ci, którzy stali się jego obsesją, teraz nie będą go już mogli dłużej ignorować. Stanie się jednym z nich. A przepustkę do ich świata mogło mu dać tylko jedno, ważniejsze w obecnych czasach od błękitnej krwi: wielkie pieniądze.

Wiedział, że dla innych uczestników aukcji szmaragd będzie tylko kolejną błyskotką. Kosztowną błyskotką, rzecz jasna, ale jej wartość dla każdego innego potencjalnego kupca była nieznaczną w porównaniu z tym, co on mógł zyskać, nabywając ten kamień.

Pierścionek będzie mój, przysiągł sobie. Niezależnie od ceny. Niezależnie od przebiegu licytacji. Nikt inny go nie dostanie. Nikt.

Podszedł do biurka i jeszcze raz wziął do ręki katalog. Przewertowawszy szybko kartki, odnalazł właściwe zdjęcie i przez chwilę się w nie wpatrywał.

Dziękuję ci, księżniczko Karimo, pomyślał z uśmiechem. I dzięki twojemu Allahowi, że nie musiałem cię zamordować, żeby zdobyć ten szmaragd. *Allach akbar!* Prychnął pogardliwie. O tak, *Allach akbar!*

Odłożył katalog z powrotem na miejsce i jak poprzednio przycisnął malachitowym żółwiem. Usiadł przy biurku, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. Przypomniał sobie dzień, kiedy księżniczka Karima i słynny włoski przemysłowiec Stefano Donati przyszli do Julesa Levanta Joailliera i kupili ten pierścionek. Wspomnienie było zdumiewająco żywe.

To była wczesna wiosna, akurat odbywały się pokazy nowej kolekcji i zdjęcie księżniczki pojawiało się niemal codziennie w gazetach. Zawsze siedziała w pierwszym rzędzie - podobnie jak anielsko cierpliwa żona przemysłowca - ponieważ należała do nielicznych kobiet na świecie, które stać na stroje z kolekcji haute couture, i wydawała setki tysięcy dolarów rocznie na swoją garderobę.

Donati najwyraźniej był w niej szaleńczo zakochany i niedawno sprezentował jej wspaniałą rezydencję urządzoną przez Renzo Mongiardino, najslawniejszego na świecie architekta wnętrz. Cały Paryż mówił tylko o tym.

Kiedy para zjawiała się w sklepie, Ram wysłał swego asystenta do skarbcza, a sam wyjął księgę z fotografiami biżuterii, którą trzymał dla specjalnych klientów. Nie każdemu pokazywał te zdjęcia, nie mówiąc już o samych klejnotach. W istocie bardzo niewiele osób widziało jego największe skarby. A jeśli chodzi o szmaragdy, lista szczęśliwców, którzy mogli je obejrzeć, była jeszcze krótsza. Chciał znać - musiał znać - potencjalnego kupującego, by mieć pewność, że będzie w stanie wyśledzić losy klejnotów w przyszłości. Kiedy pokazał ostatni szmaragd ukryty w schowku, ów pierścionek,

księżniczce Karimie i Donatiemu, oboje wpadli w zachwyty nad urodą ciemnozielonego kamienia, mimo jego drobnej skazy.

Po dokonaniu transakcji księżniczka zaprosiła go do swojego nowego domu na koktajl, co uznał za swój towarzyski triumf. Poszedł tam z nadzieją, że pozna bliżej znakomitą parę i zyska dostęp do ich wytwornego świata. Ostatecznie łączyło go z księżniczką arabskie pochodzenie, chociaż w jej żyłach płynęła królewska krew, widział więc przed sobą szansę na zbliżenie się do najpopularniejszej pary w Europie. Nie przypuszczał, że ta kobieta wykorzysta okazję, by wypytać go o algierskie korzenie, a potem potraktuje w obecności Donatego jak najpośledniejszego ze służących. Poza wielką urodą odznaczała się też niepospolitą inteligencją i ciętym dowcipem, co sprawiło, że moment, gdy został przez nią ośmieszony, był jednym z najgorszych doświadczeń w życiu Rama.

Wspomnienie nadal sprawiało mu ból niczym świeża rana, lecz mimo to Ram uśmiechnął się pod nosem. Ironia losu sprawiła, że mógł odzyskać szmaragd, ponieważ legendarna islamska nierządnicą - bo tak większość muzułmanów postrzegala cudzołożną księżniczkę - postanowiła poświęcić resztę życia sprawom duchowym. Co więcej, miał zamiar zadbać o to, by Karima się dowiedziała, kto kupił pierścionek. Wiedział, że poczuje się poniżona i wpadnie w furję.

Podniósł się zza biurka. Na złoconej konsoli z marmurowym blatem służącej jako barek stała butelka armaniaku. Ram nalał sobie kieliszek trunku, a potem zapalił holenderską cygaretkę. Przejrzał się w lustrze Ludwika XVI wiszącym nad konsolą. Czarne włosy

posiwały mu leciutko na skroniach, ale uważał, że to tylko dodaje mu dostojeństwa. Oliwkowa skóra nosiła jedynie nieznaczne oznaki upływających lat, ciemne oczy miały młodzieńczy blask, a wygimnastykowane ciało zachowało sprężystą muskulaturę, widoczną nawet pod szytym na miarę garniturem. Przez dłuższą chwilę Ram przyglądał się z upodobaniem swemu obiciu, po czym z powrotem usiadł przy biurku. Pomyślał o zmianach, jakie wkrótce miały zajść w jego życiu, a potem cofnął się myślami do innej transakcji dotyczącej szmaragdów i późniejszego odzyskiwania słynnych kamieni.

Broszka pierwsza znalazła nabywcę. Costas Stephanides, nieprzyzwoicie bogaty Grek, był stałym klientem ich sklepu. Kiedy wzywał Levanta do Aten czy na którąś ze swych wysp na Morzu Egejskim, starszek wsiadał na pokład jednego z prywatnych odrzutowców milionera, zabierając ze sobą zestaw najpiękniejszych klejnotów, żeby magnat mógł je osobiście obejrzeć. Jednego razu Jules był akurat chory i wysłał w zastępstwie Rama, który wziął ze sobą wszystkie na nowo opracowane szmaragdy. Odrzutowiec wylądował na Mykonos, skąd specjalnie przysłany land-rover zawiózł Rama do posiadłości Stephanidesa położonej na szczycie wzgórza niedaleko Aghios Stephanos. Tam właśnie, w domu z widokiem na prawie całe Mykonos i pięć innych pobliskich wysp, Costas i jego kochanka, aktorka Marina Koutsoukou, wybrali trzy z zaprezentowanych im wyrobów, między innymi szmaragdową broszkę.

- Będę ją przypinać do moich turbanów - powiedziała zalotnie aktorka, wodząc ciemnymi oczyma po ciele Rama, mimo obecności kochanka.

Po śmierci Stephanidesa, która nastąpiła trzy lata później, wybuchła bezprzykładna batalia o prawo do jego posiadłości i broszka trafiła na aukcję domu Christie's jako „własność pewnej damy”. Temperamentna aktorka rozpaczliwie potrzebowała gotówki, żeby zapłacić prawnikom, ale nie chciała, by ktokolwiek się dowiedział, w jak dramatycznej sytuacji się znalazła. Dlatego klejnot został wystawiony anonimowo. Ram oczywiście wylicytował najwyższą stawkę i ukrył broszkę w skarbcu, gdzie nadal pozostawała.

Bransoletę kupił pewien argentyński generał dla swojej pięknej żony Dorisity.

- Ma ten sam odcień zieleni, co moja nowa wieczorowa suknia od Givenchy - ucieszyła się ta płomiennowłosa dama.

Niestety, bransoletka trafiła do jej rąk tylko na niecałe dwa lata. Dyktatura, w której jej mąż odgrywał ważną rolę, została obalona przez kolejną juntę, a generał z Dorisitą ledwie zdołali uciec do swojego podniebnego apartamentu przy Brickell Avenue w Miami. Nowe miejsce zamieszkania, choć luksusowe, nie umywało się do ich barokowej rezydencji w Buenos Aires, czy wiejskiej posiadłości o powierzchni stu osiemdziesięciu tysięcy akrów, gdzie hodowali bydło i specjalną rasę koni do gry w polo. Ale przynajmniej zachowali życie, w przeciwieństwie do tysięcy ofiar generała, których krew przelał w swojej ojczyźnie. Uciekinierom brakowało jednak

pieniędzy, więc generał skontaktował się z domem Sotheby's i wystawił bransoletę na aukcję. W tym wypadku także konieczna była dyskrecja, więc bransoleta została sprzedana jako „własność pewnej damy”, tak samo jak broszka w Christie's. Zawsze czujny Ram natychmiast rozpoznał klejnot, kupił go i umieścił w skarbcu razem z broszką.

Otrząsnąwszy się z rozmyślań, zgasił teraz cygaretkę w malachitowej popielniczce na biurku i pociągnął łyk armaniaku, rozkoszując się jego wyraźnym, rozgrzewającym smakiem. Już po chwili przyjemne ciepło rozeszło się po całym jego ciele, wprawiając go w doskonały nastrój.

Muszę to uczcić, pomyślał, tak, zapamiętam ten dzień jako bardzo wyjątkowy.

Odstawił kryształowy kieliszek, wziął do ręki oprawiony w skórę aligatora notes od Hermesa i otworzył go na literze G. Odnalazł nazwisko i numer. Denise Gerard. Postanowił zadzwonić do niej i umówić się na wieczór. Może najpierw zjedzą lekką kolację, a potem zabierze ją do maleńkiego mieszkania na czwartym piętrze bez windy przy rue des Rosiers, które zachował przez cały ten czas. Do tego samego mieszkania w sercu żydowskiej dzielnicy, wynajętego dlań przez Levantów.

Mógł ją zabrać tam lub gdziekolwiek indziej. Była piękna, wykształcona i umiała się zachować. Jednak tego wieczoru wołał z nią pójść na rue des Rosiers. Dając jej odpowiednie prochy, mógł ją nakłonić do wielu różnych rzeczy, a do tych celów dawne mieszkanie

nadawało się znakomicie, przede wszystkim dlatego, że dominujący pośród sąsiadów geje nie zadawali żadnych pytań. Wziął do ręki telefon i wybrał numer.

Mimo że przyciągał płęć piękną, nie zależało mu na stałym związku. Niezależnie od tego, jak piękne lub bogate były kobiety, z którymi miał do czynienia, zawsze kończył znajomość szybko i bezceremonialnie. Nie chciał niepotrzebnych komplikacji, jakie nieuchronnie wynikały z bliższej zażyłości. Uważał, że wynajęcie odpowiedniej partnerki, kiedy miał na to ochotę, jest znacznie bardziej praktyczne.

Denise odezwała się po drugiej stronie linii.

- *Bonjour*. - Głos miała jakby lekko zdyszany.

- Chcę się z tobą spotkać dziś wieczorem - powiedział Ram.

- Och, to ty... Ja... oczywiście. O której?

Usłyszał, że się zawahała. To, że najwyraźniej szybko zmieniła zdanie, trochę go rozbawiło. Pieniądze zawsze miały dużą siłę przekonywania.

- O ósmej. Pójdziemy na małą kolację.

- Dokąd? - spytała. - Jak mam się ubrać?

- Zwyczajnie - odpowiedział. - Mam ochotę na proste barowe jedzenie.

- Dobrze. - Wyczuł w jej głosie rozczarowanie.

- No to do zobaczenia.

- Cześć.

Odłożył słuchawkę i, rozparty w fotelu, uśmiechnął się z zadowoleniem. Czekala go przyjemna noc z prostytutką. Wiedział, że potem przez jakiś czas nie będzie chciała go widzieć, ale w końcu wróci, przyciągana pieniędzmi i narkotykami. I znów pozwoli mu robić, co tylko zechce. Czując znajome napięcie, wypił resztę armaniaku i powoli odstawił kieliszek. Wszystko, pomyślał; wszystko, co tylko zechcę.

Scandalous

R o z d z i a ł 4

Allegra opadła na pluszową kanapę, zmęczona i zadyszana. Rozwiązała atłasowe wstążki na kostkach i zsunęła z nóg pantofelki na wysokiej szpilce. Napiała się szampana, jednocześnie poruszając palcami u stóp i pocierając piętami o gruby dywan. No, już lepiej, westchnęła w duchu, odstawiając kieliszek. Jej czarne szpilki może były piękne, ale nie nadawały się do tańca. W każdym razie nie z Toddem, dodała w myślach rozbawiona. Prawie zapomniała już, jakim jest niestrudzonym tancerzem, a tego wieczoru dosłownie przeszedł samego siebie, nie odpuszczając ani jednego kawałka. Allegra w końcu musiała zrobić sobie przerwę.

Didżej tak się starał, że spędzili na parkiecie co najmniej pół godziny albo nawet czterdzieści minut. Straciła rachubę czasu, ale zaczęły ją boleć nogi. I marzyła o szklance zimnej wody. Spojrzała w stronę, gdzie zostawiła Todda szalejącego z Candie Gundersen, ale ich nie dostrzegła.

Dzięki Bogu, że ją spotkaliśmy, pomyślała. Młoda blond piękność o wzroście około metra dziewięćdziesięciu, którą oboje trochę znali, była zagorzałą wielbicielką sztuki i klubowego życia.

Allegra dopiła resztkę szampana i z powrotem włożyła niewygodne szpilki. Wstała i zaczęła się przeciskać przez oddzielający ją od baru tłum ludzi, którzy albo gapili się na parkiet, albo rozmawiali w małych grupkach. Nie mam pojęcia, jak mogą się nawzajem słyszeć, pomyślała. Muzyka jej się podobała, ale była

ogłuszająco głośna. Allegra wykorzystywała każdą lukę, żeby się zbliżyć do widocznego w oddali ogromnego baru, także mocno obleganego.

Tego rodzaju niedogodności zwykle ją zniechęcały, ale tego wieczoru przeciwnie, cieszyła się, że jest między ludźmi, z dala od swojej pracowni.

- *Scusi* - powiedział jakiś niesamowicie wysoki młody mężczyzna, niechcący szturchnąwszy ją w bok. Głos miał donośny i do tego podniesiony, więc usłyszała go mimo hałasu.

Spojrzała na niego: był bardzo przystojny i mocno opalony, miał długie ciemne włosy szesane gładko do tyłu, wesołe ciemne oczy i mocno zarysowaną szczękę.

- Nie szkodzi - odpowiedziała z uśmiechem, również podnosząc głos.

Zmarszczył czoło, jak gdyby się namyślając.

- Czy ja cię przypadkiem nie znam? - Uśmiechnął się szeroko, ukazując śnieżnobiałe zęby. - Tak, jasne. To było w Positano, zeszłego lata, prawda?

Allegra pokręciła głową. Ileż razy słyszała tę lub podobną zaczepkę?

- Nie. Prawda jest taka, że nigdy nie byłam w Positano.

- W takim razie w Saint Moritz. - Nie zamierzał łatwo ustąpić. - Ostatniej zimy. Tak. W klubie Corvigla.

- Muszę cię rozczarować, ale tam też nie byłam. A teraz przepraszam, chciałabym się napić wody.

Skrzywił się, przesadnie udając rozczarowanie.

- Nie, nie. Pozwól, że ci pomogę.

- Nie ma takiej potrzeby - zaproponowała Allegra.

- Nalegam. Popatrz tylko. - Wskazał na obleżony bar. - Jestem tu stałym bywalcem. Znają mnie dobrze, więc zaoszczędzę ci czasu. - Spojrzał na nią proszącym wzrokiem.

Dlaczego nie?, zadała sobie w duchu pytanie. Musiała przyznać, że jest niezwykle przystojny i do tego miły.

- Dobrze - odpowiedziała w końcu. - Czemu nie.

- Chodź ze mną. - Położył jej delikatnie dłoń na ramieniu. - A tak przy okazji, jestem Carlo. Carlo d'Annunzio.

- Allegra - rzuciła, podążając za nim w stronę baru. Obejrzał się z uśmiechem.

- O, ty też jesteś Włoszką? Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie. Przykro mi, że znów cię muszę rozczarować, ale mojej matce po prostu spodobało się to imię.

- Rozumiem - mruknął. - Więc jesteś Allegra. To wszystko? Spojrzała na niego pytająco.

- Nie masz nazwiska? W porządku. Rozumiem. W końcu mogę być seryjnym zabójcą.

- Sheridan - uzupełniła grzecznie.

- Zostań tu i nie ruszaj się, Allegro Sheridan - polecił, wskazując palcem miejsce, gdzie stali. - Zaraz przyniosę ci wody. - Zaczął się przepychać przez tłum, przepraszając raz po raz i równocześnie machając uniesioną ręką do najbliższego barmana.

Allegra rozejrzała się po parkiecie, ale nie dostrzegła nigdzie Todda ani Candie. Odwróciła się, czując czyjaś dłoń na ramieniu. Carlo już zdążył wrócić.

- *Mademoiselle* - odezwał się z galanterią i z uśmiechem wręczył jej szklankę lodowatej wody. - A może *madame*?

- *Mademoiselle*. Szybko się uwiñałeś. Bardzo dziękuję.

- Drobiazg. - Carlo wzruszył ramionami. - Mówiłem ci, że mnie znają. No to na zdrowie. - Uniósł kieliszek z jakimś różowym płynem. Stuknęli się lekko.

- A ty co pijesz?

- Szampana - wyjaśnił. - Z małym dodatkiem campari. Chcesz spróbować?

- Nie, dzięki. Woda mi w zupełności wystarczy. Długo tańczyłam.

- No jasne. Jestem pewien, że każdy wolny facet prosił cię do tańca.

- Miło, że tak sądzisz, ale prawdę mówiąc, nikt nie miał szans - odpowiedziała. - Cały czas tańczyłam z moim przyjacielem.

- A gdzie teraz jest ten twój przyjaciel? - zainteresował się Carlo.

- Tańczy z kimś innym.

- Zostawił cię? - Uniósł brwi w udawanym zaskoczeniu. - Nie mogę uwierzyć, że mógłby opuścić tak piękną kobietę jak ty, w takim klubie, gdzie wszyscy faceci tylko czekają na okazję.

Allegra parsknęła śmiechem.

- Przesadzasz.

- Co masz na myśli? - spytał tonem niewiniątka.

- Doskonale wiesz, co mam na myśli - odparła. - Ty... - Urwała, czując lekkie klepięcie w plecy. Odwróciła się, przekonana, że zobaczy Todda. - Sylvie! - wykrzyknęła zaskoczona.

Sylvie Javelle cmoknęła powietrze po obu stronach jej policzków.

- Nie wierz w ani jedno jego słowo, bo Carlo jest strasznym kobieciarzem - ostrzegła. Allegra zauważyła, że Sylvie ma na sobie kreację od Chanel.

- Ach, Sylvie, chérie, jak możesz? - obruszył się d'Annunzio, wyciągając ręce, żeby się z nią przywitać. Odwzajemniła uścisk, dodając kilka całusów na udobruchanie.

- Wiesz przecież, że tylko żartuję - powiedziała ze śmiechem. - Tak się cieszę, że widzę was oboje.

- To znaczy, że się znacie - bardziej stwierdziła, niż spytała Allegra.

Sylvie uniosła starannie podskubane brwi.

- Można tak powiedzieć.

- Trochę - potwierdził Carlo, wzruszając ramionami.

- Allegro, próbowałam cię złapać przez telefon. Odebrałaś moją wiadomość?

- Nie. Ale nie odsłuchiwałam sekretarki.

- Musimy porozmawiać - oznajmiła Sylvie poważnie.

- O co chodzi?

- Hmmm, nie teraz - syknęła jej znajoma, rozglądając się na boki, jakby wypatrywała podsłuchujących szpiegów. - Później. W cztery oczy.

- Nie masz nic do picia - zauważył Carlo. - Na co miałabyś ochotę, Sylvie? Czy może zażyłaś mnóstwo lekarstw?

- Och, Carlo, jesteś naprawdę zabawny - powiedziała, spoglądając na niego figlarnie. - Ale też kochany. Napiję się kosmopolitana.

- Wrócę za minutkę.

- Dzięki, kochany. - Odprowadziła go wzrokiem. - Ładny kawałek męskiego ciała, co? - zwróciła się do Allegrы.

- Jest bardzo przystojny - zgodziła się ta. - I wie o tym.

- O, tak. - Sylvie pokiwała głową. - Masz rację, ale... nie jest z nim aż tak źle.

- Kim on jest? - spytała Allegra.

- Jest związany z pewną firmą inwestorską w centrum - wyjaśniła Sylvie. - Pochodzi z bardzo dobrej rodziny z Turynu.

- Ty znasz wszystkich - stwierdziła Allegra ze śmiechem.

- Jeśli nawet ja nie znam, to ty na pewno - odwzajemniła się Sylvie. - A gdzie Todd? Czyżby wyjechał?

- Tańczy z Candie Gundersen. A przynajmniej tańczył z nią, kiedy go ostatnio widziałam.

- A, z tą tyczką. A jak się układa między wami?

- Och, Sylvie, Bóg jeden wie - zbyła ją Allegra. - A ty? Z kim teraz jesteś?

- Z Jean-Pierre'em - powiedziała ze wzruszeniem ramion, jakby ten temat ją nudził.

- Więc jesteście razem na poważnie?

- Ależ skąd! - wykrzyknęła Sylvie. - To niemożliwe. Jean-Pierre nie potrafi zachowywać się poważnie nawet przez pięć minut.

Prawdopodobnie w tej chwili pieprzy się z kimś w toalecie.

Allegra omal nie zakrztusiła się wodą.

- I ty tak lekko o tym mówisz? - zdumiała się.

- Inaczej jak miałabym z nim wytrzymać? - odpowiedziała pytaniem na pytanie Sylvie. Dostrzegła Carla zbliżającego się z jej drinkiem.

- Bardzo proszę. Twój kosmopolita. - Podał jej kieliszek.

- Merci, Carlo. Ratusz mi życie.

- I kolejna szklanka wody dla *mademoiselle* - zwrócił się do Allegry.

- Nie trzeba było, ale dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Jean-Pierre też tu jest? - skierował pytanie do Sylvie.

- Owszem. Gdzieś tu jest.

- Chyba się za nim rozejrzę - postanowił Carlo. - Ale nie martwcie się, zaraz wrócę. - Mrugnął porozumiewawczo i odszedł.

Obie roześmiały się zgodnie.

- Jest taki zwariowany - powiedziała Sylvie z sympatią. - Ale zabawny. - Podniosła kieliszek do ust.

- Rozumiem, że on i Jean-Pierre są przyjaciółmi?

- Owszem - potwierdziła Sylvie. - Znają się od lat. Chodzili razem do szkoły w Szwajcarii.

- Jestem chyba jedyną osobą w Nowym Jorku, która nie chodziła do szkoły w Szwajcarii - stwierdziła Allegra.

Sylvie wykonała niedbały ruch dłonią.

- A kogo obchodzą takie rzeczy, chérie? Teraz to bez znaczenia.

- Rozejrzała się, a potem nachyliła głowę ku Allegrze. - Możemy teraz pogadać? Jeśli tak, to chodźmy w jakieś miejsce, gdzie nie będziemy musiały krzyczeć.

- Jasne, czemu nie? - Była ciekawa, co Sylvie ma jej do powiedzenia. Poznały się przed kilku laty; przedstawił je sobie wspólny znajomy. Sylvie kupiła od niej wtedy coś z biżuterii - był to pierwszy z wielu zakupów - i od tamtej pory pozostawały w przyjacielskich stosunkach. Nigdy jednak nie zbliżyły się na tyle, by powierzać sobie nawzajem większe sekrety.

- Świetnie - ucieszyła się Sylvie. - W takim razie chodźmy na górę. - Ruszyła przodem w stronę schodów.

Kiedy już usiadły w słabo oświetlonym, pustym kącie, Allegra odezwała się pierwsza:

- No dobrze, o co chodzi? Sylvie nachyliła się do jej ucha.

- Przysięgasz, że nie powiesz o tym nikomu? Jasono-wi? Nawet Toddowi?

Allegra popatrzyła na nią ze zdziwieniem, ale pokiwała głową.

- Obiecuję. - Ze śmiechem przycisnęła dłoń do serca. Sylvie nie podzielała jej rozbawienia.

- To poważna sprawa i musi pozostać w tajemnicy, Allegra. -
Zniżyła głos do szeptu. - Chodzi o mojego szefa, Hiltona Whiteheada.

- Hiltona... Whiteheada - powtórzyła wolno Allegra. Nazwisko wzbudziło w niej ciekawość. Wiedziała, oczywiście, że Sylvie pracuje u tego miliardera z branży elektronicznej, ale wiedziała też, że jej znajoma nigdy z nikim nie rozmawiała o interesach i prywatnym życiu swego pracodawcy. Whitehead starał się pozostać w cieniu i zatrudniając Sylvie, kazał jej podpisać dziesięciostronicowe zobowiązanie do zachowania pełnej dyskrecji.

Teraz przysunęła się jeszcze bliżej i dodatkowo osłoniła dłonią ucho Allegrzy.

- Ma dla ciebie propozycję - wyszeptała - i chce się z tobą spotkać jutro rano.

- Propozycję? - zdziwiła się. - Dla mnie? Przecież ja go nawet nie znam, Sylvie.

- Zgadza się - odrzekła koleżanka. - Ale on o tobie wie wszystko. Parę razy wypytywał mnie o broszkę, którą dla mnie zrobiłaś. Wiesz, tę, która wygląda jak grudka kawioru.

-Pamiętam... - Allegra z sentymentem pomyślała o broszce wykonanej z setek maleńkich szarych perełek. -

I co z tego?

- Powiedziałam mu, że wiesz wszystko na temat biżuterii - wyjaśniła Sylvie. - O tym, że jesteś również gemo-logiem i w ogóle. Nie tylko projektantką.

-No i...?

- Chce z tobą o czymś porozmawiać.

- Ale o czym? - Allegrę zaczynały drażnić niejasne wyjaśnienia Sylvie. - Jeśli chce, żeby mu zaprojektować i zrobić jakiś wzór, dlaczego po prostu nie przyjdzie do studia i nie złoży zamówienia?

- Nie wolno mi o tym rozmawiać - ucięła tamta. - Musisz przyjść do biura i sama z nim to omówić.

Allegra parsknęła nerwowym śmiechem.

- Ale dlaczego? Nie rozumiem. Nawet bogaci ludzie przychodzą do studia.

Sylvie potrząsnęła głową.

- Nie, nie, *cherie* - wyszeptała. - Nie może tego zrobić. Sprawa jest zbyt poufna. Przyjdź jutro rano, około jedenastej. Wszystko ci wtedy wytłumaczy,

Allegra spojrzała na nią podejrzliwie, ale w końcu wyraziła zgodę.

- Dobrze - powiedziała. - Przyjdę, choć sama nie wiem, czemu się na to zgadzam.

Sylvie ucisnęła ją, nie kryjąc radości.

- Fantastycznie. No to widzimy się o jedenastej. - Wyjęła z torebki wizytówkę z grubego czerpanego papieru. - Tu jest adres.

- Okay. - Allegra schowała kartonik do torebki.

- Pamiętaj. Nikomu ani słowa - przypomniała jej Sylvie, podnosząc się z miejsca. - Spróbuję odszukać Jean-Pierre'a. Idziesz jeszcze na dół się bawić?

- Tak - odpowiedziała Allegra, również wstając. - I rozejrzę się za Toddem. - Nie była pewna, czy będzie w stanie skupić się na zabawie, dopóki się nie dowie, czego może chcieć od niej miliarder Hilton Whitehead.

- Może się napijemy przed snem, dziecinko? - zaproponował Todd.

- Nie sądzisz, że oboje wypiliśmy już dosyć? - zachichotała Allegra. W końcu udało jej się trafić kluczem do dziurki i otworzyć drzwi wejściowe.

- Och, daj spokój. Przecież mnie znasz. - Objął ją od tyłu i zaczął całować po szyi. - Noc jest jeszcze młoda, Ally.

- Dochodzi trzecia rano, Todd - przypomniała mu. - A jutro o jedenastej mam spotkanie na Upper East Side - dodała, ale jej ton zdradzał, że jest skłonna się poddać.

- To ci nigdy nie przeszkadzało. - Przycisnął ją mocno do siebie. - Poza tym do jedenastej jest jeszcze bardzo daleko.

Wcisnęła guzik windy.

- No dobrze - powiedziała, odwracając się do niego twarzą. - Ale tylko po jednym kieliszku. - Uniosła palec, jakby mu chciała pogrozić.

- Obiecuję. - Ucałował palec i zajrzał jej w oczy. - Tylko po jednym.

Allegra leżała wyciągnięta na kanapie w salonie. Todd pozapalał świece i włączył spokojną muzykę. I nalał drugą kolejkę stolicznej z lodem.

- Dobrze się bawiłaś? - spytał, gładząc ją po włosach.

- Uhm. Bardzo dobrze. Wiem, że ty też. Z Candie. Ona jest taka sama jak ty. Jak już zaczniesz tańczyć, to nie może przestać.

- Jesteś zazdrosna?

- O ciebie i Candie? Czemu miałabym być?

- Jeśli jesteś, to niepotrzebnie - zapewnił. - Widziałem, że rozmawiałaś z tym włoskim ogierem.

- Z kim?

- Nie udawaj. Doskonale wiesz, kogo mam na myśli. Z Carlem d'Annunzio. Widziałem was razem.

- Taaak...?

- Jasne. A wszyscy wiedzą, jaki z niego podrywacz. Allegra się roześmiała.

- Przyniósł mi tylko szklanek wody. Nie spędziłam z nim połowy wieczoru na parkiecie jak ty z Candie.

- Świetnie się bawiliśmy - powiedział tonem przechwałki. - Zwłaszcza przy wolnych kawałkach. Wiesz, te przytulanki...

- Jeśli chcesz, żebym była zazdrosna, to szkoda fatygi - odrzekła spokojnie. - Poza tym, czy ona przypadkiem nie jest lesbijką?

- No tak, ale chyba jej się podobam - próbował się droczyć.

Allegra chwyciła jego dłoń, udając, że zamierza go ugryźć.

- Tobie naprawdę się wydaje, że jesteś bożyszczem kobiet, co?

- Nic o tym nie wiem, ale jest jedna kobieta, którą chciałbym uszczęśliwić. - Nachylił się i pocałował ją w czoło. Nie zaprotestowała, więc zaczął muskać wargami jej policzki, nos i usta,

jednocześnie gładząc ją delikatnie po ramieniu. - Kocham cię, Ally - szepnął.

Te słowa, wypowiedziane z przekonaniem i czułością, chwyciły ją za serce. Rozgrzana alkoholem i pieścizotami, nie pozostała obojętna. Chociaż nadal nie była pewna intencji Todda, poczuła, że go pragnie. Odszukała ustami jego usta, wsunęła mu palce we włosy. Z radością odwzajemnił pocałunek.

- Może byśmy ułożyli się wygodniej? - zaproponował.

- Uhm... - Podniosła się wolno i z kieliszkiem w ręku ruszyła w stronę sypialni. Todd zabrał swojego drinka i świece i poszedł za Allegrą.

Znów zaczęli się całować, gorąco i namiętnie. Wtulając się w jego mocne objęcia, czuła, jak narasta w niej pożądanie.

- Rozbierzmy się - padła kolejna propozycja.

Allegra bez słowa pokiwała głową. Przytrzymała uniesione włosy, żeby Todd mógł rozpiąć suwak z tyłu. Powoli rozpinał zamek, przesuwając wargami jego śladem, całując ją coraz niżej po plecach. Potem zsunął jej sukienkę z ramion i patrzył, jak miękki materiał ześlizguje się na podłogę i opada wokół jej stóp. Kiedy sięgnęła do zapięcia stanika, powstrzymał ją ruchem dłoni.

- Daj, ja to zrobię. - Rozpiął haftkę i odrzucił stanik na krzesło, nie odrywając oczu od nagich piersi Allegry.

Stała przed nim w samych rajstopach i czarnym diamentowym naszyjniku; w świetle świec jej skóra miała aksamitny połysk, a kamienie na szyi migotały uwodzicielsko. Todd przyklęknął i obiema

rękami zaczął jej zsuwać rajstopy. Przysunąwszy twarz do brzucha Allegrы, dotknął językiem jej pępka, a potem przesunął się niżej, do wzgórnka między udami.

Kiedy odnalazł to najwrażliwsze miejsce, głośno wciągnęła powietrze; przebiegł ją dreszcz.

- Och... - jęknęła z rozkoszy. - Todd, ja zaraz... Oderwał się od niej gwałtownie i wstał. Szybko zrzucił

z siebie ubranie, podczas gdy ona przyglądała się z upodobaniem, jak mięśnie drgały mu pod skórą przy każdym ruchu. Miał proporcjonalną budowę: szeroki tors, wąskie biodra i długie nogi. Wyglądał niczym wspaniały grecki posąg i za każdym razem robiło to na niej duże wrażenie.

Zostawiając swoje rzeczy porzucone niedbale wokół, wyciągnął ku niej obie ręce i dotknął jej piersi, delikatnie, niemal z czcią. Gładził je, jak zawsze zachwycony ich sprężystością, drażnił stwardniałe brodawki. Allegra na moment wstrzymała oddech, a potem położyła dłoń na jego członku. Todd wydał z siebie stłumiony jęk i przywarł do jej nagiego ciała.

Całowali się namiętnie, wręcz łapczywie. Allegra czuła twardą gotowość Todda, chłoneła jego męski zapach, niepowtarzalny, zawsze dla niej podniecający. Zapomniała już prawie, jak cudowne są takie doznania i zadawała sobie w duchu pytanie, dlaczego tak długo odmawiała sobie tej przyjemności.

Poprowadził ją do łóżka. Położyła się, gotowa natychmiast go przyjąć. Todd pochylił się nad nią, ale choć i on nie mógł się doczekać

spełnienia, nie zamierzał się śpieszyć. Chciał, by Allegra doceniła jego starania i przekonała się w końcu, jak bardzo jest jej oddany.

Objęła go za szyję tak mocno, jakby nigdy nie miała puścić. Poza czysto zmysłową przyjemnością, czuła radość z ich bliskości, z tego, że tak bardzo jej pragnął. Wszystko to razem wprawiało ją w stan miłego uniesienia.

Zaczął się w niej wolno poruszać, jednocześnie błędząc ustami po jej twarzy i szyi. Stopniowo jego ruchy stawały się coraz szybsze, oddech coraz krótszy, coraz bardziej chrapliwy.

Dopasowała się do rytmu narzuconego przez Todda, unosząc biodra i wychodząc naprzeciw każdemu pchnięciu. I nagle jakby coś się w niej otwarło. Porwana falą rozkoszy, niepowstrzymaną, potężniejszą niż kiedykolwiek, wydała z siebie głośny okrzyk.

Todd nie był w stanie dłużej się powstrzymać. Napięty jak struna, wbił się w nią głęboko i przelał w jej łono całą swą męską moc.

Opadł na nią bez tchu, ciężki, mokry od potu. Dopiero po dłuższej chwili, gdy trochę doszedł do siebie, powiedział:

- Kocham cię, Ally, kocham, kocham... - Wciąż jeszcze zdyszany, zaczął muskać lekkimi, czułymi pocałunkami jej twarz, uszy i szyję.

- Mmmm... Cudownie mi z tobą, Todd - wymruczała. Przytuliła się doń, gładząc go leniwie po plecach. Nie potrafiła mu powiedzieć nic więcej... przynajmniej na razie. Z żadnym mężczyzną nie było jej

tak dobrze, jak z Toddem, ale nie umiała tak do końca uwierzyć w jego wyznania.

Nadal objęci, ułożyli się wygodniej.

- Muszę się wyspać, bo rano mam spotkanie - powiedziała Allegra.

- Wiem. Dobranoc, Ally.

- Dobranoc, Todd. - Cmoknęła go w koniec nosa, po czym odwróciła się na bok, plecami do niego. Todd otoczył ją ramieniem delikatnie, ale zaborczo. Pocałował ją w kark, a niedługo potem po zwolnionym, miarowym oddechu poznała, że zasnął.

Co przyniesie jutro?, zastanawiała się Allegra. Dlaczego Hilton Whitehead chce się ze mną widzieć? Zapadła w sen, nie zdążywszy sobie zadać następnego pytania.

R o z d z i a ł 5

Księżniczka Karima, w długim do ziemi szlafroku w kolorze ecru, z papierosem w jednej ręce i kryształową szklaneczką jacka danielsa z lodem w drugiej, przechadzała się po kremowym dywanie w swojej sypialni. Ciężkie aksamitne zasłony, dokładnie zaciągnięte, nie wpuszczały do środka porannego paryskiego słońca; przestronny pokój oświetlała jedynie antyczna lampka z brązu, rzucająca niewielki krąg światła na blat biurka. Ściany, przed laty wymalowane we wzory przypominające koronkę, pozostawały prawie niewidoczne w mroku.

Karima zaciągnęła się głęboko papierosem, po czym zgasiła niedopałek w onyksowej popielniczce stojącej na biurku. Uniósłszy szklanekę, z zaciekawieniem przyjrzała się zawartości. Uwielbiała ten zdecydowany w smaku trunek, pochodzący z głębokiej amerykańskiej prowincji zwanej stanem Tennessee; przyjaciele księżniczki na całym świecie dbali o to, by mieć pod ręką odpowiedni zapas, kiedy zamierzali ją gościć. Opróżniła szklanekę i odstawiła, postanawiając trochę odczekać przed napełnieniem jej na nowo. Zwykle nie piła rano, chyba że po całonocnej zabawie, ale ten dzień różnił się od innych.

Okrążyła biurko i usiadła w aksamitnym fotelu, przypominającym tron z okresu regencji. Przed sobą miała katalog galerii Dufour, a obok leżało małe blad różowe pudełeczko, w którym spoczywał pierścienek ze szmaragdem, подарowany jej kiedyś przez Stefano Donatiego. Tego dnia specjalnie przysłani pracownicy domu aukcyjnego mieli zabrać klejnot.

Otworzyła pudełko, zahaczając o wieczko długimi, pomalowanymi na czerwono paznokciami. Ciemnozielony szmaragd mrugnął do niej z ciężkiej złotej oprawy. Założyła pierścionek na palec i kilka razy poruszyła uniesioną dłonią. Jest naprawdę piękny, pomyślała, nie mogąc oderwać oczu od wspaniałego kamienia.

Ściągnęła pierścionek z palca i odłożyła z powrotem na zamszową wyściółkę. Kiedy go dostała, sądziła, że to symbol nieśmiertelnej miłości łączącej ją z jednym z najbogatszych, najpotężniejszych i najprzystojniejszych mężczyzn na świecie. Latami wierzyła, że ten mężczyzna zostawi dla niej swoją żonę. Była w błędzie. W końcu się przekonała, że Stefano nigdy nie opuści pięknej Bettiny, arystokratki o imponującym drzewie genealogicznym i znakomitych koneksjach, dla ekstrawaganckiej arabskiej księżniczki.

Zamykając pudełko, dostrzegła na wewnętrznej stronie wieczka wypisane lśniącą czcionką nazwisko: Jules Levant Joaillier, a poniżej: Paryż. Odrzucając głowę do tyłu, wybuchnęła głośnym śmiechem. Dobrze pamiętała dzień, kiedy Stefano kupił jej ten szmaragd. Zaprosili przystojnego młodego Araba, który sprzedał im klejnot, do jej świeżo urządzonego apartamentu - również prezentu od kochanka - na drinka. Podając Algierczykowi koktajl w salonie, bezlitośnie rozwiąła jego wyraźne nadzieje na nawiązanie bliższej znajomości. Zrobiła to specjalnie z myślą o Stefano i w jego obecności, słusznie się spodziewając, że upokorzenie młodego Araba szczerze go rozbawi.

Musi mnie nadal nienawidzić, pomyślała beztrosko. I co z tego? Prawie cały świat arabski mnie nienawidzi. Pogardzają mną, jako godną potępienia ladacznicą.

Właściwie nie utrzymywała stosunków z ziomkami ze Środkowego Wschodu. Jako młoda dziewczyna trafiła do szkoły z internatem w Anglii, a potem kontynuowała edukację w Szwajcarii. Od tamtej pory poruszała się głównie w kręgach europejskich elit finansowych i arystokracji. Pierwsze małżeństwo, z francuskim potentatem w branży farmaceutycznej, posiadającym dodatkowo tytuł wicehrabiego, umocniło jej pozycję towarzyską. Sam tytuł i ogromna fortuna oczywiście pomagały, ale nie dawały automatycznego wstępu do „klubu”. Późniejszy rozwód i głośne romanse z najbardziej pożądanymi mężczyznami w niczym nie umniejszyły jej statusu gwiazdy na tym szczególnym europejskim firmamencie.

Stała się legendą swoich czasów. Piękna i bogata, była też niezrównaną uwodzicielką. Jednak żadne hołdy i inne dowody popularności nie były w stanie zaleczyć rany, jaka pozostała Karimie po zerwaniu ze Stefano. Nie mogła się równać z jego żoną, skoligaconą z jednym z europejskich królewskich rodów, nie byłaby więc nigdy zaakceptowana przez najwyższe kręgi. Księżniczka Karima czuła, że mimo swej wysokiej pozycji wciąż pozostaje outsiderką i wiedziała, że to się nigdy nie zmieni.

Chociaż jej młodość już przeminęła, a uroda nieco zbladła, Karima nadal podobała się mężczyznom, ale coraz częściej wolała towarzystwo bogatych gejów, z którymi podróżowała po świecie w

poszukiwaniu wciąż nowych rozrywek. Byli z reguły bardzo zamożni i przystojni; wielu spośród nich chętnie by się z nią ożeniło, lecz nie chciała się zestarzeć w takim związku.

Zaledwie parę miesięcy temu, podczas bezsennej nocy spędzonej na opróżnianiu butelki ukochanego Jacka Daniela i paleniu niezliczonej ilości papierosów, zaświtał jej w głowie pewien pomysł. Wkrótce potem ogłosiła światu swoje „nawrócenie” i założenie fundacji dobroczynnej, którą miała zasilać funduszami z wyprzedaży swych doczesnych dóbr. Zaszczytu dotowania tego szlachetnego przedsięwzięcia mieli dostąpić jedynie najbardziej na to zasługujący, dlatego zamierzała doglądać wszystkiego osobiście.

Oszołomiona alkoholem i nikotyną, jeszcze tej samej fatalnej nocy, nim zdążyła się przespać, napisała stosowne oświadczenie do prasy. Ogłosiła w nim, że wyzbywa się luksusowych rezydencji, by zamieszkać w skromnym, choć uroczym młynie na obrzeżach Paryża, gdzie będzie mogła medytować i podejmować decyzje, wolna od towarzyskich pokus. Na zakończenie dodała, iż zamierza się pokazywać publicznie raz w roku - i tylko raz - na wielkim balu w Paryżu, organizowanym w celu zebrania środków na działalność fundacji.

Zapaliwszy papierosa, wstała zza biurka i podeszła do barku ukrytego za niewidocznymi drzwiami w ścianie. Wzięła czystą szklanekę, nalała do niej następną porcję Jacka Daniela i wrzuciła kilka kostek lodu. Potem usiadła przed toaletką z barokowym weneckim lustrem i spojrzała na swoje odbicie.

Uważnie przyjrzała się starannie ufarbowanym włosom, upiętym teraz w luźny węzeł, perfekcyjnie wymodelowanym brwiom oraz twarzy podkreślonej dyskretnym makijażem. Zsunęła z ramion jedwabny szlafrok i poddała oględzinom ciało. Szyję i dekolt pokrywała sieć zmarszczek, a niegdyś piękne, jędrne piersi opadały jak bezużyteczny balast. Pod pachami skóra zwijała się w wiotkie fałdy, dobrze widoczne przy uniesieniu ramion.

Nadal była piękna - dojrzałym pięknem - ale nieubłagany czas zaczynał już odciskać swoje piętno i żadne operacje plastyczne ani najlepsze kosmetyki nie były w stanie zaradzić utracie młodości. Nie szkodzi. Skoro brakowało już fizycznych atutów, mogła wykorzystać inne.

Uniosła szklankę w toaście.

- Jesteś genialna - powiedziała do swego odbicia.

- Twoja legenda umacnia się w oczach świata i nikt nie będzie wiedział, kim naprawdę jesteś i co naprawdę robisz. Nikt nie odkryje twoich zamiarów, dopóki nie będzie za późno.

Rozległo się ciche pukanie. Księżniczka domyśliła się, że to Mimi, wierna gospodyni pracująca u niej od wielu lat. Narzuciła na siebie szlafrok i odstawiła szklankę na blat toaletki.

- Wejdz, Mimi - zawołała w stronę drzwi.

Do pokoju weszła stara kobieta o pomarszczonej twarzy i małych, głęboko osadzonych oczach. Mimo podeszłego wieku i powolnych ruchów, nadal miała bystry umysł i siłę odziedziczoną po swych chłopskich przodkach.

- Ci ludzie z Dufour już tu są, *madame* - oznajmiła.

- Już? - zdziwiła się księżniczka. - Nie miałam pojęcia, że jest tak późno.

- Mam im kazać zaczekać, aż się pani ubierze, *madame*?

- Nie. Możesz ich wprowadzić. Będą tu tylko chwilę. Staruszka pokiwała głową i wyszła, zamykając za sobą drzwi. Księżniczka Karima pociągnęła łyk whisky i zapaliła kolejnego papierosa. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie w lustro, zbliżyła się do biurka. Wzięła do ręki pudełeczko z pierścionkiem; już miała je otworzyć, ale się rozmyśliła. Odłożyła je z powrotem na blat, usiadła w fotelu i strzepując papierosa do popielniczki, czekała na zapowiadanych posłańców. Jej polakierowane paznokcie błyszczały w skąpym kręgu światła rzucanego przez lampę, lecz cała postać pozostawała w cieniu. Ponownie zastukano do drzwi.

- *Entrez* - rzuciła władczym tonem.

Mimi, stojąc w progu, wpuściła do środka dwóch mężczyzn. Obaj zatrzymali się w trójkącie światła padającego z holu. Jeden miał nie więcej niż dwadzieścia lat i był wysokim osiłkiem o krótko przystrzyżonych blond włosach. Drugi, w średnim wieku, również muskularnie zbudowany, a przy tym tęgi. Obaj mieli na sobie ciemnoniebieskie uniformy, przypominające nieco mundury policyjne, i przypiętą do pasa broń. Ściskali w rękach czapki.

- Proszę, wejdźcie panowie - zachęciła. - Rozumiem, że macie przy sobie papiery, które muszę podpisać?

- Tak, *madame la princesse* - odezwał się starszy, kiwając głową i robiąc niewielki krok naprzód.

Młodszy jedynie oderwał wzrok od podłogi i spojrzał na księżniczkę Karimę. Dostrzegła, że dłonie mu zadrżały, nim szybko zacisnęła je na czapce. Podniosła się i wyszła zza biurka.

- Pierścionek jest tutaj. - Wskazała na pudełko.

- Oto papiery, *madame la princesse*. - Starszy z mężczyzną wyciągnął ku niej kartonową teczkę. Uśmiechnął się szeroko. - Za pozwoleniem, *madame la princesse*, muszę wpisać czas odbioru, dokładny adres i różne takie, żeby pani mogła złożyć podpis.

- Oczywiście - odrzekła ze zrozumieniem. - Proszę skorzystać z biurka. Tu jest pióro, gdyby pan potrzebował.

- *Merci, merci*. Przepraszam za kłopot, *madame la princesse*. To potrwa tylko minutkę.

Położył teczkę na biurku, wyjął z niej trzy formularze, spojrzał na zegarek i zaczął wypełniać odpowiednie rubryki.

Księżniczka Karima nie zwracała na niego uwagi, skupiona na młodszym pracowniku galerii. Osilek poczerwieniał, speszony jej przenikliwym spojrzeniem. Zbliżywszy się do niego, poluzowała pasek szlafroka, odsłaniając dekolt aż do rowka między piersiami.

- Musi pan od niedawna pracować w Dufour - powiedziała, wysuwając prowokującym ruchem nogę w jego stronę.

- *Oui, madame la princesse* - odpowiedział, nie patrząc na nią.

Uniosła rękę i pogładziła go palcem po policzku.

- Nie sędę, żebym pana wcześniej widziała. - Z trudem ukrywała wesołość, widząc jego zakłopotanie.

Tym razem najwyraźniej nie wiedział, co odpowiedzieć. Nigdy wcześniej nie miał do czynienia z kimś takim jak ona, nigdy też nie był w tak wspaniałym domu. Podobnie jak nigdy nie wahał tak oszalamiających perfum i nie widział tak wytwornego szlafroka.

- Mam nadzieję, że będziecie dobrze pilnować mojego pierścionka - powiedziała księżniczka, dotykając jego piersi w niebieskim uniformie.

Nieznacznie skinął głową.

- *Oui, madame la princesse.* - Nadal nie miał śmiałości popatrzeć jej w oczy, za to Karima dostrzegła charakterystyczne wybrzuszenie na jego spodniach.

- Potrzebuję jeszcze tylko pani podpisu, *madame la princesse*, a potem będziemy mogli zabrać pierścionek i zostawić panią w spokoju - odezwał się od biurka ten starszy.

- Oczywiście. - Księżniczka Karima odwróciła się od poczerwieniałego ze wstydu młodzieńca, specjalnie ocierając się o niego, podeszła do biurka i złożyła podpis we wskazanym miejscu. Następnie zgasła papierosa i wzięła do ręki pudełeczko. - Oto pierścionek - odezwała się do starszego z mężczyzn. - Chyba powinien pan się upewnić, że naprawdę jest w środku.

- Ależ nie, *madame la princesse* - powiedział z uśmiechem. - Nie ma takiej potrzeby. Pójdziemy już, a pani może być spokojna, że ten cenny klejnot jest w dobrych rękach. Na zewnątrz czeka jeszcze

dwóch uzbrojonych strażników, a przyjechaliśmy opancerzoną furgonetką. - Wyciągnął rękę po pudełko.

- Doskonale - pochwaliła go księżniczka Karima. -W dzisiejszych czasach w Paryżu trzeba bardzo uważać, prawda?

- Zgadza się, *madame la princesse*. Ma pani całkowitą rację. Paryż bywa niebezpieczny, zwłaszcza dla kogoś takiego jak pani.

Księżniczka Karima odwróciła się do jego towarzysza.

- Proszę. - Wyciągnęła pudełeczko w jego stronę. -Skoro pan jest nowy, to panu powinna się należeć przyjemność zabrania mojego pierścionka do galerii.

Młody człowiek odchrząknął niepewnie.

- *Merci, madame la princesse*. - Nadal nie był w stanie wytrzymać jej spojrzenia. - To dla mnie wielka przyjemność i zaszczyt.

Księżniczka Karima wzięła go za rękę i o mało nie parsknęła śmiechem, zauważywszy, że chłopak drży. Opanowała się jednak i z powagą położywszy pudełeczko na spoczonej dłoni młodzieńca, zacisnęła na etui jego palce.

- Proszę - powtórzyła, jeszcze przez chwilę go nie puszczając. - Mogę mieć do pana zaufanie, prawda?

- Całkowite, *madame la princesse* - odpowiedział za osiłka starszy kolega.

- A do pana? - spytała, potrząsając dłonią młodszego. -Będzie pan chronił mój skarb z narażeniem własnego życia?

Pokiwał głową.

- *Oui, madame la princesse.*

- No to świetnie - podsumowała wesołym tonem. - Do widzenia, panowie.

Zaczęli się tyłem wycofywać z pokoju. Już stojąc w holu, starszy skłonił się z uszanowaniem, a młodszy natychmiast poszedł w jego ślady. Księżniczka Karima odpowiedziała im łaskawym skinieniem.

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, w końcu głośno się roześmiała.

Scandalous

R o z d z i a ł 6

Taksówka zatrzymała się przed nowym wieżowcem przy East Seventies. Allegra podała kierowcy plik jedno-dolarówek.

- Proszę zatrzymać resztę - rzuciła, przesuwając się do drzwi auta po śliskim plastikowym siedzeniu. Kiedy już poczuła chodnik pod stopami, zebrała się w sobie i rażno ruszyła do głównego wejścia.

Zwykle przed tego rodzaju spotkaniem poświęciłaby wiele czasu na toaletę, dobór stroju i ogólne przygotowanie do rozmowy. Tego ranka jednak w pośpiechu gnała pod prysznic, a potem malowała się i ubierała niemal w biegu. Ostatniej nocy - a zasnęła około czwartej nad ranem - zapomniała nastawić budzik i obudziła się dopiero o wpół do dziesiątej. Gdy wybiegała z domu, Todd jeszcze spał, chrapiąc w najlepsze. Przez moment miała ochotę nim potrząsnąć, ale widok jego zmierzwionych włosów i swobodnie wyciągniętego ciała dziwnie ją rozbroił. Wyglądał tak uroczo, bezbrinnie i tak... seksownie.

Portier w liberii otworzył przed nią szklane drzwi z dość sztywnym powitaniem.

- Dzień dobry pani. W czym mogę pomóc?

- Jestem umówiona na spotkanie z panem Whiteheadem - oznajmiła.

- Proszę się zwrócić do recepcjonisty - polecił, wskazując ladę, przy której miała się zameldować przed wjechaniem na górę do biura Hiltona Whiteheada.

Allegra przemierzyła kilkadziesiąt metrów lśniącego czarnego granitu, nim dotarła do ubranego identycznie jak portier recepcjonisty,

oddzielonego od reszty holu masywnym kontuarem z takiego samego granitu i polerowanej stali. Wysoki mężczyzna o posturze kulturysty i tlenionych włosach uśmiechnął się do niej uprzejmie.

- W czym mogę pani pomóc? - powtórzył jak echo portiera.

- Pan Whitehead. Jestem umówiona na spotkanie - poinformowała zwięźle Allegra.

Recepcjonista pokiwał głową, po czym, nie odrywając od niej niebieskich oczu, zatelefonował pod właściwy numer. Allegra, udając, że nie zauważa jego zainteresowania, rozejrzała się po ultranowoczesnym holu. Samo szkło, stal i granit, a do tego miękkie skórzane kanapy i fotele ustawione na grubych dywanach. Wielkie, starannie zaaranżowane kompozycje roślin, głównie jaskrawych tropikalnych kwiatów w kryształowych wazonach.

- Proszę wjechać na górę - powiedział recepcjonista, odkładając słuchawkę. - Po prawej stronie westybulu znajduje się prywatna winda. Na samą górę.

- Dziękuję.

Udała się we wskazanym kierunku. Wciskając guzik windy, przejrzała się w lustrzanej ścianie. Nie tak źle, pomyślała, jeśli wziąć pod uwagę, że zebrała się w rekordowym tempie. Dojeżdżając do szóstego piętra, poczuła łaskotanie w żołądku. Czego mógł od niej chcieć Hilton Whitehead, poza zamówieniem jakiegoś wyrobu jubilerskiego? Podejrzewała, że musi mu chodzić o coś specjalnego. Ostatecznie był jednym z najbogatszych ludzi w kraju, więc zamiast

fatygować się do centrum, wolał ją wezwać do siebie. Tylko takie rozwiązanie przychodziło jej do głowy.

Zaczęła robić w myślach listę swoich najlepszych kamieni, kiedy winda stanęła i drzwi rozsunęły się bezszelestnie. Wyszła do przestronnego korytarza, w którym stała piękna komoda pokryta szagrynem. Wiszące nad nią lustro, również oprawione w skórę rekina, odbijało ogromną orchideę z dziesiątkami drobnych kremowych kwiatków. Po obu stronach korytarza, na ścianach, które wyglądały jakby były wyklejone pergaminem, wisiały duże współczesne obrazy. Nim Allegra zdążyła im się lepiej przyjrzeć, otworzyły się podwójne, bejcowane na czarno drzwi po prawej stronie komody.

- Panna Sheridan? - odezwał się od progu wysoki Afroamerykanin z czarną przepaską na oku. Był zupełnie siwy i musiał mieć co najmniej siedemdziesiąt pięć lat. Ubrany był w nieskazitelną czarną uniform.

- Tak - potwierdziła Allegra, wyciągając do niego rękę na powitanie.

Po momencie konsternacji - najwidoczniej niewiele osób bywających tutaj uznawało za stosowne się z nim witać - uścisnął podaną dłoń.

- Jestem Boyce, proszę pani - przedstawił się. - Wezmę pani okrycie.

- Dziękuję, Boyce. - Odwróciła się, żeby pomógł jej zdjąć czarną kaszmirową pelerynę do kolan, w której w zimne dni załatwiała sprawy na mieście.

- Proszę za mną - polecił.

Wprowadził ją do dużego, okrągłego pomieszczenia służącego za hol. Ściany wyłożone były w całości egzotycznym drewnem, a podłoga marmurem. Pośrodku, niemal sięgając podłogi, zwisała z sufitu wielka instalacja Kaldera; każdy z elementów miał inny jaskrawy kolor. Ściany obwieszane były obrazami w złoconych ramach. Dostrzegła dwa płótna Picassa, po jednym Legera i Braque'a, oraz dwa lub trzy inne, którym nie zdążyła się przyjrzeć na tyle, by rozpoznać autora. Przeszła za Boyce'em przez kolejne drzwi, aż w końcu przystanął przed jeszcze następnymi i lekko zapukał.

- Wejść - rozległo się ze środka.

To Sylvie, zorientowała się Allegra, słysząc charakterystyczny głos z francuskim akcentem.

Mężczyzna usunął się na bok, przepuszczając Allegrę.

- Dziękuję, Boyce.

- Bardzo proszę. - Skłonił się uprzejmie.

Na widok Allegry Sylvie poderwała się zza biurka.

- *Bonjour, chérie* - zaświergotała. - Tak się cieszę, że przyszłaś.

Cmoknęła powietrze po obu stronach głowy Allegry.

- *Bonjour* - odpowiedziała Allegra. - W niezłym miejscu pracujesz.

- Ładnie tu, prawda? - podchwyciła Sylvie. - Powiem panu Whiteheadowi, że już jesteś.

Allegra zauważyła przeszkloną ścianę za biurkiem i natychmiast do niej podeszła.

- Mój Boże - westchnęła, podziwiając widok. - Człowiek czuje się tu jak na szczycie świata.

- Owszem - przyznała Sylvie. - Fantastyczne, co? Widać cały Manhattan do Staten Island, a dalej Queens i Brooklyn, i Long Island. No i, oczywiście, New Jersey po drugiej stronie.

Usiadła za biurkiem i sięgnęła po słuchawkę.

- Panie Whitehead - usłyszała Allegra, wciąż zapatrzona w dal - panna Sheridan już tu jest. - I po chwili: -Okay.

Allegra w końcu odeszła od gigantycznego okna i usiadła na jednym z krzeseł.

- Mam nadzieję, że się nie spóźniłam. Zaspałam.

- O, to znaczy, że mieliście z Toddem długą noc - zauważyła Sylvie z domyślnym uśmiechem.

- Można tak powiedzieć - przyznała Allegra.

- I dobrze. Tak czy inaczej, jesteś dokładnie na czas.

- Przyjrzała się Allegrze uważnie. -I wyglądasz olśniewająco, *cherie*. Nikt by nie uwierzył, że byłaś na nogach pół nocy. Śliczny ten naszyjnik. Bez wątpienia twoja robota.

- Owszem, dziękuję. - Odruchowo sięgnęła do szyi. Wybrała na tę okazję czarny wycięty kaszmirowy pulowerek z długimi rękawami i prostą czarną spódnicę, przełamując surowość stroju efektownym

złotym naszyjnikiem, wysadzonym setkami maleńkich granatów, który luźno otaczał jej szyję, a końcówka zwisała na dekolcie niczym długa skórka obrana z jabłka.

- A wy z Jean-Pierre'em dobrze się bawiliście? Nie widziałam cię już później po naszej rozmowie.

Sylvie wzruszyła ramionami.

- Z Jean-Pierre'em zawsze jest tak samo. On jest jak królik. Zaczynam odnosić wrażenie, że dla niego równie dobrze mogłabym być starym pluszowym misiem. Zabiera się do rzeczy i zaraz jest po wszystkim.

Roześmiały się zgodnie.

- Rozumiem, typ wrażliwca - mruknęła Allegra.

- Ha! - Sylvie parsknęła pogardliwie. - Dobrze chociaż, że potrafi być zabawny. A po dniu ciężkiej pracy czasami to wystarczy.

- Ale przynajmniej pracujesz w pięknym miejscu - powiedziała Allegra, rozglądając się wokół. - Pan Whitehead też tu prowadzi swoje interesy?

Sylvie pokręciła głową.

- Och, nie. To tylko jego małe domowe biuro. Zarząd firmy znajduje się w San Jose. Ma drugie biuro tu, w Nowym Jorku, ale lubi tutaj pracować, kiedy nie chce, żeby mu przeszkadzano.

Do pokoju wszedł przystojny mężczyzna słusznego wzrostu. Miał ciemne włosy z pierwszymi nitkami siwizny i przenikliwe brązowe oczy. Był szczupły i opalony, w doskonałej formie jak na początki wieku średniego. Miał na sobie zwykłe spodnie i sweter.

- Pani Allegra Sheridan, jak sędzę - powiedział, uśmiechając się radośnie. Podszedł do niej kilkoma szybkimi krokami.

- Zgadza się - potwierdziła, unosząc się z krzesła.

- Proszę nie wstawać - zaprotestował, podając jej rękę. - A ja jestem Hilton Whitehead.

- Miło mi pana poznać, panie Whitehead.

Jakoś inaczej go sobie wyobrażała. Może zaskoczył ją jego swobodny sposób bycia, nieoficjalny strój i niezaprzeczalny urok. Z drugiej strony, dlaczego miliarder nie mógłby wyglądać i zachowywać się tak jak on? Obecnie wielu bogaczy w rodzaju Billa Gatesa miało luźne podejście do ubioru i etykiety.

- Proszę mi mówić po imieniu. - Spodobały mu się jej bystre oczy, lśniące włosy i kształtna figura. Miała w sobie coś z niezależnej artystki, coś trudnego do zdefiniowania, lecz niewątpliwie pociągającego.

Allegra zauważyła jego zainteresowanie.

Hilton przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko niej.

- Pewnie się zastanawiasz, o czym chciałem z tobą mówić.

- Owszem - przyznała Allegra. - Jestem bardzo ciekawa.

- Przepraszam za tę tajemniczość, zwykle taki nie jestem, ale w tym przypadku uznałem, że dyskrecja jest konieczna.

- A o co dokładnie chodzi? - spytała Allegra.

- Zawsze podobała mi się biżuteria, którą Sylvie u ciebie kupowała - zaczął, patrząc jej w oczy. - Różni się od tych błyskotek, które można zobaczyć na wystawach sklepowych. Nawet u tych

najlepszych jubilerów. Jest... niepowtarzalna. Jak ten naszyjnik, który masz dzisiaj. Powiedziałbym, że to dzieło sztuki.

- Dziękuję. Uznam to za komplement.

- Jak najbardziej. Sylvie powiedziała mi, że jesteś ge-mologiem.

Że dużo wiesz o kamieniach.

Allegra przytaknęła niepewnie.

- Tak mi się wydaje. Popatrzył na nią z powagą.

- Potrzebuję właśnie kogoś takiego jak ty. Mam dla ciebie pewną propozycję.

- Jakiego rodzaju? - spytała Allegra.

- Zbliża się aukcja w galerii Dufour w Paryżu. Jedna z tych pod hasłem „Wspaniałe klejnoty”.

- Wiem. Mam w domu katalog, ale jeszcze go nie przeglądałam.

- Więc kupowałaś już coś u nich? - ożywił się Hilton.

- Och, nie - zaprzeczyła ze śmiechem. - Obawiam się, że to nie moja liga. Zbieram katalogi tylko po to, żeby popatrzeć na biżuterię. Szukam natchnienia. Lubię też obejrzeć rzadkie kamienie, które czasami pojawiają się na aukcjach. Bywają bardzo piękne.

Hilton Whitehead zerknął porozumiewawczo na Sylvie.

- Myślę, że znaleźliśmy idealną osobę.

- Wiem - powiedziała Sylvie z uśmiechem. Hilton odetchnął głęboko, splatając dłonie.

- Allegro, Dufour wystawi na aukcji pewien pierścionek ze szmaragdem, który chcę kupić. Jest wyjątkowo piękny. Wielki szmaragd. Ale najważniejsze jest jego pochodzenie.

- Często tak jest - zgodziła się Allegra.

- Cóż, w przypadku tego pierścionka na pewno - powiedział. -
Ponieważ sprzedaje go księżniczka Karima.

- Ach, rozumiem. Cena automatycznie pójdzie w górę,
zważywszy na osobę właścicielki klejnotu.

- Chodzi o to, że muszę go zdobyć - oświadczył stanowczo
Hilton. - To ma być niespodzianka dla mojej przyjaciółki.

Allegra wiedziała, że nie powinna czuć się rozczarowana, ale nic
nie mogła na to poradzić. Może dlatego, że ten słynny pierścionek
miał się stać prezentem dla innej bogatej kobiety. A może zwyczajnie
poczuła zazdrość, że to nie ona otrzyma tak wspaniały podarunek.

- Chodzi o to - mówił dalej miliarder - że gdybym licytował
osobiście, cena osiągnęłaby astronomiczną wysokość. Wystarczy, że
padnie moje nazwisko, by pośrednicy zaczęli podbijać stawkę. -
Zajrzał jej w oczy. - Rozumiesz, o czym mówię, oczywiście.

- Ależ tak - zapewniła go Allegra. - Szukasz kogoś, kto będzie
licytował w twoim imieniu.

- Zgadza się. I uważam, że jesteś odpowiednią osobą.

- Dlaczego nie Sylvie? - Obejrzała się, ale asystentka musiała
wyjść po cichu w trakcie ich rozmowy, bo nie było jej za biurkiem.

- Sylvie jest za bardzo znana w domach aukcyjnych - wyjaśnił
Hilton. - Wcześniej kupowała dla mnie różne rzeczy. Poza tym, nie
chcę wysyłać na tę aukcję pierwszej lepszej osoby.

- Dlaczego?

- Potrzebuję kogoś, kto naprawdę zna się na kamieniach. Chcę, żebyś poszła tam przed aukcją i dobrze się przyjrzała pierścionkowi, żeby mieć pewność, że kupuję naprawdę ten klejnot.

- Nie ufasz pracownikom Dufour? Mój Boże, mówimy o jednym z najszacowniejszych domów aukcyjnych na świecie. Działają w tej branży od ponad dwustu lat.

- Wiem, wiem. Ale też oboje wiemy, że ci tak zwani eksperci ciągle popełniają pomyłki.

- To prawda.

- Tak czy inaczej, ty się znasz na kamieniach, więc możesz się upewnić, że to autentyczny pierścionek sprzedawany przez księżniczkę Karimę.

- Tak, z pewnością mogę to zrobić - potwierdziła zdecydowanie.

- I zechcesz zrobić to dla mnie? - spytał Whitehead, wpatrując się w nią z nadzieją.

- Chyba tak... Muszę się zastanowić.

- Dobrze zapłacę - zapewnił ją z uśmiechem.

- Nie chodzi tylko o pieniądze - wyjaśniła. - Muszę myśleć o mojej firmie, a szczerze mówiąc, dopadł mnie właśnie poważny kryzys. - Spojrzała Hiltonowi w twarz. - Jestem bliska bankructwa - wyznała - więc to nie najlepszy moment, żebym wyjeżdżała.

- Przykro mi to słyszeć. - W jego głosie dało się wyczuć autentyczną troskę. - Ale ta wyprawa nie potrwa długo. Polecisz do Paryża moim prywatnym odrzutowcem, obejrzysz pierścionek, następnego dnia kupisz go na licytacji i możesz wracać do Nowego

Jorku. Co masz do stracenia? To potrwa najwyżej parę dni. Poza tym, dodatkowy zarobek może pomóc uratować twoją firmę.

- Jaką sumę masz na myśli? - spytała.

- Chcę ci zapłacić dwadzieścia pięć tysięcy dolarów plus koszty.

Allegra zachowała nieprzenikniony wyraz twarzy, choć kwota zrobiła na niej spore wrażenie.

- Za lot moim gulfstreamem V, apartament w Ritzu, czy gdzie tam zechcesz zamieszkać, i wszystkie posiłki będziesz płacić otrzymaną ode mnie kartą kredytową. Co ty na to?

Wytrzymała jego pytające spojrzenie, jednocześnie dokonując w głowie gorączkowych kalkulacji. Czynsz. Dostawca kamieni. Dostawcy złota, srebra i platyny. Pensja Jasona. Musiała też wziąć pod uwagę, co zyskuje Whitehead, korzystając z jej usług. Wiedziała, że jej potrzebował.

- Co ty na to? - powtórzył.

- Nie mogę tego zrobić za dwadzieścia pięć tysięcy.

- Nie możesz?

- Będę potrzebowała pięćdziesięciu - oświadczyła, ani na moment nie odwracając wzroku. - Z góry. Muszę popłacić rachunki i tyle potrzebuję.

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów za dwa dni pracy? - odparł ze śmiechem. - Z góry?

- To ostateczny warunek. - Poruszyła się na krześle, jakby miała zamiar wstać.

- Nie, nie. - Powstrzymał ją ruchem ręki. - Proszę, poczekaj chwilkę. Tylko chwilkę.

- Dobrze. Poczekam. Ale tylko chwilkę. Muszę się zająć firmą, rozumiesz. Może to nie multimiliardowy i multinarodowy interes, ale to moje życie.

- Jesteś niesamowita, Allegro Sheridan. - Patrzył na nią z pełnym podziwu uśmiechem. W końcu wyciągnął do niej rękę. - Umowa stoi.

Allegra odwzajemniła uścisk, starając się opanować gwałtowne łomotanie serca.

Sylvie, która niepostrzeżenie wróciła do gabinetu, zaczęła radośnie klaskać.

- Hura! - wykrzyknęła. - Musimy to uczcić. - Na biurku nie wiadomo skąd znalazła się taca z szampanem w srebrnym kubku i trzema kryształowymi kieliszkami. - Mam pełnić honory? - Spojrzała pytająco na swojego pracodawcę.

- Ma się rozumieć. Zostaniesz jeszcze chwilę, żeby się z nami napić, Allegro?

Poczuła nieprzyjemny skurcz w żołądku. Po szaleństwach ostatniej nocy i emocjach, które dopiero co przeżyła, alkohol był ostatnią rzeczą, jakiej mogła pragnąć.

- Oczywiście. Chętnie napiję się szampana - skłamała. - Ale tylko malutki kieliszek. Naprawdę muszę wracać do pracy.

- Świetnie - ucieszył się Hilton. Sylvie otworzyła butelkę i napełniła kieliszki.

Whitehead wznosił toast.

- Za powodzenie naszego wspólnego przedsięwzięcia.
- *Bonne chance* - pisnęła podekscytowana Sylvie.
- Daj Allegrze plan - polecił jej, podnosząc do ust kieliszek z

szampanem.

Sylvie wyciągnęła z szuflady biurka pojedynczy arkusz papieru.

- To jest proponowany plan - oznajmiła, wręczając go koleżance.

Allegra spojrzała na kartkę. Aukcja miała się odbyć za tydzień.

To mi da mnóstwo czasu na załatwienie wszystkich spraw przed wyjazdem. Na przykład na zapłacenie rachunków, pomyślała.

- W porządku - oświadczyła, wkładając kartkę do torebki.

- Masz ważny paszport? - spytał Hilton.

- Tak.

- Świetnie. Jeden problem z głowy. Sylvie zajmie się niezbędnymi rezerwacjami i dopatrzy wszystkich szczegółów.

- W porządku - powtórzyła Allegra. - Czy Sylvie także wypisze mój czek?

Miliarder parsknął śmiechem.

- Jesteś naprawdę niemożliwa, ale to mi się podoba. Rzadko spotykam aż tak bezpośrednie osoby. - Zwrócił się do Sylvie: - Przygotuj czek do podpisania, żeby panna Sheridan mogła go dzisiaj wziąć.

- Dziękuję. - Allegra pociągnęła łyk szampana. - Nie omówiliśmy jeszcze jednej rzeczy.

- Jakiej?

- Co będzie, jeśli nie uda mi się wylicytować odpowiedniej sumy i nie przywiozę ci tego pierścionka?

- Taka sytuacja jest niemożliwa - zapewnił. W tle rozległ się stukot klawiatury komputera; Sylvie wypisywała czek.

- Skąd ta pewność? Mnóstwo bogaczy, takich jak ty, będzie próbowało zdobyć ten szmaragd. Aukcja będzie gorąca, choćby ze względu na osobę księżniczki Karimy. Pamiętasz, jak kilka lat temu wyprzedawano w Genewie klejnoty księżnej Windsoru?

- Oczywiście, że pamiętam. Wszystko poszło za bająćskie sumy.

- Właśnie - powiedziała z naciskiem Allegra. - Niektóre rzeczy osiągnęły ceny dwudziesto- lub trzydziestokrotnie wyższe od wywoławczych. To samo może się zdarzyć w Paryżu.

- Jestem pewien, że tak samo będzie w Paryżu - oznajmił spokojnie Hilton. - Postać księżniczki Karimy ma dokładnie taką samą moc przyciągania jak osoba księżnej Windsoru.

- Właśnie to miałam na myśli. Mogę przegrać z jakimś jej fanatycznym wielbicielem. Odpowiednio bogatym, ma się rozumieć.

Hilton pokręcił głową.

- Nie sądzę. Mam zamiar dać ci upoważnienie na fundusz zdeponowany i dostępny w każdej chwili w oddziale Citibanku w Paryżu.

-Tak, ale...

- W wysokości stu milionów dolarów - dodał szybko.

- Stu milionów dolarów - powtórzyła jak echo Allegra. Zajrzała do swojego kieliszka, a potem znów popatrzyła na Hiltona. - To chyba powinno wystarczyć.

- Ja też tak sędzę. Cena szacunkowa wynosi od ośmiu do dziesięciu milionów.

- Ile karatów?

- Zdaje się, trzydzieści cztery i pół. Mogę przynieść katalog, jeśli chcesz wiedzieć dokładnie.

- Nie trzeba - powstrzymała go. - Mogę sprawdzić w domu. Byłam tylko ciekawa.

Sylvie podniosła się zza biurka i podeszła do Hiltona.

- Tu jest czek. Trzeba go tylko podpisać. - Wręczając szefowi pióro, mrugnęła porozumiewawczo do Allegrzy.

Whitehead odstawił kieliszek, złożył podpis i z uśmiechem podał czek Allegrze.

Miała ochotę ucałować ten drogocenny skrawek papieru, ale opanowała się i wrzuciła go szybko do torebki. Zamierzała prosto stąd udać się do banku.

- Dziękuję, panie... Hilton.

- Bardzo proszę. Jestem pewien, że wszystko pójdzie dobrze.

Zobaczymy się przed twoim wyjazdem do Paryża. Sylvie zawiadomi cię o terminie. A teraz muszę już wracać na górę. Mam coś pilnego do zrobienia. - Wstał, wyciągając rękę, żeby się pożegnać.

Allegra mocno uścisnęła mu dłoń.

- Miło było cię poznać. I dziękuję, że powierzyłeś mi to zlecenie.

- To ja ci dziękuję, Allegro. Wkrótce znów się spotkamy. -
Skierował się do wyjścia, myśląc: Im szybciej, tym lepiej.

Kiedy zostały same, Sylvie ucałowała Allegrę w oba policzki.

- *Merveilleuse, cherie. Merveilleuse!*

- Nie mogę w to uwierzyć - wyznała Allegra. - Kiedy mi powiedziałaś, że będę zadowolona z tego spotkania, nie przypuszczałam, że tak to będzie wyglądać.

- Cieszę się, że jesteś zadowolona - powiedziała Sylvie. - Mam nadzieję, że nie poczułaś się urażona jego propozycją.

- Urażona? - zdziwiła się Allegra. - Jestem zachwycona, Sylvie.

- Bałam się, że uznasz go za gbura. No wiesz... że nie chce nic kupić od ciebie, tylko prosi cię o taką przysługę.

- No cóż - Allegra się zaśmiała. - Możemy popracować nad tym, żeby mu coś sprzedać, jak już wrócę z Paryża z tym pierścionkiem. - Zamilkła na moment, po czym dodała z zadumą: - Jeśli z nim wrócę.

Sylvie wzruszyła ramionami.

- Och, nie bądź niemądra, *cherie*. Oczywiście, że wrócisz z pierścionkiem. Jestem pewna, że obejdzie się bez kłopotów. Bo i cóż by się mogło stać?

R o z d z i a ł 7

Jason patrzył ponad stołem na Camerona Cumming-sa, myśląc o tym, że jeszcze nigdy nie widział tak przystojnego faceta. Cameron właśnie wyszedł spod prysznic i stał teraz, jedynie w ręczniku owiniętym wokół bioder. Był po czterdziestce, ale ciało nadał miał fantastyczne, jędrne i szczupłe, z mięśniami wyćwiczonymi na siłowni.

- Mówisz więc, że Allegra naprawdę cienko przedzie? - spytał Jasona, wgrzyzając się w tost.

- Owszem - przyznał chłopak. - Wygląda na to, że nie ma na moją pensję ani na czynsz, a wczoraj powiedziała, że zalega z płatnościami wszystkim hurtownikom. Wiesz, dostawcom kamieni i metali.

- O cholera... - Cameron uniósł brew. - Z tymi typami lepiej nie zadzierać. Kamienicznik może się zgodzi poczekać, bo wynajmuje u niego lokal już od lat, ale hurtownicy? Nie sądzę. Wydrą jej te pieniądze z gardła, jeśli będą musieli.

- Wiem. - Jason westchnął. -I naprawdę mnie to martwi. Wprawdzie miała u nich do tej pory dobrą opinię, ale to nie na wiele się zda.

- Niestety, w tej branży słowność jest bardzo istotna i jeśli Allegra choć trochę się spóźni, będzie kiepsko. Nie znajdzie dostawcy, który by jej udzielił dwóch centów kredytu. Wiem, co mówię. Parę razy sam byłem pod wozem.

- Właśnie dlatego chciałem z tobą pogadać. Jesteś najlepiej ustawionym niezależnym projektantem biżuterii, jakiego znam. - Westchnął ciężko. - Obawiam się, że Ally stoi na krawędzi bankructwa.

- A ty nie chcesz iść na dno razem z nią, co? - zauważył domyślnie Cameron, sięgając po kubek z kawą.

- Pewnie, że nie - przyznał Jason. - Tylko że... byłem z nią od samego początku i nie chcę uciekać z tonącego okrętu jak szczur.

- To znaczy, że jesteś głupi - stwierdził spokojnie Cameron. - Jesteś jej coś winien?

- No... właściwie nie. Tylko od dawna pracowaliśmy razem.

- Jesteś większym głupcem, niż przypuszczałem.

Wykorzystywała cię przez te wszystkie lata. Jasne, ona projektuje, ale to ty wykonujesz całą brudną robotę. Ty wcielasz jej projekty w życie. Wierz mi, gdyby jej się powiodło, to ona zgarnęłaby całą śmietankę. Ciebie by zostawiła z niczym.

- Ale zawsze obiecywała, że jeśli jej się uda, to da mi procent od zysku - bronił jej Jason. - Wiesz, gdyby podpisała kontrakt z kimś takim jak na przykład Tiffany.

- Marzyciel... - wyśmiał go Cameron.

- Ally mówi, że jeśli założy własny sklep, da mi w nim udziały.

Cameron odstawił kubek z głośnym stuknięciem.

- Daj spokój, Jason - warknął. - Niedobrze mi się robi, jak cię słucham. Allegra Sheridan jest kłamliwą suką, a co gorsze, jest nikiem. I założę się, że pozostanie nikiem. Zamknęła się w wieży z kości

słoniowej i dłubie te swoje cenne świecidełka. Traktuje każdy swój pieprzony projekt, jakby to były klejnoty koronne, i gardzi masowym rynkiem. Jeśli masz rozum, to zacznij chodzić po ziemi.

Ostre słowa Camerona wstrząsnęły Jasonem. Zawsze wierzył, że jego szefowej w końcu się uda. Był przekonany, że ona ma talent, ale wiedział też, że Cameron przynajmniej w części mówi prawdę. Allegra odrzuciła w przeszłości kilka dobrych propozycji i Jason nie sądził, by to się miało zmienić. Była zbyt uparta, żeby pracować dla kogoś innego i nie godziła się na kompromisy co do jakości swoich wyrobów. Ale czy mogła go okłamywać w sprawie udziałów? Nie wierzył w to, ale nie mógł być pewien.

Cameron patrzył na Jasona, czekając na odpowiedź. Przedłużające się milczenie uświadomiło mu, że uraził młodego człowieka. Kłopot z takimi jak Jason polegał na tym, że sugerując się ich męskim wyglądem i sposobem bycia zapominało się, że mogą być nadwrażliwi. Cameron miał poczucie, że gdyby wziął tego chłopaka pod swoje skrzydła, zyskałby wyjątkowo oddanego pracownika, jakim ten najwyraźniej był dla Allegry Sheridan. Ponieważ Jason, jak większość znanych Cameronowi ludzi, potrzebował, by ktoś nim kierował.

- Zraniłem twoje uczucia - odezwał się ze skrucą. -
Przepraszam, Jasonie. Nie chciałem. Ja tylko nie znoszę... nie mogę znieść tego, że jesteś wykorzystywany. Mógłbyś zarobić znacznie więcej, gdybyś zostawił Allegrę i zdecydował się pracować gdzie indziej.

Jason pokiwał zmierzwioną blond czupryną.

- Wiem. Miałem różne okazje, ale zawsze czułem, że powinienem pomóc Ally.

- Rozumiem - powiedział Cameron. - Oczywiście, że chciałbyś jej pomóc. Jesteście przyjaciółmi. Ale najwyższy czas, żebyś stanął na własnych nogach i pomyślał o stabilizacji. Nie zasługujesz na wieczną biedę. Poza tym, gdybyś się dostał do solidnej firmy, nie musiałbyś przeżywać ciągłej niepewności, czy dostaniesz wypłatę. - Umilkł na chwilę, po czym spytał łagodniejszym tonem: - Rozumiesz, co mam na myśli?

- Tak. Masz rację. Jestem zmęczony tą huśtawką.

Większość moich znajomych kupiło mieszkania i już się ustatkowało, a ja wciąż żyję tak, jak na starcie.

- Zasługujesz na więcej - podsunął chytrze Cameron. - Chyba sam widzisz, że powinieneś to zmienić.

Wiedział, że jeśli dobrze rozegra tę rozmowę, może pchnąć Jasona we właściwym kierunku. Wystarczy szepnąć parę słów, sugerując, że jest w nim zakochany. Kilka słów, trochę gorącego seksu i uda mu się namówić tego naiwniaka, by ukradł projekty Allegry Sheridan.

Cameron wstał i podszedł do Jasona. Położył ręce na jego szerokich barkach i zaczął mu masować kark.

- Może mógłbym ci pomóc - rzucił od niechcienia. Jason zadrżał z podniecenia zmieszanego z lękiem.

Miał już wprawdzie za sobą tego rodzaju doświadczenia, ale wciąż był niepewny swoich preferencji i własne pragnienia trochę go przerażały.

- Co byś powiedział na to, Jasonie - zaczął Cameron kuszącym tonem, nie przerywając masażu - żeby przez jakiś czas popracować w mojej firmie? Miałbyś regularną pensję i wszelkie świadczenia, a gdyby ci się nie spodobało, zawsze mógłbyś zrezygnować. - Wsunął rękę pod sweter Jasona, pochylił się i szepnął mu wprost do ucha: - A gdyby ci się spodobało, mógłbyś zostać. Mógłbyś nawet zostawić tę norę, w której mieszkasz, i na jakiś czas wprowadzić się do mnie.

Jason oddychał szybko, zakłopotany napięciem ogarniającym jego ciało.

- Chyba... musiałbym się nad tym zastanowić - zdołał w końcu wydukać.

- A nad czym tu się zastanawiać? - rzucił Cameron. Przechylił się i pocałował chłopaka w ucho, jednocześnie muskając palcami jego pierś.

Jason miał wrażenie, że zaraz zacznie lewitować; nie zaprotestował, kiedy tamten wziął go za rękę.

- Chodź - zachęcił Cameron łagodnie. - Chodź ze mną.

- Kiedy stanęli naprzeciw siebie, powiedział: - Mogę ci dać wszystko, czego potrzebujesz. Wszystko. - Uśmiechnął się znacząco, ruchem głowy wskazując na drzwi sypialni.

- Chodź - powtórzył, prowadząc go za rękę.

W sypialni Cameron zrzucił z siebie ręcznik i wziął Jasona w objęcia.

- Zapomnij o Allegrze Sheridan. Pomyśl o własnych potrzebach, kochany. - Pocałował go w usta. - Pomyśl o nas.

Allegra wysiadła z taksówki przed swoim domem. Jadąc przez miasto, pomyślała sobie, że poza spakowaniem się, przed wyjazdem do Paryża musi załatwić kilka spraw. Najpierw należało zapłacić rachunki, a potem porozmawiać z trzema osobami. Jedną z nich była matka, która rzadko się z nią kontaktowała, ale niechybnie wpadłaby w furie, dowiedziawszy się, że córka wyjechała tak daleko, nie powiadamiając jej o tym. Drugą rozmowę musiała odbyć z Toddem, by go zawiadomić, że spędzi kilka dni w Paryżu. No i wreszcie Jason, który miał się zająć wszystkim pod jej nieobecność.

Ponieważ cel jej wyprawy musiał pozostać tajemnicą, postanowiła ich wszystkich okłamać. Po prostu nie miała wyboru.

Zdziwiła się, zastawszy drzwi zamknięte na klucz. Pomyślała, że Jason pewnie wyszedł wcześniej, ale w środku wszystko wyglądało tak, jakby w ogóle nie było go tego dnia w pracy.

Powiesiła płaszcz na wieszaku, zapaliła światła i od razu zaczęła odsłuchiwać automatyczną sekretarkę. Były dwie wiadomości. Jedna z gabinetu dentystycznego, przypominająca o wyznaczonej wizycie. Druga od Hoopera i Stranga z upomnieniem, że nie otrzymali jeszcze od niej należności. Dostawcy metali. Dzięki Bogu, że będzie mogła im zapłacić, gdy tylko pieniądze z czeku Whiteheada zasilą jej konto.

Podniosła słuchawkę i wybrała domowy numer Jasona. Usłyszawszy sygnał włączającej się sekretarki, zrezygnowała i zadzwoniła na jego komórkę. Ale i tu trafiła na pocztę głosową. Nagrała się, trochę zaniepokojona. Jason nigdy się nie spóźniał i nigdy nie zdarzyło mu się nie przyjść do studia bez uprzedzenia jej o tym. Allegra miała nadzieję, że nic mu się nie stało.

Wyjęła z szafki przy biurku dużą teczkę z nieopłaconymi rachunkami. Uznała, że przygotowanie czeków do wysyłki pomoże jej się uspokoić. Nagle przypomniała sobie, że musi zadzwonić do matki.

Chcąc mieć to jak najszybciej za sobą, sięgnęła po słuchawkę.

- Halo? - Niski, schrypnięty od papierosów i alkoholu głos bez wątpienia należał do Clarissy.

- Cześć - odezwała się Allegra. - Miałam nadzieję, że cię zastanę. Jak się miewasz?

- Jak każda zakochana kobieta, skarbie - odpowiedziała matka, wydając przy tym gardłowy chichot. - Ale zapomniałam, że ty nie wiesz jak to jest, prawda?

Allegra jęknęła w duchu.

- Raczej nie, mamó. Niektórzy nie mają tyle szczęścia co ty.

- Nie mają - przyznała skwapliwie Clarissa. - Wszystkie dziewczyny po menopauzie z Key West mi zazdroszczą. A i wiele młodszych mogłoby się ode mnie tego i owego nauczyć.

- Bez wątpienia - mruknęła Allegra. - Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że przez parę dni nie będzie mnie w mieście. Wyjeżdżam w przyszłym tygodniu.

- O, a dokąd się wybierasz?

- Do Paryża.

- Do Paryża - powtórzyła z rozmarzeniem Clarissa. - Jak cudownie. Chodzi o jakiegoś mężczyznę, mam nadzieję.

- Nie - ostudziła ją Allegra. - W interesach.

- Och, to okropne - jęknęła matka. - Jakież to interesy wyganiają cię do Paryża?

- Pewne czasopismo pisze o mojej biżuterii i zafundowało mi przelot - skłamała Allegra. - Będą tam robić zdjęcia.

- Cóż, może poznasz tam jakiegoś miłego młodego człowieka - odrzekła z nadzieją Clarissa. - Może być starszy - dodała trzeźwo. - Ty też nie robisz się coraz młodsza. - Zaśmiała się irytująco.

Allegra miała ochotę trzasnąć słuchawką, ale wiedziała, że gdyby sobie na to pozwoliła, Clarissa nękałaby ją tak długo, aż w końcu wymusiłaby przeprosiny.

- Masz rację, mam. Ale niektórzy nie mają tyle szczęścia, co ty - powtórzyła. Nie mogąc sobie odmówić małej uszczypliwości, dodała: - Wciąż od nowa.

Strzał był celny, Clarissa wyraźnie się zjeżyła.

- Może nie zawsze dokonywałam najlepszego wyboru, jeśli chodzi o mężczyzn, czego najlepszym przykładem jest twój ojciec, ale przynajmniej korzystałam z tego, co mi się trafiało. Nie starzeję się samotnie, jak to się zdarza wielu innym kobietom.

- I bardzo się z tego cieszę, mam. Jak się miewa... -Zawahała się, próbując sobie przypomnieć imię ostatniego ojczyma. - ...Ben?

- Doskonale. - Głos Clarissy znów przybrał entuzjastyczne tony.
- Wręcz znakomicie. Jest taki troskliwy. Taki czarujący. I taki...
męski. - Znów wybuchnęła śmiechem przypominającym gdakanie.

Allegrze zrobiło się niedobrze. Jej matka była sześćdziesięcioletnim podlotkiem. Włosy ufarbowane na blond, zawsze mocna opalenizna, lifting twarzy, piersi i liposukcja. Palila jak smok, piła jak smok i żyła dla mężczyzn. Mężczyzn przez duże „m”. Nigdy specjalnie nie dbała o córkę, mimo to Allegra starała się utrzymywać pozory, że coś je łączy. Ostatecznie Clarissa była jej matką, jedyną rodziną, jaką miała.

- Muszę już kończyć, mamó - powiedziała szybko. - Mam jeszcze mnóstwo roboty przed wyjazdem. Chciałam cię tylko uprzedzić, że mnie nie będzie, na wypadek, gdyby się coś stało. W razie potrzeby Jason będzie pod telefonem.

- Jason! - obruszyła się matka. - Nie wiem czemu nie zatrudnisz normalnego faceta, skoro już potrzebujesz pracownika. Ale nie, moja przemyślana córka musiała sobie znaleźć pedała. Nic dziwnego, że nie wyszłaś za mąż.

- Przykro mi, mamó. - Allegra z coraz większym trudem panowała nad złością. - Naprawdę muszę już kończyć. Dam ci znać, jak wrócę.

- No pewnie. I nie wpakuj się w jakieś kłopoty w tym Paryżu. - Znów rozległ się znajomy chichot. - Do kogo ja mówię...

- Pa, mamó - powiedziała słodkim głosem Allegra.

- Na razie.

Allegra odłożyła słuchawkę i z westchnieniem ścisnęła dłońmi głowę. Nie miała pojęcia, dlaczego w ogóle się stara.

Patrząc na stertę rachunków, doszła do wniosku, że wypisywanie czeków - czego szczerze nienawidziła - będzie ulgą po rozmowie z Clarissą. Wyjęła z szafki firmową książeczkę czekową i ułożyła przed sobą na blacie. Zaczęła przerzucać rachunki, szukając tego za czynsz, bo chciała się nim zająć w pierwszej kolejności.

Ledwie wzięła do ręki pióro, zadzwonił telefon.

- Studio Sheridan - odezwała się do słuchawki.

- Ally, to ja, Jason.

- Gdzie jesteś? Martwiłam się o ciebie. Nic ci się nie stało?

- Nic mi nie jest. Muszę... muszę z tobą o czymś porozmawiać.

- Zamieniam się w słuch.

- Nie, nie przez telefon. Osobiście.

- O co chodzi, Jason? - zaniepokoiła się. - Na pewno nic ci nie jest?

- Na pewno, Ally. To... chodzi o sprawę osobistą. W głowie Allegry zabrzmiał dzwonek alarmowy.

- Chcesz przyjść do pracowni?

- No... tak - wykrztusił. - Przyjdę zaraz. Mogę?

- Oczywiście, Jason. Będę czekać.

- To do zobaczenia za chwilę.

Allegra odłożyła słuchawkę, nie wiedząc, co myśleć.

Nalała sobie szklankę wody i wróciła do pracy nad rachunkami. Po mniej więcej półgodzinie usłyszała, że drzwi studia się otwierają.

- Poczekaj moment, Jason - rzuciła za siebie, nie odwracając głowy. Szybko dokończyła wypisywanie czeku.

Nie było odpowiedzi; zamiast tego silne ramiona objęły ją od tyłu.

- Cześć, dziecinko. Dobre wieści. Mam dla ciebie dużą niespodziankę.

Allegra poczuła, jak opuszcza ją napięcie.

- Niespodziankę? Jaka?

- Kupiłem budynek na West Broadway - oznajmił Todd. - Dla nas.

Z wrażenia zakręciło jej się w głowie. O czym on, u licha, mówi?

- Był bardzo drogi - dodał, jakby czytał w jej myślach - więc od miesięcy się z nimi targowałem. Postanowiłem zatrzymać dla nas najwyższe piętro z poddaszem. Pomyślałem, że razem możemy z tego zrobić prawdziwe cacko. Taras i tak dalej.

Allegra słuchała go z coraz większym zainteresowaniem. Toddowi zdarzało się wcześniej wspominać o wspólnym zamieszkaniu, ale nigdy w taki sposób. To oznaczało duży krok naprzód dla niego... i dla niej. Zatrzymał najlepsze mieszkanie dla nich? To, co proponował, trochę ją przerażało.

- Będziemy się świetnie bawić, wprowadzając różne zmiany - ciągnął z entuzjazmem. - Możemy tam zrobić, co tylko nam się spodoba. Możemy nawet mieć basen na dachu, jeśli zechcesz.

- Jesteś... jesteś pewien? - spytała nerwowo. - Nigdy wcześniej nie mówiłeś mi o tych planach.

- Jestem pewien, Ally. Poza tym chcę zatrudnić inspektora nadzoru i przerzucić na niego część roboty, żebym mógł spędzać więcej czasu w domu... z tobą. Nie musiałbym pracować po piętnaście czy nawet osiemnaście godzin dziennie.

Nie wiedziała, czy może mu wierzyć. To wszystko było do niego tak niepodobne, że miała mętlik w głowie. Zastanawiała się, czy to możliwe, by Todd-Cygan był gotów się ustatkować.

- Naprawdę tego chcesz? - spytała. Energicznie pokiwał głową.

- Byłoby wspaniale, Ally. Zacząłem już przebudowę parteru od frontu. Wygląda fantastycznie. To idealne miejsce na... dla ciebie.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Dla mnie? Masz na myśli... Co masz na myśli?

- To, że mogłabyś otworzyć tam swój sklep, Ally - odrzekł z uśmiechem. - Prawdziwy sklep jubilerski. Mogłabyś wystawiać i sprzedawać swoje dzieła. Jest nawet miejsce na pracownię na zapleczu.

- Nie wiem, co powiedzieć, Todd - szepnęła, starając się powstrzymać łzy napływające do oczu. - Jestem... jestem trochę oszołomiona.

Ukląkł przed nią na jednym kolanie i wziął ją za rękę.

- Wiem, że dawałem ci powody, żeby we mnie wątpić - oznajmił poważnie. - Ale tę część życia mam już za sobą, Ally. Musisz mi wierzyć. Wiem, że jesteś uparta i niezależna. Zawsze chciałaś

pracować sama, sama robić swoją biżuterię. Ale chyba rozumiesz, że to może być dobre dla nas obojga? Ty miałabyś swoją firmę, a ja swoją. A byłibyśmy razem.

Pokiwała głową, patrząc mu w oczy.

- Przepraszam, ale chyba nie jestem jeszcze gotowa na takie decyzje.

Na odgłos otwieranych drzwi jednocześnie się odwrócili. W progu stanął Jason z plecakiem zwisającym z jednego ramienia. Zawahał się, widząc ich razem.

- Przepraszam. Nie wiedziałem, że przeszkadzam. Przyjdę później.

Już miał zawrócić, lecz Allegra go zatrzymała.

- Nie wychodź, Jason! - zawołała. - Musimy porozmawiać. - Zbliżyła się, żeby go uścisnąć. - Nic ci nie jest? Tak się martwiłam, kiedy nie przyszedłeś i nie zadzwoniłeś.

- Miałem wizytę u lekarza, zapomniałem ci powiedzieć - próbował się tłumaczyć.

- Na pewno nic ci nie jest? - włączył się do rozmowy Todd, kładąc Jasonowi dłoń na ramieniu.

- Nie, to były zwykłe badania kontrolne.

- To dobrze - odetchnęła Allegra. - Cieszę się, że przyszedłeś, bo musimy pogadać.

- O co chodzi? Zamykamy interes?

- Nie, nic z tych rzeczy - uspokoiła go. - Usiądźmy.

- Może was zostawię samych? - zaproponował Todd.

- Nie, zostań. Tobie też muszę to powiedzieć.
- Co mianowicie? - Przysunął sobie krzesło i usiadł.
- Francuskie czasopismo „Jalouse” drukuje rozkładówkę z moją biżuterią i zaproponowali, że zapłacą mi za podróż, jeśli zgodzę się przyjechać do Paryża.

- Fantastycznie - ucieszył się Todd.
- Dość niezwykle - zdziwił się Jason. - Zagraniczne pisma zwykle wynajmują fotografa w Nowym Jorku i tu robią zdjęcia, żeby oszczędzić sobie wydatków.

Allegra przytaknęła niepewnie.

- Owszem, ale oni chcą też zrobić wywiad, sfotografować biżuterię, mnie i niektóre rysunki moich projektów. Powiedziałam im, że bardzo chętnie, ale chciałabym sama zająć się stylizacją. Wtedy zaproponowali, żebym przyleciała do Paryża. Zgodziłam się. Tylko na parę dni.

- Kiedy miałabyś lecieć? - spytał Todd.
- W przyszłym tygodniu.
- Tak po prostu - Jason pstryknął palcami - zaproponowali ci, żebyś przyleciała? Dziwne. Nigdy o czymś podobnym nie słyszałem.

- Właśnie dlatego chciałam z tobą porozmawiać - wyjaśniła Allegra, starając się nie słyszeć podejrzliwości w jego głosie. - Żeby się upewnić, czy możesz tu wszystkiego dopilnować, kiedy mnie nie będzie.

- Hmm... - mruknął Jason. - Mówisz, w przyszłym tygodniu?

- Tak. - Spojrzała na niego pytająco.

- Chyba tak - powiedział. - Jak długo cię nie będzie?
- Tylko parę dni. O co chodzi? Planowałeś wziąć wolne, czy co?
- No... nie. Ale nie byłem pewny, czy w ogóle jeszcze mam pracę. Wiesz, po tym, co ostatnio się działo...
- Chwilowo odroczone nam wyrok - uspokoiła go z uśmiechem.
- Prawdę mówiąc, właśnie zaczęłam wypisywać чеки, żeby popłacić rachunki.
- Zrobiłaś wielką wyprzedaż? - spytał Todd.
- Nie. Matka pożycza mi trochę gotówki na przetrwanie.
- Twoja matka! - wykrzyknęli unisono Jason z Toddem.
- Allegra pokiwała głową twierdząco.
- Możecie wierzyć lub nie.
- Nie wierzę, że ta jędra coś dla ciebie zrobiła - oświadczył Todd.
- Bo to niewiarygodne - zawtórował mu Jason. - Była pijana, kiedy obiecywała ci te pieniądze?
- Nie. Odbyłyśmy długą miłą rozmowę i...
- Och, przestań, Ally - przerwał jej Todd. - Nigdy nie odbywacie z Clarissą „miłych” rozmów. O co tu chodzi?
- O nic - broniła się Allegra. - Ona ma dobre serce.
- Jasne, tak samo jak Hitler - mruknął Jason.
- Nie chcę o tym więcej mówić - zirytowała się w końcu. Jason i Todd wymienili spojrzenia. Todd wzruszył ramionami.
- Więc mogę na ciebie liczyć, Jason? - upewniła się Allegra.
- Planowałem wziąć wolne, ale mogę z tym poczekać.
- Wyjeżdżasz gdzieś? - spytał Todd.

- Hmm... właściwie nie - odparł trochę niepewnie Jason. - Po prostu dawno nie miałem chwili wytchnienia.

- Rzeczywiście - przyznała Allegra, choć wiedziała, że to nieprawda. Zaledwie dwa miesiące wcześniej był z wizytą u znajomego w South Beach.

- Jeśli nie macie nic przeciwko temu, będę już leciał - powiedział teraz, wstając z krzesła. - Mam parę spraw do załatwienia.

- Jasne, leć - zgodziła się Allegra. - Do zobaczenia rano.

- Cześć.

- To na razie - pożegnał go Todd.

- Na razie.

Po wyjściu chłopaka Allegra spojrzała wymownie na Todda.

- Nie wydaje ci się, że zachowywał się trochę... dziwnie?

- Owszem - potwierdził Todd. - Może po prostu nie czuje się dobrze. W końcu był u lekarza.

- Mówił, że to tylko rutynowe badania - przypomniała mu Allegra. - Ale odnoszę wrażenie, że coś przede mną ukrywa.

- Och, zapomnij o tym - poradził jej Todd. Podszedł do niej od tyłu i zaczął jej masować ramiona. - Jason to dobry chłopak. Pewnie ma jakieś sprawy na głowie jak my wszyscy.

- Pewnie tak - zgodziła się bez przekonania. Todd nachylił się i pocałował ją w czubek głowy.

- Napijesz się dziś ze mną szampana? Popatrzyła na niego, odchylając głowę do tyłu.

- Bardzo chętnie.

- Przygotuję kolację - obiecał.
- Od kiedy to zacząłeś gotować?
- Od kiedy Chińczycy zaczęli dostarczać jedzenie do domu.
- Tak właśnie myślałam - przyznała ze śmiechem Allegra.

Scandalous

R o z d z i a ł 8

Następnego ranka, zaraz po wyjściu Todda, Allegra zadzwoniła do Sylvie do pracy. Koleżanka odebrała natychmiast.

- Halo.

- Sylvie, tu Allegra.

- *Bonjour, cherie*. Cieszę się, że zadzwoniłaś. Chcę ci zadać kilka pytań, zanim zrobię rezerwację. Jak wiesz, Hilton powiedział, że zafunduje ci pokój u Ritza.

- Owszem. I co w związku z tym?

- Mój przyjaciel Paul ma dom w Paryżu i jest tam wolna kawalerka, którą udostępnia znajomym. Powiedział, że możesz w niej zamieszkać. W dzielnicy Marais. Nic nadzwyczajnego, ale przyjemne miejsce. I - tu teatralnie zawiesiła głos - ...mogę ci dać dodatkowe parę tysięcy dolarów zamiast płacić Ritzowi. Wiem, że ostatnio u ciebie krucho z gotówką, więc postanowiłam zapytać.

- Chyba żartujesz - powiedziała Allegra z niedowierzaniem.

- Ale jeśli wolisz zadać szyku, zatrzymując się u Ritza, mogę to załatwić, oczywiście.

Allegra parsknęła śmiechem.

- Nie, nie. Przyda mi się dodatkowa gotówka. Ale czy pan... to znaczy Hilton o tym wie?

- *Mais oui* - zapewniła Sylvie. - Cały czas się tak z Paulem wymieniamy. On czasami korzysta z mojego mieszkania, a ja robię to samo w Paryżu.

- W takim razie chętnie - powiedziała Allegra.

- Świetnie - ucieszyła się Sylvie. - No to sprawa załatwiona. Bądź tu jutro około..., powiedzmy, czwartej. Przygotuję wszystko dla ciebie. Okay?

- Dobrze. Przyjdę.

- To nie potrwa długo - zapewniła ją Sylvie - ale Hilton chce z tobą porozmawiać o samej aukcji.

- W porządku. Jedyna rzecz, która mnie niepokoi, to kwestia bezpieczeństwa. Trochę mnie przeraża myśl, że będę mieć przy sobie klejnot wart miliony dolarów.

- Ach, nie ma się czym przejmować - uspokoiła ją Sylvie. - Hilton już uprzedził bank, w którym będziesz mogła zdeponować pierścionek po aukcji. Porozmawiamy o tym jutro.

- No to do jutra - powiedziała Allegra.

- Do zobaczenia - odpowiedziała Sylvie i odłożyła słuchawkę.

Allegra nagle w pełni sobie uświadomiła, czego się podjęła i z wrażenia aż zakreśliło jej się w głowie. Perspektywa licytowania pierścionka takiej wartości, na aukcji gromadzącej najbogatszych ludzi na świecie, była doprawdy przytłaczająca. A jakby tego nie wystarczyło, należało jeszcze przywieźć drogocenny klejnot do Nowego Jorku.

Szybko wzięła prysznic, ubrała się i przeszła do pracowni. Jasona jeszcze nie było, wykorzystała więc okazję, by przejrzeć katalogi, których uzbierała się spora sarta. Zaczęła od wydawnictwa galerii Dufour, ciekawa klejnotów księżniczki Karimy. Potem próbowała popracować nad niedokończonym wzorem. Jednak kiedy

minęło w pół do jedenastej, a Jason nadal się nie pojawiał, zaczęła się poważnie niepokoić.

Nagle stanął w drzwiach, beztroski i uśmiechnięty.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział. - Miałem rano wizytę u dentysty, zapomniałem ci powiedzieć.

Co w niego wstąpiło?, pomyślała z troską Allegra. Wczoraj lekarz, dziś dentysta. Nigdy się tak nie zachowywał.

- Mam nadzieję, że dobrze poszło. Coś poważnego?

- Nie, tylko usuwanie kamienia. - Usiadł przy swoim warsztacie.

- Powiesz mi dokładnie, co mam robić, kiedy cię nie będzie?

- Daj mi jeszcze pięć minut - poprosiła, wskazując na szkicownik. - Potem ci wszystko powiem. Jest tylko parę drobiazgów, ale pilnych.

- Okay - mruknął Jason. - Mam zacząć wprawiać rubiny do broszki di Guardianiego?

Pochłonięta wykańczaniem rysunku, Allegra pokiwała głową, nie podnosząc wzroku.

- Tak. Dobry pomysł.

Przez następne dni była bardzo zajęta. Spotkanie z Whiteheadem, załatwianie papierkowej roboty, obsługiwanie klientów i chwile spędzane z Toddem wypełniały jej czas co do minuty.

Kiedy wreszcie nadszedł dzień wyjazdu, Todd wstał o w pół do szóstej, zaraz po dzwonku budzika, i zrobił śniadanie dla nich obojga, podczas gdy Allegra przygotowywała się do wyjścia. Odrzutowiec

Hilona Whiteheada miał wystartować o siódmej, a godzinę wcześniej podstawiony samochód zabierał ją na lotnisko.

- Nie musiałeś się zrywać tak wcześnie - pochwaliła go, zadowolona, że tak się dla niej starał. Todd nie należał do rannych ptaszków; poświęcił się, żeby zrobić jej przyjemność.

- Nie, nie musiałem - przyznał - ale chciałem.

- Będę za tobą tęsknić - powiedziała.

- Ja też będę tęsknił. Jesteś spakowana?

- Wszystko gotowe.

- Mogę pojechać z tobą na lotnisko.

- Nie - zaprotestowała Allegra. - To niemądry pomysł. Po co masz tracić czas na jazdę tam i z powrotem? Powinieneś raczej biec na swoją budowę. - Nie chciała przecież, żeby wiedział, że wylatuje z Teterboro prywatnym samolotem.

- Masz rację - przyznał. - Jestem tam potrzebny, bo szef ekipy remontowej ciągle ma jakieś pytania.

Domofon zabrzączał, kiedy Allegra kończyła jeść śniadanie.

Zarzuciła na ramię podręczną torbę, a Todd chwycił jej walizkę.

Na ulicy zdziwił się, widząc, że czeka na nią lśniący rolls-royce.

- Jezu, nie wiedziałem, że wygrałaś na loterii - mruknął.

- Nie wygrałam, głuptasie. Francuzi zobowiązali się przysłać samochód z kierowcą.

- Ale żeby rollsa? - nie mógł wyjść ze zdumienia. - Chyba wybrałem niewłaściwy zawód.

Kierowca umieścił walizkę w bagażniku, a potem przytrzymał drzwi.

Todd objął Allegrę i pocałował.

- Zadzwoń do mnie, jak będziesz mieć okazję - poprosił. - Będę tęsknił. Kocham cię, Ally.

- Ja też cię kocham - pożegnała go. Wsiadła do luksusowo wyposażonego auta, a kierowca zamknął drzwi.

Kiedy ruszali, pomachała Toddowi na pożegnanie i posłała mu całusa.

Wracając na górę, zastanawiał się, jakie klejnoty i projekty Allegra zabrała ze sobą. Bo nie widział, żeby w ogóle jakieś pakowała.

Lot do Paryża nie był długi, trwał około sześciu godzin. Podano jej doskonale jedzenie, a potem mogła się zdrzemnąć w luksusowej sypialni, więc kiedy wylądowała o siódmej miejscowego czasu, czuła się wypoczęta i świeża. Na lotnisku czekał na nią kierowca w czarnym rolls-roysie, takim samym jak ten w Nowym Jorku, żeby ją zawieźć do kawalerki przy ulicy Archives w sercu dzielnicy Marais.

Allegra była już kiedyś w Paryżu i zapamiętała go jako miasto najpiękniejsze z tych, które miała okazję oglądać. Zapomniała jednak, jak bardzo jest wspaniałe. Nawet pod szarym zimowym niebem wiele pomników i budynków wręcz oślepiało bogatym, efektownym oświetleniem. Zmierzając w stronę trzeciego arondissement, gdzie mieściło się zaproponowane przez Sylvie lokum, z zachwytem patrzyła na mijaną po drodze Dzielnicę Łacińską. Wiedziała, że przed

rewolucją mieszkała tu arystokracja, a potem opuszczone pałace i rezydencje podupadły na skutek zaniedbania. W ostatnich latach zaczęto odnawiać zabytkowe budowle. Obecnie dzielnica tętniła życiem, mieściły się tu instytucje państwowe, muzea, urzędy, było też dużo pięknych apartamentowców oraz eleganckich sklepów i restauracji.

Kierowca minął jakiś kościół i zatrzymał się przed jednym z domów na *rue des Archives*.

- Jesteśmy na miejscu, panno Sheridan - powiedział po angielsku.

Allegra zadarła głowę, żeby się przyjrzeć fasadzie uroczej siedemnastowiecznej kamienicy, podobnej do sąsiednich. Sięgnęła do klamki, ale kierowca szybko obszedł samochód i otworzył przed nią drzwi.

- Dziękuję.

- Zaraz wyjmę pani rzeczy. - Zaczął się krzątać przy bagażniku.

- Allegra... - usłyszała nieznany męski głos. Odwróciwszy się, zobaczyła wysokiego chudzielca

z rozwichrzoną blond czupryną, który zbliżał się z wyciągniętą ręką. Miał na sobie wełniany płaszcz i gruby szal zawiązany jak krawat.

- Jestem Paul - przedstawił się. - Przyjaciel Sylvie.

- Cześć, Paul - przywitała go. - Miło, że wyszedłeś mi na spotkanie. Sylvie mówiła, że będziesz czekał. - Uścisnęli sobie dłonie.

- Żaden problem. Mieszkam... niedaleko. O, jest twój bagaż.

Kierowca stał z boku z jej jedyną walizką, małą, czarną, z kółkami i rączką.

- Życzę miłego pobytu w Paryżu, panno Sheridan -pożegnał się.
- Przyjadę po panią w piątek o dziewiątej.

- Dziękuję.

Uklonił się, dotykając palcami czapki, i wsiadł do auta.

- Daj mi walizkę - odezwał się Paul. - Wniosę ją na górę i wypuszczę cię do środka.

- Ależ nie musisz - zaprotestowała Allegra. - Nie jest ciężka. Nie wzięłam dużo rzeczy, bo będę tu tylko parę dni.

Paul uśmiechnął się do niej.

- Chętnie ją poniosę. Kiedy zobaczysz schody, będziesz mi wdzięczna za pomoc.

- Aż tak źle? - zapytała ze śmiechem.

- Owszem, aż tak źle.

Przed pomalowanymi na czarno drzwiami wejściowymi wyjął z kieszeni kółko z kluczami.

- Ten jest do tych drzwi - powiedział, pokazując jeden z nich. - Ale łatwiej używać kodu. - Wskazał na małe metalowe urządzenie na ścianie budynku.

Wystukał odpowiednie cyfry, otworzył drzwi i przytrzymał, żeby Allegra mogła wejść. Znaleźli się w długim, ciemnym tunelu; po jednej stronie ciągnął się rząd skrzynek na listy.

- Chcąc wyjść na ulicę, trzeba nacisnąć ten brzęczyk. Widzisz? - Pokazał jej mały guziczek z boku.

- W porządku. - Ruszyła przed siebie tunelem, który wychodził na brukowany dziedziniec. - Och, jak tu ślicznie - zachwyciła się Allegra.

- Rzeczywiście, ładnie - przyznał Paul.

Wzdłuż ścian stały krzewy w donicach, a na środku rośło obecnie bezlistne drzewo. Po obu stronach widać było schody.

- Idziemy na górę, tędy. - Paul skierował się na prawo. Szli po wytartych kamiennych stopniach, biegnących wzdłuż obskurnej gipsowej ściany. Na pierwszym spoczniku Allegra przystanąła, oglądając się na Paula, który z wysiłkiem taszczył walizkę.

- Dalej, na samą górę - wysapał, widząc jej pytające spojrzenie. Kiedy wreszcie dotarli na szóste piętro, Allegra musiała wziąć kilka głębokich wdechów.

- Chyba straciłam formę - przyznała ze śmiechem. -Wysoko tu.

- Owszem. Teraz wiesz, co miałem na myśli. -O, tak...

Postawił walizkę na ziemi i ponownie sięgnął po kółko z kluczami.

- To ten klucz. Łatwo zapamiętać. Ten do wejściowych jest zwyczajny, a ten zaokrąglony. Do specjalnego zamka.

- Już taki kiedyś widziałam - powiedziała Allegra. -Nie dokładnie taki sam, ale podobny.

I tym razem puścił ją przodem, przytrzymując drzwi.

- Dzięki, Paul.

Weszła do wąskiego holu ze ścianami wyłożonymi terakotą. Po lewej stronie była mała łazienka, a na wprost wielki pokój, z

tapczanem nakrytym kolorowym wełnianym kilimem. W jednym kącie znajdował się aneks kuchenny, w drugim stał telewizor. Sufit przecinały grube belki, schodzące po ścianach aż do podłogi. Allegra od razu podeszła do jedyne go okna i wyjrzała na zewnątrz. Wszędzie wokół widać było budynki mieszkalne z mansardami i świetlikami.

- Jak ci się podoba? - spytał Paul.

- Uroczo tu - odpowiedziała szczerze Allegra.

- Świetnie. - Podał jej wizytówkę. - Tu jest mój numer telefonu, gdybyś czegoś potrzebowała. Możesz dzwonić o każdej porze.

- Myślę, że sobie poradzę.

- W razie czego nie wahaj się - dodał. - Pracuję w domu, więc zawsze jestem osiągalny.

- Naprawdę to doceniam, Paul.

- Przyjdę w piątek rano, żeby ci pomóc znieść walizkę - obiecał.

- Ależ nie trzeba - zaprotestowała. - Naprawdę nie musisz. Dam sobie radę sama.

- Będę za kwadrans dziewiąta - oznajmił. - Nalegam.

- Skoro tak... - Odprowadziła go do drzwi.

- A tak na marginesie, na dole na rogu jest niezłe małe bistro.

Przyzwoite jedzenie i niezbyt drogie.

- Dziękuję. Jestem pewna, że jakoś tam trafię.

- No to do piątku - pożegnał ją i odszedł.

Allegra zamknęła za nim drzwi i wróciła do pokoju. Zdjęła płaszcz i powiesiła na oparciu krzesła, a potem położyła walizkę na

tapczanie i zaczęła wypakowywać swoje nieliczne ubrania. Miała ochotę przejść się trochę po okolicy zanim zrobi się całkiem późno.

Następnego dnia, czyli w środę, wybierała się do Citi-banku z listem kredytowym otrzymanym od Hiltona Whiteheada. Miał na nią czekać niejaki *monsieur* Lenoir. Potem musiała pójść do galerii Dufour, żeby obejrzeć pierścionki i zarejestrować się przed licytacją. Aukcja była zapowiedziana na godzinę czternastą w czwartek. A w piątek o dziesiątej trzydzieści Allegra miała odlecieć prywatnym odrzutowcem Whiteheada.

Wyjęła przybory toaletowe i weszła do łazienki, poprawiła makijaż, wyszczotkowała włosy i umyła ręce. Następnie włożyła płaszcz i wzięła torebkę oraz klucze. Starannie zamknęła za sobą drzwi i wyszła na rue des Archives.

Dosłownie tuż obok kamienicy znajdował się niezwykle sklep jubilerski, niepodobny do żadnego z tych, jakie widziała w Nowym Jorku i gdzie indziej. Poza biżuterią sprzedawano tu też zwykłe koraliki i kamienie półszlachetne oraz akcesoria niezbędne dla amatorów samodzielnego robienia naszyjników, bransoletek i kolczyków. Allegra poszła dalej przed siebie i przez następną godzinę oglądała wystawy sklepów po obu stronach ulicy. Wreszcie, obejrzawszy witrynę cukierni, pełną wymyślnych i apetycznych łakoci, postanowiła znaleźć bistro, o którym wspominał Paul.

Lokal od razu przypadł jej do gustu, bezpretensjonalny, pełen miło wyglądających ludzi i uśmiechniętych kelnerów. Na środku baru stał wielki szklany słój napełniony wodą, tyle że zamiast złotej rybki

znajdowały się w nim telefony komórkowe. Z boku przyklejony był rysunek przekreślonej komórki, a na lustrze za barem informacja po francusku, że jeśli zostawisz w restauracji swój telefon, będziesz musiał go osobiście wyłowić.

Allegra uśmiechnęła się pod nosem; była pewna, że polubi to miejsce i chętnie będzie w nim się stołować. Zamówiła karafkę białego wina, sałatkę, pieczonego kurczaka z warzywami i mus czekoladowy na deser. Posiłek był prosty, lecz smaczny, a kiedy kelner przyniósł jej rachunek, nie mogła wyjść ze zdumienia, że można tak dobrze zjeść za niespełna piętnaście dolarów. Z przyjemnością użyła karty kredytowej, w którą zaopatrzył ją Hilton Whitehead, dodając od siebie hojny napiwek.

Wróciwszy do pokoju, próbowała się dodzwonić do Todda, ale ani w jego mieszkaniu, ani u niej nikt nie odbierał telefonu. Nie zdziwiło jej, że go nie zastała: prawdopodobnie nadal był na swojej budowie. Następnie starała się skontaktować z Jasonem, lecz nie podnosił słuchawki w pracowni, nie odbierał komórki, nie udało jej się też złapać go pod telefonem domowym. W Nowym Jorku było jeszcze wcześniej, nie mogła więc zrozumieć, dlaczego wyszedł z pracy. A skoro już zamknął studio, dlaczego nie odbiera komórki. Przecież zawsze nosił aparat przy sobie. Ostatnio Jason zachowywał się dziwnie i coraz bardziej zaczynało to niepokoić Allegrę. W końcu pod jej nieobecność był odpowiedzialny za ich źródło utrzymania. Aż podskoczyła, gdy telefon nagle zadzwonił.

- Tęsknisz za mną?

- Tęsknię. - Uśmiechnęła się, słysząc głos Todda. - Czuję się trochę... samotna.

- Samotna? - udał zdziwienie. - Ty? Myślałem, że poznałaś już z dziesięciu gorących młodych facetów, chętnych pokazać ci miasto.

- Nie - zaprzeczyła ze śmiechem. - Obawiam się, że nic z tych rzeczy. Mam tu co robić, a poza tym wszyscy paryżanie, jakich znam, są w Nowym Jorku.

- Nie poznałaś jeszcze nikogo z tego czasopisma? - zdziwił się Todd.

Allegra zakłęła w duchu.

- Dopiero jutro - powiedziała szybko.

- Co ze sobą zabrałaś na te zdjęcia? - dociekał.

- Parę drobiazgów. Wiesz, takich, z którymi łatwo podróżować.

- Czyli co?

- Mój naszyjnik w kształcie skórki z jabłka, parę bransoletek, kilka par kolczyków. W sumie niewiele.

- Nie mogę się doczekać, żeby obejrzeć rezultaty - powiedział. - Jestem pewien, że wyjdą piękne zdjęcia.

- Cóż, będziesz musiał trochę poczekać, bo zanim to wszystko opublikują, miną co najmniej trzy lub cztery miesiące. Jeśli w ogóle opublikują.

- Co to znaczy, jeśli w ogóle?

- Wiesz, jak to bywa, Todd. Czasami rezygnują z tematu, bo pojawia się coś ciekawszego. W tym biznesie coś takiego jest na porządku dziennym.

- Wiem, ale to nie może się przydarzyć mojej dziewczynie.

- Mam nadzieję. - Boże, przebacz, pomyślała. - A jak tam twoja budowa? - zmieniła temat.

- W porządku. Prawdę mówiąc, prace idą tak dobrze, że przyszło mi do głowy, że dałbym radę wyskoczyć do ciebie, do Paryża...
moglibyśmy zostać razem jeszcze kilka dni i trochę pozwiedzać.

Allegra miała nadzieję, że Todd nie słyszy jej przyspieszonego oddechu. Myślała tak gorączkowo, że aż zakręciło jej się w głowie.

- Ally? Jesteś tam? - zaniepokoił się jej milczeniem.

- Tak. Oczywiście, że jestem. Po prostu się zastanawiałam. Mam tak napięty program jutro i pojutrze, że nawet nie miałabym czasu się z tobą spotkać. Poza tym...

- Och, daj spokój - przerwał jej. - Nawet w nocy? Ci ludzie nie dadzą ci się nawet wyspać?

- Nie, ja tylko...

- Nie chcesz, żebym przyjeżdżał? - Był wyraźnie zirytowany.

- Nie, nie, Todd. Nie o to chodzi. Naprawdę. Musisz mi wierzyć.

- Nie brzmi to zbyt przekonująco.

- Jestem tu po prostu w interesach. I mam bilet powrotny na piątek.

- Nie możesz poprosić o zmianę rezerwacji? Moglibyśmy spędzić razem weekend i wrócić w niedzielę wieczorem albo w poniedziałek rano.

- Nie wiem, czy będą w stanie przesunąć rezerwację. Poza tym muszę myśleć o firmie. Nie lubię zostawiać wszystkiego na głowie

Jasona. Dziś nawet nie mogłam się do niego dodzwonić - dodała zniechęcona.

- Ally, zdecydowanie mnie zniechęcasz. Dlaczego?

- O co ci chodzi? - spytała, choć doskonale wiedziała, o czym Todd mówi.

- Daj spokój. Mówię o weekendzie. W niedzielę masz wolne, w pozostałe dni spotykasz się tylko z umówionymi klientami, a wiesz, że Jason świetnie sobie poradzi w razie potrzeby.

- No... masz rację - wykrztusiła przepaszającym tonem.

- Posłuchaj, sprawdzę czwartkowe loty i dam ci znać - oświadczył.

- Świetnie. - W głębi duszy ucieszyła się z jego pomysłu. - Pamiętaj, że będę wolna dopiero w czwartek późnym popołudniem, nie wcześniej.

- Okay.

- Jeśli przyjedziesz, nie bierz ze sobą niczego ciężkiego - uprzedziła go, podając adres. - To szóste piętro bez windy. A schody są karkołomne.

- Brzmi zachęcająco. Uwielbiam takie stare domy.

- Spodoba ci się - zapewniła go z przekonaniem.

- Miło będzie zobaczyć razem kawałek Paryża. Kocham cię, Ally.

- Ja też cię kocham, Todd.

- Dobranoc, dziecinko.

- Dobranoc.

Odłożywszy słuchawkę, Allegra wzięła głęboki oddech. Dzięki rozmowie z Toddem poczuła się znacznie lepiej. Nagle przypomniała sobie, że nie udało jej się skontaktować z Jasonem. Wybrała numer pracowni. Bez odpowiedzi. Spróbowała zadzwonić na jego komórkę i telefon domowy. Również bez skutku. Postanowiła nie zostawiać wiadomości, tylko spróbować ponownie, ale z tego także zrezygnowała po namyśle. Nie chciała sprawiać wrażenia, że histeryzuje. Ostatecznie, cóż się mogło zdarzyć przez zaledwie parę godzin?

R o z d z i a ł 9

Kilka przecznic dalej Gerard, kamerdyner Ramtane'a Tadjera, narzucił jedwabny szlafrok na ramiona swego pana.

- Mam panu przygotować ubranie na jutro? - zapytał.

- Hm... - Ram zastanawiał się chwilę, zanim mu odpowiedział. - Nie trzeba, Gerard.

Następne dwa dni miały być wyjątkowe i Ram zamierzał osobiście dokonać wyboru garderoby. Na oględziny eksponatów i samą aukcję planował włożyć swój najelegantszy garnitur. Nie obchodziło go, kto wie o jego udziale w licytacji. Był skłonny zapłacić każdą cenę, byle zdobyć pierścionek księżniczki Karimy. Poza tym zakładał, że skaza na kamieniu odstraszy niektórych pośredników i kolekcjonerów.

- Życzy pan sobie zjeść śniadanie o zwykłej porze? - odezwał się znów Gerard.

- Tak jak zwykle.

- Doskonale, proszę pana. - Kamerdyner skierował się do wyjścia.

Ram sięgnął po pilota od plazmowego telewizora.

- Jeszcze jedno, Gerardzie - zwrócił się do służącego, zatrzymując go w progu. - Przynieś mi butelkę armaniaku.

- Oczywiście, proszę pana. - Gerard wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Ram owinał się szlafrokiem, zawiązując luźno pasek, i wsunął stopy w miękkie jedwabne pantofle. Nacisnął guzik w pilocie i wielki ekran bezszelestnie zsunął się z sufitu na ścianę nad kominkiem, zasłaniając obraz Braque'a. Ułożywszy się wygodnie na świeżo zasłanym empirowym łożu, Ram włączył kanał wiadomości, właściwie jedyny, jaki w ogóle oglądał.

Gerard wrócił z butelką armaniaku i kryształowym kieliszkiem na srebrnej tacy. Ustawił tacę na nocnym stoliku, obok karafki z wodą i szklanki, które stały tam zawsze, codziennie wymieniane na świeże. Nappełnił kieliszek.

- Coś jeszcze, proszę pana? - spytał.

- Nie, dziękuję, Gerardzie - odprawił kamerdynera, nie odwracając głowy.

Pogratulował sobie w myślach, że zatrudnił tego dobrze wykształconego młodego człowieka. Podobnie jak cała reszta personelu zajmującego się domem Rama, Gerard pracował kiedyś w bardzo nobliwym domu; w jego przypadku był to dom starego barona de Beaufre. Kiedy baron umarł, Ram nie zwlekał ani chwili; korzystając z takich okazji jak śmierć, rozwód lub nagła katastrofa finansowa poprzedniego pracodawcy zdołał zgromadzić najlepszą służbę w Paryżu. Wszyscy byli dobrze wykszoleni, pracowici, lojalni i, co najważniejsze, dyskretni. Ram nie musiał się martwić, że z jego domu wypłyną jakieś plotki, ale też nie dawał swoim ludziom zbyt wiele pożytki do snucia jakichkolwiek domysłów.

Gerard był tu wyjątkiem, jako że miał za zadanie dbać o porządek w mieszkaniu na rue des Rosiers, a czasami też wyręczał Rama w pozbywaniu się kłopotliwych kochanek lub prostytutek.

Pamiętając taśmę, którą włożył wcześniej do odtwarzacza, uruchomił urządzenie. Sięgnął po kieliszek i z upodobaniem pociągnął łyk trunku, a potem zgasił lampkę przy łóżku.

Na ekranie pojawiła się Denise; oblizywała zmysłowo czerwone usta, długie jasne włosy spływały jej na ramiona. Wystawiała blade piersi o dużych brodawkach prosto do kamery, a kiedy się poruszyła, widać było także wydepilowany wzgórek łonowy.

Ram natychmiast poczuł mrowienie w lędźwiach. Była taka piękna ze swą mlecznobiałą skórą, blond włosami i niebieskimi oczyma. Prawdziwy ideał zachodniej urody. Zepsuta dziwka. Bawiła go i podniecała zarazem świadomość, że Denise nie miała pojęcia, że to wszystko zostało sfilmowane.

To, co jej zrobiłem, jest niczym, w porównaniu z tym, co zrobię pewnej rodzinie, kiedy będę już miał ten pierścionek. Niczym.

Nie odrywając wzroku od ekranu, pociągnął kolejny łyk armaniaku. Oczy mu błyszczały w ciemności, ożywione nie tyle żądzą, co poczuciem mocy. Na długo przed końcem filmu wyłączył odtwarzacz, rozluźniony i usatysfakcjonowany. Nie potrzebował więcej pić, by dobrze spać tej nocy.

- Powinnam dostać czek z Dufour za jakieś dwa tygodnie. Może nawet szybciej - powiedziała księżniczka Karima do telefonu. Ściszyła

głos do konspiracyjnego szeptu, mimo że była zupełnie sama w swej ogromnej sypialni.

- Przeleję pieniądze na konto w Luksemburgu, gdy tylko wpłyną na mój rachunek. Reszta zależy od ciebie.

Zaciągnęła się nerwowo papierosem, wsłuchana w głos rozmówcy. Podeszła do toaletki po drinka, którego tam zostawiła. Napiła się i usiadła, odgarniając z twarzy kosmyki włosów.

- Nie masz się o co martwić - powiedziała z lekkim zniecierpliwieniem. - Zadzwoń do ciebie, jak tylko wyślę przelew. - Usłyszała skrzypnięcie drzwi; w lustrze toaletki ujrzała sylwetkę służącej. - Chwileczkę - rzuciła do telefonu. - O co chodzi, Mimi?

- Chciałam tylko pościelić pani łóżko, *madame*. Karima odprawiła ją niedbałym machnięciem.

- Nie trzeba, Mimi.

- Dobrze, *madame*. - Staruszka ugięła artretyczne kolana w karykaturze dygnięcia i zawróciła do drzwi.

- Mimi?

- Tak, *madame*?

- Nie przeszkadzaj mi już dzisiaj - poleciła księżniczka. - Nie będę odbierać żadnych telefonów, choćby nie wiem kto dzwonił.

Rozumiesz?

- Oczywiście, *madame*.

- A teraz zostaw mnie samą.

Mimi posłusznie wyszła, zamykając za sobą drzwi. Księżniczka Karima podjęła przerwana rozmowę.

- Przepraszam, mów dalej. - Przez chwilę słuchała w milczeniu, po czym ciężko westchnęła. - To jakaś paranoja. Jeśli są jakieś powody do zmartwienia, to po twojej stronie, nie mojej. - Wsunęła kolejnego papierosa w mocno umalowane usta i zapaliła, studiując odbicie swej egzotycznie pięknej choć nie najmłodszej twarzy. - Nie dzwoń do mnie więcej - powiedziała w końcu tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Chyba że będzie coś naprawdę pilnego. Ale dopiero po załatwieniu sprawy w Luksemburgu. A teraz muszę już kończyć. - Nie dodając ani słowa pożegnania, wyłączyła telefon i odłożyła na blat toaletki. Następnie zgasła papierosa i napiła się jacka danielsa z lodem.

Zaczęła zdejmować po kolei pierścionki, które miała na palcach. Uważała je za zwykłe błyskotki, niegodne tego, by je łączyć z jej sławnym imieniem i przez to nie warte wystawienia na aukcji. Brylant oprawiony w żółte złoto, wyrób Harry'ego Winstona, gładka obrączka, pospolity pierścionek z rubinem, niebieskim szafirem i brylantem, oraz wielki oliwin od Bułgariego. Wrzuciła je do szkatułki w kształcie muszli, zaprojektowanej przez hrabiego Fulco di Verdure w latach pięćdziesiątych. Dostała ją w prezencie od Stefano. Zajrzawszy do środka, w pierwszej chwili przeraziła się, nie widząc szmaragdu, ale zaraz sobie przypomniała, dlaczego go tam nie ma.

Zaśmiała się gardłowo. Gdyby ludzie z galerii Dufour wiedzieli to, co ona...

Świat został powiadomiony, że księżniczka Karima wyzbywa się ziemskich dóbr, ale tylko głupcy mogli wierzyć, że kobieta oddałaby wszystkie swoje świecidełka na cele dobroczynne.

Przypudrowała lekko twarz i sięgnęła po buteleczkę z perfumami Golconda. Potarła korkiem za uszami i po szyi i obficie skropiła się między piersiami i na udach.

Słyszając, że drzwi się otwierają, spojrzała w lustro. Gość zbliżył się powoli, stanął za nią i położył jej dłonie na ramionach. Następnie pochylił się i delikatnie pocałował ją w czubek głowy.

- Pachniesz cudownie - odezwał się niskim, zmysłowym głosem.

Odwróciła się do niego twarzą. Rozpięte guziki jedwabnej koszuli odsłaniały jej krągłe piersi o lekko sterczących brodawkach.

- Zdejmij ubranie - rozkazała.

Marynarka, krawat, koszula i podkoszulek wylądowały na podłodze. Stał przed nią, dumnie prezentując muskularny tors, napinając bicepsy. Miał naturalnie oliwkową cerę, ale dodatkowo był mocno opalony.

Napawając się widokiem jego męskiej urody, oparła się o toaletkę, przechylając głowę na bok.

- Zapal mi papierosa. - Wskazała na złotą papierośnicę leżącą koło lustra.

Kiedy posłusznie spełnił polecenie, zaciągnęła się głęboko, wypuszczając dym nosem.

- Dokończ rozbieranie.

Ściągnął buty, skarpetki i na końcu spodnie. Nie miał na sobie bielizny.

Księżniczka Karima popatrzyła na niego wyniośle, ale oczy jej pałały. Z zadowoleniem dostrzegła, że jest podniecony; nie obchodziło jej, czy bardziej jej ciałem, czy gotówką, której mógł się spodziewać na zakończenie wieczoru. Miała świadomość, że wiek nie dodaje jej urody, ale nie zamierzała zniewalać swoim czarem. Pragnęła poczuć nad nim władzę. Nie bez znaczenia była też fizyczna satysfakcja, na jaką bez wątpienia mogła liczyć za tak sutą gratyfikację.

- Pocałuj - rozkazała, wskazując wymalowanym paznokciem swą prawą pierś.

Ukląkł i spełnił żądanie. Potem spojrział na nią, w milczeniu czekając na sygnał, co ma robić dalej. Białka oczu i idealnie równe zęby odcinały się wyraźnie na tle śniadej twarzy. Nagle przypomniała sobie jego imię. Yamal.

Rozsunęła nogi, jednocześnie wysuwając biodra do przodu. Zaskoczenie, które pojawiło się w jego oczach, szybko ustąpiło miejsca nieskrywanej żądzy. Zadowolona z jego reakcji, dała mu znak, by przystąpił do rzeczy. Kiedy przywarł twarzą do jej łona, pogładziła go po szorstkich czarnych włosach.

Czując wzbierający dreszcz rozkoszy, odchyliła głowę do tyłu. Myślała o tym, że osamotnienie związane z wyborem nowej ścieżki duchowej pozwoli jej znacznie wzbogacić swoje życie erotyczne. Z dala od wścibskich oczu świata będzie mogła się zabawiać jak jeszcze

nigdy dotąd, jednocześnie zyskując szacunek za działalność dobroczynną. Prasa będzie mnie uwielbiać, myślała, napierając z całych sił na twarz Yamala i zaciskając palce na jego kręconych czarnych włosach.

Kitty prawie nie odpowiedziała na wesołe powitanie Hiltona. Wpatrywała się we włoskie wydanie „Vogue'a”, jakby na jego stronach odkrywano sekret nieśmiertelności.

Whitehead kątem oka dostrzegł jej ponurą minę i wydęte usta. Domyślił się, że jest zirytowana. Rozbawiło go tak dziecinne zachowanie, ale nie odważył się głośno roześmiać. Zdjął krawat i powiesił na oparciu krzesła.

Postanowił nie mówić Kitty o tym, co zaplanował. To miała być największa niespodzianka w jej życiu. Nie mógł się jednak doczekać, żeby zobaczyć wyraz twarzy kochanki, kiedy wręczy jej szmaragdowy pierścionek księżniczki Karimy.

Spoglądał przez szklaną ścianę na wieczorne światła Manhattanu i rozbierał się, pogwizdując pod nosem. Za jego plecami Kitty gwałtownie zamknęła „Vogue” i rzuciła magazyn na podłogę.

- Mógłbyś przestać? - odezwała się zrzędlwym głosem.
- O co ci chodzi, moja piękna?
- O gwizdanie. Doprowadza mnie do szału. Okropnie fałszujesz.
- Hm, jesteś pierwszą kobietą, która narzeka na moją muzykalność - wyznał dobrodusznie.

- W takim razie wszystkie poprzednie musiały być głuche jak pień - odparła cierpko.

Popatrzył na nią z uśmiechem.

- Myślałem, że idziemy na kolację do Swifty'ego. Czemu nie jesteś ubrana?

Zmieniła pozycję na łóżku, odwracając wzrok.

- Chyba nie jestem dziś w nastroju.

- Dlaczego? Przecież jeszcze przed chwilą miałaś ochotę tam pójść. Co się stało?

- Nic - pisnęła. - Po prostu... nie mam co na siebie włożyć.

- Co takiego? - zaśmiał się. - Jezu, Kitty, masz więcej ubrań, niż można znaleźć u Bloomingdale'a.

- Nie chodzi o ubrania.

- Więc o co, u diabła?

- O... o biżuterię. Nie mam nic nowego, żeby założyć do Swifty'ego, a wiesz, jakie są te suki z towarzystwa. Będą uważnie obserwować, co mam na sobie, zwłaszcza biżuterię, i stanę się pośmiewiskiem, jeśli zobaczą mnie dwa razy w tym samym.

- O, cholera. - Wciąż chciało mu się śmiać. - Połowa tych starych krów, które tam siedzą, ma za słaby wzrok, żeby dojrzeć, czy w ogóle włożyłaś jakąś biżuterię, a druga połowa nosi wytarte naszyjniki z pereł i nieoszlifowane diamenty, które odziedziczyły przed stu laty. Masz chyba więcej biżuterii niż jakakolwiek kobieta w Nowym Jorku.

Poderwała się z pościeli; oczy pałały jej niepohamowaną złością.

- To kłamstwo! - wykrzyknęła. - Daleko mi do większości kobiet w Nowym Jorku. Bardzo daleko.

Już całkiem rozebrany, Hilton podszedł do łóżka i usiadł obok Kitty. Położył jej ręce na ramionach.

- Daj spokój, kochanie - powiedział łagodnie. - Nie chciałem cię zdenerwować. Wiem, że są w Nowym Jorku kobiety, które mają więcej biżuterii od ciebie. Zawsze będzie ktoś, kto ma więcej. Więcej pieniędzy, więcej ubrań, więcej biżuterii, lepsze auto albo apartament, większy jacht. Powiedz, o co naprawdę chodzi. Jeśli grasz w jakąś grę, w której zawsze musisz mieć najwięcej i najlepsze, to jesteś w złym miejscu. Nie jestem zainteresowany tą zabawą.

Kitty zrozumiała, że posunęła się za daleko, więc szybko postarała się go udobruchać. Pogładziła Hiltona czule po policzkach.

- Nie chodzi mi tylko o to - powiedziała, patrząc mu w oczy. - Wiesz, że nie jestem taka. Po prostu... czasami próbuję sobie zrekompensować to, że dorastałam w biedzie. A większość tych kobiet miała wszystko przez całe życie. Przyznaję, że chcę zrobić na nich wrażenie, po części z własnej potrzeby, ale też ze względu na ciebie. Chcę, żebyś był dumny z kobiety idącej u twego boku. Przez cały czas staram się wyglądać jak najlepiej dla ciebie.

- Och, Kitty - szepnął, rozbrojony jej wyznaniem. - Wiem, co masz na myśli. Jesteś najpiękniejszą kobietą w Nowym Jorku. Boję się tylko, że stracisz umiar, próbując dorównać Jonesom. - Pocałował ją czule, wdychając egzotyczny zapach perfum.

Kitty gorliwie odwzajemniła pocałunek, zarzucając Hiltonowi ręce na szyję.

- Przepraszam - szepnęła. - Wiesz, że nie chciałam cię zmartwić.

Odsunął ją od siebie na odległość ramienia i spojrzał jej prosto w oczy.

- A teraz mi powiedz, o co chodzi - zażądał. - Co to znaczy, że nie masz biżuterii.

-No... - zaczęła, szukając w głowie odpowiednich słów. - Przyznaję, że mam sporo klejnotów. Ale niewiele szmaragdów.

Hilton mimowolnie zachichotał.

- Mów dalej.

- I żaden z nich... żaden z nich nie jest sławny, Hilto-nie.

Wszystkie są nowe. Nie mają ciekawej historii, o jakiej zawsze piszą w tych katalogach aukcyjnych. A spotkałam tu, w Nowym Jorku, kobiety noszące biżuterię, która kiedyś należała do Marii Antoniny. Albo do cesarzowej Józefiny.

- Do kogoś takiego jak księżniczka Karima - podsunął chytrze.

- Właśnie. - Pokiwała głową.

- A zbliża się aukcja, na której będą sprzedawać jej klejnoty, tak?

Kitty znów przytaknęła; długie czarne włosy zafalowały wokół jej głowy.

- W tym tygodniu - powiedziała. - Jutro można obejrzeć eksponaty w Dufour w Paryżu.

- Rozumiem. - Sytuacja wydawała mu się coraz bardziej zabawna. Kitty wpatrywała się w niego oczyma pełnymi nadziei.

- Może zobaczę, co się da zrobić - westchnął. - Sam nie wiem. Wiesz, że ceny są astronomiczne.

- Ale to pochodzenie - przypomniała mu Kitty. - W dzisiejszych czasach nie znajdzie się nic lepszego. To najważniejsza wyprzedaż biżuterii od czasu śmierci księżnej Windsoru. Księżniczka Karima jest jedną z największych współczesnych legend.

- W tym muszę ci przyznać rację - powiedział ugodowo. No dobrze - dodał, przyciągając ją do siebie. - Zobaczą, co się da zrobić. Ale pamiętaj, nie obiecuję niczego.

Kitty poczuła coś w rodzaju radosnego ożywienia.

- Rozumiem. Żadnych obietnic. - Dotknęła ustami jego warg. - Ale... ale gdyby była możliwość, Hiltonie... to ja naprawdę marzę o szmaragdach.

- Zobaczymy - wymruczał, przenosząc usta na jej szyję.

Kitty odrzuciła głowę do tyłu, prężąc piersi. Hilton natychmiast odpowiedział na tę zachętę, obejmując ustami różową brodawkę. Kochali się namiętnie, niemal gwałtownie.

Nasytzeni, leżeli bez ruchu, spleceni ciasno ze sobą.

- Jesteś pewna, że jednak nie chcesz iść do Swifty'ego?

- Cokolwiek ty zechcesz - odparła Kitty ugodowo. Przyjrzał jej się z uśmiechem.

- Cóż, skoro nie masz żadnych nowych klejnotów, które mogłabyś założyć na tę okazję, to może powinniśmy poczekać, aż będziesz miała coś, czym znokautujesz te baby. Jak myślisz?

Kitty omal nie podskoczyła na łóżku z podniecenia.

- Myślę, że jesteś genialny! - zawołała z radością. Hilton ukląkł na łóżku, koło jej głowy.

- Genialny - powtórzył szeptem, jakby do siebie. Kitty od razu wiedziała, czego od niej chce. Przesunęła

zmysłowo językiem po wydatnych wargach. Ten szmaragd już należy do mnie, pomyślała, przysuwając twarz do bioder Hiltona.

Scandalous

R o z d z i a ł 1 0

Allegra ubrała się klasycznie - w proste czarne spodnie i żakiet, a do tego kaszmirowy golf i czarne botki na wysokim obcasie. Nie włożyła żadnej biżuterii poza zegarkiem. Nie chciała zwracać na siebie uwagi podczas oglądania pierścionka przed aukcją, a nawet drobiazg zrobiony przez nią mógł przyciągnąć czyjś wzrok przy tego rodzaju okazji.

Chciała jak najszybciej znaleźć się na ulicach Paryża; owinęła szyję grubym szalem, włożyła zimowy płaszcz, zarzuciła torebkę na ramię i wyszła z domu, postanawiając zjeść coś przed wizytą u *monsieur* Lenoira w Citibanku, niedaleko placu Vendome. W małej kafejce przy rue des Archives zajęła miejsce przy stoliku obok okna, skąd mogła obserwować nieustającą paradę przechodniów na chodnikach. Zamówiła mocną francuską kawę i croissan-ta, którego posmarowała masłem i twardą pomarańczową marmoladą. Do kawy dodała dwie kostki cukru i gęstą śmietankę. Rozejrzawszy się po klientach zgromadzonych w lokalu, zauważyła, że mieszczą się w ramach wiekowych od osiemnastu do osiemdziesięciu lat; większość była modnie ubrana, niektórzy czytali codzienną gazetę.

Uregulowawszy rachunek, szybko wyszła z kafejki i udała się na pobliski przystanek metra przy Hotel de Ville. Było tam znacznie czystiej i na oko bezpieczniej niż w podobnym miejscu w Nowym Jorku.

Wysiadła z metra przy Tuileries i rażnym krokiem podążyła w stronę banku. W holu okazałej budowli od razu zwróciła się do umundurowanego strażnika.

- Gdzie znajdę *monsieur* Lenoira?

Strażnik wskazał na odgrodzone liną miejsce po prawej stronie, gdzie za dużymi biurkami pracowało kilka osób. Kiedy Allegra tam podeszła, jedna z nich, młoda kobieta, spojrzała na nią pytająco i zagadnęła.

- *Mademoiselle*?

- Szukam *monsieur* Lenoira - powtórzyła Allegra.

- Jest pani umówiona? - spytała kobieta po angielsku.

- Nie - odparła Allegra, zastanawiając się, skąd nieznajoma mogła wiedzieć, że ma do czynienia z Amerykanką. - Ale pan Lenoir się mnie spodziewa. Załatwiam tu sprawy dla pana Hiltona Whiteheada.

- Chwileczkę. - Kobieta podniosła się zza biurka.

Wysoki, przystojny młody człowiek o ciemnych, gładko zaczesanych do tyłu włosach, podszedł do Allegry z wyciągniętą ręką. Był opalony i wyglądał bardziej na sportowca niż pracownika banku.

- Panna Sheridan? - upewnił się, obrzucając ją taksującym, acz pochlebny spojrzeniem.

Allegra uścisnęła podaną dłoń.

- *Oui* - potwierdziła.

Uśmiechnął się uprzejmie, odsłaniając piękne zęby.

- Wszyscy tu mówimy po angielsku - wyjaśnił. - Jestem Richard Lenoir. Miło mi panią poznać. Zechce pani pójść ze mną?

Zaprowadził ją do wyłożonego wiśniową boazerią gabinetu, zamknął drzwi i wskazał Allegrze miejsce naprzeciw biurka.

- Proszę bardzo - zachęcił.

Usiadła na wygodnym skórzanym fotelu i wyjęła z torebki kopertę, którą dał jej Hilton.

- To potrwa tylko chwilkę - zapewnił monsieur Lenoir.

- Rozmawiałem z panem Whiteheadem i jego asystentką panią Javelle wczoraj. Potrzebuję jedynie pani kopii akredytywy, a następnie podpisu na formularzu.

- Tutaj jest wymagany dokument. - Podała mu kopertę.

- Doskonale. Dziękuję.

Przyglądała się, jak przeglądał zawartość koperty, a potem szukał czegoś w niewielkiej stercie papierów na biurku.

- Pani Javelle przysłała mi faksem kopię - wyjaśnił - ale musimy mieć oryginał. O, tu jest. - Podsunął jej wyjętą ze stosu kartkę. - Proszę podpisać w linijce, gdzie jest krzyżyk. - Podał jej wyglądające na drogie wieczne pióro.

Allegra podpisała dokument we wskazanym miejscu.

- Dziękuję. Pani Javelle mówiła, że pan Whitehead zadzwoni do mnie jutro. Wspomniała, że wypisze pani czek na bardzo wysoką sumę z tego rachunku.

- Owszem - przyznała Allegra. - Z pewnością powiedziała panu również, że czek musi być honorowany natychmiast.

Potwierdził kiwnięciem głowy.

- W przypadku pana Whiteheada nie stanowi to żadnego problemu. Jest naszym cenionym klientem i wiele razy świadczyliśmy mu podobne usługi. Mamy też bezpieczne skrytki depozytowe, gdyby pani takiej potrzebowała.

- Świetnie. Prawdopodobnie jutro dokonam wypłaty w jego imieniu, a potem przyniosę tu coś na przechowanie do piątku. W piątek rano planuję wyjechać.

- O, tak szybko?

- Niestety.

- Niedługo pani zabawi w Paryżu - zauważył z żalem.

- Tak czy inaczej, proszę się nie martwić, bo z naszej strony nie będzie żadnych problemów, zapewniam panią. Aha, tu jest kluczyk do pani skrytki depozytowej.

- Dziękuję. - Schowała kluczyk do torebki.

- To wszystko - oświadczył, podnosząc się zza biurka. - Miło było panią poznać. Gdybym mógł się pani jeszcze na coś przydać tu, w Paryżu, chętnie służę.

Znów się uśmiechnął; Allegra odniosła wrażenie, że jego propozycja wykraczała poza ramy czysto zawodowe.

- Chyba to już wszystko, czego potrzebowałam.

- Miło było panią poznać - powtórzył. - Może jeszcze się spotkamy.

- Może. - Dostrzegła wyraźny błysk w jego oczach.

Wychodząc z banku, nie mogła powstrzymać uśmiechu. Niektóre kobiety z pewnością poczułyby się urażone bezpośredniością *monsieur* Lenoira, ale ona odbierała to jako komplement.

Zatrzymała przejeżdżającą taksówkę, usadowiła się na tylnym siedzeniu i podała kierowcy adres domu aukcyjnego Dufour, który znajdował się niedaleko, przy rue de Richelieu, w rejonie zwanym les Grands Boulevards. Nadszedł czas, by obejrzeć przedmiot licytacji i ta perspektywa nagle wydała się Allegrze podniecająca.

Taksówka wkrótce zatrzymała się przed Hotel des Ventes Dufour, szacowną neoklasyczną budowlą z szarego kamienia. Oglądany z zewnątrz gmach kojarzył się z solidnością i niechęcią do rozgłosu bogactwem. Allegra wiedziała jednak, że w środku, w dwudziestu słynnych salach aukcyjnych, atmosfera bywa gorąca, nawet burzliwa, kiedy licytowane sumy osiągają niebotyczną wysokość, a codziennie o drugiej po południu wystawiano tam na aukcję różne skarby.

Zapłaciła taksówkarzowi i z mocno bijącym sercem weszła do środka. Zatrzymała się przy stanowisku informacji, gdzie atrakcyjna młoda blondynka w apasze od Hermesa przyjrzała jej się zza okularów w szylkretowej oprawie.

- *Vente des bijoux?* - zapytała Allegra po francusku.

- Na ostatnim piętrze - odpowiedziała kobieta nienaganną angielszczyzną. - Windy są na wprost.

- *Merci.* - Allegra zastanawiała się, skąd te ciągłe utyskiwania Amerykanów, że Francuzi upierają się przy używaniu własnego

języka. Przyszło jej do głowy, że być może od razu przechodzą na angielski, żeby nie słuchać jej nieporadnych wysiłków. Miała świadomość, że zna francuski, delikatnie mówiąc, dość słabo, ale była gotowa posługiwać się nim, kiedy tylko będzie to możliwe.

Chwilę później, wysiadłszy z windy, znalazła się w korytarzu, z którego kilkoro drzwi prowadziło do ogromnych sal wystawowo-aukcyjnych. Otworzyła pierwsze z nich i ujrzała tłum składający się z dobrze ubranych, zadbanych mężczyzn w średnim i starszym wieku oraz eleganckich kobiet w strojach od najlepszych projektantów mody. Kobiety były w podobnym wieku co towarzyszący im panowie, choć można było wśród nich dostrzec także kilka młodszych piękności.

Rozmowy prowadzono szeptem, a wszystkie oczy skierowane były na biżuterię eksponowaną w szklanych gablotach. Najcenniejsze egzemplarze wystawiono pojedynczo, w kasetach ze szkła pancernego, umieszczonych na postumentach. Allegra wiedziała, że pierścionek, którego szuka, musi być prezentowany w taki właśnie sposób, postanowiła jednak nie szukać go już teraz, tylko najpierw przejść się po sali, zerkając na inne wystawione klejnoty.

Jak wiele razy wcześniej, podczas aukcji w Nowym Jorku, zdumiała ją niesłychana ilość pięknych i cennych przedmiotów, dostępnych w każdej chwili dla ludzi, którzy mogli sobie pozwolić na taki luksus. Po mniej więcej półgodzinie oglądania prezentowanej tam biżuterii Allegra miała wrażenie, że zaczyna jej się mienić w oczach,

więc zdecydowała, że czas w końcu rzucić okiem na pierścionek i zarejestrować się przed licytacją.

Podeszła do miejsca, gdzie wyłożone były katalogi i odszukała numer interesującego ją eksponatu. Następnie rozejrzała się i wolno, klucząc pośród tłumu, przeszła do części sali, gdzie zgromadzono najcenniejsze okazy.

Dotarła do gabloty numer dwadzieścia cztery i przystanęła za parą oglądającą pierścionek. Szmaragd księżniczki Karimy połyskiwał na wyściółce z czarnego aksamitu. Z całą pewnością nie był to zwykły klejnot. Ciemnozielony kolor, czystość i szlif należały do wyjątkowo pięknych. Allegra przypuszczała, że kamień pochodzi z Kolumbii, choć niekoniecznie musiało tak być. Szmaragdy wydobywano w wielu krajach, między innymi w Indiach, Brazylii i Egipcie. Na pierwszy rzut oka wydawał się idealny, ale niezmiernie rzadko trafiały się szmaragdy bez żadnej skazy. Często używano oleju, żeby ukryć pęknięcia, pogłębić kolor i zamaskować inne niedoskonałości.

Chciała obejrzeć pierścionek z bliska, więc zwróciła się do strażnika, który miał klucze do kaset.

- *Monsieur* - zagadnęła go, wskazując interesujący ją eksponat. - *L'éméraude, s'il vous plait?*

Strażnik popatrzył na nią bacznie, a potem bez pośpiechu sięgnął po klucz. Wyciągnęła z torebki zamszowe etui, w którym trzymała lupę. Na szczęście para podziwiająca wcześniej pierścionek zdążyła się oddalić, więc Allegra mogła przyjrzeć się klejnotowi w spokoju.

Strażnik otworzył zamek, wyjął pierścionek i podał jej uprzejmie. Umieściła lupę w prawym oku i powoli przybliżyła do niej klejnot. Przez dłuższą chwilę uważnie oglądała kamień, obracając go w palcach w różne strony. Wreszcie odetchnęła głęboko. Następnie przyjrzała się pierścionkowi bez lupy, trzymając go na rozpostartej dłoni.

Nie wiedzieć czemu, ogarnął ją lekki niepokój. Nie potrafiła określić jego przyczyny, ale widok kamienia trochę ją zaskoczył.

Jedno nie ulegało wątpliwości. Szmaragd nie był idealny. Kolor i szlif bez zarzutu, ale sam kamień miał skazę, której nikt nawet nie próbował zatuszować, co wydawało się dziwne. Większość jubilerów na świecie użyłoby w tym celu oleju.

Jeszcze raz umieściła lupę w oku i przysunęła do niej pierścionek. Wpatrując się w skazę, poczuła dreszcz przebiegający po kręgosłupie. Nigdy w życiu nie widziała czegoś takiego.

Oddała pierścionek strażnikowi.

- *Merci, monsieur.*

- Bardzo proszę - odpowiedział po angielsku.

Allegra ponownie sięgnęła po katalog. Odszukała właściwą stronę i spojrzała na zdjęcie. Potem przebiegła wzrokiem opis, w którym wspomniano o skazie. Nie napisano nic o pochodzeniu klejnotu poza tym, że należy do księżniczki Karimy. Zupełnie nic.

Jakby kamień nie istniał, zanim ta kobieta go kupiła. To jednak nie było takie dziwne. Ostatecznie w katalogach często pomijano poprzednich właścicieli, jeśli nie byli odpowiednio sławni lub bogaci.

Allegrę kusiło, by przed zarejestrowaniem się na licytację zapytać któregoś z ekspertów z Dufour o szczegóły dotyczące historii pierścionka. Z pewnością musieli wiedzieć więcej, niż napisali w katalogu. Po głębszym zastanowieniu zrezygnowała jednak z tego. Jej zadaniem było kupienie pierścionka na aukcji. Tylko tyle. Poza tym nie chciała zwracać na siebie uwagi niepotrzebną dociekliwością.

Mogła sobie wyobrazić, że wiadomość o jej szczególnym zainteresowaniu klejnotem szybko by się rozeszła. „Jakaś młoda kobieta wypytuje o szmaragd księżniczki Karimy. Uważajcie na nią”. Jeden ekspert powiedziałby coś takiego drugiemu, nieuchronnie dowiedzieliby się o tym potencjalni kupujący i nazajutrz wszystkie oczy skierowane byłyby na nią.

Podeszła do jednej z kobiet dyżurujących przy gablotach, również blondynki, z podobną apaszką od Hermesa na szyi. Ta jednak miała ponurą minę.

- *S'il vous plait...* - zaczęła Allegra.

- Mówię po angielsku - przerwała jej kobieta.

- Gdzie mam się zarejestrować na licytację? - spytała Allegra.

- Na parterze. Zobacz pani tablicę przy stanowisku informacji.

- *Merci* - odpowiedziała Allegra pogodnym tonem, nie zważając na odpychający wyraz twarzy swej rozmówczynie. Zjechała windą na dół, odszukała miejsce, gdzie prowadzono rejestrację, i wypełniła stosowne formularze. Siedząca za biurkiem kolejna blondynka wpisała coś w puste kratki.

- *Vingt-neuf*- rzuciła krótko.

- *Excusez-moi?* - odezwała się grzecznie Allegra. - Będzie pani miała numer dwadzieścia dziewięć - wyjaśniła kobieta z irytacją.

- *Merci.*

Allegra wyszła z domu aukcyjnego na rue de Richelieu i odetchnęła głęboko świeżym powietrzem. Wciąż czuła dziwny niepokój związany ze skazą na kamieniu, ale w żaden sposób nie potrafiła określić, skąd się brał.

Ruszyła przed siebie ulicą, nie wiedząc, dokąd właściwie zmierza. Mimo szarego nieba i dokuczliwego wiatru, cieszył ją spacer po słynnym mieście. Wkrótce minęła bibliotekę narodową i zbliżyła się do Palais Royal. Przeszła pod arkadami do ogrodu ukrytego wewnątrz murów dawnego pałacu. Wprawdzie rośliny ze względu na porę roku pozbawione były liści, lecz i tak starannie rozplanowany i utrzymany ogród wyglądał pięknie. Postanowiła przejść się wokół kolumnady otaczającej ogród z czterech stron i z radością odkryła, że jest tam sporo ciekawych sklepów.

Minęła kilka eleganckich butików, oczarowana wspaniałościami prezentowanymi na wystawach. W jednym z nich, sprzedającym zarówno stare, jak i współczesne męskie kamizelki, zobaczyła materiały tak piękne, że przyprawiały o zawrót głowy. Były tam też sklepy z numizmatami, akcesoriami militarnymi i sztuką nowoczesną. Zajrzała do Le Prince Jardinier, gdzie można było kupić eleganckie i odpowiednio drogie narzędzia i stroje ogrodnicze, westchnęła tęsknie, mijając restaurację Le Grand Vefour, jedną z najdroższych w Paryżu, po czym zatrzymała się przed witryną Julesa Levanta Joailliera.

Słyszała o legendarnym Levancie, ma się rozumieć, widziała też projektowane przez niego klejnoty wystawiane na aukcjach w domach Sotheby's i Christie's. Stojąc przed wystawą jego sklepu, nie mogła wyjść z podziwu dla jakości i niepowtarzalności prezentowanej tu biżuterii. To nie był sklep, gdzie można kupić stosunkowo tani drobiazg w rodzaju wiecznego pióra czy zapalniczki i potem się chwalić, że pochodzi od Julesa Levanta. Nie sprzedawano tu niczego niedrogiego, Levant nigdy nie stworzył linii wyrobów dostępnych nie tylko dla bogatych, jak to robili Tiffany, Bulgari, czy ostatnio nawet Harry Winston. Nie, Jules Levant Joaillier najwyraźniej żył w przekonaniu, że zawsze będzie dość zamożnych klientów, by jego interes się kręcił, więc nie musi się zniżać do obsługiwania pospólstwa.

Allegra nie miała zamiaru poprzestać na oglądaniu okna wystawowego, mimo że wiedziała, że nie stać ją na kupienie w tym miejscu nawet najdrobniejszej błyskotki. Nacisnęła wypolerowany metalowy dzwonek przy drzwiach i czekała, żeby ją wpuszczono do środka. Usłyszawszy brzęczyk, popchnęła drzwi i weszła do jednego z najbardziej ekskluzywnych przybytków jubilerskiego świata.

Sklep był średniej wielkości, urządzony w odcieniach beżowego różu, który - co Allegra doskonale wiedziała - stanowił dobre tło dla wyrobów jubilerskich. W powietrzu unosił się jakiś delikatny orientalny zapach. Na wspaniałym inkrustowanym bureau plat stał ogromny wazon z dziesiątkami bladoróżowych róż i lilii. Ze środka ozdobionego sztukaterią sufitu zwisał wielki kryształowy żyrandol,

rzucając setki tęczyowych błysków. Pod ścianami stały przeszklone szafki i gabloty pełne prawdziwych skarbów. Allegra zastanawiała się, od czego zacząć oglądanie, zupełnie nieświadoma tego, że dwaj mężczyźni i kobieta obserwują ją na monitorach zainstalowanych w sąsiednim pomieszczeniu.

- Oglądaczka - prychnęła kobieta, Madeleine de Chanterac. - Szkoda, że nie marnuje czasu komu innemu.

- Mój może sobie marnować - odezwał się Ali Noured-din, ruszając ku drzwiom.

- Nie - powstrzymał go Ram, wpatrując się w monitor. - Zostań tutaj, Ali. Ja się zajmę tą dziewczyną.

Otworzył drzwi i zawołał od progu:

- Witam, *mademoiselle*.

Allegra rozejrzała się za właścicielem dźwięcznego głosu, ale nikogo nie dostrzegła. Zdjęła rękawiczki i zbliżyła się do pierwszej gabloty, żeby przyjrzeć się wyłożonym tam klejnotom. Naszyjniki, bransolety i kolczyki z wielkimi kamieniami radowały oczy; nietrudno było zrozumieć, dlaczego Jules Levant stał się legendą. Wszystkie jego klejnoty, nawet te najdrobniejsze, odznaczały się wyjątkową urodą i finezją wykonania. Wzory były klasyczne, a oprawa miała drugorzędne znaczenie, najważniejsze były wspaniałe kamienie.

- *Mademoiselle?*

Wzdrygnęła się, zaskoczona. Po drugiej stronie gabloty stał niesamowicie przystojny mężczyzna. Miał kruczoczarne włosy, lekko siwiejące na skroniach, oliwkową skórę i ciemne oczy o

uwodzicielskim wyrazie. Posłał jej uśmiech, który natychmiast miało się ochotę odwzajemnić. Prawdopodobnie jest szczęśliwie żonaty z jedną z tych szykownych, smukłych kobiet, jakich pełno w całym Paryżu, pomyślała Allegra.

- Dzień dobry - odezwała się po angielsku, zapominając o swym postanowieniu, by jak najczęściej używać francuskiego.

- Jest pani Amerykanką - raczej stwierdził, nie przestając się uśmiechać.

- Owszem. Ja... tylko się rozglądam, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Ten sklep jest taki... wspaniały.

Mężczyzna nieznacznie skinął głową.

- Dziękuję. Proszę się rozglądać do woli. Co panią sprowadza do Paryża?

- Och, po prostu zwiedzam - odparła Allegra.

- Rozumiem. Z pewnością zrobi pani także zakupy.

- Być może - przyznała. - Ale nic wielkiego.

- Cóż, jeśli chciałaby pani coś obejrzeć bliżej, proszę się nie krępować.

- Nie sędzę - odpowiedziała ze śmiechem. - Jestem ubogą, pracującą dziewczyną.

- Tym bardziej powinna pani przymierzyć parę rzeczy. Każda kobieta powinna sprawdzić, jak to jest mieć na sobie najdroższe klejnoty świata, nie uważa pani?

Zupełnie ją rozbroił swoim urokiem.

- Całkowicie się z panem zgadzam, ale nie chcę marnować pańskiego czasu.

- Nigdy nic nie wiadomo. Może pewnego dnia mąż albo ukochany przyprowadzi panią do sklepu Julesa Levanta i coś pani wybierze.

Allegrze stanęła przed oczyma twarz Todda, ale jakoś nie mogła sobie wyobrazić, że prowadzi ją do tego sklepu i coś jej kupuje.

- Wątpię - powiedziała szczerze - ...ale przyjemnie popatrzeć.

- Zauważyłem, że interesował panią ten pierścionek z rubinem - sięgnął do gabloty od tyłu - otoczonym brylantami. - Podsunął jej pierścionek przed oczy. - Rubin ma dwadzieścia pięć i siedemdziesiąt setnych karata.

- Naprawdę piękny - przyznała. - Czy to birmański rubin? - Odruchowo sięgnęła do torebki po lupę.

- Skąd pani wiedziała? - Przyjrzał jej się z wyraźnym zaciekawieniem. - Kobiety, które noszą najwspanialszą biżuterię, na ogół wiedzą o niej bardzo niewiele.

- To chyba dość oczywiste? Większość najcenniejszych rubinów pochodzi z Birmy. Poza tym, ten ma wyjątkowo piękny kolor. Nie jest zbyt błyszczący jak kamienie z Wietnamu, Afganistanu czy Pakistanu, a przy tym nie ma brunatnego odcienia jak te z Tajlandii. Doskonała czerwień. Przynajmniej według mnie. - Popatrzyła na mężczyznę z uśmiechem. - Studiowałam gemologię.

- Rzadki z pani okaz - powiedział ze śmiechem.

- Dlaczego pan tak uważa? - zdziwiła się.

- Bardzo nietypowe zainteresowanie dla tak pięknej kobiety, nie sądzi pani?

Allegra poczuła ciepło rumieńców na policzkach. -Ja... no cóż, dziękuję panu, ale z pewnością wiele ładnych kobiet studiuje gemologię.

- Mogę zapewnić, że się pani myli. Jest parę atrakcyjnych kobiet w tej branży, ale większość z nich, że tak powiem, ma spojrzenie ze stali.

- Chyba to prawda - przyznała ze śmiechem. - Miałby pan coś przeciwko temu, bym obejrzała ten pierścionek przez lupę?

- Ależ skąd. - Podał jej klejnot. - Od razu mogę panią zapewnić, że kamień nie został poddany obróbce cieplnej dla ukrycia skaz. Jest doskonały.

- Och, wierzę panu. - Obejrzała pierścionek i odłożyła go na ladę. - Rubin jest fantastyczny, podobnie jak brylanty, które go otaczają.

- Proszę przymierzyć - zachęcił.

- Och, nie, nie powinnam...

- Nalegam - powiedział łagodnym, niemal czułym tonem. - Proszę podać mi rękę.

Allegra spełniła prośbę i natychmiast poczuła się niezręcznie. Sytuacja wydała jej się jakoś niestosownie intymna.

- Proszę, pasuje idealnie i wygląda pięknie na pani palcu.

Znów się zarumieniła.

- Jest pan... strasznie miły. Mogę spytać, ile ten pierścionek kosztuje?

- Około miliona euro.

- Mój Boże - westchnęła. - Nie sędzę, abym kiedykolwiek w życiu mogła sobie pozwolić na coś tak cennego. No cóż, w tym tygodniu nie mieści się w moim budżecie - zażartowała. - Poza tym zawsze czułam słabość do szmaragdów. Wydaje mi się, że lepiej pasują do mojej karnacji.

- Chyba ma pani rację - przyznał. - Jest tu pewien szmaragd, który chciałbym zobaczyć na pani palcu.

Puścił jej dłoń i przeszedł do innej gabloty.

- Nie, proszę dać sobie spokój - zaprotestowała Allegra. - Na pewno jest pan zajęty, a ja też muszę już iść.

- Najpierw musi pani przymierzyć ten pierścionek -nie ustępował. - Dla mnie. Muszę go zobaczyć na pani palcu.

- No dobrze. - Wzruszyła ramionami. - Skoro pan nalega. .. - Musiała przyznać, że dobrze się bawi. Nawet jako osoba z branży, rzadko miewała do czynienia z klejnotami o tak ogromnej wartości. A w dodatku ten mężczyzna roztaczał wokół siebie jakiś magnetyczny czar i wcale jej się nie chciało opuszczać sklepu.

- Proszę. - Trzymał pierścionek w taki sposób, że nie była w stanie nic zobaczyć. Dopiero kiedy otworzył dłoń i podsunął jej przed oczy, Allegra wstrzymała oddech z zachwytem.

- Niesamowity. Jeszcze nie widziałam tak wielkiego i pięknego szmaragdu.

Jubiler sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie.

- Proszę przymierzyć.

Pozwoliła, by wsunął jej pierścionek na palec. Obrączka była trochę za luźna, ale nie miało to dla Allegrы większego znaczenia. Sama świadomość, że choć przez chwilę może nosić tak wspaniałą klejnot, przyprawiała ją o zawrót głowy. Patrząc na piękny kamień, zastanawiała się, jak to jest być kochaną przez mężczyznę, który może sobie pozwolić na takie prezenty i chce je kupować.

- I co pani sądzi? - spytał z uśmiechem.

- Sądzę, że kobieta, która kiedyś dostanie ten pierścionek, będzie bardzo szczęśliwa.

- To bardzo wyjątkowy szmaragd. Dla bardzo wyjątkowej kobiety. Myślę, że pani jest tą wyjątkową kobietą.

- Chciałabym w to wierzyć, ale nie mogę sobie nawet wyobrazić siebie w takiej sytuacji - powiedziała szczerze Allegra.

Pomyślała o szmaragdzie, który miała nazajutrz kupić na aukcji. Żałowała, że nie może o tym powiedzieć właścicielowi sklepu. Zaciekawiałaby go wiadomość, że prawie na pewno to ona wylicytuje najwyższą sumę za szmaragd księżniczki Karimy. Zachowała jednak milczenie na ten temat.

- Mam pomysł - powiedział znieczeka mężczyzna.

- Jaki? - spytała odruchowo, wpatrzona z zachwytem w klejnot na swoim palcu.

- Zabiorę panią na lunch. W tym pierścionku.

- O, nie, to niemożliwe - zaprotestowała Allegra.

- Ależ możliwe. Przejdziemy za ledwie kilka kroków pod arkadami i zjemy coś razem w Le Grand Vefour.

Allegra przypomniała sobie, jak za ledwie przed chwilą zaglądała w okna tej restauracji, najdroższej w Paryżu... a może i na świecie. Zaproszenie wydało jej się kuszące.

- Proszę, niech się pani zgodzi.

- Nie mogę - odpowiedziała stanowczo. - Doceniam pańską propozycję, ale to niemożliwe. Mam... zobowiązania, których muszę dotrzymać.

- Sądziłem, że pani po prostu zwiedza miasto - przypomniał jej.

- Tak, ale... muszę załatwić kilka telefonów. - Wymówka nawet w jej własnych uszach brzmiała mało przekonująco. - I muszę się spotkać z pewnymi znajomymi, zanim wyjadą z Paryża - dodała.

- Szkoda - westchnął. - W takim razie może innym razem.

- Byłoby cudownie, ale teraz naprawdę muszę już iść.

- Tak szybko?

- Owszem, bo inaczej się spóźnię. - Spojrzała wymownie na zegarek.

Mężczyzna wyciągnął do niej rękę ponad ladą.

- Jestem Ramtane Tadjer - przedstawił się. - I miło mi było panią poznać.

- Allegra Sheridan. - Uścisnęła mu dłoń. - Cieszę się, że pana poznałam i mogłam obejrzeć te wspaniałe klejnoty.

Wzruszył ramionami.

- To naprawdę drobiazg. Cała przyjemność po mojej stronie, zapewniam panią. Nareszcie zobaczyłem moje pierścionki na dłoni pięknej młodej kobiety, wartej ich urody. Zwykle oglądałem je na pogiętych artretyzmem palcach starszych dam, które częściej stać na moje dzieła.

- Bardzo panu dziękuję - powiedziała z uśmiechem Allegra.

- Proszę wziąć moją wizytówkę. - Wyjął złote etui z wewnętrznej kieszeni marynarki. W środku znajdowały się kremowe kartoniki z jego nazwiskiem, adresem i numerem telefonu. Napisy były wydrukowane specjalną techniką - nie pospolicie wytłoczone - na welinowym papierze. - To moja prywatna wizytówka - dodał. - Może jej pani swobodnie używać w każdych okolicznościach.

Allegra wzięła od niego wytworny kartonik i sięgnęła do torebki po własną wizytówkę.

- Moja jest firmowa - uprzedziła. - Niestety, mam tylko takie.

- Studio Sheridan - odczytał, a potem wyrecytował adres i numer telefonu. - Może się pani zdziwić, jak kiedyś się do pani odezwę.

- Będzie mi miło - zapewniła. - Mogłabym panu pokazać Nowy Jork, gdyby pan tam kiedyś przyjechał.

- Często bywam w Nowym Jorku, więc może skorzystam z pani uprzejmości. Tymczasem gdyby pani miała wolną chwilę w Paryżu, proszę do mnie zadzwonić. Moglibyśmy pójść na kolację. Albo chociaż na drinka.

- Dziękuję, panie Tadjer.

- Proszę mi mówić po imieniu. Dla przyjaciół jestem Ram.

- O, piękne imię - powiedziała. - A ja dla przyjaciół jestem Ally.

- Ally - powtórzył z zadumą. - Chyba wolę „Allegra”, jeśli pozwolisz. Według mnie to imię bardziej do ciebie pasuje.

Odpowiedziała uśmiechem; po raz pierwszy usłyszała coś takiego.

- Jak sobie życzysz - powiedziała. - A teraz naprawdę muszę już lecieć.

- Proszę dzwonić bez wahania - przypomniał.

- Dobrze.

Wyszedł z za lady, żeby odprowadzić Allegrę do drzwi.

- Ciao, Allegro. - Pożegnał ją z lekkim ukłonem.

- Ciao, Ram. - Pomachawszy mu, skierowała się do najbliższego wyjścia spod arkad Palais Royal.

Ceglane mury odbijały echem stukot jej obcasów. Już na ulicy przystanąła, opierając się plecami o ścianę budynku.

O mój Boże, pomyślała, oddychając głęboko, jakby nagle zaczęło jej brakować powietrza. On jest taki czarujący i przystojny. Ale powiedziałam Toddowi, że go kocham.

Toddowi, który dopiero niedawno przestał się oglądać za innymi kobietami. A przynajmniej twierdzi, że przestał.

Ruszyła przed siebie, nie wiedząc, dokąd zmierza i starając się oderwać myśli od niesamowicie seksownego Ramtane'a Tadjera oraz Todda Halla, mężczyzny, w którym prawie na pewno była zakochana.

Wędrowała bez celu, aż w końcu postanowiła wrócić do domu, żeby się przebrać, coś zjeść i spróbować dodzwonić się do Jasona i Todda.

Allegra niemal rzuciła słuchawką; była jednocześnie zła, zaniepokojona i zmartwiona. Jason nie odpowiadał pod żadnym z numerów, a powinien już być w pracy. Tak czy inaczej, znów nie mogła się z nim skontaktować, gdziekolwiek się podziewał. To nietypowe dla niego zachowanie zaczynało ją niepokoić.

Przez chwilę krążyła po pokoju, rozważając różne możliwości. W końcu jednak doszła do wniosku, że to strata czasu i postanowiła zadzwonić do Sylvie.

Ta od razu odebrała telefon.

- Biuro Hiltona Whiteheada.

- Sylvie, tu Allegra.

- O! Tak się cieszę, że dzwonicz! - wykrzyknęła Sylvie, z wyraźniejszym niż zwykle akcentem.

- Ale co...

- Chodzi o Todda - przerwała jej Sylvie. - Kiedy przyszłam dziś rano do pracy, miałam na sekretarce nagraną wiadomość od niego. Oczywiście ją zignorowałam, ale zadzwonił ponownie.

-Todd? Ale skąd...

- Ty mi powiedz. - Sylvie znów nie dała jej dokończyć. - Skąd znał ten numer? Chyba ty mu go nie dałaś, co?

- Nie, jasne, że nie - broniła się Allegra. Sylvie objawiła jej teraz swoje zupełnie inne, nieznanne dotąd oblicze. - Jak możesz w ogóle coś takiego sugerować? Nie mówiłam...

- Nieważne. Wszystko jedno jak zdobył ten numer, ale go ma i doprowadza mnie do szału.

- Co się, u diabła, dzieje?

- Drogi Todd martwi się o ciebie - wyjaśniła zgryźliwie Sylvie. - Wygląda na to, że nie wierzy w twoją historyjkę o wyjeździe do Paryża na sesję zdjęciową i uważa, że ja coś wiem na ten temat.

- Ale nic mu nie powiedziałaś? - upewniła się Allegra.

- Oczywiście, że nie. Udawałam głupią. Tak czy inaczej, jest bardzo namolny, więc zabroniłam mu więcej dzwonić pod ten numer.

- I dobrze - pochwaliła Allegra. - Nie mam pojęcia, dlaczego do ciebie telefonował. Namawia mnie do zmiany rezerwacji na samolot, żebyśmy mogli spędzić razem weekend w Paryżu i wrócić w poniedziałek.

- *Mon Dieu*. Co mu powiedziałaś?

- Powiedziałam, że zobaczę, co się da zrobić, ale nie sądzę, by to było możliwe.

- A chcesz to zrobić? - spytała rzeczowo Sylvie.

- Nie - odparła szybko Allegra. - To znaczy... byłoby miło spędzić z nim weekend w Paryżu, tylko że jeśli będę miała ten pierścionek...

Sylvie zamilkła na chwilę, zastanawiając się nad sytuacją.

- Pierścionek będzie w banku? - Tak, ale...

- Ale nic - znów przerwała jej Sylvie. - Mogę pogadać z Hiltonem i jeśli nie ma planów na weekend, to jestem pewna, że nie będzie miał nic przeciwko temu, żebyś została do poniedziałku. Będę tylko musiała uprzedzić pilota. Moglibyście się z Toddem zabawić.

- Jesteś pewna?

- Najlepiej porozmawiam z Hiltonem od razu - zdecydowała Sylvie.

- O Boże! - wyrwało się Allegrze.

- Co znowu?

- W takim razie będę musiała wytłumaczyć Toddowi, dlaczego nie możemy wracać razem. Wiesz, jeśli będzie próbował kupić bilet na ten sam lot. Przecież nie mogę mu powiedzieć, że lecę prywatnym samolotem.

- Zanim zaczniesz się tym martwić, pozwól mi pogadać z Hiltonem. Oddzwonię do ciebie za kilka minut.

- Sylvie, jesteś cudowna.

- Po prostu wypełniam swoje obowiązki, *cherie* - odpowiedziała skromnie Sylvie. - Poza tym Todd sprawia wrażenie szaleńczo zakochanego. Jak w tej sytuacji mogłabym nie chcieć mu pomóc?

Allegra odłożyła słuchawkę, lekko oszołomiona. Sylvie zaskakująco szybko zgodziła się na opóźnienie powrotu. Allegra była ciekawa zdania Hiltona. Ostatecznie zakup pierścionka był sprawą dużej wagi i jego nowy właściciel prawdopodobnie chciał, by cenny klejnot natychmiast został przywieziony do Nowego Jorku. Z drugiej strony, gdyby Whitehead zgodził się na zmianę planów, byłaby

odpowiedzialna za pierścionek przez cały weekend. Będzie schowany w sejfie depozytowym, tłumaczyła sobie w duchu. Co złego mu się może stać w banku?

Przenikliwy sygnał telefonu wyrwał ją z rozmyślań.

- Halo.

- Tu Sylvie, *cherie*.

- Tak szybko? - Allegra nie kryła zaskoczenia.

- Owszem i mam dla ciebie dobre wieści. Właśnie skończyłam rozmowę z Hiltonem. Pozwala ci wrócić w przyszłym tygodniu, więc będziecie mogli z Toddem spędzić romantyczny weekend w Paryżu.

- Och, bardzo ci dziękuję, Sylvie. Cudownie. Teraz będę musiała jakoś wytłumaczyć Toddowi, że nie wrócimy jednym lotem.

- Nie wszystko naraz, *cherie* - zmiękczyła ją Sylvie. - Muszę kończyć. Bawcie się dobrze.

- Dzięki. Z pewnością będziemy.

Zaraz po skończeniu rozmowy z Sylvie wybrała numer komórki Todda. Odebrał po pierwszym sygnale.

- To ja - powiedziała.

Usłyszała dobrze znany odgłos przesyłanego całusa.

- Cześć.

- Jesteś niemądry - powiedziała ze śmiechem.

- Jestem zakochany - sprostował.

- A jesteś spakowany?

- Mówisz poważnie?

- Tak - zapewniła.

- Lecę do ciebie jak na skrzydłach...
- Zapomnij o skrzydłach. Po prostu przylatuj.
- Pewnie, że przylecę. Tak się cieszę, Ally.
- Ja też. No to do zobaczenia. Muszę kończyć.
- Kocham cię.
- Ja ciebie też. - Odłożyła słuchawkę i splotła ręce na piersi.

Naprawdę go kocham, pomyślała. I dobrze mi z tym.

Scandalous

R o z d z i a ł 1 1

Co...? Gdzie...? Allegra poderwała się na łóżku, zupełnie zdezorientowana; w pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie się znajduje. Dreszcz strachu, krótki jak błysk światła, przebiegł jej po kręgosłupie. Powoli dochodząc do siebie, uśmiechnęła się na miły widok słońca, które wciskało się do pokoju przez szczeliny w okiennicach.

Dziś wreszcie była ładna pogoda, więc młoda kobieta ochoczo wyskoczyła z pościeli i podeszła do okna. Rozsunąwszy okiennice, spojrzała na okoliczne dachy; prawie wszystkie miały mansardy i pokryte były jednakową szarą blachą. Dokładnie naprzeciw jej okna znajdował się mały balkonik, na który prowadziły przeszklone drzwi; dostrzegła za nimi przestronne wnętrze i kobietę z odkurzaczem, krzątającą się pośród awangardowych sprzętów i wielkich abstrakcyjnych obrazów. W dole na chodnikach tłoczyli się przechodnie, a ulicą ciągnął strumień motorowerów, skuterów i samochodów.

Zastanawiała się, która może być godzina; słońce stało wysoko na niebie, a ruch uliczny był zbyt duży jak na wczesny poranek. Odwróciła się, żeby spojrzeć na budzik przy łóżku. Wskazywał dziesiątą trzydzieści. Allegra nie mogła wyjść ze zdziwienia, że spała tak długo.

Zmartwiona późną porą, wpadła do łazienki, umalowała się i uczesała w rekordowym tempie, a potem szybko włożyła ubranie. Zbiegła po schodach na ulicę i od razu udała się do kafejki, gdzie poprzedniego dnia jadła śniadanie. Czekaając na kawę i rogalika,

przerzuciła egzemplarz „Le Monde”, pozostawiony przez kogoś, na krześle nieopodal.

Na samym środku okładki znajdowało się zdjęcie księżniczki Karimy wspartej na ramieniu Stefano Donatie-go, jej dawnego kochanka. Allegra domyśliła się, że zdjęcie musi pochodzić sprzed kilku lat, bo kobieta wyglądała na nim olśniewająco. Donati, niezbyt przystojny w potocznym rozumieniu tego słowa, emanował klasą, bogactwem, mocą i męskim czarem, co było widać nawet na tej gazetowej fotce. Oboje mieli na sobie stroje wieczorowe, jakby wybierali się na przyjęcie lub wracali z balu. Allegra od razu zwróciła uwagę na biżuterię księżniczki: naszyjnik z wielu dużych kamieni, bransoletkę stanowiącą z nim komplet oraz kilka pierścionków, spośród których ten ze szmaragdem najbardziej rzucał się w oczy.

Artykuł opowiadał o nadchodzącej aukcji, ma się rozumieć, ale jego motywem przewodnim była nowa ścieżka duchowa, na którą wkroczyła księżniczka Karima. Przeprowadzała się do niewielkiego młyna pod Paryżem i wyprzedawała wszystkie swoje skarby.

Allegra czytała z zainteresowaniem, popijając kawę. Była ciekawa, co mogło skłonić tę światową damę do tak drastycznej zmiany sposobu życia. Strach? Czyżby jako osoba wierząca bała się, że nie dostąpi zbawienia po śmierci, jeśli zawczasu się nie poprawi? A może powodowała nią po prostu nuda? Ta kobieta widziała i robiła niemal wszystko, co człowiek może robić w życiu. Może na tej nowej ścieżce szukała jedynie kolejnej rozrywki?

Po szybkim śniadaniu Allegra wyszła z kafejki i złapała taksówkę. Poprosiła kierowcę, żeby ją wysadził przy Madeleine, ponieważ miała dość czasu, by pójść stamtąd do Dufour na piechotę i przy okazji zobaczyć trochę miasta. Spacer nasłonecznionym bulwarem odprężył ją i poprawił jej nastrój. Jednak kiedy dotarła przed wyniosłą szarą fasadę domu aukcyjnego, serce znów zabiło jej szybciej ze zdenerwowania.

W co ja się wpakowałam? - zadawała sobie pytanie. Co robi zwykła projektantka biżuterii, w dodatku bez grosza, w takim miejscu, pośród takich ludzi? Jak mogłam się zgodzić na propozycję Hiltona Whiteheada, uwierzyć mu, że się do tego nadaję?

Weszła po kamiennych schodach do budynku, nie zwracając uwagi na strażników i dobrze ubranych ludzi zbitych w małe grupki, rozmawiających cicho jak w kościele. Udała się od razu do stanowiska rejestracji po tabliczkę do licytacji. Nawet dyżurująca tam młoda kobieta mówiła prawie szeptem. *Vingt-neuf*. Dwadzieścia dziewięć. Szmer ściszonych głosów odprowadził Allegrę do windy. Wchodząc do sali aukcyjnej, pomyślała, że w istocie znajduje się w swego rodzaju świątyni. Świątyni mamony, która dawała odwiedzającym ją wyznawcom przedsmak nieba.

Usiadła na krześle w drugim rzędzie, obok środkowego przejścia. Zależało jej na tym, by prowadzący aukcję dobrze ją widział, a w tym miejscu, w centrum i z przodu, nie mógł nie zauważyć jej i jej tabliczki. Gdyby ją przegapił, nie uszłoby mu to na sucho. Nie w sali pełnej ludzi z zaciekawieniem śledzących aukcję. A

była pewna, że wszyscy licytujący będą budzić ciekawość. Wyjęła rękę z rękawów, zostawiając płaszcz luźno zarzucony na ramiona, zdjęła rękawiczki i rozwiązała szalik. Zerknęła na zegarek; aukcja miała się rozpocząć za około pięciu minut.

Boże, dopomóż, modliła się cichutko. Musi mi się udać. Dla Hiltona Whiteheada. Dla mojej firmy. I dla mnie.

Allegrze kręciło się w głowie, serce jej waliło jak oszalałe. Próbowwała rozluźnić zeszywniałe od napięcia mięśnie, ale utrzymanie pozorów chłodnego opanowania i udawanie, że jest neutralną obserwatorką, okazało się wcale nie takie łatwe. Zgromadzeni na aukcji, zarówno kupujący, jak i publiczność, byli w stanie najwyższego ożywienia; zewsząd dochodziły głośnie achy i ochy, kiedy ceny szły w górę, a każdemu stuknięciu młotka, oznaczającemu sprzedaż któregoś z klejnotów księżniczki, towarzyszyły entuzjastyczne oklaski.

A biżuteria sprzedawała się doskonale. Sztuka po sztuce przechodziła w ręce nowych właścicieli; zwykle wystarczała minuta, by cena osiągała astronomiczną wysokość i uprzedzająco grzeczny prowadzący mógł pełnym dramaturgii gestem przypieczętować transakcję. Dotąd wszystkie oferowane klejnoty znalazły nabywców, co rzadko się zdarzało na tego rodzaju aukcjach. Allegra nie mogła wyjść ze zdziwienia, że ludzie są gotowi płacić tak ogromne sumy za świecidełka, które niekoniecznie były bardzo cenne.

Na przykład obiekt numer szesnaście stanowiło około piętnastu nieoprawionych brylantów, wartych nie więcej niż pięćdziesiąt

dolarów za sztukę, co dawało około siedmiuset pięćdziesięciu dolarów za całość. Sprytni sprzedawcy z Dufour ułożyli te drobne kamienie na kawałku czarnego aksamitu w kształt litery K - bez wątpienia po to, by kojarzyły się z księżniczką Karimą - i Allegra z niekłamanym zdumieniem przyglądała się licytacji zakończonej na kwocie siedemnastu tysięcy dolarów.

Wiedząc, że zbliża się licytacja obiektu numer dwadzieścia cztery, pierścionka ze szmaragdem, Allegra spojrzwała na zegarek. Od początku aukcji nie minęło jeszcze nawet dwadzieścia minut; wolałaby, żeby pierścionek był licytowany w dalszej kolejności. Z drugiej strony jednak lepiej mieć najgorsze za sobą. Napięta jak struna, ledwie mogła wysiedzieć na krześle, kiedy prowadzący wymienił oczekiwany numer.

Po francusku zwięźle poinformował publiczność, że trzydziestoczeroipółkaratowy szmaragd księżniczka otrzymała w prezencie od swego długoletniego towarzysza życia Stefano Donatego i dlatego stanowi jeden z najcenniejszych klejnotów w jej kolekcji. Licytacja zaczęła się od miliona euro i nim Allegra zdążyła się połapać w błyskawicznie podbijanej stawce, cena doszła do dwudziestu milionów.

Nagle poczuła zimny pot na twarzy i szyi. Uświadomiła sobie, że powinna wejść do gry, zanim będzie za późno. Uniosła swoją tabliczkę z białym numerem dwadzieścia dziewięć wypisanym na czarnym tle. Prowadzący aukcję na moment zatrzymał na niej wzrok, po czym szybko rozejrzał, się po sali. Allegra nie odrywała od niego

oczu, cały czas trzymając tabliczkę wysoko w górze. Nie widziała innych licytujących, nie wiedziała, ilu ich jest. Poprzez łomot własnego serca słyszała głos prowadzącego.

- *Trente. Mamy trente-cinq? Trente-cinq. Quarante? Quarante.*

Na moment spotkali się spojrzeniami i ledwie zauważalnie kiwnął głową.

- *Quarante-cinq. Quarante-cinq.*

Znów się rozejrzył; Allegra zauważyła, że tym razem skinął głową w stronę stolika, gdzie siedzieli młodzi ludzie z telefonami przytkniętymi do ucha. Przez salę przebiegł szmer ożywienia. Najwidoczniej ktoś telefonicznie zaoferował czterdzieści pięć milionów euro.

Allegra ścisnęła tabliczkę tak mocno, że palce jej zdrętwiały. To się kiedyś musi skończyć, myślała gorączkowo; musi się skończyć. Nie mogę znieść tego napięcia. Boże, dopomóż.

Licytacja zwolniła tempo. Prowadzący zaczął się przekomarzać z publicznością, żartobliwie zarzucał licytującym, że są zbyt biedni lub skąpi, by dalej podbijać cenę. Rozległy się pojedyncze śmiechy.

Nagle usłyszała:

- *Quarante-six.* - A zaraz potem: - *Quarante-sept.*

W niewielkim pomieszczeniu sąsiadującym z salą aukcyjną księżniczka obserwowała licytację przez lustro weneckie. Przeniosła spojrzenie mocno umalowanych oczu z Ramtane'a Tadjera siedzącego w jednym z tylnych rzędów, na młodą blondynkę zajmującą miejsce z

przodu. Strzepnęła papierosa do porcelanowej popielniczki, a potem zaciągnęła się głęboko i po chwili wypuściła dym nosem.

Kim ona jest?, zadała sobie pytanie, choć sądziła, że zna odpowiedź. Nieznajoma bez wątpienia była Amerykanką i licytowała w imieniu jakiegoś bogatego Amerykanina. Ale kim mógł być ten Amerykanin?

Długim polakierowanym paznokciem upchnęła luźny kosmyk włosów pod kremowym kaszmirowym turbanem. Włożyła go do skromnego, lecz eleganckiego kostiumu z kolekcji Valentino. Stroju dopełniały kolczyki z perłami i prosty złoty zegarek. Poza tym księżniczka nie miała na sobie żadnej biżuterii. Na jej kolanach spoczywały czarne rękawiczki z cielecej skóry i czarna kopertowa torebka z aligatora, jedno i drugie marki Hermes. Na nogach miała czarne czółenka na średnim obcasie. W jednej ręce trzymała okulary słoneczne w czarnej oprawie, w drugiej papierosa.

Przy jednym jej boku siedział książę Albert de Guermantes, specjalista od biżuterii zatrudniony w Dufour; nie odzywał się, skupiony bardziej na osobie księżniczki niż na przebiegu aukcji. Nie cierpiał zapachu papierosowego dymu, krzywił się i wiercił na krześle, z trudem znosząc trujące wyziewy. Znalazł się tam jako reprezentant domu aukcyjnego, na wypadek gdyby księżniczka miała jakieś pytania lub specjalne życzenia. Na przykład, jeśli chciałaby się czegoś napić, książę niezwłocznie zadbałby o to, by miała czym zaspokoić pragnienie.

Po drugiej stronie siedział szlachetnie urodzony Marcus Setville-Penhurst, przystojny, mocno opalony i wielce pożądanym jako dobra partia, czterdziestokilkuletni kawaler. Ten potomek szacownego brytyjskiego rodu, któremu udało się utrzymać - pomimo ogromnych obciążeń podatkiem spadkowym - wspaniałą wiejską posiadłość, dom w Londynie oraz wartą fortunę kolekcję sztuki i antyków, był najczęściej widywany w towarzystwie księżniczki Karimy, choć wszyscy wtajemniczeni wiedzieli, że nocną porą, po zakończeniu proszonych kolacji i przyjęć, woli spędzać czas z mężczyznami. Bez większego zainteresowania przyglądał się aukcji, zadowolony, że wchodząc do Dufour jednym z tylnych wejść, zdążył połknąć dwumiligramowy xanax.

Księżniczka Karima wyjęła z torebki telefon komórkowy.

- Do kogo, u diabła, zamierzasz dzwonić? - spytał Marcus.

- Do Mimi - odpowiedziała, nie patrząc na niego. - Zapomniałam wydać jej pewnych poleceń. - Wybrała numer swojej gospodyni.

- Ale teraz? - zdziwił się Marcus. Uciszyła go machnięciem ręki.

- Mimi - odezwała się do telefonu - wyjeżdżamy na wieś dziś po południu. Przygotuj wszystko. - Przez chwilę słuchała w milczeniu, po czym dodała: - Nie, to nie potrwa długo. Ten jubiler od Julesa Levanta, wiesz który, i jakaś młoda Amerykanka próbują się nawzajem przelicytować. Nie znam jej. Jest atrakcyjna, koło trzydziestki, blondynka ubrana na czarno. Muszę kończyć. Do zobaczenia. - Zatrasnęła klapkę i wrzuciła telefon z powrotem do torebki.

- Co to wszystko, u diabła, może obchodzić tę starą wiedźmę? -
Marcus przyglądał jej się ze szczerym zaciekawieniem.

- Cicho, *cherie*. - Księżniczka Karima położyła mu palec na ustach. - Przecież musimy zobaczyć, komu dostanie się mój szmaragd, prawda?

Allegra bardzo chciała zobaczyć, z kim toczy pojedynek, ale bała się choćby na sekundę spuścić wzrok z prowadzącego licytację. Czy to była tylko jedna osoba? Dwie, albo trzy? Nie miała pojęcia. Uparcie trzymała tabliczkę w górze.

- *Quarante-huit*. Wstrzymała oddech.

- *Quarante-neuf*.

Na sali zapadła głucha cisza.

- *Cinquante*. - Licytator rozejrzał się znad okularów. Zapomniał o żartach, minę miał całkiem poważną. W końcu jego wzrok spoczął na Allegrze.

- *Cinquante et un*.

Publiczność zamarła w oczekiwaniu. Allegra usłyszała, jak młotek z głośnym stuknięciem opada na podstawkę.

- *Vendu!* - wykrzyknął prowadzący aukcję. - Młodej damie z drugiego rzędu. - Uśmiechnął się do Allegry zza swego pulpitu.

O mój Boże, udało się! Mam go. Mam pierścione! Jak przez mgłę docierały do niej gromkie oklaski. Obejrząwszy się, zobaczyła, że wszystkie oczy skierowane są na nią.

Opuściła wreszcie tabliczkę, szybko narzuciła płaszcz, chwyciła torebkę i z przyklejonym do ust uśmiechem ruszyła do wyjścia,

świadoma, że wszyscy patrzą na nią z ciekawością, a niektórzy już wymieniają szeptem uwagi na jej temat. Nie zauważyła jedynej osoby, którą zdążyła wcześniej poznać i nie widziała, jak ów ktoś wolno podnosi się z krzesła w jednym z tylnych rzędów. Musiała odebrać pierścionek i jak najszybciej umieścić w banku. Nacisnęła guzik windy. Poprzedniego dnia zapomniała spytać, gdzie odbiera się zakupione rzeczy, ale zakładała, że musi to być gdzieś na parterze.

Zjechawszy na dół, udała się do stanowiska informacji. Młoda blondynka w apaszcze od Hermesa spojrzała na nią pytająco.

- *Mademoiselle?*

- *Le caissier?* - odezwała się Allegra.

- Prosto do końca korytarza, a potem w lewo - odpowiedziała kobieta, wskazując palcem właściwy kierunek. - Nie da się nie trafić.

- *Merci* - podziękowała jej Allegra.

Idąc korytarzem, zauważyła, że obecni tam strażnicy i personel galerii gapią się na nią i szepczą tak samo, jak tłum na górze. Nagle dostrzegła na ścianie monitor przekazujący obraz z sali aukcyjnej.

Aha! Czyli oni już wiedzą, że jestem tą kobietą, która właśnie wydała około sześćdziesięciu pięciu milionów dolarów na pierścionek ze szmaragdem, pomyślała rozbawiona.

Skrećiwszy w lewo, jak jej polecono, zobaczyła na wprost długą mahoniową ladę, a za nią starszą kobietę z mocnym makijażem i ufarbowanymi na czarno włosami upiętymi w kok. Kobieta spojrzała na Allegrę przez grube szkła okularów; jej nienaturalnie powiększone czarne oczy miały w sobie coś przerażającego.

- *Mademoiselle?* - powitała Allegrę. Wąskie usta miała umalowane jaskrawoczerwoną szminką w taki sposób, by sprawiały wrażenie bardziej pełnych i kształtnych, lecz niestety zabieg dał wręcz groteskowy efekt: przywodziła na myśl kłowna.

- *Lot vingt-quatre* - powiedziała Allegra z uśmiechem, starając się omijać wzrokiem dolną część jej twarzy.

- *Oui, mademoiselle* - odpowiedziała kobieta, kiwając głową. - Chce pani zapłacić?

- *Oui* - potwierdziła Allegra, kładąc torebkę na ladzie. Sięgnęła do środka po czek.

- *Un moment.* - Kobieta przeszła na koniec lady, gdzie ustawiono sprzęt komputerowy. Pod spodem znajdował się rząd zamkniętych szafek. Zaczęła wolno uderzać w klawisze, po każdym stuknięciu podnosząc wzrok na ekran monitora.

Zajęta szukaniem w torebce czegoś do pisania, Allegra nie zauważyła mężczyzny, który siedł za nią od chwili, gdy opuściła salę aukcyjną. Teraz przystanął za załomem korytarza, z oczyma wlepionymi w jej plecy. Znalazła w końcu pióro i cierpliwie czekała, aż kobieta wykona niezbędną pracę papierkową. Nie wiedziała, ile wyniesie pełna należność po doliczeniu podatku i prowizji.

Wreszcie kobieta wróciła z plikiem arkuszy, które połączyła ze sobą, uderzając mocno pięścią w zszywacz. Położyła papiery na ladzie przed Allegrą i postukała długim, wymalowanym na czerwono paznokciem w kwotę widoczną na dole pierwszej strony.

Suma była tak niewyobrażalna, że Allegra miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Opanowała się jednak i spokojnie wypisała na czeku odpowiednie cyfry. Kobieta zerknęła na nie przelotnie, jakby codziennie widywała czeki opiewające na tak astronomiczne kwoty, po czym wbiła w Allegrę stalowe spojrzenie.

- Muszę zadzwonić do banku, panno Sheridan -oświadczyła - żeby się upewnić, czy na koncie znajduje się odpowiednia ilość pieniędzy.

- Oczywiście - powiedziała ze zrozumieniem Allegra. - Jeśli poprosi pani do telefonu *monsieur* Lenoira, powinien natychmiast się tym zająć.

- To nie potrwa długo. - Pracownica galerii zniknęła za drzwiami znajdującymi się na drugim końcu lady.

Allegra westchnęła z rezygnacją. Oparła się łokciami o blat i rozejrzała po korytarzu. Z zadowoleniem odkryła, że punkt odbioru zakupionych przedmiotów znajduje się całkiem niedaleko. Dawało to nadzieję, że w ciągu paru minut załatwi sprawę w Dufour i będzie mogła złożyć zakup w bankowym depozycie.

- *Mademoiselle?* - Kobieta powróciła z zaplecza z papierami i czekiem. - Wszystko w porządku. - Oderwała kopię faktury i podała nabywczyni klejnotu.

- *Merci.* - Dopiero odbierając fakturę Allegra zauważyła, że tamta ma pierścionek na niemal każdym palcu; wszystkie były wyjątkowo okazałe, a niektóre miały zbyt luźne obrączki. - O, ma pani ładne pierścionki - pochwaliła, przyglądając im się uważniej.

- *Merci*. - Kobieta rozpostarła dłonie. - Wszystkie dostałam w prezencie, *cherie*. Od kochanków. - Mrugnęła do Allegra porozumiewawczo. Rzęsy miała tak grubo oblepione tuszem, że wyglądały jak odnóża pająka.

- Musiała pani mieć wielkie powodzenie - powiedziała Allegra ze śmiechem.

- Od przybytku głowa nie boli - stwierdziła kobieta sentencjonalnie.

- Oczywiście - zgodziła się z nią Allegra.

- Wiem, co mówię. - Pracownica galerii nachyliła się ku niej ponad ladą. - Pewnie pani spieszo, żeby się pochwalić swoim nowym zakupem. Odbiór jest po drugiej stronie korytarza.

- *Merci*.

Kobieta pokiwała głową.

- Niech się pani nim cieszy, *cherie*. Życie jest krótkie.

Allegra udała się do wskazanego miejsca, gdzie za podobną ladą stał elegancki mężczyzna, a dwóch lub trzech innych krzątało się na zapleczu, składając pudełka i wypełniając je różnego rodzaju wyściółką.

Mężczyzna za ladą spojrzał na Allegrę z uznaniem.

- Mogę w czymś pomóc? - odezwał się po angielsku.

- Lot *vingt-quatre* - powiedziała, wręczając mu fakturę.

- Chwileczkę. - Podeszedł do niewielkiego sejf, otworzył go, zajrzał do środka i wyjął małe pudełeczko.

Allegra natychmiast rozpoznała różowawy beż, który widziała w sklepie Julesa Levanta Joailliera.

Mężczyzna położył pudełeczko na ladzie i otworzył.

- Czy to jest obiekt, który pani kupiła na dzisiejszej licytacji, *mademoiselle*?

Allegra spojrzała na pierścionek. Ta sama prosta, lecz elegancka oprawa z żółtego złota i ten sam piękny, ciemnozielony kamień. Wyjęła z torebki lupę, żeby dokładniej przyjrzeć się szmaragdowi. Nie spodziewała się żadnych niespodzianek, więc tym bardziej zaskoczyło ją, że na kamieniu nie widać było żadnej skazy.

Co jest, u diabła?- pomyślała. Obejrzała kamień jeszcze raz ze wszystkich stron. Przychodziło jej do głowy tylko jedno wytłumaczenie. Poczula dreszcz strachu na plecach. To z całą pewnością nie jest ten sam kamień, który jej pokazano przed aukcją. O co tu chodzi? Kamień, na który patrzyła, był cenniejszy niż ten w pierścionku księżniczki Karimy. Tyle że pierścionek księżniczki był wart krocie właśnie dlatego, że należał do niej.

W tej sytuacji Allegra mogła zrobić tylko jedno: zaprotestować.

- Monsieur - powiedziała, wyjmując lupę z oka i odkładając pierścionek na ladę. - Zaszła pomyłka.

- Pomyłka? - zdziwił się mężczyzna. - Co pani ma na myśli, *mademoiselle*?

- To nie jest ten sam pierścionek, który oglądałam na wystawie przed aukcją. To nie jest pierścionek księżniczki Karimy. To nie jest pierścionek, który licytowałam.

- Ależ to niemożliwe.

- Chcę się natychmiast widzieć z kimś z zarządu Dufour -
zażądała stanowczo Allegra. - Najchętniej z ekspertem od biżuterii.

- Oczywiście, *mademoiselle*.

- Natychmiast - powtórzyła Allegra. Kręciło jej się w głowie od
pytań i domysłów.

Mężczyzna sięgnął po telefon.

- Monsieur Lorrain - odezwał się do słuchawki - mówi Rene z
odbioru. Mamy problem, który wymaga pańskiej natychmiastowej
obecności. - Rzez chwilę słuchał w milczeniu, po czym odłożył
słuchawkę. - *Monsieur Lorrain*, jeden z naszych specjalistów od
biżuterii, zaraz tu będzie - obiecał.

- To dobrze - powiedziała Allegra. Jezu, pomyślała, czemu w
ogóle się zgodziłam na ten wyjazd? I co ja teraz, u diabła, powiem
Whiteheadowi?

- *Mademoiselle Sheridan*? - Podszedł do niej dystyngowany
sześćdziesięcioletni mężczyzna w eleganckim garniturze z tenisu i
szarym krawacie. Podał jej rękę na przywitanie. - Jestem Edmond
Lorrain. Rozumiem, że wyniknął jakiś problem?

- Owszem - potwierdziła Allegra. - Zaszła pomyłka. To nie jest
ten sam szmaragd, który widziałam na wystawie przed aukcją.

Monsieur Lorrain pokręcił głową.

- Ależ myli się pani, *mademoiselle*. Nie widzę takiej możliwości
- odpowiedział lodowatym tonem.

- Ja też nie wiem, jak to możliwe, *monsieur* Lorrain, ale to prawda. To z całą pewnością nie jest ten sam szmaragd. Oprawa na oko wydaje się identyczna, ale to nie ten sam kamień.

- *Mademoiselle* Sheridan - powiedział tonem cierpliwego rodzica zwracającego się do krnąbrnego dziecka. - To, co pani mówi, nie ma sensu. Może pani...

- To z pewnością nie ma sensu - przerwała mu ze złością - ale tak się składa, że jestem gemologiem, *monsieur* Lorrain. Mogę dodać, że mam spore doświadczenie i nie pozwolę, żeby pan czy ktokolwiek inny podważał moją wiedzę na temat kamieni szlachetnych. -

Wskazała na pudełko z pierścionkiem. - Zapewniam pana, że to nie jest ten sam szmaragd. Mogę to przysiąc przed sądem. Nie ma na nim skazy, która wyróżniała kamień księżniczki Karimy. - Popatrzyła na swego rozmówcę wyzywająco. Czy ten nadęty dupek ma ją za idiotkę?

- Ach, więc jest pani gemologiem. Rozumiem. - Przyjrzał jej się z zainteresowaniem. - Czy licytowała pani w swoim imieniu, *mademoiselle*?

- To akurat nie pańska sprawa, *monsieur* Lorrain. Mężczyzna wyraźnie poczerwieniał.

- Przepraszam - przewał im jakiś męski głos. - Może mógłbym pomóc?

Odwrócili się oboje jak na komendę. Zobaczyli przystojnego mężczyznę o śniadej karnacji; patrzył na nich z uśmiechem na zmysłowych ustach.

- O, *mademoiselle* Sheridan - powiedział. - Tak mi się właśnie wydawało, że to pani.

- O... hm... miło pana znów widzieć - wykrztusiła, zaskoczona spotkaniem.

- *Monsieur* Tadjer. - Lorrain wyciągnął rękę, żeby się przywitać.

- Rozumiem, że zna pan tę młodą damę?

- W istocie, miałem przyjemność poznać piękną i czarującą *mademoiselle* Sheridan - odparł Ram. - Czyżby miała pani jakieś trudności, *mademoiselle*? - zwrócił się do Allegry.

- Przyszłam tu odebrać eksponat numer dwadzieścia cztery - wyjaśniła Allegra, zadowolona z jego nieoczekiwanej obecności - tymczasem kamień w pierścionku nie jest tym samym kamieniem, który widziałam na wystawie przed aukcją.

- Ja także oglądałem ten pierścionek przed aukcją - oświadczył Ram. - Może rzucę okiem? Nie ma pan nic przeciwko temu, *monsieur* Lorrain, prawda?

- Oczywiście, że nie - odrzekł sztywno *monsieur* Lorrain. - Mogę pana jednak zapewnić, że *mademoiselle* Sheridan się myli. Nigdy wcześniej nie mieliśmy tu, w Dufour tego rodzaju problemu.

Ram wyciągnął łupę z kieszeni na piersi, umieścił w oku i przysunął do niej pierścionek dokładnie w taki sam sposób, jak zrobiła to wcześniej Allegra. Po chwili na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia, który szybko ustąpił miejsca oburzeniu.

- To z całą pewnością nie jest ten sam kamień - stwierdził, spoglądając surowo na *monsieur* Lorraina. - To nie jest szmaragd księżniczki Karimy. Nie ma co do tego wątpliwości.

Ekspert galerii Dufour wyraźnie się stropił. W żadnym wypadku nie mógł podważyć opinii Ramtane'a Tadjera z firmy Julesa Levanta Joailliera.

- Ja... nie mam pojęcia, co się mogło stać - wyjąkał. -To... to... ja... proszę chwilkę zaczekać. Muszę pójść na górę, do zarządu.

- Oczywiście - powiedział spokojnie Ram. Lorrain wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

- Cudownie znów panią zobaczyć. - Ram skupił uwagę na Allegrze.

- Ja też się cieszę, że pana widzę - odparła. Naprawdę się cieszyła i nie chodziło tylko o pomoc w sprawie z pierścionkiem. - Nie wiem, co tu się dzieje, ale ten pan Lorrain najwidoczniej nie chce się przyznać, że w Dufour popełniono błąd.

- To bardzo intrygujące. - Ram wydawał się zachwycony, że może jej przyjść z pomocą. - Ale jestem pewien, że cokolwiek zaszło, Dufour naprawi szkodę. Ostatecznie, muszą dbać o swoją reputację.

- Co się mogło stać? - Spojrzała na niego pytająco. -To... jakieś szaleństwo. Szmaragd księżniczki jest łatwo rozpoznawalny z powodu swojej skazy. To nie ma sensu. Każdy, kto ma jakieś pojęcie o kamieniach szlachetnych, dostrzegłby różnicę natychmiast, po jednym zerknięciu przez lupę.

Ram w zamyśleniu pokręcił głową.

- Zgadzam się z panią, że to nie ma sensu. Ciekaw jestem, co Lorrain będzie miał do powiedzenia.

- Ja też jestem ciekawa. - W Allegrze wciąż kipiała złość na pracownika galerii za pobłażliwość, z jaką traktował jej zastrzeżenia.

Jubiler z uśmiechem wziął ją za rękę.

- Proszę się nie martwić. Wszystko zostanie wyjaśnione, jestem pewien.

Allegrę zaskoczył poufały gest Rama, lecz jednocześnie dotyk jego ciepłej dłoni wzbudził w niej przyjemny dreszczyk. Musiała w duchu przyznać, że ten mężczyzna jej się podobał. Wydawał się życzliwy i opiekuńczy, a właśnie teraz ktoś taki był jej szczególnie potrzebny. Nie próbowała cofnąć ręki.

- Dzięki za wsparcie.

Uścisnął lekko jej dłoń, a potem puścił.

- Nie ma o czym mówić. Ale spotkanie pani tutaj jest dla mnie prawdziwą niespodzianką. W dodatku licytowała pani słynny pierścionek księżniczki Karimy. Myślę, że jest pani nie tylko fascynująca, ale i tajemniczą kobietą. - Uśmiechnął się do niej. - Przymierzała pani wczoraj biżuterię w moim sklepie i nawet nie wspomniała, że wybiera się na tę aukcję.

Allegra przez chwilę milczała, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Ja... nie chciałam umyślnie sprawić na panu błędnego wrażenia - odezwała się w końcu.

Musiała jakoś zmienić temat, bo nie chciała się tłumaczyć z uczestniczenia w aukcji ani tym bardziej wyjawić, w czyim imieniu

występowała. Miała świadomość, że paryska prasa będzie się prześcigać w spekulacjach na temat tego, kim jest tajemnicza Amerykanka, która wylicytowała pierścionek księżniczki Karimy, i czy kupiła go dla siebie, czy dla kogoś innego. Nie było jej rolą wyjaśnianie czegokolwiek komukolwiek. Mógł to zrobić Hilton Whitehead po otrzymaniu klejnotu.

- Ależ nie, nie wprowadziła mnie pani w błąd - zapewnił pośpiesznie Ram. - Choć istotnie odniosłem wrażenie, że podoba się pani przymierzanie klejnotów względnie niedrogich... wręcz tanich w porównaniu z tym, który pani sobie dziś kupiła.

Allegra uśmiechnęła się pod nosem. Myślał, że uda mu się ją podejść i uzyskać w ten sposób jakieś informacje.

- Owszem - przyznała. - To było bardzo miłe, że pozwolił mi pan przymierzyć kilka swoich pięknych wyrobów.

- A mnie się podobał widok mojej biżuterii u kogoś tak pięknego, jak pani - odparł z galanterią.

Pomyślał, że jest sprytna i będzie musiał się mocno starać, żeby odkryć, dla kogo kupiła ten pierścionek. Ta perspektywa wcale go jednak nie martwiła. Najważniejsze było wydobyć szmaragdu z rąk Allegrey Sheridan, zanim go przekaże nowemu właścicielowi.

Monsieur Lorrain powrócił. Zbliżywszy się do nich z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, pochylił głowę i powiedział ściszym głosem:

- Ogromnie mi przykro, *mademoiselle* Sheridan. Oczywiście miała pani rację. Oto pierścionek. - Wyjął pudełko z kieszeni marynarki.

- Co się właściwie stało? - spytała.

- Ze względu na tak wielką wartość klejnotu, firma ubezpieczeniowa zażądała astronomicznej sumy za ubezpieczenie go na czas, gdy będzie pozostawał w naszych rękach - zaczął wyjaśnienia Lorrain.

- No, tak - wtrącił Ram. - Mogę sobie wyobrazić, że koszty ubezpieczenia musiały być gigantyczne.

Lorrain pokiwał głową i mówił dalej:

- Stąd wziął się pomysł, by dla oszczędności wykonać duplikat pierścionka. Firma ubezpieczeniowa była zadowolona, a nasze koszty stały się znacząco niższe. - Zrobił pauzę, spoglądając na Allegrę. - Oczywiście, duplikat jest podobny, ale nie identyczny. Pani od razu rozpoznała, że różni się od pierścionka księżniczki Karimy. - Wręczył Allegrze różowobeżowe pudełeczko.

- Mam rozumieć, że każda inna osoba, która by wygrała licytację, także by się o tym dowiedziała.

- Prawdopodobnie - odpowiedział Lorrain. - Zdziwiłaby się pani, ilu klientów ma bardzo słabą wiedzę na temat kamieni szlachetnych. Cieszę się, że trafiło na panią, bo to uchroniło Dufour przed popełnieniem niewybaczalnego błędu.

- Byłaby to wielka niesprawiedliwość w stosunku do nieświadomego kupującego - zwrócił mu uwagę Ram. - Nabywca

dostałby zwykły pierścionek zamiast klejnotu księżniczki Karimy z całą jego wartością emocjonalną.

Lorrain znów pokiwał głową.

- Obawiam się, że tak. Tak czy inaczej, trudno było mieć ten pierścionek ciągle na oku, jak państwo mogą sobie wyobrazić. Częściej niż jakikolwiek inny klejnot był fotografowany dla różnych czasopism i gazet... czy choćby do naszego własnego katalogu. Wystawiano go nawet w różnych miejscach poza galerią, żeby wzbudzić zainteresowanie aukcją. Dlatego właśnie wykonaliśmy kopię. Zaoszczędziliśmy fortunę na ubezpieczeniu, a nikt się nie zorientował.

- Rozumiem - mruknęła Allegra.

- Pracownicy z góry pomylili się, przysyłając do punktu odbioru niewłaściwy egzemplarz. - Lorrain wzruszył ramionami z wystudiowaną beztroską. - Widzi pani? To była zwykła pomyłka jednego ze strażników. Bardzo przepraszam, *mademoiselle* Sheridan.

Allegra nie bardzo wiedziała, co sądzić o jego wyjaśnieniach. Nie miała czasu głębiej się nad nimi zastanowić, ale nie do końca ją przekonywały. Niby przedstawiona przez eksperta galerii historia trzymała się kupy, ale nie rozwiała wszystkich wątpliwości.

- Skoro wszystko już jest w porządku - powiedziała - to możemy zapomnieć o całym nieporozumieniu. - Uśmiechnęła się do Lorraina. - Chciałabym jednak obejrzeć klejnot, który pan przyniósł, jeśli pan pozwoli.

Lorrain sprawiał wrażenie zaskoczonego, a potem lekko urażonego.

- Oczywiście - odrzekł lodowatym tonem.

Allegra otworzyła pudełeczko, wyjęła pierścionek i obejrzała go przez lupę. Wystarczył jej jeden rzut oka, by mieć pewność, że tym razem trzyma w ręku szmaragd księżniczki Karimy. Natychmiast dostrzegła charakterystyczną skazę. Schowała lupę do zamszowego pokrowca, a potem starannie umieściła pierścionek z powrotem w pudełku. Następnie i lupę, i pudełko schowała do torebki.

- Dziękuję, *monsieur* Lorrain. Teraz jestem zadowolona.

- Jeszcze raz panią przepraszam za naszą pomyłkę i zapraszam ponownie do naszego domu aukcyjnego - wyrecytował Lorrain. - Mam nadzieję, że nie żywi pani urazy do galerii Dufour.

- Och, nie, oczywiście, że nie - zapewniła. Poczekaj tylko, jak powiem o tym Hiltonowi Whiteheadowi, pomyślała złośliwie, z pewnością odda do ekspertyzy wszystko, co u was kupił.

Lorrain podniósł z lady fakturę, zapakował do koperty i podał Allegrze. Następnie schował do kieszeni duplikat pierścionka i wyciągnął rękę do młodej kobiety.

- Mam nadzieję, że jeszcze panią tu zobaczymy.

- Do widzenia panu. - Uścisnęła mu dłoń, uśmiechając się czarująco.

Lorrain skłonił się szybko i zniknął w drzwiach za ładą.

- Bardzo dziękuję za pomoc - zwróciła się Allegra do Rama. -
Nie wiem, co bym bez pana zrobiła. Mam nadzieję, że kiedyś będę się
mogła odwdzięczyć.

- Może się pani odwdzięczyć od razu - powiedział.

- Chętnie, ale w jaki sposób?

Popatrzył na nią z rozbijającym uśmiechem.

- Pozwalając mi się zaprosić na herbatę. Pora jest odpowiednia.

- Ach, ale... - zaczęła Allegra.

- Nie przyjmuję odmowy - przerwał jej Ram. - W żadnym
wypadku.

- Ale ja naprawdę się śpieszę - próbowała protestować, ruszając
przed siebie korytarzem. - Muszę zdążyć do banku.

- Aha. - Ram pokiwał głową ze zrozumieniem. - Żeby złożyć
szmaragd w bezpiecznym miejscu. - Zerknąwszy na zegarek,
zorientował się, że banki wkrótce zostaną zamknięte.

- Właśnie - potwierdziła skwapliwie Allegra.

Ram dotknął jej ramienia i spojrzał na nią z udawanym
rozczarowaniem.

- Ale chciała mi się pani odwdzięczyć - przypomniał tonem
pełnym żalu.

W innych okolicznościach jego zachowanie wydałoby jej się
komiczne, ale w tym momencie była zbyt spięta, żeby się śmiać.

- Przykro mi, ale naprawdę muszę jechać do banku.

- W takim razie proszę pozwolić, że sam panią tam zawiozę -
nalegał. - Na zewnątrz czeka mój samochód, więc tak będzie szybciej.

- Sama nie wiem... - wahała się Allegra.

Dotarli do wyjścia z budynku; Ram przytrzymał przed nią otwarte drzwi. Zeszli razem po schodach na ulicę. Gdy tylko stanęli na chodniku, do krawężnika podjechał granatowy Bentley. Ze środka wyskoczył szofer w liberii; szybko okrążył samochód i otworzył drzwi.

- Na pewno nie sprawi to panu kłopotu? - Allegra wciąż miała wątpliwości, czy powinna skorzystać z zaproszenia.

- Absolutnie żadnego - zapewnił ją Ram. - I nie będzie się pani musiała martwić o bezpieczeństwo swojego skarbu.

Nie mogła się doczekać, by złożyć pierścioneł w bankowym depozycie.

- No dobrze - zgodziła się w końcu. - Skoro pan jest pewien...

Ram z uśmiechem wskazał na samochód.

Allegra z przyjemnością usiadła na wygodnym skórzanym siedzeniu w kolorze identycznym z lakierem karoserii. Wnętrze auta pachniało jakimiś drogimi perfumami.

- Który to bank? - spytał Ram, nachylając się ku niej.

- Citibank. Mam tu gdzieś adres. - Zaczęła szperać w torebce.

- Proszę się nie trudzić. Wiem, gdzie to jest. - Usłyszała jak po francusku wydaje dyspozycje szoferowi, ale mówi! tak szybko, że wychwyciła tylko nazwę banku.

Ram wsunął się na siedzenie obok niej, szofer zamknął drzwi, usiadł za kierownicą i samochód ruszył.

- To zajmie tylko kilka minut - powiedział uspokajającym tonem jubiler.

- To bardzo miło, że zechciał mnie pan podwieźć.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Może potem wybierzemy się razem na drinka? Co pani na to?

- Wieczorem spodziewam się gościa. Mamy pójść gdzieś na kolację i...

- Rozumiem. Wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie - odrzekł z rozbawieniem. - Ten gość to pewnie jakiś młody mężczyzna?

- Owszem - potwierdziła z uśmiechem.

- Przylatuje z Nowego Jorku?

- Owszem - powtórzyła, nie przestając się uśmiechać. Samochód nagle się zatrzymał. Allegra z niepokojem wyjrzała przez przednią szybę. Czerwone światło. Spojrzawszy na zegarek, uświadomiła sobie, jak niewiele czasu pozostało do zamknięcia banku.

Ram poklepał ją po ramieniu.

- Zdążymy na czas. - Samochód znów ruszył. - Widzi pani? Już jedziemy. To bardzo niedaleko, więc nie ma powodu do niepokoju.

Allegra doceniała jego starania, żeby jej dodać otuchy, lecz mimo to nie potrafiła się wyzbyć lęku. Mam w torebce pierścionek wart sześćdziesiąt pięć milionów dolarów i nie powinnam się niepokoić? Akurat, myślała.

Auto znienacka nabrało prędkości; wjechawszy na jeden z Wielkich Bulwarów, kierowca zaczął zręcznie manewrować, wyprzedzając inne pojazdy. Allegra, siedząc jak na szpilkach,

nerwowo zaciskała dłonie, tymczasem samochód zwolnił i zaparkował przy krawężniku. Nim się zorientowała, co się dzieje, drzwi się otwarły i Ram wysiadł.

- Jesteśmy na miejscu - oświadczył ponagląjącym tonem.

- Już idę. - Przesunęła się po śliskiej skórze kanapy w stronę otwartych drzwi. Na zewnątrz rozejrzała się ze zdumieniem. - Ale... - niemal załkała.

- O co chodzi? - spytał z troską Ram. - Coś nie tak?

- To nie ten bank - jęknęła Allegra, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

- Przecież to jest Citibank.

- Tak, ale nie ten oddział. To nie tu byłam umówiona, tylko w filii przy Madeleine. - Spojrzała na zegarek. - O mój Boże, co ja teraz zrobię? - westchnęła z rozpaczą.

- Szybko, niech pani wsiada. Jedziemy na Madeleine. Allegra zrobiła, co jej kazał. Ram wsunął się obok niej, rzucając kilka słów do szofera. Bentley zawrócił, łamiąc wszelkie przepisy i pognął bulwarem w przeciwnym kierunku. Allegra nie odrywała oczu od wskazówek zegarka, jakby to mogło powstrzymać czas.

- Strasznie mi przykro - odezwał się Ram. - To niedaleko.

Gerard postara się, żeby pani zdążyła. Powinienem był jednak spytać o adres.

Allegra w milczeniu pokiwała głową. A jeśli nie zdążymy?, myślała, zaciskając w dłoniach uchwyt torebki. Co wtedy zrobi? Za każdym razem, gdy samochód zwalniał, dosłownie sztywniała z

napięcia, a kiedy stawał na czerwonych światłach, miała ochotę wyskoczyć i pędzić dalej na piechotę, chociaż wiedziała, że nie prześcignie bentleya. Powstrzymywało ją tylko to, że nie знаła drogi.

- Czuję się okropnie - wyznał Ram. - Jak mogłem się tak głupio pomylić...

- To nie pańska wina. - Allegra próbowała się uśmiechnąć. - Nie zrobił pan nic złego, tylko próbował mi pomóc.

- Każdy przyzwoity człowiek by się tak zachował. Gerard nagle zahamował tak gwałtownie, że rzuciło nimi na oparcia przednich siedzeń.

- Nic się pani nie stało? - zapytał Ram z troską, chwytając ją za ramię.

- Nic mi nie jest - uspokoiła go.

- Citibank - rzucił Gerard, wysiadając z auta.

- O mój Boże! - wykrzyknęła Allegra. - Nie zauważyłam. ..

- Chyba zdążyliśmy w ostatniej chwili - powiedział Ram.

Allegra go nie usłyszała. Nie zważając na mijające ich pojazdy, otworzyła drzwi po swojej stronie, wysiadła i pobiegła w stronę banku. Pchnęła ciężkie przeszklone drzwi, ale nawet nie drgnęły. Bank był już zamknięty.

- O, nie - jęknęła z rozpaczą. - O, mój Boże. Co ja teraz zrobię?

Wyczuła za plecami obecność Rama.

- Proszę pójść ze mną, Allegro - powiedział, biorąc ją pod ramię.

- Wszystko będzie dobrze.

R o z d z i a ł 1 2

Allegra siedziała wciśnięta w poduszki tylnego siedzenia samochodu. Sparaliżowana strachem, bliska mdłości, kurczowo trzymała torebkę. Co powinna zrobić? Wiedziała, że musi chronić pierścionek, ale nie miała pojęcia jak. Zatopiona w myślach, niemal podskoczyła, kiedy Ram się do niej odezwał.

- Co? - rzuciła półprzytomnie. Odwrócił się do niej twarzą.

- Nie musi się pani bać, Allegro. Zapewnię pani bezpieczeństwo.

Popatrzyła na niego bezradnie. Nie wiedziała, czy może mu wierzyć, nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Gerard jest nie tylko moim szoferem, ale i ochroniarzem. Zna się na swojej robocie. Proszę nie zapominać, że jestem jubilerem, więc jak sama pani wie, często mam do czynienia z cennymi przedmiotami i dlatego muszę mieć ochroniarza.

- Rozumiem.

- Dlatego, choć wiem, że to dla pani trudne, proszę się uspokoić.

Ze mną jest pani bezpieczna.

- Dziękuję. - Odetchnęła głęboko. - Po prostu nie wiem, co robić - wyznała.

- Niech pani posłucha - zaczął. - Jestem członkiem pewnego klubu na Marais. To jedno z najbezpieczniejszych miejsc w Paryżu.

- Klub? - zdziwiła się.

- Tylko najbardziej uprzywilejowani mają do niego wstęp - mówił dalej. - Możemy tam pojechać. Będzie pani bezpieczna i zastanowimy się, co robić dalej.

Allegra bardzo chciała mu wierzyć, ale pozostały w niej resztki nieufności. Z drugiej strony musiała przyznać, że dotąd Ram starał się jej tylko pomagać.

- Sama nie wiem - powiedziała z wahaniem. - Jest pan pewien, że pierścionek będzie tam bezpieczny?

- Równie bezpieczny, jak w banku, zapewniam panią. To cichy, elegancki klub dla ludzi należących do Musee de la Chasse et de la Nature.

- To brzmi jak nazwa klubu łowieckiego.

- Owszem.

- Nie wydaje mi się, żeby tam mogło być aż tak bezpiecznie. - Zaciśnęła palce na pudełeczku z pierścionkiem.

- Ależ jest - upierał się Ram. - To klub dla ludzi takich jak ja, lubiących jazdę konną. Prawdę mówiąc, bardzo rzadko biorę udział w polowaniach, jestem na to zbyt zapracowany. Ale mogę panią zapewnić, że to jedno z najbardziej elitarnych i bezpiecznych miejsc w Paryżu.

- Chyba moglibyśmy tam pojechać - zgodziła się w końcu. I tak nie przychodziło jej do głowy żadne lepsze rozwiązanie.

Jubiler przekazał stosowne instrukcje Gerardowi. Jechali, teraz już bez pośpiechu, przez zatłoczone ulice. Na skrzyżowaniu, gdy

kierowca musiał ostro nacisnąć na hamulec, Ram przytrzymał Allegrę za ramię.

- Przepraszam - rzucił szofer z przedniego siedzenia. - Zajechał mi drogę.

- Nic się pani nie stało? - spytał troskliwie Ram.

- Nie - odparła cicho. Mimo lęku o bezpieczeństwo szmaragdu, poczuła znajomy dreszcz podniecenia, kiedy jej dotknął. Pragnęła wierzyć, że nic złego nie może jej spotkać w jego towarzystwie.

- Proszę spojrzeć - zachęcił, wskazując na okno. - Jesteśmy na miejscu.

Odwróciwszy głowę w stronę szyby, Allegra ujrzała ogromną budowlę; wstępu na brukowany dziedziniec broniła potężna brama.

- Och, wygląda wspaniale! - wykrzyknęła.

- To Hotel de Guenegaud - wyjaśnił Ram. - Zbudowa-ny przez Mansarta w tysiąc sześćset pięćdziesiątym czwartym roku dla jednego z królewskich doradców.

Kiedy podjechali bliżej, z budki przy bramie wyrzął strażnik. Poznawszy samochód, otworzył jedno skrzydło, żeby ich wpuścić na dziedziniec, otoczony z trzech stron wapiennymi murami budynku o ogromnych oknach.

- Widzi pani, jak tu bezpiecznie? Allegra przytaknęła skinieniem głowy.

- Istotnie, miał pan słuszność.

Wysiedli z samochodu i przez chwilę, stojąc obok siebie, rozglądali się po imponującym otoczeniu,

- To jedyny dom Mansarta, jaki został w Paryżu - powiedział Ram. - To znaczy jedyny, jaki pozostał w całości. Tak wiele zniszczono po rewolucji...

- Jest wspaniały - przyznała Allegra.

- Wejźmy do środka - zachęcił. - Możemy się czegoś napić, a jeśli będzie pani miała ochotę, mogę panią oprowadzić po muzeum. Myślę, że się pani spodoba.

Skinąwszy Gerardowi, drzwiami po prawej stronie wprowadził Allegrę do ogromnego salonu z wieloma oknami wychodzącymi na dziedziniec. Znajdowało się tam nie więcej niż dziesięć lub dwanaście osób elegancko, lecz konserwatywnie ubranych, usadowionych parami lub trójkami w różnych częściach pomieszczenia. Ściany obite były misternie rzeźbioną boazerią, a parquet de Versailles zakrywał wielki dywan z Savonnerie. Luksusowe umeblowanie stanowiły oryginalne krzesła, stoły i skrzynie z różnych epok historycznych. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające głównie zwierzęta.

- Pięknie tu - zachwyciła się Allegra, na moment zapominając o swoim zmartwieniu.

- Nieźle urządzone, prawda? - podchwycił Ram. - Usiądźmy i zamówmy coś. - Wskazał jej krzesło z czasów Ludwika XIII z gobelinową tapicerką.

- Dziękuję. - Allegra poczuła się jak królowa zasiadająca na tronie.

Ledwie Ram usiadł naprzeciw niej, pojawił się kelner.

- Monsieur Tadjer, miło pana widzieć - powitał uprzejmie Rama.

- Witaj, Maurice - odpowiedział Ram. - Na co pani ma ochotę? - zwrócił się do Allegry. - Herbatę czy może coś mocniejszego?

Nie odpowiedziała od razu, więc Ram delikatnie dotknął jej ramienia.

- Przepraszam... zamyśliłam się. - Sprawa pierścionka wciąż nie dawała jej spokoju.

- Herbata czy coś mocniejszego? - powtórzył cierpliwie Ram.

- Och, myślę, że coś mocniejszego dobrze mi zrobi. Ram przyjął jej decyzję z uśmiechem.

- Ja też tak sędzę.

- Martini z wódką - poprosiła. -I skórką cytryny.

- A ja się napiję czystej szkockiej - postanowił Ram.

- *Merci.* - Kelner oddalił się bezszelestnie.

- Muszę zatelefonować - powiedział Ram. - Nie ma pani nic przeciwko temu?

- Oczywiście, że nie.

- To potrwa zaledwie moment.

Allegra patrzyła, jak zmierzał do drzwi w odległym końcu pomieszczenia. Co za fantastyczny facet, pomyślała; przystojny, seksowny, a do tego uprzejmy i delikatny. Była pewna, że gdyby nie przyszedł jej z pomocą, dotąd tkwiłaby w domu aukcyjnym, wyklócając się z ekspertami galerii, i wydzwaniała do Hiltona Whiteheada do Nowego Jorku.

Nagle uświadomiła sobie, że nie powiadomiła go jeszcze o zakupie pierścionka. Musiała mu też powiedzieć, że nie udało jej się

zamknąć szmaragdu w bankowym sejfie. Bała się nawet pomyśleć, jak Hilton przyjmie tę drugą wiadomość, ale przynajmniej mogła liczyć na to, że podsunie jej jakieś rozwiązanie problemu.

Kelner wrócił, niosąc drinki na srebrnej tacy. Ustawił je na stoliku i oddalił się równie cicho, jak wcześniej.

Zaraz po kelnerze pojawił się Ram; kiedy szedł w jej stronę, Allegra zauważyła, że wsunął telefon komórkowy do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Przepraszam - powiedział, zajmując miejsce przy stoliku. - Nie lubię, kiedy interesy przerywają mi przyjemność, ale czasami to nieuniknione.

- Nic nie szkodzi - powiedziała Allegra. - Jeśli pan pozwoli, wyjdę na moment do toalety. Gdzie to jest?

- Widzi pani te drzwi na końcu? - Wskazał te same drzwi, przez które dopiero co wszedł.

- Tak.

- Za nimi po lewej stronie jest toaleta dla pań.

- Dziękuję. Zaraz wrócę.

Przyglądał się Allegrze, podziwiając jej piękne, długie nogi. Idąc, leciutko kołysała biodrami. Taka seksowna. Taka pewna siebie. Taka szkoda, że to ona miała pierścionek. Wielka szkoda. Szkoda, że nie mógł się trochę zabawić, zanim będzie po wszystkim.

Pociągnął łyk szkockiej; ognisty płyn spłynął mu palącym strumieniem przez gardło i przyjemnie rozgrzał żołądek. Spojrzał na

zegarek i westchnął ze zniecierpliwieniem. Lepiej, żeby się pośpieszyła, pomyślał, chcę mieć to już z głowy.

Allegra wyjęła z torebki komórkę i wybrała numer Whiteheada w Nowym Jorku. Sylvie odebrała po drugim sygnale.

- Biuro Hiltona Whiteheada.

- Sylvie, tu Allegra.

- Ach! - wykrzyknęła asystentka. - Chcę usłyszeć dobrą wiadomość.

- Mam pierścionelek.

- *Magnifique!* - ucieszyła się Sylvie. - Zaraz powiem Hiltonowi.

- Ale jest problem - dodała szybko Allegra.

- Jaki? - zaniepokoiła się Sylvie.

- Nie zdążyłam do banku na czas, żeby złożyć pierścionelek w depozycie.

- Co takiego?! - wykrzyknęła ze zgrozą Sylvie.

- Słyszałaś. Bank zamknięto, zanim tam dotarłam. Proszę cię, powiedz Hiltonowi, co się stało i spytaj go, co według niego powinnam zrobić. To... przerażające chodzić po Paryżu z pierścionkiem wartym sześćdziesiąt pięć milionów dolarów.

- No pewnie - przyznała Sylvie. - Nie ma go w tej chwili, ale jak tylko wróci, to mu powiem. - Zamilkła na moment, a potem spytała: - To znaczy, że masz ten pierścionelek przy sobie?

- Owszem. W torebce. I nie wiem, co zrobić.

Sylvie nie mogła uwierzyć własnym uszom. Podobnie, jak trudno jej było uwierzyć w niepowtarzalną szansę, jaka się właśnie przed nią otworzyła.

- Jesteś u siebie, w kawalerce Paula? - spytała.

- Nie. Ale niedługo tam będę. - Allegra uznała, że nie będzie opowiadać Sylvie o sytuacji w domu aukcyjnym i o pomocy Ramtane'a Tadjera. Przynajmniej na razie.

- Dobrze. Na twoim miejscu ukryłabym pierścionek gdzieś w mieszkaniu. W końcu, komu by przyszło do głowy, żeby go tam szukać?

- Każdemu, kto wie, że tam mieszkam i że mam ten pierścionek - odparła trzeźwo Allegra.

- Przecież oprócz mnie nikt tego nie wie - zauważyła Sylvie. - Więc nie ma problemu.

Allegra wiedziała, że to nieprawda, ale przyznała jej rację.

- Tak, to chyba najlepszy pomysł.

- Spróbuję zlokalizować Hiltona i przekazać mu nowinę.

- Dobrze. Zadzwoń do ciebie już z domu. Na razie muszę kończyć.

- Świetnie. Ukryj pierścionek od razu, żebym nie musiała się martwić.

- Ja też się martwię - zapewniła ją Allegra. - Mam nadzieję, że szybko znajdziesz Hiltona.

- Zacznę go szukać, jak tylko skończymy rozmawiać - zapewniła Sylvie, tyle tylko, że wcale nie miała na myśli Hiltona Whiteheada.

Postanowiła skontaktować się z Paulem, żeby mu powiedzieć o wielkiej okazji, jaka im się trafiła.

- Dobrze, to na razie - zakończyła rozmowę Allegra.

- Cześć.

Allegra wyłączyła komórkę i schowała ją z powrotem do torebki. Sądziła, że rozmowa z Sylvie choć trochę uśmierzy jej lęki, tymczasem niepokój jeszcze się pogłębił. Hiltona nie było pod telefonem i mogło minąć sporo czasu, nim się do niej odezwie. Odetchnąwszy głęboko, wyszła z toalety, żeby wrócić do Rama.

Dostrzegła go już z daleka. Przywiózł ją tutaj, ale czy to naprawdę bezpieczne miejsce? I czy mogła mu w pełni ufać?; uświadomiła sobie, że prawie nic o nim nie wie i nagle ją to wystraszyło. Mimo to zdobyła się na uśmiech.

- Przepraszam, że zniknęłam na tak długo.

- Nic nie szkodzi. - Podniósł szklaneczkę w geście toastu.

Allegra zrobiła to samo z kieliszkiem martini.

- Za pani sukces na dzisiejszej aukcji - powiedział.

- Dziękuję. - Nie chciała mówić nic więcej, ponieważ temat aukcji był dla niej wyjątkowo niewygodny. Pociągnęła łyk koktajlu. - Zatem ten wspaniały gmach gromadzi pod swym dachem myśliwych? Niesamowite miejsce. -Próbowała skierować rozmowę na neutralny temat.

- Pokażę pani resztę - obiecał. - Może od razu pójdziemy?

Możemy potem wrócić do naszych drinków. Co pani na to?

Allegra pociągnęła kolejny łyk, starając się zyskać na czasie. Klub wydawał jej się ogromny i prawie nie było w nim ludzi. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie popada w paranoję z powodu tego nieszczęsnego pierścionka, bo przecież jej towarzysz od samego początku zachowywał się nienagannie.

- Dobrze - zgodziła się w końcu, odstawiając kieliszek na stolik.

Podnieśli się z krzeseł.

- Musimy iść tędy. - Wziął ją pod rękę i poprowadził w stronę środkowej części budynku. - Zaczniemy od samego początku, od naszego małego muzeum - oznajmił.

Dotarli do niewielkiej klatki schodowej i zatrzymali się pośrodku.

- Na wprost jest sień z księgarnią - powiedział Ram. Allegra ze zdumieniem patrzyła na niewielkie pomieszczenie, w którym siedziała zaczytana kasjerka.

- Rozumiem, że nie sprzedają tu żadnych pamiątek? Inaczej niż w wielu amerykańskich muzeach.

- Tylko książki - potwierdził Ram. - Teraz pójdziemy na górę.

Wokół było zupełnie pusto i cicho. Allegra poczuła się nieswojo, ale Ram natychmiast odwrócił jej uwagę, wskazując na dekoracyjne elementy wystroju klatki.

- Widzi pani te piękne, ręcznie malowane kafle? - spytał.

Allegra przytaknęła, z ociąganiem wchodząc na schody.

- Dużo ich. A malowidła są przepiękne. Podobają mi się te psy.

- Większość z nich malował Desportes lub Oudry - wyjaśnił. -
Dwaj najlepsi spośród malarzy zwierząt.

Na górze wprowadził ją do pomieszczenia pełnego starej broni i różnych myśliwskich akcesoriów. Na ścianach i w przeszklonych szafkach znajdowały się strzelby, łuki, strzały, pistolety, muszkiety, rożki na proch, w większości wykonane z polerowanego drewna lub stali i bogato zdobione srebrem, złotem i brązem. Allegra zastanawiała się, czy przypadkiem fakt, że Ram przyprowadził ją w takie miejsce, nie powinien jej dawać do myślenia. Jednak te obawy szybko ustąpiły miejsca szczeremu podziwowi dla artystycznego kunsztu rusznikarzy i twórców pozostałych eksponatów.

Wiele prezentowanych tu narzędzi śmierci wyszło spod ręki prawdziwych mistrzów. Były piękne, ale i przerażające i mimo swych artystycznych walorów przyprawiały Allegrę o dziwny niepokój.

- Niektóre z tych przedmiotów są jak piękne klejnoty - powiedziała do Rama. - W dzisiejszych czasach niewielu rzemieślników potrafi robić takie rzeczy.

- Wiedziałem, że się pani spodobają.

W korytarzu przystanęła, żeby się przyjrzeć dwóm obrazom.

- Malowali je Rubens i Bruegel - stwierdziła ze zdumieniem.
Pracowali razem.

- Owszem - potwierdził Ram. - Zauważyła pani na nich coś... zabawnego?

Allegra jeszcze raz rzuciła okiem na płótna.

- Ach, tak. Na każdym z nich jest pies liżący sobie genitalia.

- Właśnie - powiedział Ram, również się uśmiechając. -
Większość oglądających tego nie zauważa.

Musiała przyznać, że szczegół był istotnie zabawny, nie rozumiała jednak, dlaczego jubiler uznał za stosowne zwrócić na to jej uwagę. Czyżby chodziło o jakiś nieprzyzwoity seksualny podtekst?

Nim zdążyła się nad tym głębiej zastanowić, wprowadził ją do następnego pomieszczenia.

- O mój Boże! - wykrzyknęła, stając w progu jak wryta. - Tego już chyba za wiele.

Miała przed sobą ogromnego białego niedźwiedzia, zastygłego na wieczność w groźnej pozycji, z otwartym pyskiem. Jak się wkrótce okazało, stanowił jedynie zapowiedź zgromadzonych tam osobliwości. Pokój, a właściwie ogromną salę, wypełniały wypchane dziki, lamparty, pумы, lwy, tygrysy, jelenie, lisy i inne zwierzęta, ukazane w różnych konfiguracjach. Allegra znów poczuła się nieswojo. Zaczęła się obawiać już nie tylko o bezpieczeństwo pierścionka, ale i o własne.

- Są piękne - zwróciła się do Rama - jednak, prawdę mówiąc, na ich widok robi mi się trochę niedobrze. Pomyśleć, że te wszystkie nieszczęsne stworzenia zostały zastrzelone tylko po to, żeby zaspokoić czyjaś zachciankę... po prostu dla zabawy.

- Wiem, co pani ma na myśli, ale większość tych zwierząt została zabita, nim zaczęli działać obrońcy praw zwierząt. Dopiero od niedawna wiele się mówi o przeciwdziałaniu niepotrzebnym rzeziom.

- Po chwili zadumy dodał: - Odkąd mamy świadomość, że niektóre gatunki mogą bezpowrotnie wyginąć.

Allegra dostrzegła plaketkę z podziękowaniem dla jakiegoś arabskiego księcia za obfity wkład w kolekcję.

-Myślę, że... to dobrze, że taka ekspozycja istnieje i ludzie mogą obejrzeć coś, czego inaczej pewnie nigdy by nie zobaczyli.

- Zbladła pani - powiedziała z troską Ram, chwytając ją za ramię. - Może stanie pani przy oknie i odetchnie świeżym powietrzem? Tamto jest uchylone...

Allegra pokręciła głową.

- Nie, dziękuję, nic mi nie jest.

Ram mimo to pociągnął ją delikatnie w stronę okna.

- Może jednak powinna pani złapać trochę powietrza? - zachęcał.

Allegra ustąpiła; odetchnęła głęboko, zamykając przy tym oczy.

Nagle usłyszała brzęk tłuczonego szkła, a potem głuchy stuk.

Natychmiast otworzyła oczy. Kawałki szkła obsypały jej prawe ramię.

- Co to jest? - zawołała przestraszona.

Zaraz potem z innej części muzeum dobiegł przeraźliwy kobiecy krzyk. Allegra dostrzegła strażnika, który wypadł z innej sali i pędem zbiegał po schodach.

- Na ziemię! - Ram pociągnął ją za sobą pod ścianę. Cholerny Ali, pomyślał ze złością, nie powinienem był polegać na nim nawet w tak prostej sprawie.

Allegra omal nie upadła; kucnęła, przytrzymując się ramienia Rama. Przez cały czas w drugiej ręce kurczowo ścisnęła torebkę z pierścionkiem. Na dziedzińcu rozległ się tupot biegnących stóp i głośne okrzyki; dźwięki, odbite echem od kamiennych murów, docierały wyraźnie do miejsca, gdzie się znajdowali.

- Co... co się dzieje? - spytała bliska paniki.

- Nie wiem - odpowiedział Ram, robiąc zmartwioną minę. - Pewnie jakiś wariat szaleje na ulicy.

- Ale... ale to szkło... dlaczego?

- Nie wiem - powtórzył. - Domyślam się, że ktoś do kogoś strzelał i trafił w okno.

Na dziedzińcu robiło się coraz gwarniej. Allegra miała ochotę podejść do parapetu i wyjrzeć, ale rozsądek mówił jej, że w tych okolicznościach to nie jest dobry pomysł. Okna sięgały niemal od podłogi po sufit, więc stałaby się łatwym celem dla strzelającego wariata. Wyciągając szyję, zdołała dostrzec miejsce, gdzie kula przebiła szybę i można się było domyślić, gdzie utkwiała.

Strażnik powrócił i zbliżył się do nich szybkim krokiem.

- *Monsieur Tadjer* - odezwał się do Rama - nic się panu nie stało?

- Chyba nie. Allegro, jest pani ranna?

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Obejrzała ramię, na które spadły odłamki szkła. Nie dostrzegła krwi ani nawet dziury w swetrze.

- To dobrze. - Strażnik odetchnął z ulgą. - Już po wszystkim. Mogą państwo wyjść.

Ram pomógł Allegrze wstać.

- Co się tu, u licha, dzieje? - zwrócił się do strażnika. Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Nie mamy pojęcia, *monsieur*. - Jakiś człowiek wszedł na dziedziniec i wystrzelił, a potem uciekł. Tylko tyle wiemy. Policja go ściga, ale wątpię, żeby go złapano. Zanim się zjawili, mógł uciec dość daleko.

- Czy ktoś go widział? - spytała Allegra.

- Nie wiem, czy ktoś widział, jak strzelał - odparł strażnik.

- Strzelił do tego pokoju - powiedziała Allegra.

- Jest pani tego pewna, *mademoiselle*?

- Całkowicie. Proszę spojrzeć. - Pokazała mu dziurę w szybie.

- *Mon Dieu!* - Cmoknął z wrażenia. - Mogła pani zostać ranna.

- Stałam przy oknie, kiedy to się stało.

- To jakiś zbieg okoliczności - wtrącił się Ram. - Z pewnością to jeden z tych nawiedzonych obrońców zwierząt. Strzelał na chybił trafił, tylko po to, żeby kogoś przestraszyć.

Allegra spojrzała na niego pytająco.

- Naprawdę pan tak sądzi?

- To nie pierwszy raz, kiedy ci dziwacy chcą zniechęcić ludzi do odwiedzania tego muzeum.

Strażnik potwierdził jego słowa, energicznie kiwając głową.

- To podejrzane typy, zdolne do wszystkiego.

Jeszcze raz popatrzyła na rozbite okno, a potem rozejrzała się po pomieszczeniu. Niemal natychmiast ujrzała to, czego wypatrywała.

Tuż za miejscem, gdzie znajdowała się wcześniej, stała wypchana antylopa. W pokrytej płową sierścią skórze na boku zwierzęcia widać było niedużą dziurkę. Allegra obeszła antylopę dookoła i po drugiej stronie odkryła znacznie większy otwór, poszarpany na brzegach. Ze strachu zrobiło jej się niedobrze, była bliska torsji.

- Co się stało? - zaniepokoił się Ram.

- Tu... tu... proszę zobaczyć - wydukała. - Spojrzała na ścianę za antylopą i dostrzegła kolejną dziurę w tynku. Rozchodzące się od niej pęknięcia miały kształt pajęczej sieci.

Kiedy Ram ze strażnikiem podeszli bliżej, pokazała im to, co musiało być wlotem kuli, oraz jej wylot i miejsce, gdzie w końcu utkwiała.

- Będę musiał wezwać mojego zwierzchnika z dołu - stwierdził strażnik. - Przepraszam państwa na chwilę. - Wyszedł na korytarz, żeby skorzystać z telefonu wiszącego na ścianie.

- Chyba powinniśmy stąd iść - uznał Ram. - Muszę się czegoś napić na uspokojenie.

- Ale co z policją? - zdziwiła się Allegra. - Nie sądzi pan, że powinniśmy z nimi porozmawiać i powiedzieć im wszystko, co wiemy?

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Ten strażnik może im wszystko wyjaśnić. Poza tym jest pani gościem w naszym kraju i chyba nie chce pani być zamieszana w jakąś kryminalną aferę? Co będzie, jeśli zechcą panią zatrzymać w celu przesłuchania?

Allegrze nie przyszło to do głowy. Wiedziała, że w słowach jubilera jest dużo racji. Z drugiej strony jednak miała świadomość, że oddalenie się z miejsca przestępstwa przed złożeniem stosownych zeznań byłoby niewłaściwe.

- Niech się pani tym nie przejmuję - naciskał Ram. - Tak się złożyło, że byliśmy w tym pomieszczeniu, kiedy się to stało. Przecież nie chcemy, aby ktoś uważał, że któreś z nas stanowiło cel, prawda?

O tym także wcześniej nie pomyślała. Po zastanowieniu się doszła do wniosku, że takiej możliwości, jakkolwiek mało prawdopodobnej, nie należało całkowicie wykluczać. Miała przy sobie pierścionek wart sześćdziesiąt pięć milionów dolarów. Szmaragd, który wrzuciła do torebki, jakby to była szminka. Nagle ze strachu rozboleł ją żołądek.

- Okay - powiedziała zdecydowanie. - Spadajmy stąd. I to szybko.

Ram wziął ją pod rękę i wyprowadził na korytarz, gdzie minęli strażnika. Mężczyzna nadal był zajęty rozmową przez telefon, ale wolną ręką machnął na nich, żeby wrócili. Udając, że nie widzą jego gestu, spokojnie zeszli najbliższymi schodami na parter. Zatrzymali się przed sienią, w której mieściła się księgarenka. Kasjerka gdzieś zniknęła. Prawdopodobnie schroniła się w pomieszczeniu dla pracowników albo w którymś z pokoi biurowych muzeum. Nie zatrzymywani przez nikogo, przeszli przez niewielki westybul i skierowali się ku bramie.

Za bramą przy krawężniku czekał na nich bentley, pomrukujący niczym wielki kot, równie egzotyczny i rzadki, jak niektóre z wypchanych zwierząt w muzeum. Ram objął Allegrę w pasie i szybko poprowadził ją do samochodu. Nie czekając aż szofer wysiądzie, sam otworzył drzwi i niemal wepchnął ją do środka. Dziewczynę nieprzyjemnie zaskoczyło jego zachowanie, mimo że sama miała ochotę jak najszybciej oddalić się od muzeum, nie chcąc zostać zatrzymana przez policję.

- Gerard, ruszaj, ale szybko - rzucił Ram do szofera.

- Kiedy samochód znacznie zwiększył prędkość, kierując się na rue des Archives, jubiler zwrócił się do Allegry:

- Nie chcę pani niepokoić, ale im szybciej się stąd wyniesiemy, tym lepiej. Jeśli policja zapragnie panią przesłuchać, to wkrótce zaczną przeszukiwać okolice.

Allegra w milczeniu pokiwała głową. Gdyby policjanci postanowili ją przesłuchać, wystarczyło, by skontaktowali się z Ramtane'em Tadjerem. Wszyscy w muzeum widzieli ich razem, a poza tym należał przecież do tego klubu. Jednego była pewna: jeśli chciała uniknąć spotkania z policją, musiała się uwolnić od czarującego towarzystwa Rama i wrócić do kawalerki.

- Rozumiem - powiedziała w końcu. - Myślę, że będzie najlepiej, jeśli pan mnie wysadzi kilka przecznic stąd. Muszę wracać do domu. Niedługo zjawi się mój gość.

Ram położył rękę na oparciu siedzenia, tuż przy szyi dziewczyny.

- Może byśmy najpierw wpadli do mnie na drinka? Allegra zdecydowanie pokręciła głową.

- Nie, naprawdę nie mogę. Nie mogę zawieść mojego przyjaciela. Muszę wracać.

- A gdzie dokładnie się pani zatrzymała? - spytał niemal obojętnym tonem.

Już miała mu podać adres kamienicy przy me des Archives, niedaleko miejsca, gdzie się znajdowali, ale coś... zapewne instynkt, kazało jej się ugryźć w język.

-Ja...

Znienacka tuż obok zawyły policyjne syreny. Allegra zobaczyła, że do bentleya podjechali dwaj policjanci na motocyklach, a odwróciwszy się, ujrzała z tyłu radiowóz.

- Merde! - zaklął Ram, waląc pięścią w siedzenie. - Policja! Będą nas trzymać godzinami.

Wyraz furii na jego urodziwej twarzy był dziwnie przerażający, lecz Allegra próbowała zachować spokój.

- No cóż... - westchnęła. - Chyba będę musiała zadzwonić do mojego gościa, żeby poczekał.

- Niech pani nie wspomina ani słowem o aukcji i szmaragdzie - powiedział szybko Ram.

- Proszę się nie obawiać. Nic nie powiem. - Wsunęła rękę do torebki i zacisnęła dłoń na pierścionku. Może to przypadek, że ktoś strzelał w klubie, kiedy ona tam się znalazła. To, że akurat stała wtedy przy oknie, również mogło być przypadkiem. Nie potrafiła jednak do

końca w to uwierzyć. Znow poczuła mdłości ze strachu. Ktoś mógł
chcieć mojej śmierci, żeby zdobyć szmaragd, pomyślała. Co więcej, to
Ram zaprowadził ją do miejsca, gdzie strzelano. Mógł sam to
wszystko zaplanować. Ale czy byłby zdolny do czegoś takiego? Nie
potrafiła sobie odpowiedzieć na to pytanie, ale też wcale nie czuła się
już przy nim bezpieczna.

Scandalous

R o z d z i a ł 1 3

Ma pani moją wizytówkę, na wypadek gdyby pani sobie jeszcze coś przypomniała, panno Sheridan - powiedział z uśmiechem Bonneur, jeden z dwóch policjantów, którzy przesłuchali Allegrę w klubowym salonie. - Przykro mi, że musieliśmy panią zatrzymać - dodał po angielsku z lekkim francuskim akcentem. - Jesteśmy pani zobowiązani za pomoc. - Zamknął notatnik.

- Gdybym wiedziała, że moje informacje na coś się panom przydadzą, nie wyszłabym z muzeum, monsieur Bonneur. - Miała świadomość, że trochę się mija z prawdą, ale chciała się jak najszybciej wyplątać z niewygodnej sytuacji. Zadali jej tylko kilka pytań, za co była im wdzięczna. Widziała, że Ram spogląda w jej stronę z drugiego końca salonu, gdzie przesłuchiwali go dwaj inni policjanci. Uśmiechał się wprawdzie, ale Allegra odniosła wrażenie, że jest spięty i zniecierpliwiony.

- Mógłby pan w moim imieniu podziękować panu Tadjerowi za to, że oprowadził mnie po muzeum? - zwróciła się do Bonneura. - Zrobiłabym to sama, ale bardzo się śpieszę.

Muszę wrócić do kawalerki i ukryć pierścioneł, pomyślała, i dowiedzieć się, co - według Hiltona Whiteheada -powinnam teraz zrobić.

- Oczywiście, panno Sheridan - zapewnił Bonneur.

Przyjrzał się jej z zaciekawieniem. - Ale jestem przekonany, że za parę minut będzie pani mogła to zrobić osobiście, moi koledzy zaraz skończą.

- Naprawdę muszę już iść. - Posłała mu najcieplejszy uśmiech ze swego repertuaru.

- Chciałaby pani, żeby policjant odwiózł panią do domu? - spytał.

- Nie, ale dziękuję za dobre chęci. - Pomachała Ramowi na pożegnanie. Zobaczyła, że podniósł się gwałtownie i sięgnął po telefon komórkowy. Wskazała wymownie na zegarek i jeszcze raz pokiwała ręką, po czym szybko wyszła na dziedziniec.

Patrząc prosto przed siebie, skierowała się do bramy; postanowiła odtąd zdecydowanie unikać przystojnego Ramtane'a Tadjera. Tuż za bramą natknęła się na bentleya zaparkowanego przy krawężniku. Samochód miał włączony silnik, a Gerard stał obok, na chodniku.

Rozpoznawszy Allegre, natychmiast ruszył w jej stronę. Miała ochotę udać, że go nie widzi i pójść dalej na rue des Archives, ale zagroził jej drogę muskularnym ramieniem.

- Pan Tadjer prosi, żeby pani na niego poczekała -oznajmił z uśmiechem na ustach.

- Przykro mi, ale jestem umówiona.

Próbowała go wyminąć, a wtedy chwycił ją za ramię tak mocno, że nie mogła się ruszyć. Zaciskając palce na pudełeczku z pierścionkiem, starała się zapanować nad wzbierającą paniką. Gerard zaczął ją ciągnąć do samochodu.

- Proszę mnie puścić! - krzyknęła, próbując wyszarpnąć ramię.

Nagle dłoń szofera dziwnie zwiotczała i zaraz potem zwałisty mężczyzna osunął się na chodnik. Na jego piersi wykwitła szybko rosnąca plama krwi. Allegra stłumiła krzyk przerażenia i co sił w nogach pobiegła przed siebie.

Czuła na sobie zdziwione spojrzenia przechodniów, lecz w ogóle się nimi nie przejmowała. Mieszkanie Paula znajdowało się zaledwie dwie przecznice dalej.

Nie zatrzymała się ani razu, dopóki nie dotarła do bramy kamienicy. Zdyszana wystukała kod na tabliczce i z całej siły naparła na ciężkie czarne drzwi. Nawet nie drgnęły.

Wzięła głęboki wdech i ponownie nacisnęła odpowiednie cyfry, tym razem uważniej. Ku jej uldze zamek ustąpił i mogła wejść do środka. Szybko pokonała ciemny tunel korytarza i wbiegła na schody. Szukając w torebce klucza, omal nie wyskoczyła ze skóry, gdy nagle otworzyły się drzwi na półpiętrze i wyszła z nich jakaś młoda kobieta.

- Dzień dobry - odezwała się przyjaźnie do Allegrzy.

- D...zień dobry - wykrztusiła Allegra, starając się odwzajemnić uśmiech. Odnalazła wreszcie klucz i wyjęła go z torebki. Bliska paniki sięgnęła głębiej, sprawdzając, czy zamszowe pudełeczko jest na swoim miejscu. Kiedy wkładała klucz do zamka, kobieta zaczęła schodzić po schodach; w pewnej chwili obejrzała się z widocznym zaciekawieniem. Pewnie uznała, że zwariowałam, pomyślała Allegra.

Weszła do mieszkania, zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie plecami. Cała się trzęsła, serce jej waliło, czoło zrosiły kropelki potu. Rozejrzała się niespokojnie po niewielkim pomieszczeniu.

Przynajmniej tu wszystko jest jak było, dzięki Bogu, pomyślała z ulgą.

Uspokoiwszy się nieco, przeszła do pokoju, rzuciła torebkę na sofę, po czym zdjęła płaszcz i odwiesiła na oparcie krzesła. Spojrzała na zegarek. Do przyjazdu Todda pozostała jej przeszło godzina, mnóstwo czasu, żeby wziąć prysznic i się przebrać, jednak na razie ani jedno, ani drugie nie wchodziło w grę.

Allegra wiedziała, że powinna jeszcze raz zadzwonić do Sylvie i powiedzieć jej, że ktoś może próbować ją zabić, żeby przechwycić pierścioneł, jakkolwiek nie mogła być tego absolutnie pewna. Zastanawiała się, czy powiadomić policję o tym, że szofer Rama został zamordowany na jej oczach. Istniało jednak spore prawdopodobieństwo, że zostanie wówczas zatrzymana w obcym kraju w związku ze śledztwem w sprawie zabójstwa. Biorąc to pod uwagę, uznała kontakt z policją za ostateczność.

Próbując jakoś zapanować nad kłębowiskiem sprzecznych myśli, z których nie wynikało nic konstruktywnego, postanowiła zacząć od najważniejszego: gdzie ukryć szmaragd?

Usiadła na sofie i odszukała w torebce małe różowawe pudełeczko. Zajrzała do środka. Wspaniały kamień mrugnął do niej odbitym światłem. Dlaczego jesteś taki wyjątkowy?, spytała w myślach. Dlaczego ktoś z twojego powodu był gotów zabić? Czemu akurat ty, ze swoją skazą?

Z ciężkim westchnieniem opuściła wieczko pudełka.

Gdzie mam go ukryć? zadała pytanie, tym razem sobie.

Częsta zasada wybierania kryjówki „na widoku” w tym wypadku nie miała zastosowania. Mogła się sprawdzać w filmach i powieściach kryminalnych, ale pierścionek był za duży, zbyt niezwykły i za bardzo ściągał uwagę, żeby pozostał niedostrzeżony, leżąc gdzieś na wierzchu. Krótkie oględziny wnętrza wystarczyły, by się zorientować, że wcale nie tak łatwo znaleźć odpowiednią kryjówkę. W aneksie kuchennym, pod blatem, była zaledwie pojedyncza szuflada wypełniona sztuccami i różnymi drobiazgami potrzebnymi do gotowania. Zamiast szafek nad zlewozmywakiem wisiały otwarte półki, na których mieściły się podstawowe zapasy, talerze i parę garnków.

Allegra wstała z sofy i przeszła do holu. Znajdująca się tam szafa miała tylko jedną półkę nad wieszakiem. Cały schowek dało się przeszukać w minutę. Zajrzała do łazienki. Na blacie przy umywalce leżała jej kosmetyczka z przyborami do makijażu, a obok prysznicca stał wiklinowy kosz z ręcznikami.

Rozejrzawszy się po ścianach, natychmiast odkryła wiele możliwości ukrycia drobnego przedmiotu. Rury zostały zabudowane robionymi na miarę szafkami różnej wielkości, z ażurowymi drzwiczkami wycinanymi w mauretańskie wzory.

Zaczęła po kolei otwierać szafki, sprawdzając ich zawartość. Większość zapełniona była szamponami, odżywkami, pachnącymi olejkami do kąpieli i innymi środkami do pielęgnacji ciała. Niżej, nad podłogą, umieszczono środki czystości. Jedna z szafek okazała się pojemnikiem na brudną bieliznę, zawierającym stertę męskich

podkoszulków i slipek. Była ciekawa, czy należą do Paula. Powiedział przecież, że mieszka w pobliżu, więc dlaczego miałby tutaj trzymać bieliznę? Doszła do wniosku, że może jednak czasem korzysta z tego mieszkania, i przestała o tym myśleć.

Skupiła całą uwagę na szafkach. Każda z tych półek by się nadawała, stwierdziła w duchu. Na każdej upchnięto tyle butelek, puszek i pudełek, że gdyby ktoś chciał szukać tam pierścionka, straciłby mnóstwo czasu. Obejrząwszy pojemnik na brudne rzeczy, uznała, że i on stanowi niezłe miejsce na tymczasowy schowek. Większość ludzi miałoby opory przed grzebaniem w cudzej bieliznie. Wyjęła garść brudów i położyła na podłodze. Sięgając po następne, natrafiła dłonią na coś twardego. Ostrożnie wyciągnęła całą resztę i zaciekawiona zajrzała do środka.

Zastygła w bezruchu, wstrzymując oddech. Na dnie pojemnika połyskiwał złowrogo pistolet.

- Jezus! - wykrzyknęła Allegra. - Na co temu miłemu Paulowi pistolet? - Po chwili wahania wzięła broń do ręki.

Pistolet był nieduży, ale wydawał się dość ciężki. Obejrzała go dokładnie, obracając w rękach. Zupełnie nie znała się na broni, nie umiała się też nią posługiwać, lecz nagle sobie uświadomiła, że może jej się przydać.

Trzymając pistolet w dwóch palcach, ostrożnie odłożyła go z powrotem w to samo miejsce, nakryła brudnymi rzeczami i zamknęła pojemnik.

Przeglądając zawartość otwartych szafek, dostrzegła rolkę plastra i nagle wpadł jej do głowy świetny pomysł. Kilka razy owinęła plastrem pudełeczko ze szmaragdem, aby mieć pewność, że samo się nie otworzy. Następnie postanowiła przykleić je od tyłu do jednej z licznych rur biegnących pionowo przy ścianie. Wybrała najmniej widoczną i zarazem najtrudniej dostępną. Uklękała na podłodze i zabrała się do roboty.

Przykleiła do pudełeczka trzy kawałki plastra, zostawiając odstające końcówki, którymi następnie umocowała je do rury. Sprawdziła, czy wszystko dobrze się trzyma, a potem odsunęła się nieco od szafki, żeby obejrzeć efekt pracy. Tylko najbystrzejsze oko mogło cokolwiek zauważyć. Zastawiła opróżnioną uprzednio półkę butelkami, słoiczkami i tubkami i z zadowoleniem stwierdziła, że nie widać nawet samej rury, a co dopiero przyklejonych do niej końcówek plastra.

Pozamykała wszystkie drzwiczki i umyła ręce nad umywalką. Znowu spojrzała na zegarek, O mój Boże! Muszę natychmiast wskakiwać pod prysznic, jeśli mam zdążyć przed przyjściem Todda, pomyślała.

Pośpiesznie zdjęła ubranie, wykąpała się i wysuszyła włosy. Pomalowała rzęsy tuszem, nałożyła cień na powieki i lekko musnęła różem policzki. Na koniec, tuż przed wyjściem z łazienki, spryskała się perfumami za uszami oraz na dekolcie i nadgarstkach.

Owinęła się ręcznikiem i spojrzała w lustro. Czuła się odświeżona i wyglądała tak, jakby tego dnia nie zdarzyło się nic szczególnego.

Ciemne oczy księżniczki Karimy płonęły wściekłością; dłoń trzymająca komórkę przy uchu wyraźnie drżała. Plastikowa obudowa telefonu postukiwała cicho o perłowy kolczyk, co jeszcze podsycalo jej złość.

- Co masz na myśli? - wycedziła.

Odetchnęła głęboko, starając się opanować, żeby Marcus przypadkiem jej nie podsłuchał. Wprawdzie w tym momencie popijał w odległym salonie, ale księżniczka wiedziała, że nic go tak nie cieszy, jak rozsiewanie złośliwych plotek. Mimo łączącej ich zażyłości, chętnie by rozpowiedział wśród swoich, że słyszał, jak Karima miała atak furii po aukcji, tym samym dając pożywkę do spekulacji na temat jej prawdziwych odczuć w związku z wyprzedazą kosztowności.

Wysłuchiwała dokładnie fatalnych wieści i nie zważając na obecność Marcusa, wykrzyknęła do telefonu:

- Ty idioto! Ty zasrany gówniarzu! Nie potrafisz niczego zrobić porządnie. Nie chcę cię więcej widzieć ani słyszeć!

Rzucona na biurko komórka z brzękiem odbiła się od wazonu z kwiatami i wylądowała przy koszyczku z najświeższą pocztą. Karima zdarła z głowy turban i rzuciła go na podłogę, dodatkowo kopiąc materiał czubkiem buta. Zapaliwszy papierosa, wypuściła w górę strumień dymu. Oczy zaszyły jej łzami. Nie była skłonna do płaczu,

więc tym bardziej zdumiała ją własna reakcja na otrzymaną wiadomość.

Rozejrzała się po wspianiałej sypialni, w której spędzili tyle cudownych chwil ze Stefano. Był największą miłością jej życia, a pierścionek ze szmaragdem - bardziej niż jakikolwiek inny z licznych cennych prezentów, którymi zasypywał ją kochanek - symbolizował łączącą ich więź.

Zaciągając się głęboko papierosem, spojrzała na zegar stojący na biurku. Uświadomiła sobie, że powinna już być gotową do wyjazdu na wieś, do młyna. Marcus na nią czekał, więc musiała - przynajmniej dla zachowania pozorów - realizować plan, który przedstawiła światu. Marcus stanowił jego istotny element; wiedziała, że zda wszystkim sprawozdanie z tego, jak się zachowywała po aukcji.

Przebrała się w prosty czarny kaszmirowy sweter oraz spodnie i od razu poczuła się lepiej. Może jednak pierścionek nie jest stracony. Może uda się go wydobyć z rąk tej okropnej Amerykanki? Dzisiejsze niepowodzenie wcale nie musiało oznaczać, że następne wysiłki się nie powiodą. Musi jedynie znaleźć kogoś bardziej odpowiedniego do tego zadania.

Zgasiła niedopałek w popielniczce i wsunęła na nogi miękkie skórzane buty do prowadzenia samochodu. Wprawdzie to Marcus miał usiąść za kierownicą, ale uznała, że potrzebuje wygodnego obuwia po całym dniu chodzenia na wysokich obcasach. Stając przed toaletką, poprawiła makijaż i sięgnęła po duży jedwabny szal od Hermesa, przygotowany przez Mimi - zamierzała założyć go na drogę

wraz z dużymi ciemnymi okularami, żeby ewentualni paparazzi mogli ujrzeć odpowiednio dramatyczny widok. Na koniec wrzuciła papierosy do torebki i zdjęła z wieszaka pikowany czarny żakiet Barbour.

Przystanęła w progu, by jeszcze raz się rozejrzeć. Istniała możliwość, że już nigdy nie zobaczy tego wspaniałego wnętrza, ale nie czuła z tego powodu większego żalu. Miała fantastyczny plan na spędzenie reszty życia. Ten dom nie odgrywał w jej zamiarach żadnej roli. Zamykając za sobą drzwi, przeszła do salonu, gdzie zamierzała napić się z Marcusem przed zamianą tego niezwykłego miłosego gniazdka na szlachetną prostotę podmiejskiego zacisza. Wiedziała, że tam będzie mieć dość czasu na obmyślenie sposobu odzyskania pierścionka. Jednego była pewna: zostanie złożona do grobu ze swoim szmaragdem na palcu.

Allegra nie słyszała telefonu, który zadzwonił dwukrotnie, kiedy była pod prysznicem. Z przyjemnością poddawała się mocnym strumieniom bijącym z wielkiego chromowanego sitka, przypominającego srebrny talerz. Woda przyjemnie masowała jej ciało, uwalniając od napięcia i wszelkich trosk. Pukanie do drzwi rozległo się, kiedy zakończyła już kąpiel, ale nie zdążyła się jeszcze ubrać. Pobiegła otworzyć, zawinięta w ręcznik, przygotowana na widok uśmiechniętej twarzy Todda i uścisk jego mocnych ramion. Przekreśliła klucz w zamku i szeroko otworzyła drzwi.

- O, cześć, Allegro... - rzucił nerwowo Paul, starając się omijać wzrokiem odsłonięte części jej ciała.

Chwyciła ręcznik na piersi, żeby się przypadkiem nie zsunął.

- O, Paul. Przepraszam. Nie spodziewałam się, że to ty...

- To ja cię przepraszam - powiedział, stojąc na progu. -

Próbowałem się dodzwonić, ale nikt nie odbierał, więc pomyślałem, że cię nie ma w domu.

- Wejdz. - Szerokim gestem zaprosiła go do środka.

- Wpadłem tylko na moment - tłumaczył się Paul. -

Uświadomiłem sobie, że zapomniałem... pokazać ci, jak się obsługuje ekspres do kawy. - Zaśmiał się, co zabrzmiało jak kasznięcie. - Jest trochę skomplikowany, wy, Amerykanie takich nie używacie. Sylvie dzwoniła i powiedziała, że zostajesz na weekend.

- Owszem, ale kawa nie stanowi problemu - powiedziała Allegra. - Pozwól, że coś na siebie szybko narzucę.

- Jasne. - Paul przeszedł do pokoju, zostawiając za sobą szeroko otwarte drzwi wejściowe.

Allegra schowała się w łazience.

- Jadam śniadania na mieście, a poza tym i tak raczej nie piję kawy. Nie masz się czym przejmować - mówiła głośno, żeby ją słyszał przez drzwi. Zrzuciła ręcznik i rezygnując ze stanika, włożyła mocno wyciętą czarną bluzkę od Yves'a Saint Laurenta, którą Todd uważał za seksowną. - Jeszcze minutkę! - zawołała.

- W porządku - odkrzyknął Paul. - Nie musisz się śpieszyć.

Wciągnęła czarną skórzaną minispódniczkę, która starannie złożona, przetrwała podróż bez szwanku i prezentowała się doskonale. Zadowolona ze swego wyglądu, przeszła z łazienki do pokoju.

Paul stał na środku z zagubionym wyrazem twarzy. Pomyślała, że prawdziwy z niego dziwak.

- Co do tego ekspresu... - zaczął.

- Och, Paul, daj spokój - przerwała mu, siadając, żeby włożyć szpilki od Chrystiana Louboutina. - W ogóle go nie używam.

Rozległo się pukanie od strony wciąż otwartych na oścież drzwi. Oboje jednocześnie odwrócili głowy. Allegra poderwała się z sofy.

- Todd!

Ucałowali się na powitanie. Allegra wtuliła się w Todda; syciła się ciepłem jego ciała i poczuciem bezpieczeństwa, które znajdowała w jego ramionach. Poczula, że Todd spogląda ponad jej ramieniem w głąb pokoju, na stojącego tam Paula.

- Och, Todd, przepraszam. To jest Paul. Paul jest przyjacielem Sylvie i właścicielem tego mieszkania.

Todd podszedł do Paula i z uśmiechem wyciągnął do niego rękę.

- Cześć. Miło cię poznać, Paul.

Ten lekko skinął głową i bardziej przytrzymał niż uściśnął podaną dłoń.

- Mam nadzieję, że będziecie się dobrze bawić w Paryżu - powiedział.

- Z pewnością - odparł Todd, spoglądając czule na Allegrę.

- No to nie będę wam przeszkadzał. Pewnie macie dużo do... zobaczenia i zrobienia. Wpadłem, żeby pokazać Allegrze, jak się obsługuje ekspres, ale nie jest zainteresowana parzeniem kawy. Będę się zbierał. - Skierował się do wyjścia, lecz w holu odwrócił się

jeszcze i spytał: - Nie macie nic przeciwko temu, że skorzystam z toalety?

- Oczywiście, że nie - zapewniła go Allegra. - To w końcu twoje mieszkanie - dodała ze śmiechem.

Paul zniknął za drzwiami łazienki. Todd rozglądał się bacznie po głównym pomieszczeniu.

- O co chodzi? Czemu masz taką poważną minę? - spytała Allegra, zdziwiona wyrazem jego twarzy.

Nie odpowiedział; dopiero po chwili spytał szeptem:

- Gdzie ukryłaś łup? Allegra zeszywniała.

- O... o czym ty mówisz?

- Nie udawaj. - Nadal mówił ściszym głosem. - Wiem, że przyjechałaś tu, żeby kupić coś dla Hiltona Whiteheada.

Allegra milczała; tylko błysk w oku zdradzał jej wściekłość.

- Powiedz - zażądał Todd. - I to natychmiast. Odwróciła wzrok, nadal się nie odzywając.

Todd położył dłonie na jej ramionach i nachylił się do ucha.

- Tu są minikamery. Ktoś cię szpieguje. - Ruchem głowy wskazał na hol. - Prawdopodobnie ten gnojek.

- Ale... jesteś pewien? Przytaknął, patrząc jej w oczy.

- Powiedz mi, gdzie to ukryłaś.

- W... w łazience - wykrztusiła. Todd uśmiechnął się przelotnie.

- Usiądź i zostań tu - polecił. - Ale...

- Allegra, chociaż raz zrób to, o co cię proszę. Widząc, że nie żartuje, zrezygnowała z dalszych protestów.

Todd przeszedł do holu, zamknął drzwi mieszkania i stanął przy nich z rękami opartymi na piersi. Po chwili Paul wyłonił się z łazienki. Nawet z daleka Allegra widziała zaskoczenie malujące się na jego twarzy.

- Pójdę już. - Próbował wyminąć Todda.

- Nie sądzę - odparł ten.

- Dlaczego? Co... o co chodzi? - Paul spojrział pytająco najpierw na Todda, potem na Allegrę.

Todd chwycił go za kołnierz i niemal wniósł do pokoju. Paul bezskutecznie próbował mu się wyrwać. Chudy i wąty, w starciu z muskularnym mężczyzną nie miał żadnych szans.

Widząc jego przerażone spojrzenie, Allegra poderwała się z sofy.

- Todd, co ty u diabła...

Uciszył ją zdecydowanym gestem. Poluzował nieco chwyt, ale nie puścił Paula.

- Zanim wyjdiesz, masz mi oddać to, co zabrałeś z łazienki - rozkazał.

- Ja... niczego nie wziąłem... z łazienki - wykrztusił Paul, nerwowo oblizując wargi. Allegra widziała, jak na jego czole pojawiają się kropelki potu.

- Nie kombinuj - warknął ostrzegawczo Todd.

- Ja... nic nie mam - jęknął żałośnie Paul. Teraz już całą twarz miał moką, a w jego oczach malowało się autentyczne przerażenie.

Todd przytrzymał go za szyję, jednym szarpnięciem zerwał mu marynarkę i rzucił na podłogę.

- Przeszukaj kieszenie, Ally. Sprawdź dobrze podszewkę.

Allegra przez chwilę siedziała bez ruchu, wściekła, że musi brać udział w tej pożałowania godnej scenie. Jednak ton głosu Todda, świadczący, że ten wie, co mówi, kazał jej spełnić polecenie. Szybko przejrzała kieszenie, po czym ułożyła marynarkę na sofie i zaczęła ją dokładnie przeszukiwać.

Todd sprawdził tak samo górną część ciała Paula.

- Nic nie ma - stwierdziła Allegra.

- Jesteś pewna?

- Całkowicie.

Todd rozpiął Paulowi klamrę paska, a potem suwak. Ściągnął z Francuza spodnie tak gwałtownie, że oderwany guzik potoczył się po podłodze.

- Proszę cię, nie rób tego - pisnął rozpaczliwie Paul, próbując mu się wyrwać. - Proszę... - Posłał błagalne spojrzenie Allegrze, która odwróciła się tyłem, nie mogąc znieść widoku jego upokorzenia.

- Aha - odezwał się spokojnie Todd. - Co my tu mamy, Paul? - Wyjął z bokserek pudełeczko z napisem „Jules Levant Joailliera” i podał je Allegrze.

Zaniemówiła z wrażenia. Paul skurczył się w sobie; łzy spływały mu po zapadłych policzkach.

Allegra otworzyła pudełeczko, żeby się upewnić, czy pierścionek nadal jest w środku. Omal nie zemdląca z ulgi, gdy ciemnozielony kamień mrugnął do niej z zamszowej wyściółki.

- To ten - powiedziała do Todda.

Paul wziął swoją marynarkę z sofy, założył i zaczął obiema rękami wycierać twarz z potu i łez.

- Zrobiłeś to dla Sylvie - raczej stwierdził, niż spytał Todd.

Paul nie odpowiadał, zajęty zapinaniem spodni i paska. Skulił się, kiedy Todd zrobił krok w jego stronę.

- Powtarzam, zrobiłeś to dla Sylvie, tak?

Tamten otworzył i zamknął usta, ale nie wydobył z siebie głosu.

- Założyłeś jedną minikamerę w pokoju i jedną w łazience, żeby zobaczyć, gdzie Ally ukryje pierścionek. A na górze lub na dole masz monitory, zgadza się?

Todd znów zbliżył się do niego o krok, wymownie uderzając pięścią w otwartą dłoń. Paul cofnął się z widocznym lękiem, ale wreszcie podniósł wzrok.

- Podglądałeś ją. Naruszałeś jej prywatność. Jak jakiś pieprzony zboczeniec. Nie wiedziałeś, że weszła pod prysznic, bo tego nie było na monitorach, sądziłeś, że jej nie ma w domu.

Paul wciąż milczał.

Todd zacisnął dłonie w pięści.

- Niedobrze mi się robi. Mam ochotę rozerwać cię na kawałki.

- Nie! - zawołała Allegra. - Todd, nie rób mu nic złego. Mamy pierścionek. Puść go, proszę.

- Powiedz mi, draniu - wycedził wolno Todd. - Powiedz mi, bo rozwalę ci nos. Zrobiłeś to dla Sylvie, tak? -Pochylił się nad nim groźnie.

Francuz pokiwał głową twierdząco.

- Powiedz to - warknął Todd.

- Tak. Dla Sylvie - wystękał wreszcie. Todd splótł ręce na piersi.

- Powyrzucam te pieprzone kamery. A ty się wynoś. Nie chcę cię tu więcej widzieć.

Paul stał w miejscu jak wmurowany, ruszył się dopiero, kiedy Todd go popchnął. Ręce tak mu się trzęsły, że miał trudności z otwarciem drzwi. W końcu wydostał się z mieszkania i zaczął schodzić po schodach.

- Wieczorem już nas tu nie będzie! - zawołał za nim Todd. - Klucze zostawimy w kuchennym zlewie. - Zatrzasnął drzwi, przekręcił klucz w zamku i wrócił do Allegry, która czekała na niego w pokoju, biała jak kreda.

R o z d z i a ł 1 4

Podszedł i wziął ją w ramiona.

- Jezu, tak się cieszę, że cię widzę - westchnął, obejmując ją mocno.

Allegra próbowała powstrzymać łzy cisnące się do oczu.

- Wszystko będzie dobrze, Ally - szepnął czule. - Jestem z tobą.

Powoli się uspokajała.

- Ja też się cieszę, że cię widzę - chlipnęła. - Nie mogę uwierzyć w to, co się stało. - Odsunęła się lekko, żeby mu spojrzeć w oczy. - Prawdę mówiąc, nie mogę uwierzyć we wszystko, co się stało w ciągu ostatnich kilku godzin. - Ścisnęła go za ramię. - Również w to, że tak dużo wiesz.

- Chyba będzie lepiej, jak usiądziemy i porozmawiamy, Ally. Chcę, żebyś mi wszystko powiedziała. Najwyraźniej wpakowałaś się tu w jakąś niebezpieczną historię. Chcę wiedzieć dokładnie, co się dzieje.

Puścił ją, przysunął krzesło pod ścianę, stanął na nim i szarpnął minikamerą umieszczoną na ścianie pod sufitem. Okruchy tynku posypały się na podłogę, a kamera zawisła luźno na kablu. Todd pociągnął jeszcze raz, odrywając ją od przewodu.

- Gotowe - oznajmił. - Ten gnojek nie może nas już podglądać. - Zszedł z krzesła. - Zaraz wrócę. Zlikwiduję tamtą z łazienki.

Allegra aż się wzdrygnęła, kiedy zjawił się z powrotem z drugą kamerą dyndającą na kawałku drutu.

- Tak, jak myślałem. Była ustawiona w taki sposób, że obejmowała wszystko poza prysznicem. - Obie kamery wylądowały na podłodze w kącie pokoju.

Podszedł do Allegry siedzącej na sofie.

- A teraz mów. Wszystko po kolei, od samego początku.

Niczego nie pomijaj, dobrze?

Pokiwała głową.

- Świetnie. Może naleję nam po kieliszku szampana. Co ty na to?

- Szampana? - zdziwiła się. - Skąd go masz?

- Kazałem kierowcy zatrzymać się w drodze z lotniska i kupiłem. - Wyjął butelkę z czarnej torby podróżnej. - To ci ułatwi mówienie... całej prawdy.

- Powiem ci wszystko, Todd - obiecała. - Po co miałabym kłamać?

- To jeszcze nie rozwiązuje kwestii przemilczeń - odparł. - Znam cię na tyle, by wiedzieć, że możesz pominąć kilka ważnych szczegółów. - Mrugnął do niej żartobliwie i podszedł do aneksu kuchennego. Wziął z półki dwa kieliszki, po czym odwinął folię z szyjki, zdjął drut oplatający korek i wprawnie otworzył butelkę. Napenił kieliszki i jeden podał Allegrze.

- *Mademoiselle* - powiedział tonem pełnym galanterii,

- Dziękuję, *monsieur*.

- Za nas. - Patrząc jej w oczy, uniósł kieliszek w geście toastu.

- Za nas - powtórzyła za nim.

- Pyszny - pochwaliła szampana Allegra.

- Owszem, niezły - zgodził się Todd. Odstawił kieliszek na stolik i spojrzął na nią wyczekująco. - Możesz zaczynać. Od początku.

Wcale jej się nie podobało to, co miała zrobić, ponieważ miała poczucie, że łamie dane słowo. Obiecała Hiltonowi Whiteheadowi, że nie powie nikomu o swojej misji. Jednakże od czasu, gdy składała tę obietnicę w Nowym Jorku, okoliczności znacznie się zmieniły.

Wypełniła zadanie, z którym przyjechała do Paryża, ale od tamtego momentu była świadkiem dwóch strzelanin, a w każdej z nich mogła stracić życie. A jakby tego było mało, najwyraźniej Sylvie w zмовie z Paulem chciała ukraść pierścionek!

Opowiedziała Toddowi wszystko. O tym, jak Sylvie skontaktowała się z nią w imieniu Whiteheada. O wyjeździe do Paryża na aukcję, żeby kupić pierścionek księżniczki Karimy. O tym, jak za namową Sylvie zgodziła się zamieszkać w kawalerce Paula. O poznaniu Ramtane'a Tadjera w sklepie Julesa Levanta Joailliera i późniejszym spotkaniu w domu aukcyjnym, kiedy jubiler pomógł jej wyjaśnić nieporozumienie z pierścionkiem. O tym, jak poszła z nim do muzeum, gdzie kula wpadła przez okno do pomieszczenia, w którym akurat przebywali. O tym, jak na jej oczach, na ulicy został zastrzelony szofer Rama. Wreszcie o tym, jak biegiem wróciła do mieszkania i ukryła pierścionek, by niedługo potem się przekonać, że Sylvie z Paulem zamierzali go ukraść.

Todd słuchał, nie przerywając jej ani razu. Kiedy wreszcie skończyła, nadal się nie odzywał. Domyślała się, że próbuje ułożyć

sobie w głowie całą tę historię i z pewnością będzie miał różne pytania. Najpierw jednak to ona chciała się dowiedzieć paru rzeczy.

- Skąd wiedziałeś, co zamierzam zrobić? - spytała. Todd wzruszył ramionami.

- To proste. Po pierwsze, zostawiłaś przy łóżku katalog aukcyjny galerii Dufour. Tamtego wieczoru, kiedy poszliśmy potańczyć, widziałem, jak w klubie konferujesz sam na sam z Sylvie. A potem często rozmawiałaś z nią przez telefon. Wiedziałem, że się znacie, ale nie aż tak blisko. Wiedziałem też, że pracuje u Hiltona Whiteheada, jedyne go znanego mi człowieka, który mógłby sobie pozwolić na kupienie czegokolwiek z tego katalogu. Zostałaś odwieziona na lotnisko rolls-royce'em. Czasopismo „Jalouse” nie zaprosiło cię na żadną sesję zdjęciową. - Wziął ją za rękę. - Przykro mi, że do nich zadzwoniłem, żeby to sprawdzić, ale zaczynałem się poważnie niepokoić.

Allegra chciała być na niego zła, ale trudno było się gniewać na kogoś, kto tak się troszczył o jej dobro.

- Chyba nie nadaję się na konspiratora - przyznała.

- Raczej nie polecałbym ci kariery w tej branży. - Pogładził ją po ręce. - A teraz musimy niezwłocznie zrobić parę rzeczy.

- Co masz na myśli? - spytała.

- Po pierwsze, musimy się stąd wynieść i znaleźć jakiś hotel. Po drugie, zadzwonić do Hiltona Whiteheada i powiedzieć mu, co się stało. Powinien wiedzieć, że ryzykowałam dla niego własne życie, Ally. No i musi się natychmiast dowiedzieć o Sylvie.

Allegra przyznała mu rację.

- Boże - jęknęła. - To straszne, że jej to robię...

- Ty jej? - wykrzyknął Todd. - Pomyśl o tym, co ona próbowała zrobić tobie.

- No tak, wiem... - mruknęła bez przekonania. To, że Sylvie tak podle ją zdradziła, jeszcze w pełni do niej nie dotarło.

- Zastanawiam się... - zaczął Todd, wpatrzony przed siebie nieobecny wzrokiem.

- Nad czym? - ponagliła go Allegra.

- Ten cały Tadjer wydaje mi się mocno podejrzany. Twierdzisz, że pierścionek pochodził z jego sklepu. Facet był na aukcji. Przyszedł ci z pomocą. Zabrał cię do banku, ale za późno. Potem zabrał cię na drinka do klubu, gdzie omal nie zginęłaś.

- Nie wygląda to najlepiej, prawda? Ale z drugiej strony, to wszystko mogło być zupełnie niewinnym zbiegiem okoliczności. - Westchnęła z rezygnacją. - Sama już nie wiem, co myśleć.

- Na razie nic nie myśl - poradził Todd, biorąc ją znowu za rękę.

- Pozbierajmy twoje rzeczy i wnośmy się stąd. Znajdziemy jakiś hotel i stamtąd zadzwonimy do Hiltona Whitheada.

- Dobrze. Ale najpierw muszę pójść do łazienki. Zaraz wrócę. A pakowanie zajmie mi dosłownie minutę.

Weszła do łazienki, zamykając za sobą drzwi. Zdjęła pokrywę z pojemnika na pranie i zaczęła wyjmować na podłogę brudną bieliznę, aż wreszcie dostrzegła błysk metalu na samym dnie. Sięgnęła po pistolet, przekonana, że może im się przydać.

Nie mogąc do końca uwierzyć, że naprawdę to robi, wrzuciła broń do kosmetyczki, zgarnęła na wierzch swoje drobiazgi toaletowe i kosmetyki, po czym zasunęła zamek. Następnie sprzątnęła rozsypane brudy, umieszczając je z powrotem w pojemniku. Wreszcie, żeby zmylić Todda, pociągnęła za łańcuszek starodawnej spłuczki zamontowanej na ścianie pod sufitem.

Niosąc pod pachą kosmetyczkę, wróciła do pokoju, gdzie Todd czekał już gotowy do wyjścia, z torbą na ramieniu.

- Potrzebuję jeszcze tylko paru minut - powiedziała, stając przed otwartą szafą.

Sylvie wolno odłożyła słuchawkę i zaczęła bębnić palcami po blacie biurka. Miała wrażenie, że wszystkie mięśnie w jej ciele są napięte jak struny.

Gwałtownym ruchem otworzyła szufladę i wyjęła z niej paczkę cameli bez filtra. Ręka jej drżała, kiedy zapalała papierosa pozłacaną zapalniczką od Cartiera, otrzymaną od Paula na Gwiazdkę. Zaciągnęła się głęboko, a potem wypuściła kłęb dymu, patrząc, jak zatruwa nieskazitelne powietrze w rzęsiście oświetlonym biurze. Wiedziała, że usłyszawszy, co zrobiła, Hilton się wścieknie, na szczęście ich współpraca dobiegła już końca. Sylvie gorączkowo poszukiwała w głowie jakiegoś rozwiązania, jednak nie znajdowała wyjaśnienia, które by zadowoliło jej szefa. Oczywiście mogła udać niewinną dziewczynę, która powiedziała miłemu, porządnemu chłopcu z Paryża o zadaniu Allegry i zwalić całą winę na Paula, przyznając się jedynie do ujawnienia tajemnicy. Jeśli jednak Hilton Whitehead postanowi

zbadać całą sprawę, szybko się okaże, że Paul wcale nie ma zamiaru nadstawić głowy. Nie, pomyślała, ten idiota od razu wypaple, że to ja wszystko zaplanowałam.

Przystąpiła do działania. Wyjęła z szuflady niewielkie metalowe pudełko i otworzyła je kluczykiem przechowywanym w sąsiedniej szufladzie. Zawsze było tam przynajmniej pięć tysięcy dolarów w gotówce, przeznaczonych na napiwki, taksówki i różne inne bieżące potrzeby. Niewiele, ale zawsze coś na początek. Upchnęła banknoty w kopercie, a potem wsunęła ją do torebki.

Z innej szuflady wyjęła dwie książeczki czekowe: jedną małą, do korzystania z osobistego konta Whiteheada, drugą większą, do rachunku firmowego. Starannie wydarła dziesięć ostatnich czeków z tej mniejszej; brak większej liczby mogłoby wzbudzić podejrzenia. Następnie otworzyła tę większą, w twardej oprawie, zdjęła metalowy zacisk i również z końca wzięła pięć stron z czekami, w sumie zabrała piętnaście. Poskładała je w miejscach perforacji i wraz z czekami osobistymi włożyła do innej koperty. Obliczyła szybko, że łącznie z obu rachunków jeszcze tego popołudnia - jeśli się pośpieszy - powinna zgarnąć kolejne kilka tysięcy, realizując czeki w różnych oddziałach. Podpis Hiltona nie stanowił problemu. Podrabiała go nieskończoną ilość razy.

Odłożywszy książeczki na miejsce, podeszła do szafy ukrytej w boazerii, żeby wziąć płaszcz. Już ubrana do wyjścia, usiadła w fotelu za biurkiem, rozpięła wewnętrzną kieszonkę w torebce i wyjęła z niej metalowe pudełeczko po miętówkach. Otworzyła je bardzo ostrożnie i

łakomym wzrokiem popatrzyła na znajdujący się w środku biały proszek. Paznokciem nabrała odpowiednią porcję, wciągnęła do nosa, a potem oblizwała paznokcie, by mieć pewność, że nie została tam ani odrobina cennej substancji. Potem wyjęła z kieszeni chusteczkę i wytarła nos, żeby nikt nie zobaczył żadnych śladów.

Włożyła pudełeczko na miejsce i zamknęła torebkę. Niemal od razu poczuła, że narkotyk zaczyna działać: poprawił jej humor i dał energię do natychmiastowego działania. I pewność, że wszystko się uda.

Szybko opuściła biuro, podeszła do windy i wcisnęła odpowiedni guzik. Z rozmarzeniem pomyślała o nocnym locie do Paryża. A potem będą mogli z Paulem pojechać samochodem do swojej uroczej kryjówki w Prowansji. Pomysł zaszycia się w Saint Remy wydał się Sylvie szczególnie pociągający po szaleńczym tempie i wulgarności Nowego Jorku. Spędzą tam kilka dni tylko we dwoje i zdecydują, co dalej robić i dokąd wyjechać.

Wsiadła do windy, rozmyślając o możliwościach, jakie się przed nią otwierają. Allegra wyświadczyła jej przysługę. Nadszedł czas, by uciec z kraju, który Sylvie uważała za prymitywny i pospolity. Czas, by wrócić do cywilizowanego miejsca, gdzie ludzie wiedzą, jak żyć.

R o z d z i a ł 1 5

Mały telefon komórkowy na stoliku przy łóżku dzwonił i dzwonił, lecz jego właściciel pozostawał głuchy na nieustępliwe sygnały. Zmysły i uwaga Hiltona skupione były bez reszty na czymś innym: na doznaniach, których dostarczała mu Kitty. W końcu przyjemność stała się tak intensywna, że z najwyższym trudem powstrzymywał się przed gwałtownym, przedwczesnym finałem. Zamierzał w ostatniej chwili wsunąć się w nią i dopiero wówczas osiągnąć spełnienie. Wiedział, że Kitty doceni taką dbałość o jej odczucia.

Wreszcie nadszedł taki moment, że nie mógł dłużej zwlekać. Chwyił ją za ramiona, ułożył na plecach i zaczął namiętnie całować. Kitty zamruczała gardłowo, kiedy wypełniwszy ją, nakrył dłońmi jej piersi. Natychmiast uniosła biodra, jakby zapraszała go w siebie jeszcze głębiej.

Zaczął się w niej poruszać coraz szybciej, aż poczuł, że nie jest w stanie oprzeć się wzbierającej fali rozkoszy. Kitty zadrżała pod nim, wydając z siebie przeciągły krzyk i to wystarczyło, by eksplodował w nią gorącym strumieniem.

Przyciskał ją do siebie z całych sił, wyczerpany i oszołomiony intensywnością doznań. Kiedy wreszcie po dłuższej chwili oboje doszli do siebie na tyle, by oddychać normalnym rytmem, rozluźnił nieco uścisk, lecz nadal trzymał Kitty w ramionach, muskając delikatnymi pocałunkami jej twarz, uszy, szyję.

- Myślę, że jesteś tym najlepszym, co mi się przydarzyło w życiu
- odezwał się z uśmiechem.

- A ja wiem, że jesteś tym najlepszym, co mnie w życiu spotkało
- odpowiedziała miękko.

Komórka znów rozpoczęła swe jednostajne nawoływania.

- Cholera! - zaklął Hilton.

- To twój prywatny numer - zauważyła Kitty. - Może lepiej
odbierz?

Spojrzał na niepozorny, lecz irytująco natarczywy aparat.

- Tak... - mruknął - chociaż to pewnie nic ważnego. Tylko jakieś
dziesięć osób zna ten numer.

- Może jednak należałoby odebrać - powiedziała Kitty.

- Może - przyznał beztrąsko Hilton. - Ale nic nie może być
ważniejsze od tego, co teraz robimy.

- Od tego, co robimy, na pewno nie. - Zachichotała. Dzwonienie
nie ustawało.

- Trzeba przyznać, że ten ktoś łatwo się nie poddaje - stwierdziła
Kitty.

- A niech to... - zdecydował się jednak odebrać. - Hilton
Whitehead - rzucił do telefonu.

- Mówi Allegra Sheridan - zabrzmiało po drugiej stronie.
Natychmiast usiadł na posłaniu.

- Halo, co się dzieje? Wszystko w porządku?

- Tak. Nie. To znaczy, wydarzyło się coś, o czym powinieneś wiedzieć. A właściwie bardzo wiele się wydarzyło. I o wszystkim powinieneś wiedzieć.

- O co chodzi, Allegro? - Wstał z łóżka i skierował się do łazienki. Po drodze przesłał Kitty przepaszającego całusa; nie chciał, żeby się przysłuchiwała tej rozmowie.

Allegra opowiedziała mu o Sylvie i Paulu, a następnie, za namową Todda, wspominała też o spotkaniu z Ram-tane'em Tadjerem i strzelaninie.

- Ale tobie i twojemu chłopakowi nic się nie stało, Allegro? - spytał z troską miliarder.

- Nie, nic nam nie jest. Cieszę się, że Todd przyleciał. Gdyby nie on, Paul zniknąłby razem ze szmaragdem.

- Jezu! - Hilton z ulgą wypuścił powietrze, co zabrzmiało jak przeciągły gwizd. - Nie mogę w to uwierzyć. Kto jak kto, ale żeby Sylvie...

- Przykro mi, że musiałam ci o tym powiedzieć. Mnie też trudno w to uwierzyć. Znamy się od dawna i sądziłam, że jesteśmy przyjaciółkami.

- Cóż, a mnie jest przykro, że to wszystko was spotkało. Ten Tadjer... Mówisz, że jest właścicielem firmy Jules Levant?

- Owszem - potwierdziła.

- To on niepokoi mnie o wiele bardziej niż Sylvie i Paul - powiedział Whitehead. - Już ja się nią zajmę. Może nawet jest jeszcze

na dole. Nie podoba mi się myśl, że miałabyś znowu spotkać Tadjera. Jak sądzisz, czy on wie, dokąd uciekliście?

- Nie - zapewniła go Allegra. - Chyba że ma szpiegów, którzy mnie obserwują. Wsiedliśmy do taksówki przed kamienicą i jeździliśmy po całym Paryżu, a Todd przez komórkę szukał pokoju w jakimś hotelu.

- Gdzie teraz jesteście?

- Właściwie niedaleko miejsca, skąd wyruszyliśmy -zaśmiała się nerwowo. - W hotelu De la Bretonnerie.

- I jesteś raczej pewna, że nikt nie wie, gdzie się zatrzymaliście?

- Zgadza się.

- Po naszej rozmowie zadzwonię w kilka miejsc - powiedział. - Jeśli będzie trzeba, powiadomimy Surete, Interpol i kogo jeszcze się da, żeby się tym zajęli.

- Wolałabym, abyś tego nie robił - poprosiła Allegra. - Jeśli ich w to włączysz, utknę tu na długo. Wraz ze szmaragdem. A sam mówiłeś, że możesz się zająć Sylvie tam, na miejscu. Policja zechce rozmawiać z pracownikami Dufour, z Tadjerem, z personelem muzeum, ze mną i Bóg jeden wie, z kim jeszcze. Naprawdę mogą mnie tu trzymać bardzo długo. Todda zresztą też, bo teraz i jego to dotyczy.

- Rozumiem, co masz na myśli. - Hilton westchnął. Nie podobała mu się myśl, że miałby zrezygnować ze

śledztwa w sprawie zamieszania w Dufour, udziału Tadjera i całej reszty. Jednakże cały czas pamiętał o najważniejszym elemencie tej dziwnej i niepokojącej historii: o szmaragdzie.

- Proszę, posłuchaj, Allegra. W tej chwili najważniejsze jest to, żeby pierścionek dotarł bezpiecznie do Nowego Jorku. Spróbujemy się dowiedzieć czegoś o Tadjerze i strzelaninie, ale poczekamy z tym do czasu, aż wrócicie. Dobrze?

- Świetnie. - Allegra nie kryła ulgi. - Żałuję, że nie wiem, co spowodowało tak wielkie zainteresowanie szmaragdem.

- Lepiej o tym zapomnieć - poradził Whitehead. - Twoim zadaniem było kupienie pierścionka i przywiezienie go do Nowego Jorku. Tylko tyle. Dlatego proszę, jutro rano od razu zanieś go do banku. W poniedziałek przyjedzie po was kierowca i odbierze klejnot po drodze na lotnisko. Zrozumiano?

- Tak, zrozumiano - zapewniła. - Martwię się tylko o resztę dzisiejszego wieczoru i noc.

- Posłuchaj... - zaczął.

Wysłuchawszy wszystkiego, co miał jej do powiedzenia, Allegra się rozłączyła.

- Lepiej się teraz czujesz? - spytał Todd.

- Niezupełnie. - Powtórzyła mu rozmowę z miliarderem. - Nie sądzę, żebym poczuła się lepiej, dopóki pierścionek nie znajdzie się w Nowym Jorku.

- Może tymczasem poszlibyśmy coś zjeść - podsunął Todd.

- Doskonały pomysł - odpowiedziała, myśląc coś wręcz przeciwnego.

Po wyjściu z hotelu de la Bretonnerie, Allegra, stojąc na wąskim chodniku, rozejrzała się nerwowo, próbując podjąć decyzję, w którą

stronę powinni pójść. Nawet z Toddem u boku czuła się bezbronna, zwłaszcza na ulicy.

- Niewygodnie ci? - spytała go z troską w głosie.

- W porządku - zapewnił ją z uśmiechem. - Ale jeśli zacznę iść jak kaczką, będziesz wiedziała, dlaczego. - Otoczył ją mocnym ramieniem i uściśnął pokrzepiająco. - A może pójdziemy... tam? - Wskazał kierunek wyciągniętym palcem.

- Jasne, czemu nie - zgodziła się szybko. Kiedy ruszyli przed siebie, Allegra przyjrzała się Toddowi, żeby sprawdzić, czy widać jakąś różnicę w jego chodzie.

- Nie sądzę, żeby domniemany złodziej szukał pierścionka ze szmaragdem tam, gdzie go upchnąłem.

Szli ulicą Sainte-Croix de la Bretonnerie, zupełnie nieświadomi tego, że od strony rue Vieille du Temple para ciemnych oczu uważnie śledzi każdy ich krok. Chodniki zatłoczone były przechodniami oglądającymi sklepowe wystawy oraz bywalcami restauracji i barów, wchodzącymi i wychodzącymi z modnych lokali usytuowanych w tej okolicy. Allegra i Todd zwolnili i wtopili się w otaczający ich tłum, który przepływał ulicą w leniwym tempie. Inna para oczu obserwowała ich od strony rue des Archives.

- Spójrz - powiedział nagle Todd. - Co sądzisz o tej knajpce? Wygląda całkiem niezłe.

- Podoba mi się. Jest taka maleńka i przytulna. Sprawdźmy, co można tutaj zjeść.

Przystanęli przed oknem, czytając wywieszane tam menu, nie mając pojęcia, że są obiektem czyjś wielkiego zainteresowania.

- Wygląda na to, że serwują głównie francuskie dania -uznał Todd.

- Do tego w rozsądnej cenie - ucieszyła się Allegra. -Poza tym mamy stąd bliziotko do hotelu. Pomyśl tylko, możemy się najeść i od razu paść.

Todd cmoknął ją w policzek.

- Nie wiem, czy tak od razu padniemy po powrocie do hotelu.

Jak myślisz?

Zerknęła na niego z ukosa.

- Nie bierz moich słów tak dosłownie. Chodziło mi o to, że nasze łóżko jest o rzut kamieniem stąd.

Powtórzył cmoknięcie.

- Zdecydowanie jesteś kobietą w moim typie. Weszli do restauracyjki. W głównym pomieszczeniu słychać było szum ożywionych rozmów; przy stolikach siedziało około dwudziestu osób. Zapachy unoszące się znad potraw przyprawiały o zawrót głowy.

- Dwie osoby na kolację? - Kierownik sali zjawił się przed nimi, jakby wyrósł spod ziemi.

Todd przytaknął.

- Bylibyśmy wdzięczni za stolik.

- Proszę za mną. - Poprowadził ich w odległy kąt, lawirując zgrabnie w wąskich przejściach. - Taki wystarczy?

- W zupełności - zapewniła go Allegra, urzeczona romantyczną dekoracją w postaci zapalanej świeczki i wazonika ze świeżymi kwiatkami na małym blacie.

Zamówiwszy karafkę białego wina, usiedli i zabrali się do studiowania karty dań.

- Chyba wezmę sałatkę i kaczkę z owocami - zdecydowała Allegra.

- Dla mnie to samo - dodał Todd. - A na deser suflet czekoladowy.

- Ja też - podchwyciła Allegra.

Todd wyciągnął rękę ponad stolikiem i czule dotknął jej dłoni.

- Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że jestem tu z tobą.

- Ja też się cieszę - odpowiedziała z uśmiechem. -Uratowałeś mi dziś skórę.

- Drobiazg - odrzekł skromnie Todd. - Nawet gdyby Paul zwiął ze szmaragdem, szybko byś się wszystkiego domyśliła, A Whitehead kazałby go odnaleźć i złapać.

- Może - przyznała - ale nigdy nic nie wiadomo. Tak czy inaczej, jesteś moim bohaterem.

Delikatnie uścisnął jej palce.

- Ty zawsze jesteś moją bohaterką.

Z przyjemnością zjedli proste, lecz wyjątkowo smaczne potrawy i wyszli na chłodne wieczorne powietrze, by ulicą Sainte-Croix de la Bretonnerie wrócić do hotelu.

Nie zauważyli ani człowieka stojącego naprzeciw hotelu, mówiącego coś do telefonu, ani drugiego, który nieco dalej wybierał numer na swojej komórce.

Mimi, w chustce w prowansalski wzór zawiązanej na siwych włosach i grubym fartuchu okrywającym jej postać od rozłożystego biustu po artretyczne kolana, powłócząc lekko nogami, weszła do belkowanego salonu w starym młynie. W dużych, gruzłowatych dłoniach trzymała srebrną tacę pełną przyrządzonych na grzankach kanapek z wędzonym łososiem, z dużą ilością kaparów, cienkich plasterków cebuli, świeżo wyciśniętym sokiem z cytryny i odrobiną sera Neufchatel, dokładnie tak, jak lubiła księżniczka. W drodze z kuchni usłyszała śmiech i sama też natychmiast poczuła ulgę. Ostatnio w życiu jej pani było niewiele powodów do radości, dlatego Mimi cieszyła się, że Marcus Setville-Penhurst - którego osobiście uważała za bezużytecznego perverti - potrafi rozbawić księżniczkę do łez.

Postawiła tacę na masywnym dębowym stoliku do kawy, po czym wyprostowała się i chrząknęła wymownie.

- O co chodzi, Mimi? - spytała księżniczka Karima.

Ubrana w biały jedwabny kaftan obszywany złotą taśmą, leżała wyciągnięta na jednej z sof; rozpuszczone czarne włosy spływały jej swobodnie na ramiona. W jednej ręce trzymała staroświecką kryształową szklankę z jackiem danielsem, w drugiej papierosa. Na identycznej sofie leżał Marcus ze szklaneczką szkockiej whisky opartą na brzuchu.

- Dzwonił ten człowiek z Paryża - powiedziała Mimi. - Znalazł zapalniczkę, którą pani zgubiła.

Księżniczka Karima gwałtownie usiadła.

- Cudownie - wykrzyknęła. - I?

- Powiedział, żeby się nie martwić. Przyśle ją pani.

- Powiedział, kiedy?

Mimi pokręciła głową w geście zaprzeczenia.

- Nie, *madame*, ale zapewnił mnie, że to nie stanowi problemu.

- Dziękuję, Mimi. Gdyby jeszcze raz zadzwonił, chcę z nim sama porozmawiać.

- Dobrze, *madame*. Będę jeszcze potrzebna? - Przeniosła wzrok z księżniczki na Marcusa, który przyglądał jej się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Nie, dziś już nie, Mimi - odparła księżniczka. Staruszka odwróciła się i wyszła z pokoju.

- Co to wszystko ma znaczyć? - spytał Marcus, kiedy Mimi oddaliła się już do kuchni.

- Przedwczoraj zostawiłam w restauracji złotą zapalniczkę - wyjaśniła mu księżniczka beztroskim tonem. - To musiał być ktoś z obsługi. Odeślą mi moją zgubę.

- Zadziwiające - mruknął Marcus. - Prędzej bym przypuszczał, że zostanie zastawiona tuż po twoim wyjściu z knajpy.

- Zostało na tym świecie jeszcze paru przyzwoitych ludzi - stwierdziła księżniczka, poruszając szklanką, tak by zawartość się wymieszała.

Marcus parsknął śmiechem.

- Przedstaw mi ich, bo jeszcze ich nie poznałem.

- Nie mogę się z tobą wszystkim dzielić, Marcus, mój drogi.

Kobieta musi mieć jakieś tajemnice, jeśli nie chce uchodzić za pospolitą.

- Masz absolutną rację - przyznał Marcus. - Chociaż chciałbym, żebyś się ze mną podzieliła numerem telefonu tego młodego mężczyzny, o którym mi opowiadałaś.

Księżniczka Karima odrzuciła głowę do tyłu, zanosząc się śmiechem.

- Za nic! Bo wówczas nie zobaczyłabym już więcej żadnego z was. - Pociągnęła łyk jacka danielsa i odstawiła szklanekę na stolik. W całym ciele czuła przyjemne łaskotanie z podniecenia.

Jakie to dziwne, że Marcus akurat teraz o nim wspomniał, pomyślała. Dokładnie w momencie, kiedy zadzwonił. Okazuje się, że to całkiem zręczny młodzieniec. Pod wieloma względami. Znalazł tę młodą Amerykankę i jeśli komuś w ogóle uda się odebrać jej szmaragd, to tylko jemu. Ułożyła się z powrotem na miękkich poduszkach i spoglądając z zadumą na ogień płonący w antycznym kominku, zaciągnęła się głęboko dymem.

Doszła do wniosku, że zrobiła bardzo mądrze, powierzając to zadanie swojemu młodemu kochankowi. Ten przystojny, czarujący, bystry i bardzo pociągający chłopak był przy tym zimnym łajdakiem bez serca. Tak, idealnie nadawał się do tej roboty, mimo że nie miała okazji go sprawdzić poza sypialnią. Nie mogła się doczekać

następnego poranka, wiedząc, że tej nocy z pewnością nastąpi ten najważniejszy ruch.

Ram wyłączył swoją małą komórkę i odłożył ją na stół przy rozkładanej sofie, w małym mieszkanku przy rue des Rosiers. Usta same rozciągnęły mu się w uśmiechu, kiedy pomyślał o Allegrze Sheridan. Co za głupia dziewczyna. Może i była piękna na swój amerykański sposób, lecz bardzo nieostrożna. A ten młody mężczyzna, zapewne jej chłopak, musiał być typowym amerykańskim neandertalczykiem. Prawdopodobnie sympatyczny i przystojny, ale tępy i niekulturalny, bez cienia ogłady i wrażliwości. Znajdowali się tuż obok, kilka przecznic dalej, a przecież mogli wyjechać z Francji. Zniknąć. A szmaragd wraz z nimi.

Wyjął z paczki papierosa, zapalił, zaciągnął się głęboko i wypuścił falę dymu w kierunku sufitu. W końcu będzie miał ten pierścionek. Poza tym nie mógł się doczekać, kiedy dostanie w swoje ręce dziewczynę. Sprawiała mu mnóstwo kłopotów. Po śmierci Gerarda stracił cały wieczór, rozmawiając z policją, a nadal, podobnie jak detektywi, nie miał pojęcia, kto jest odpowiedzialny za zabójstwo. Pewien był tylko jednego: że miało coś wspólnego ze szmaragdem.

Zastanawiał się, komu jeszcze mogło zależeć na tym kamieniu, choć właściwie nie miało to żadnego znaczenia. Liczyło się tylko to, że wkrótce szmaragd będzie należał do niego. Kadar tego dopilnuje. Był na tropie dziewczyny od chwili, gdy wraz ze swym chłopakiem opuściła kawalerkę przy rue des Archives. Znajdzie jakiś sposób, żeby ich dopaść tej nocy w miłosnym gniazdku, które sobie uwili w hotelu.

A jeśli to się nie uda, będzie na miejscu, żeby ich odpowiednio powitać z samego rana. Podobnie jak Ram, Kadar dorastał w osiedlu les Bosquets, ponurym blokowisku stanowiącym wręcz doskonałą szkołę bezwzględnych zabójców. Kadar załatwi sprawę.

Usłyszawszy plusk toaletowej spłuczki, Ram spojrzał w stronę łazienki. Dziewczyna otworzyła drzwi; widząc, że się na nią gapi, uśmiechnęła się niepewnie, a potem zaczęła iść w jego stronę. Młode, jędrne piersi kontrastowały ze szczupłą sylwetką. Zobaczył, że pod czarnymi stringami, poza którymi nic na sobie nie miała, jest dokładnie wygolona, i natychmiast poczuł w lędźwiach gwałtowne pożądanie.

Oto idealne antidotum na wszystkie moje problemy, pomyślał, obejmując wzrokiem jej jasną skórę, długie blond włosy i wydatne, pomalowane szminką usta. Była doprawdy żalosna. Zwykła tania dziwka prosto z ulicy. Zamierzał ją zmusić do błagania o wszystko, co zechce jej dać. Zasługiwała na to.

Tak, ona jest idealnym antidotum. Doskonałym lekiem na wszystkie moje frustracje. No i nikt nie będzie jej szukał po tym, jak skończę. Odsłonił swoje muskularne ciało i wskazał palcem na oręż, który mu wyrósł między udami. Oczy dziewczyny nagle zrobiły się wielkie ze zdumienia. Widział, jak zadrżała, zdjeta strachem, ale, tak jak się spodziewał, mimo to do niego podeszła. Mimowolnie się uśmiechnęła. Kobiety! Wszystkie są takie same. Każda z nich miała swoją cenę, a ta była wyjątkowo okazyjna.

R o z d z i a ł 1 6

W małym, umeblowanym antykami holu hotelu De la Bretonnerie recepcjonista przyjrzał się z zainteresowaniem młodemu mężczyźnie, który stanął w drzwiach wejściowych.

- *Oui, monsieur?* - zagadnął uprzejmie, zwracając uwagę na jego niezwykle urodziwe rysy i wytworne ubranie.

- W którym pokoju mieszka *mademoiselle* Sheridan? - zapytał przybysz. - Jesteśmy starymi znajomymi i chciałbym jej zrobić niespodziankę.

Recepcjonista, mężczyzna w średnim wieku, pokręcił głową, poprawiając ułożenie lilii w wymyślnym bukiecie zdobiącym blat.

- Przykro mi, *monsieur* - odrzekł. - Nie ma u nas żadnej *mademoiselle* Sheridan.

- Z pewnością musiała zajść jakaś pomyłka. - Młody człowiek odłonił w uśmiechu idealnie równe, białe zęby. - Powiedziała mi, że ona i jej chłopak będą tu dziś wieczorem i spotkamy się po kolacji.

Recepcjonista ponownie pokręcił głową.

- Mówił pan, zdaje się, że chce jej zrobić niespodziankę?

- No cóż, niezupełnie. Po prostu przyszedłem trochę wcześniej, rozumie pan - skłamał gładko przystojny młodzieniec.

- Pańska znajoma musiała mieć na myśli jakiś inny hotel - stwierdził zdecydowanym tonem recepcjonista, wymacując w kieszeni banknot o nominale stu euro, otrzymany zaledwie przed chwilą od Todda.

- Nie miała na myśli innego hotelu - upierał się młody człowiek.
- Widziałem ją tutaj.

Oczy recepcjonisty przybrały lodowaty wyraz. Nagle dostrzegł, że jego rozmówca ma nieprzyjemnie napięte rysy, a jego eleganckie ubranie niemal rozpychają potężne mięśnie. Pożałował, że tego wieczoru sam pełni dyżur. W pobliżu nie było nikogo z personelu, poza portierem Mustafą, który prawdopodobnie zszedł do piwnicy na papierosa.

- Wybacz pan - zwrócił się do natrętnego młodzieńca - ale mam dużo pracy. Chyba będzie lepiej, jeśli pan już pójdzie. Pańskiej znajomej tu nie ma.

Odwrócił się plecami, żeby wsunąć wiadomość do jednej z przegródek na klucze. W tej samej chwili poczuł szarpnięcie za kołnierz, tak silne, że niemal stracił równowagę i poleciał do tyłu niczym marionetka. Próbował wołać o pomoc, ale własny krawat zaciskał mu gardło. Odruchowo uniósł ręce do szyi, gdy nagle potworny ból przeszył mu czaszkę, jakby ktoś ją rozłupał ogromnym kamieniem. Osunął się nieprzytomny na podłogę.

Yamal schował pistolet do kabury pod marynarką i obszedł ladę dookoła, żeby poszukać książki meldunkowej. Nogą odsunął na bok bezwładne ciało recepcjonisty i prawie natychmiast zauważył to, czego szukał, na półce pod blatem. Spojrzał na wpisy z tego dnia. Nie było ich wiele, jako że sezon turystyczny jeszcze się nie rozpoczął, a poza tym hotel był mały i położony na uboczu.

Od razu dostrzegł nazwiska „Sheridan” i „Hall” obok numeru pokoju - 103. Zajrzał do odpowiedniej przegródki, wyjął z niej klucz i schował do kieszeni. Przed udaniem się na górę podszedł do szklanych drzwi wychodzących na ulicę i zamknął je, żeby nikt mu nie przeszkodził. Idąc po schodach, ponownie wyjął pistolet z kabury i przystając na moment, upewnił się, czy tłumik jest dobrze przymocowany.

Na górze koło schodów zauważył znak wskazujący, że pokój 103 znajduje się na lewo. Skradając się bezszelestnie korytarzem wyłożonym chodnikiem, podszedł do drzwi. Ostrożnie nacisnął klamkę. Zamknięte. Wyjął z kieszeni klucz, włożył do zamka i delikatnie przekręcił.

Wszedł do ciemnego pokoju, zamykając za sobą drzwi. Trzymając pistolet w prawej ręce, lewą poszukał na ścianie kontaktu. Znalazł go, nacisnął, ale światło się nie zapaliło. W pokoju nadal panował mrok, nie licząc lekkiej poświaty wpadającej przez okno. Yamal ostrożnie zbliżył się do łóżka, ściskając w dłoni broń gotową do strzału.

Oczy przywykły mu do ciemności na tyle, że zobaczył dwa wyraźne kształty ludzkich sylwetek. Wycelował pistolet w tę na lewo i wypalił dwukrotnie, następnie strzelił, również dwa razy, do postaci po prawej stronie. Odgłos stłumionych strzałów nie powinien zwrócić niczyjej uwagi; ktoś, kto je słyszał, mógł z powodzeniem pomyśleć, że w pokoju otwierano szampana. Zabójca podszedł do stolika po lewej stronie łóżka i wymacał sznur od nocnej lampki. Przesuwał go

w palcach, dopóki nie natrafił na wyłącznik. Pstryknął i natychmiast zrobiło się jasno. Popatrzył na łóżko, by się upewnić, że obie ofiary nie żyją, zanim przystąpi do szukania szmaragdu.

Jednym ruchem zdarł kołdrę... i wytrzeszczył oczy ze zdumienia.
- Cholera! - zaklął z niedowierzaniem.

W pościeli zamiast ludzi leżały poduszki i koce ułożone w kształt śpiących postaci.

Yamal rozejrzał się, jakby oczekiwał, że ktoś ukryty w kącie naigrawa się z jego daremnych wysiłków, ale pokój był pusty.

Wyładował złość, kopiąc w stolik; lampka spadła, a żarówka rozprysła się na kawałki. Yamal schował pistolet, wyrzwał na korytarz, a następnie opuścił pokój, zamykając za sobą drzwi na klucz. Na szczycie schodów przystanął, nasłuchując, ale ani z holu wejściowego, ani z parteru nie dochodził żaden dźwięk.

Minęło zaledwie parę minut i mógł liczyć na to, że portier nadal siedzi w piwnicy. Rozważał sprawdzenie całego hotelu, ale doszedł do wniosku, że poszukiwani w ogóle nie mieli zamiaru zatrzymać się tutaj. Najwyraźniej byli w zмовie z recepcjonistą, który wypuścił ich tylnym wyjściem po tym, jak ułożyli w łóżku kukły z poduszek.

Przekonany, że dalsze poszukiwania byłyby stratą czasu, Yamal zszedł po schodach do holu. W recepcji nic się nie zmieniło. Zerknąwszy za ladę, przekonał się, że recepcjonista nadal leży nieprzytomny na podłodze, niczym sterta brudnej pościeli zrzuconej przez pokojówkę. Odłożył klucz do właściwej przegródki. Zmierzając

do przeszklonych drzwi na ulicę, zobaczył, że jakiś człowiek bezskutecznie próbuje się dostać do środka.

Yamal podszedł, zachowując się, jakby był właścicielem hotelu, i spokojnie otworzył drzwi.

Człowiek na zewnątrz cofnął się i odwrócił, jakby zrezygnował z wejścia do hotelu, ale Yamal nie zwracał na niego uwagi. Z rękami w kieszeniach, pogwizdując pod nosem, wtopił się w tłum przepływający chodnikiem przy rue Sainte-Croix de la Bretonnerie.

Kadar przygładził włosy na skroniach, wszedł do hotelu i rozejrzał się po pustym holu. Podszedł do lady recepcji i nacisnął dzwonek, ale nikt się nie pojawił. Odczekawszy minutę, zadzwonił ponownie. Tym razem także nie było odzewu.

Stając na palcach, zajrzał za ladę w nadziei, że może znajdzie tam książkę meldunkową.

Aż się wzdrygnął na widok leżącego człowieka. Obejrzał się nerwowo przez ramię, lecz w pobliżu nadal nie było żywej duszy. Obszedł ladę dookoła, żeby przyjrzeć się z bliska recepcjoniście, który nie dawał znaków życia. Zauważywszy na półce otwartą książkę ze spisem gości, szybko przebiegł wzrokiem najświeższe wpisy. Nazwiska Sheridan i Hall od razu rzuciły mu się w oczy. Bez trudu odnalazł właściwą przegródkę na ścianie i wziął klucz do pokoju 103.

Nie zwlekając ani chwili, wbiegł na pierwsze piętro, poruszając się bezszelestnie po tłumiącym kroki chodniku.

Allegra przywarła do Todda z całych sił, unosząc się wraz z nim na fali rozkoszy. Miała wrażenie, że świat zawirował wokół nich, że

nastąpiła jakaś fundamentalna przemiana, a ona znalazła się w bezpiecznym miejscu, otoczona kokonem ciepła i miłości, jakiej nigdy wcześniej nie zaznała.

Todd tulił ją w ramionach, obsypując pocałunkami jej twarz i szyję.

- Och, Ally - szepnął. - Kocham cię.

- Ja też cię kocham. I... nie mogę w to uwierzyć.

- W co? - spytał miękko, z ustami tuż przy jej uchu. - W co nie możesz uwierzyć?

- W to... w ciebie... w nas. - Głos miała wciąż jeszcze zdyszany po miłosnych zmaganiach. - To jest... cudowne.

Przygarnął ją do siebie jeszcze mocniej.

- To ty jesteś cudowna. Czuję się, jakbyśmy osiągnęli jakiś nowy... jak to nazwać... nowy poziom. Nowy etap w życiu. Jesteśmy sobie bliżsi niż przedtem. - Delikatnie pocałował ją w usta, a potem odsunął się, żeby spojrzeć jej w oczy. - Jeszcze nigdy nie byłem taki szczęśliwy.

- Mówisz poważnie? - Popatrzyła na niego pytająco. Przytaknął tak energicznie, że włosy opadły mu na oczy.

- Jak najpoważniej.

- Ja też się tak czuję - wyznała. - Jakbyśmy byli sobie przeznaczeni.

- Właśnie - podchwycił. - Jesteśmy sobie przeznaczeni. Na zawsze.

Pocałowali się, czule i namiętnie zarazem. Uniesienie widoczne w oczach Todda napełniało ją radością tak wielką, że miała ochotę się rozplakać. Od dawna wydawało jej się, że go kocha, ale tamtych wcześniejszych uczuć w żaden sposób nie dało się porównać z miłością, jaką teraz czuła.

- O czym myślisz? - spytał, widząc, że się zadumała.

- O tym, jak bardzo jestem w tobie zakochana. Roześmiał się cicho.

- No i co w tym śmiesznego? - Żartobliwie szturchnęła go w ramię.

- Nic. Po prostu jestem szczęśliwy.

- Może dlatego, że będziesz spał w tym wspaniałym apartamencie.

- A ty nie jesteś zadowolona, że posłuchaliśmy rady Whiteheada i wymknęliśmy się z tamtego hotelu?

- O tak, zwłaszcza po tym, jak zobaczyłam tego podejrzanego typa rozmawiającego przez komórkę po drugiej stronie ulicy. Wiem, że dobrze zrobiliśmy.

- Powiniennem zabić drania - mruknął Todd.

- Daj spokój. - Uśmiechnęła się do niego. - Jestem bezpieczna. Ty jesteś ze mną, a szmaragd leży sobie spokojnie w sejfie.

- Hmm, trochę mi go brakuje. Byłem mężczyzną w majtkach wartych sześćdziesiąt pięć milionów dolarów.

Allegra zachichotała.

- Myślę, że mimo wszystko w sejfie u Ritza jest mu lepiej.

-I powinien tam pozostać aż do naszego wyjazdu -zgodził się z nią Todd.

Allegra rozejrzała się po przestronnym, wytwornie urządzonym pokoju.

- Czuję się jak prawdziwa księżniczka w pałacu. Dużo słyszałam o Ritzu, ale nawet mi się nie śniło, że jest tu aż tak wspaniale.

Łóżko miało baldachim z jedwabnymi draperiami. Ściany pokrywała rzeźbiona, miejscami złocona boazeria. Parkiet wyścielają dywany aubusson, a wszystkie meble były antykami tapicerowanymi jedwabiem i atłasem. Na stolikach stały wazony ze świeżymi kwiatami, a przy łóżku otwarta butelka szampana Louis Roedder Cristal i dwa kryształowe kieliszki, obecnie do połowy opróżnione.

- Cóż, nie sądzę, żeby wszystkie tutejsze pokoje tak wyglądały - powiedział Todd. - Założę się, że ten jest najdroższy. Portier wspomniał mi, że to apartament księcia i księżnej Windsoru. Mieszkali tu, kiedy przyjeżdżali do Paryża.

- No to nic dziwnego, że czuję się jak u siebie w domu - zażartowała Allegra.

- Tyle że jesteś o wiele ładniejsza od księżnej Windsoru - oświadczył z przekonaniem Todd.

- Ty też wyglądasz lepiej niż księżę - odwzajemniła mu się Allegra, tłumiąc ziewnięcie.

Todd dotknął jej ust lekkim pocałunkiem.

- Chyba czas trochę się przespać. Widzę, że jesteś wykończona, a ja też nie doszedłem jeszcze do siebie po podróży.

Allegra skwapliwie przyznała mu rację; oczy same jej się zamykały.

- Umyję tylko zęby i twarz i natychmiast idę spać.

- Ja też.

Jednocześnie podnieśli się z łóżka i choć w apartamencie znajdowały się dwie osobne łazienki, weszli razem do jednej, trzymając się za ręce. Po myciu pogasili światła, wsunęli się w pościel i wtuleni w siebie zasnęli niemal natychmiast, zapominając o wszelkich troskach.

To nie żaden dźwięk ani ruch obudził Allegrę z głębokiego snu. W jej uśpionym mózgu kołatało się coś, co Todd powiedział tego wieczoru. Nagle odzyskała pełną jasność umysłu. Przez chwilę leżała nieruchomo, wsłuchana w rytmiczny oddech obok siebie. Todd leżał na boku, odwrócony do niej plecami.

Wiedziała już, dlaczego szmaragd księżniczki Karimy jest taki ważny. Poza tym, że miał dużą wartość jako piękny kamień szlachetny i dodatkową, bo należał do księżniczki, musiał być jednym z najcenniejszych klejnotów na świecie ze względu na swe znaczenie historyczne.

Wiem, co muszę zrobić, pomyślała, spróbuję to udowodnić. Nieważne, jakim kosztem, ale dotrę do prawdy. Może Hiltonowi Whiteheadowi nie zrobi to żadnej różnicy, innym także, ale dla mnie jest bardzo ważne.

Poza tym, gdyby powiedziała Hiltonowi o swoich przypuszczeniach, zatrudniłby zawodowców do zbadania tej sprawy, a

ją odsunął na bok. W końcu, jak sam powiedział, jej misją było kupienie pierścionka i przywiezienie go do Nowego Jorku. Nic więcej. Allegra miała świadomość, że jest zdana na siebie i Todda. Z jego pomocą spróbuje odkryć prawdziwe pochodzenie szmaragdu i może przyczyni się do tego, że pewnego dnia klejnot wróci do swych prawowitych właścicieli.

Z tą pocieszającą myślą odwróciła się na drugi bok i zamknęła oczy. Mimo podniecenia swoją hipotezą, zapadła w głęboki sen, przekonana, że podjęła właściwą decyzję.

R o z d z i a ł 1 7

Śniadanie w łóżku było dla Allegry czymś niezwykłym. Kiedy się obudziła, Todd był już wykąpany i ogolony; miał na sobie hotelowy szlafrok. Zdążył już także złożyć zamówienie. Ledwie miała czas przejechać szczotką po włosach i narzucić na siebie identyczny szlafrok, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

- Któż to może być? - spytała, wysuwając głowę z łazienki.

- Przekonamy się - odparł Todd, zmierzając do drzwi. Na widok kelnerów obładowanych tacami uśmiechnęła się pobłażliwie.

- Powinam się była domyślić...

- Dlaczego nie? - rzucił, także się uśmiechając.

- Jasne, dlaczego nie. - Zawiązała pasek szlafroka.

- Zjedzmy w łóżku - poprosił, biorąc ją za rękę. - Chyba że wolisz, aby nakryć do stołu.

- Pomysł jedzenia w łóżku bardzo mi się podoba.

- Zjemy w łóżku - powiedział Todd do kelnerów.

- Oui, *monsieur*.

Usadowili się w jedwabnej pościeli, a kelnerzy, poruszający się sprawnie jak zgrana drużyna, umieścili tace na ich kolanach, nalali kawę, ułożyli na tacach croissanty, kilka innych rodzajów pieczywa i rozmaite dodatki. Następnie, upewniwszy się, że nie są już potrzebni, dyskretnie opuścili pokój.

- Przepyszny - zachwyciła się Allegra, odgryzłszy pierwszy kęs posmarowanego masłem croissanta. - Chyba w życiu nie jadłam lepszego.

- Miałem nadzieję, że będzie ci smakować - przyznał Todd, popijając kawę. - Co chcesz dzisiaj robić? Podjęłaś już decyzję?

Allegra wiedziała, że zada jej to pytanie, miała więc przemyślaną odpowiedź.

- Pomyślałam, że mogłabym pójść na zakupy.

- Na zakupy? - Popatrzył na nią tak, jakby postradała zmysły. - Co chcesz kupować?

- Ubrania i różne inne rzeczy. Wiesz, tak po babsku. - Ponownie wbiła zęby w rogalik, czekając, co odpowie Todd.

- Allegro, jesteśmy w Paryżu, na litość boską. Czemu chcesz iść na zakupy? Mamy tu Luwr, Picassa, Centrum Pompidou i mnóstwo innych muzeów do wyboru. Jest tu... milion rzeczy, których nigdy wcześniej nie widziałaś, nigdy nie robiłaś, a ty chcesz iść na zakupy? W Paryżu? - Patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Nie rozumiesz? - Udała zdziwienie. - Właśnie o to chodzi. O to, że jesteśmy w Paryżu. Mogę tu dostać rzeczy, jakich nie dostanę nigdzie indziej na świecie.

- Co na przykład? - nie dawał się przekonać. - Identyczne sklepy są w Nowym Jorku. Gucci, Prada, Yves Saint Laurent.

- Oczywiście, że są, głuptasie. Ale mnie nie chodzi o takie sklepy, tylko o małe butikiki, których nie ma w Nowym Jorku. Takie,

gdzie można kupić różne oryginalne rzeczy, jakich nie znajdę nigdzie indziej.

- Nie mogę w to uwierzyć - westchnął. - Możesz zobaczyć największe dzieła światowej sztuki, a masz zamiar biegać za ciuchami...

Zareagował dokładnie tak, jak się spodziewała. Miała nadzieję, że z resztą też pójdzie jej tak gładko.

- Todd, kochanie, zrozum - odezwała się przymilnym tonem. - Kiedy następnym razem będę miała do dyspozycji cudzą kartę kredytową w Paryżu?

- Jezu... - Już nie krył przestachu. - Wiesz, że za żadne skarby nie zmusisz mnie do łożenia z tobą po sklepach.

- Och, nie denerwuj się. Możesz w tym czasie robić coś, co lubisz. W końcu zakupy nie zajmą mi całego dnia.

Pogładził ją przepraszaście po policzku.

- Nie denerwuję się. Możemy pójść każde w swoją stronę i spotkać się gdzieś na lunchu.

- Świetny pomysł - ucieszyła się. - Co masz zamiar robić?

- Och, jeszcze nie wiem. Może po prostu będę spacerował, podziwiał różne budowle. Wiesz, jak kocham architekturę, a w Paryżu jest co oglądać.

- Brzmi interesująco.

- A co z lunchem? - przypomniał. - Przychodzi ci do głowy jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy się umówić?

Pokręciła głową.

- Nie, a tobie?

- Myślałem o Le Grand Vefour - przyznał. - Uchodzi za jedną z najlepszych restauracji w Paryżu, więc chciałbym zobaczyć, jak wygląda od środka. Widziałem na zdjęciach, ale to nie to samo.

- Doskonale - powiedziała Allegra, zastanawiając się, czy Todd wie, że ten lokal mieści się w Palais Royal, tam, gdzie sklep Julesa Levanta Joailliera.

- O której? - spytał Todd, podnosząc do ust filiżankę z kawą.

- Och... nie musimy się śpieszyć. Może około wpół do drugiej?

- Dobrze. Sprawdzę, czy uda się zarezerwować stolik. Nachyliła się, żeby go pocałować.

- Jesteś księciem. Kocham cię.

- Dlatego, że jestem księciem, który łatwo ustępuje?

- Dlatego też.

Dokończyli śniadanie i zaczęli się ubierać. Todd zadzwonił do Le Grand Vefour i zamówił stolik. Allegra nie zwracała na niego uwagi, szykując się do wyjścia, więc kiedy pojawił się w sypialni w garniturze i krawacie, nie kryła zaskoczenia.

- Mój Boże - wykrzyknęła. - Wystroiłeś się tak na spacer?

- No cóż, w końcu mamy iść do Le Grand Vefour na lunch - próbował się tłumaczyć. - A z tego, co słyszałem, obowiązują tam eleganckie stroje.

- Masz rację - przyznała. - Nie pomyślałam o tym.

- Doszedłem do wniosku, że od razu włożę garnitur, żebym nie musiał tu wracać i się przebierać.

- Wyglądasz wspaniale. - Nagrodziła go całusem.

- A ty wyglądasz pięknie.

- Naprawdę tak uważasz? - Spojrzała na swój kaszmirowy sweter i eleganckie proste spodnie. Jedyłą ozdobę stanowił pasek ze skóry aligatora, zapięty na klamrę w kształcie żaby. Żaba wykonana była z matowanego złota i miała oczy z ametystów. Wyglądała bardzo efektownie na czarnym tle i zdecydowanie przyciągała uwagę.

- Domagasz się komplementów?

- Każda dama je lubi - odparła zaczepnie, robiąc piru-eta na obcasach czarnych szpilek.

- W takim razie jesteś piękną damą i wyglądasz dziś wyjątkowo pięknie.

- Dziękuję - powiedziała zadowolona. - Gotów?

- Gotów.

Włożyli płaszcze i razem wyszli w pokoju. Kiedy już mieli wyjść z hotelu na plac Vendome, Allegra gwałtownie przystanęła.

- O co chodzi? - zdziwił się Todd.

- No nie... Muszę iść do łazienki. Nie czekaj na mnie.

- Jednak zaczekam.

- To nie ma sensu - zaprotestowała. - Idź na swój spacer, a ja się zajmę własnymi sprawami.

- Skoro tak sobie życzysz. - Todd wzruszył ramionami. - To do zobaczenia o wpół do drugiej w Le Grand Vefour. - Pocałował ją na pożegnanie.

- Do zobaczenia.

Todd wyszedł z hotelu, natomiast Allegra wróciła do zajmowanego przez nich apartamentu. Szybko wyjęła pierścionek z sejfów i schowała w torebce. Jej pierwszym zadaniem była ochrona szmaragdu. Zeszła do recepcji, poprosiła portiera, żeby jej złapał taksówkę, i wyruszyła do celu numer jeden. W taksówce wyjęła telefon komórkowy i zadzwoniła do celu numer dwa.

Przed wejściem do sklepu Todd rzucił okiem na witrynę i ucieszył się, że jest odpowiednio ubrany. Zapewne nie potraktowano by go zbyt miło, gdyby pojawił się tam w niedbałym stroju. Tu jest jak u Van Cleefa i Arpelsa, pomyślał, dużo kosztownych towarów i dużo uwagi poświęcanej klientom. Dobrze ci się przyjrzą, zanim w ogóle cię wpuszczą. Przeglądając się w szybie, poprawił krawat, a potem pewnym krokiem podszedł do drzwi. Nacisnął guzik dzwonka i czekał. Prawie natychmiast rozległ się brzęczyk i pchnięte drzwi ustąpiły.

Miał wrażenie, że znalazł się wewnątrz luksusowego różowobeżowego kokonu. Ze środka sufitu zwisał ogromny kryształowy żyrandol. Biżuteria wystawiona była w gablotach na ścianach i w ustawionych półkoliście przeszklonych szafkach. Po obu końcach lady stały wielkie bukiety w kryształowych wazonach. Za ladą Todd dostrzegł sprzedawczynię około sześćdziesiątki; trudno było dokładnie określić jej wiek ze względu na starannie uczesane, ufarbowane na kasztanowo włosy, dość mocny makijaż i gładką, pozbawioną zmarszczek twarz. Todd od razu pomyślał, że kiedyś ta kobieta musiała być wyjątkowo piękna. Ubrana była w beżowy

kostium Chanel z grubo lamowanym żakietem. Pod spodem miała prostą jedwabną bluzkę, a na szyi kilka sznurów pereł. Klapę żakieta zdobiła broszka w kształcie krzyża maltańskiego z różnokolorowej emalii, z wielkim rubinem pośrodku. Todd natychmiast wyczuł, że pod tą elegancką i nieco wyniosłą powierzchownością kryje się samotna kobieta, niezadowolona ze swego życia i prawdopodobnie spragniona kontaktu z przyjazną duszą. Kobieta, która chętnie poświęci mu uwagę.

Powitała go powściągliwym uśmiechem.

- *Bonjour, madame.*

- *Bonjour, monsieur* - odpowiedziała z lekkim skinieniem głowy.

- Mogę panu w czymś pomóc?

Todd zastanawiał się, po czym poznała, że jest Amerykaninem, jakkolwiek był jej wdzięczny, że mówiła po angielsku.

- *Oui, madame.* Przynajmniej mam taką nadzieję.

- Tak? - Spojrzała na niego pytająco, unosząc pociągnięte czarnym ołówkiem brwi.

- Przyjechałem do Paryża na wczorajszą aukcję w Dufour - zaczął. - Wie pani, byłem zainteresowany pierścieniem ze szmaragdem, należącym do księżniczki Karimy.

W oczach kobiety pojawił się błysk ożywienia; dopiero teraz Todd zauważył, że są niebieskie i mają przyjemny, wręcz figlarny wyraz.

- Podobnie jak wiele innych osób - powiedziała z uśmiechem. - To bardzo piękny pierścionek. Pochodził z tego sklepu.

- Tak, wiem. Dlatego tu przyszedłem. Nie licytowałem wystarczająco wysoko.

- Szkoda. Ale było wielu chętnych, prawda? Klejnoty księżniczki Karimy są bardzo cenne.

- Rzeczywiście - przyznał Todd. - Nie miałem pojęcia, że aż tak bardzo. Mam zamiar się zaręczyć, a moja narzeczona uwielbia szmaragdy.

- A która kobieta ich nie lubi? - W głosie kobiety pobrzmiewała nuta rozbawienia.

-No tak... - Todd posłał jej czarujący uśmiech. -Chciałbym zdobyć pierścionek podobny do tego z aukcji i pomyślałem, że skoro pochodził z firmy Julesa Levanta, to może mogłaby mi pani w tym pomóc. Wiem, że nie dostanę kopii, ale może kamień o podobnym kształcie i barwie... - Oczy kobiety nagle stały się czujne. Zaczęła go traktować poważnie, prawdopodobnie kalkulując w myślach wysokość swojej prowizji. - A tak na marginesie, ma pani piękne perły i broszkę - dodał.

Odruchowo uniosła rękę do szyi i dotknęła pereł zadbaną dłonią o wymalowanych na beżowo paznokciach.

- *Merci, monsieur.* Jedno i drugie dostałam w prezencie od mojego świętej pamięci męża.

- Miał zatem doskonały gust.

- O tak... był znany z dobrego gustu - odrzekła głosem pełnym zadumy. Wydała z siebie ledwie słyszalne westchnienie, które jednakże nie uszło uwagi Todda. Czyżby wyrażało tęsknotę? A może

jej mąż miał dobry gust, lecz brakowało mu czegoś bardziej...
praktycznego? Dzięki czemu nie musiałyby pracować w tym sklepie?

- Mam nadzieję, że znajdę coś równie pięknego dla mojej
narzeczonej - powiedział. - Tak bardzo chciałem kupić jej ten
szmaragd...

- Musi pan być bardzo zakochany, *monsieur*.

- Owszem - przyznał Todd z rozbrajającym, nieco gapowatym
uśmiechem.

Kobieta uśmiechnęła się pod nosem.

- Pańska narzeczonej ma szczęście. Jestem pewna, że uda nam się
coś dla niej znaleźć. Mamy tu wiele pięknych rzeczy, nie wyłączając
szmaragdów.

- Jak już mówiłem, zależałoby mi na szmaragdzie mniej więcej
tej samej wielkości i koloru, co szmaragd księżniczki Karimy.

- Tak... - Kobieta miała nieobecny wyraz twarzy, jakby się nad
czymś zastanawiała. - Było takich kilka w ciągu ostatnich lat - podjęła
po chwili. - Próbuję sobie przypomnieć, czym obecnie dysponujemy. -
Zrobiła kolejną pauzę, patrząc gdzieś w dal. - Wiem, co zrobię. -
Znów skupiła całą uwagę na Toddzie. - Zanim pokażę panu, co mamy,
dam panu do obejrzenia nasze księgi.

- Księgi?

- Właśnie. Są tam zdjęcia wszystkich naszych klejnotów. Tych,
które obecnie mamy w sprzedaży, i tych, które sprzedaliśmy w
przeszłości. W firmie Julesa Levanta wszystko jest udokumentowane,
monsieur...?

- Och, bardzo przepraszam. Jestem Todd Hall. Miło mi panią poznać. - Podał jej rękę ponad ladą. Odwzajemniła uścisk z zadziwiająca siłą.

- *Monsieur* Hall, jestem madame de la Montarron. Jacqueline. Ja też się cieszę, że mogę pana poznać.

Jej dłoń cechowała się jakby ptasią chudością; była pokryta starczymi plamami, pomarszczona i zdeformowana w stawach. Toddowi przyszło do głowy, że skoro przy rękach siedemdziesięciolatki sprzedawczyni ma twarz o dobre dziesięć lat młodszą, to znaczy, że musiała przejść kilka liftingów.

- Mówi pani, udokumentowane?

- Tak, oczywiście - potwierdziła. - Wszyscy wielcy jubilerzy prowadzą dokumentację swoich wyrobów. Kamieni i biżuterii. Tu, u Julesa Levanta, mamy opis każdej sztuki, jaką kupiliśmy i sprzedaliśmy od... odkąd pamiętam... zanim zaczęłam tu pracować.

- Pracuje tu pani od dawna? - spytał Todd.

- Owszem. Zaczęłam jeszcze przed śmiercią *monsieur* Levanta. Po tym, jak zmarła jego żona, przychodziłam pomagać od czasu do czasu, a kiedy firmę przejął *monsieur* Tadjer, poprosił mnie, żebym została na cały etat. Wie pan, znam osobiście wielu klientów.

- Rozumiem. Musi pani być niezastąpiona.

- Obawiam się, że nie ma ludzi niezastąpionych - powiedziała ze śmiechem. - Ale rzeczywiście pracuję tu od dawna. Proszę chwilkę poczekać, przyniosę księgi. Może pan usiąść przy stole. - Ruchem głowy wskazała na antyczne *bureau plat* za półkolistą gablota.

Odwróciła się i wyszła przez drzwi tak dobrze wtopione w boazerię, że właściwie nie było ich widać. Todd próbował ukryć podniecenie, udając, że z zainteresowaniem ogląda zawartość gablot. Już po kilku minutach zorientował się, że sklep Julesa Levanta należy do wyjątkowo ekskluzywnych i sprzedaje jedynie najlepsze i najdroższe okazy. W końcu podszedł do *bureau plat*, usiadł na wyściełanym zamszem stylowym krześle i rozejrzał się po wytwornym wnętrzu. Dostrzegł co najmniej trzy kamery wideo, ale był pewien, że jest ich więcej. Zamocowane tuż pod sufitem, bezszelestnie śledziły każdy, nawet najmniejszy ruch w obrębie sklepu. Todd zdawał sobie sprawę z tego, że jest filmowany od momentu, gdy tylko przestąpił próg.

Madame de la Montarron wróciła z dwoma wielkimi tomami, oprawionymi w skórę o barwie tego samego beżu, który widać było wszędzie wokół. Na moment odłożyła je na ladę, żeby zamknąć za sobą drzwi, po czym przeniosła je na *bureau plat* i usiadła naprzeciw Todda.

- Monsieur Hall - powiedziała z tajemniczym uśmiechem - pokażę panu rzeczy, które oglądało niewielu spośród naszych klientów. Może zaczniemy od szmaragdów?

Todd skwapliwie pokiwał głową.

- Madame de la Montarron, będę zaszczycony.

Gdybym nie miała na sobie spodni, pomyślała Allegra, to teraz bym mu pokazała kawałek uda w nagrodę. Zamiast tego musiała poprzestać na przymilnym uśmiechu.

- Jestem panu wdzięczna za pomoc, monsieur Lenoir -
zaszczebiotała do przystojnego bankiera. - Nie wiem, co bym bez
pana zrobiła. - Następnie, żeby mu przypomnieć, z kim tak naprawdę
ma do czynienia, dodała: -Hilton... to znaczy pan Whitehead, też
będzie panu wdzięczny, kiedy mu o wszystkim powiem.

Francuz uśmiechnął się czarująco.

- To doprawdy nic wielkiego - powiedział, zatrzymując na
chwilę wzrok na piersiach Allegry, zanim znów popatrzył jej w oczy.
- Mówiłem pani, że chętnie we wszystkim służę. Jest pani absolutnie
pewna, że nic więcej nie mogę zrobić? Chętnie pokazałbym pani
kawalek Paryża. Albo zabrał na małą przejażdżkę. Mógłbym pani
pokazać trochę naszych bardziej... naturalnych uroków.

Znów zmierzył ją łakomym spojrzeniem i Allegra miała
wrażenie, że przez ubranie ogląda jej nagie ciało. Wyobraziła go sobie
śliniącego się lubieżnie w oczekiwaniu na to, co miała do
zaoferowania. Cóż, sama się o to prosiłam, przyznała w duchu,
robiłam mu awanse, żeby go nakłonić do spełnienia mojej prośby.
Niemniej jednak wydawało jej się przykre, że mężczyzna tak
przystojny i czarujący tak otwarcie chce wykorzystać sytuację. W jego
nadszkakiwaniu było coś wręcz odpychającego.

- Żałuję, ale nie mogę - powiedziała słodkim głosem. -Pańska
propozycja jest bardzo miła, ale niestety, mam mało czasu. - Spojrzała
wymownie na zegarek. - Prawdę mówiąc, muszę natychmiast się
zbierać, bo inaczej się spóźnię. - Podniosła się z krzesła.

Monsieur Lenoir przeciągał pożegnanie, długo trzymając dłoń Allegry i niemal ją pieszcząc. W końcu gwałtownie cofnęła rękę, sięgając po płaszcz i torebkę.

- Naprawdę się śpieszę - rzuciła, kierując się do drzwi.

- Pomogę pani włożyć płaszcz. - Wyraźnie nie miał ochoty jeszcze się z nią rozstawać.

- Dzięki, ale muszę iść. - Pośpiesznie sama narzuciła na siebie okrycie. - Pan Whitehead ma do mnie dzwonić, więc muszę zdążyć na czas do hotelu. Wie pan, jak to jest z tymi miliarderami.

- Rozumiem. - Z głosu Lenoira przebijało rozczarowanie. Nagle twarz znów mu pojaśniała. - Proszę mu przekazać ode mnie ukłony i powiedzieć, że bardzo się cieszymy, mogąc mu służyć.

- Jeszcze raz dziękuję, *monsieur* Lenoir - powiedziała Allegra z uśmiechem. - Z pewnością powiem Hiltonowi, jak bardzo był pan pomocny.

Pokiwał głową rozpromieniony.

- No to do widzenia i miłego pobytu w Paryżu.

Wyszła z banku i szybko ruszyła chodnikiem, wdychając głęboko świeże powietrze. Boże! Jak miło opuścić to miejsce i tego okropnego człowieka, pomyślała. Jak to możliwe, że tak atrakcyjny z wyglądu i tak dobrze ustawiony facet może być tak obleśny? Machnęła na przejeżdżającą taksówkę. Żeby tylko moje następne spotkanie przebiegło równie pomyślnie, pomyślała z nadzieją.

Todd spędził w towarzystwie madame de la Montarron przeszło godzinę i z każdą chwilą coraz trudniej mu było ukryć podniecenie.

Nie miał pojęcia, że Jules Levant prowadził tak szczegółową dokumentację, a już na pewno mu się nie śniło, że zdobędzie do niej dostęp... i do tego usłyszy odpowiedni komentarz z ust kobiety, która osobiście miała do czynienia z wieloma z tych wspaniałych klejnotów. Madame de la Montarron opuściła go na moment, by zająć się obiecująco wyglądającą kobietą w średnim wieku - jedyną klientką, jaka weszła do sklepu od chwili, gdy zawitał tam Todd, nie licząc pary, która od razu zastrzegła, że chce się tylko rozejrzeć.

Todd przetarł oczy, zmęczone oglądaniem niezliczonych zdjęć przedstawiających wyroby jubilerskie niezrównanej jakości, kształtów i barw. Wiedział, że Jules Levant należał do najwybitniejszych jubilerów na świecie, nie spodziewał się jednak, że klejnoty, którymi handlował, były aż tak niepowtarzalne i w wielu wypadkach słynne. Jego klientelę od zawsze stanowili bogacze, *creme de la creme* międzynarodowej socjety.

Madame de la Montarron z radością pokazywała mu klejnoty, które sprzedawała różnym sławom, arystokratom czy też po prostu bardzo zamożnym klientom, często dorzucając anegdotki o nabywcach, lub dzieląc się zabawnymi spostrzeżeniami na ich temat. Wszystko to było niezwykle ciekawe, jednak to coś innego najpierw wzbudziło uwagę Todda, a następnie niemal przyprawiło go o gorączkę z podniecenia.

Nie mógł się doczekać spotkania z Allegrą, żeby jej powtórzyć to, czego się dowiedział. Pewnie mu nie uwierzy. Co więcej, będzie zła, że prowadził własne śledztwo za jej plecami. Cóż, nie miał

wyboru. Nie chciał, żeby się znalazła w pobliżu Tadjera, więc musiał wziąć sprawy w swoje ręce. Poza tym, pomyślał, uśmiechając się w duchu, komu innemu wystarczyłoby osobistego uroku, by nakłonić Jacqueline de la Montarron do pokazania firmowych ksiąg Julesa Levanta i opowieści o swej karierze sprzedawczyni w jego sklepie? Jednego mógł być pewien: kiedy Allegra usłyszy, czego się dowiedział, od razu wybaczy mu wszystko.

Allegra wysiadła z taksówki na krętej brukowanej uliczce i spojrzała na fasadę starego domu, gdzie mieszkał człowiek, z którym była umówiona na to ważne spotkanie. Budynek przypominał nowojorską czynszówkę, a jego najbliższe sąsiedztwo kojarzyło jej się z pewnym miejscem na Lower East Side. Po drugiej stronie ulicy zobaczyła sklep z hebrajską literaturą, jarmułkami, menorami i różnymi innymi rzeczami związanymi z kulturą żydowską. Na rogu znajdowały się koszerne delikatesy, a na ulicznych stoiskach można było kupić rozmaite dania, przygotowywane na rozpalonych koksownikach. Takiego Marais Allegra wcześniej nie знаła.

Przy drzwiach wejściowych do kamienicy zobaczyła rząd dzwonek; każdy był podpisany na wąskim pasku papieru wsuniętym w zaśnieżoną metalową ramkę. Odszukała nazwisko Solomona Weissa pod numerem siedem i wcisnęła guzik. Wyciągnęła rękę, gotowa pchnąć drzwi, gdy tylko rozlegnie się brzęczyk, ale nie było żadnego odzewu.

Co, u licha? Mam nadzieję, że nic się nie stało od czasu, jak do niego dzwoniłam. Poczula się trochę nieswojo.

Wiedziała, że staruszek musi być już po osiemdziesiątce i mocno niedomaga, sam jej to powiedział zaledwie przed chwilą, gdy dzwoniła do niego z taksówki. Głos miał tak słaby, że sama rozmowa musiała stanowić dla niego niemały wysiłek.

Nagle brzęczyk jednak się odezwał. Allegra szybko nacisnęła klamkę i napała na drzwi. Były ciężkie i przy otwieraniu szorowały o kamienną posadzkę. Znalazła się w długim, ciemnym przejściu, u wylotu którego widać było ogródek.

Zupełnie jak w kamienicy Paula, pomyślała. W ogródku poza kilkoma rachitycznymi drzewkami i roślinami w donicach znajdowało się też parę starych rowerów po-przypinanych łańcuchami. Była tam też konstrukcja z matowego szkła, kiedyś zapewne pełniąca funkcję oranżerii, a w środku Allegra wypatrzyła niewyraźną sylwetkę kobiety nakrywającej do stołu. Na prawo dostrzegła schody, na które - według instrukcji staruszka - powinna wejść. Zaczęła się wspinać po zniszczonych dębowo-kamiennych stopniach, również podobnych do tych w domu Paula. Na ścianach pokrytych łuszczącym się tynkiem wisiały luźno stare przewody elektryczne.

Na piątym piętrze Allegra przystanąła dla złapania tchu. Bolały ją nogi; pożałowała, że zachciało jej się włożyć dziesięciocentymetrowe obcasy. Jak, u licha, ten starzec radzi sobie z takimi schodami?, zadała sobie w myślach pytanie. Zauważyła wychodzący ze ściany kran, a pod nim zniszczony miedziany zlew, prawdopodobnie jedyny punkt dostępu do wody w czasach, gdy wznoszono kamienicę.

Kiedy wreszcie dotarła na siódme piętro, drzwi do mieszkania numer siedem stały otworem. Tuż za progiem zobaczyła pochylonego starego mężczyznę, który kiedyś musiał być wysoki. Kosmyki siwych włosów sterczały mu wokół głowy na wszystkie strony, nadając wygląd kogoś, kto włożył palec do kontaktu. Znad grubych okularów umieszczonych na wielkim nosie wystawały krzaczaste siwe brwi. Miał też wąsy, lekko pożółkłe wokół ust. Ubrany był w koszulę i krawat, jedno i drugie lekko wymięte, oraz rozpinany sweter. Z kieszeni swetra wystawała książka w miękkiej okładce. Opierając się na drewnianej lasce ze srebrną rączką, patrzył na Allegrę wodnistymi oczyma, otoczonymi siecią głębokich zmarszczek.

- Pan Weiss? - zapytała. Pokiwał głową twierdząco.

- *Oui, mademoiselle*. Proszę wejść. - Otworzył drzwi jeszcze szerzej, odsuwając się na bok.

Allegra weszła do mieszkania i wyciągnęła rękę do staruszka.

- Miło mi pana poznać, panie Weiss. Bardziej przytrzymał, niż uściskał jej dłoń.

- Zawsze się cieszę, kiedy mogę zawrzeć znajomość z piękną, młodą kobietą - odparł z kurtuazją. Uśmiechnął się przy tym, a w jego oczach pojawił się błysk ożywienia.

- Dziękuję panu. Jestem wdzięczna, że pozwolił mi pan przyjść.

- Proszę tędy. - Poprowadził ją wąskim korytarzem, postukując laską o drewnianą podłogę.

Znaleźli się w wielkim, zagraconym pokoju, obwieszonym rysunkami i obrazami. Wszystkie cztery okna były zasłonięte

okiennicami, więc do środka wpadało niewiele światła. Wszędzie wokół widać było książki: na półkach, na stołach, na krzesłach i leżące w wysokich stertach na podłodze.

- Proszę, *mademoiselle* Sheridan, niech pani usiądzie. - Wskazał jej stare krzesło obite podartą skórą, spod której wystawały sprężyny.

Allegra przycupnęła na nim ostrożnie, rozglądając się dyskretnie po pokoju. Pomieszczenie w angielskim stylu, pomyślała.

Edwardiańskim. Chyba ani jeden sprzęt nie pochodził z Francji.

- Bardzo ciekawe wnętrze - pochwaliła. - Pewnie uwielbia pan czytać.

- Owszem - przyznał. - Zawsze lubiłem. Oboje z żoną byliśmy zagorzałymi entuzjastami książek. - Usiadł naprzeciw Allegrze na podobnie zdezelowanym krześle i przyjrzał jej się z uwagą. - Rozumiem jednak, że nie przyszła tu pani słuchać historii mojego życia. Interesuje panią moja współpraca z Julesem Levantem, prawda?

- Tak, panie Weiss. Wyczytałam dziś rano w Internecie, że pracował pan u Julesa Levanta przez wiele lat.

- Zgadza się - powiedział z nutą tęsknoty w głosie, zapatrzonej w jakiś nieokreślony punkt przed sobą. - Pracowałem tam właściwie od samego początku. Byliśmy bardzo zżyci, Hannah, Jules, Elisse - moja zmarła żona - i ja. Po śmierci Hannah, a potem Julesa, Ramtane odziedziczył interes i jeszcze przez kilka lat pracowałem u niego, dopóki nie zdecydowałem się odejść na emeryturę. - Spojrzał na Allegrę. - Ale przecież nie o to chodzi. Domyślam się, że chce pani ode mnie jakichś konkretnych informacji. Mam rację?

- No... tak - przyznała, trochę zaskoczona jego bezpośredniością.
- Przyjechałam do Paryża, żeby kupić na aukcji pierścionek, który Jules Levant sprzedał kilka lat wcześniej.

- Aha - mruknął domyślnie Weiss. - Pierścionek księżniczki Karimy.

- Właśnie - potwierdziła Allegra.

- Więc to pani jest tą piękną, tajemniczą Amerykanką, która wylicytowała najwyższą cenę?

Allegra poczuła ciepło rumieńca na policzkach.

- Rzeczywiście mi się udało. Staruszek zachichotał.

- Pani skromność jest rozbijająca, *mademoiselle* Sheridan. Ale proszę mówić dalej. Czego chce się pani dowiedzieć?

Allegra opowiedziała mu wszystko, co jej się przydarzyło w Paryżu. *Monsieur* Weiss słuchał, pomrukując coś od czasu do czasu, ale ani razu nie przerwał. Kiedy skończyła, z widocznym trudem podniósł się z krzesła i szurając nogami, podszedł do półki, gdzie stała taca z butelkami, karafkami i kieliszkami.

- Może kieliszek wina, *mademoiselle* Sheridan? - zaproponował, odwracając głowę. Niestety, mam tylko bordeaux, ale całkiem niezłe.

- Bardzo chętnie.

Kiedy nalewał wino z karafki do dwóch kieliszków, Allegra zauważyła, że ręce trochę mu się trzęsą. Wstała i podeszła bliżej, żeby ułatwić mu zadanie.

- Dziękuję - powiedziała z uśmiechem, biorąc kieliszek.

- Lepiej niech pani najpierw spróbuje - poradził. Wrócili na krzesła i wzniesli milczący toast.

- Całkiem dobre - pochwaliła wino.

- Znośne - przyznał. Jego oczy nagle przybrały poważny wyraz.

- Przyszło mi do głowy kilka uwag na temat tego, co mi pani powiedziała. Pozwoli pani, że je wyrażę. A potem może mnie pani pytać o wszystko, co panią interesuje. Po pierwsze, sytuacja, do której doszło w galerii Dufour, jest absolutnie niedopuszczalna. Oczywiście, ktoś z domu aukcyjnego był w to zamieszany, ale ważniejsza jest kwestia, na czyje zlecenie. Księżniczki Karimy? Rama Tadjera? Kogoś innego? Naturalnie nie znam odpowiedzi na to pytanie, ale według mnie to księżniczka albo Ram próbowali wcisnąć pani kopię zamiast oryginalnego pierścionka.

- Dlaczego któreś z nich?

- Księżniczka Karima dlatego, że nie chciała się pozbyć pierścionka - wyjaśnił Weiss, wpatrując się w Allegrę przez grube szkła. - Jest niewiarygodnie bogata i nigdy nie zabraknie jej pieniędzy, a ten klejnot zajmuje szczególne miejsce w jej sercu... jakiegokolwiek by ono było. Donati, ten Włoch, był dla niej kimś więcej niż tylko gorącym kochankiem. Wprowadził ją do międzynarodowej elity.

- Można odnieść wrażenie, że księżniczka ma wielkie serce. Pozbywa się całego swojego majątku, żeby założyć fundację na cele dobroczynne.

- Ha! - wykrzyknął staruszek. - To tylko działania pozorne, aby zdobyć poklask. Nie wiem, o co chodzi, ale księżniczka coś knuje. Po

pierwsze, wyzbywa się jedynie swoich posiadłości w Paryżu. Wiem, że są warte miliony dolarów, ale poza nimi ma jeszcze wiele innych. Ten skromny młyn, o którym ciągle trąbią w prasie, to warta wiele milionów dolarów rezydencja w lasach Fontainebleau.

- Pan naprawdę wierzy, że ona może być odpowiedzialna za to, że w Dufour próbowano mi wcisnąć kopię pierścionka? - Taka myśl w ogóle nie przyszła Allegrze do głowy, była więc szczerze zaskoczona przypuszczeniami monsieur Weissa.

- Jak najbardziej.

- A Ram... Ramtane Tadjer? - spytała.

- Poszedł tam z nadzieją, że zdobędzie ten pierścionek - odparł stary szlifierz - ...ale został przeoczony i to pani wygrała licytację.

- Jak to, „przeoczony”? Co pan ma na myśli?

- Jestem pewien, że by panią przelicytował, ale w ostatniej chwili prowadzący po prostu go nie zauważył i pozwolił pani kupić pierścionek.

- Mówi pan poważnie? - Nie mieściło jej się w głowie, że coś takiego mogłoby się wydarzyć.

- Często tak bywa - zapewnił z przekonaniem. - Albo też prowadzący aukcję nie chciał, żeby Ram wszedł w posiadanie pierścionka, nawet jeśli to oznaczało, że sprzeda go pani za sumę o milion mniejszą.

Allegra przez chwilę milczała, próbując przetrwać tę niesłychaną wiadomość. Nie wiedziała, czy może wierzyć

staruszkowi, ale podsunął jej nową możliwość, której wcześniej w ogóle nie brała pod uwagę.

- Ale jest jeszcze coś ważniejszego - odezwał się Weiss.

Allegra zdrygnęła się i spojrzała na niego zaskoczona.

- Co takiego, panie Weiss?

- Coś, o czym pani może mieć pewne pojęcie, będąc projektantką biżuterii. - Pociągnął łyk wina. - Ram skupuje pewne klejnoty, które zostały przed laty sprzedane przez Julesa Levanta. A pierścionek księżniczki Karimy był właśnie jednym z tych klejnotów.

Allegra poczuła na rękach gęsią skórę. *Monsieur* Weiss właśnie dał jej brakujący fragment układanki.

- Orientuje się pan może, co to za klejnoty? Odstawił kieliszek i spojrzał jej prosto w oczy.

- *Mademoiselle*, wszystkie te klejnoty były ze szmaragdami. I wszystkie kamienie miały tę samą wielkość.

- A przychodzi panu do głowy jakieś wyjaśnienie, dlaczego je skupuje? - spytała Allegra, siedząc jak na szpilkach.

- Niestety. Nie mam pojęcia. Pani może o tym wiedzieć więcej ode mnie. Ja byłem zwykłym szlifierzem... nie powiem, jednym z najlepszych. Znam się na kamieniach, ale nie wymyślam wzorów, nie jestem też historykiem ani nawet sprzedawcą. Pracowałem w warsztacie, nie miałem kontaktu z klientami. Prawdę mówiąc, prawie nigdy nie bywałem w sklepie.

- Sprzedał wszystkie te szmaragdy, a potem postanowił je odkupić - myślała na głos Allegra. - Wszystkie są tej samej wielkości,

więc prawie na pewno stanowiły kiedyś komplet. I należały do tej samej osoby.

Staruszek pokiwał głową.

- Zgadza się. Ale kim była ta osoba? Ja nie wiem. I dlaczego ktoś teraz chce je mieć z powrotem? Tego też nie wiem.

- A wie pan, komu je kiedyś sprzedano? - nie ustępowała Allegra.

- Nie. Nie obchodziły mnie takie rzeczy. Kochałem kamienie. Uwielbiałem je ciąć, polerować, nadawać im doskonały kształt. Resztę pozostawiałem innym.

Allegra dopiła resztkę wina i odstawiła kieliszek.

- Zastanawiam się, czy można się tego jakoś dowiedzieć.

- Ramtane Tadjer to wie - powiedział wolno, jakby z namysłem Weiss - ...ale radziłbym pani trzymać się od niego z daleka. Zwłaszcza po tym, co mi pani powiedziała. Jednego jestem pewien, *mademoiselle* Sheridan. - Pokiwał kościstym palcem. - On się nie powstrzyma przed niczym, żeby zdobyć ten szmaragd. Przed niczym.

Allegrę przebiegły nieprzyjemne ciarki.

- Ale jest jeszcze księżniczka - przypomniała staruszkowi.

- Oboje są śmiertelnie groźni - stwierdził.

- Mówi pan poważnie?

- Całkiem poważnie. Może sobie pani myśleć - i nie mogę pani tego mieć za złe - że jestem szalonym starym Żydem. Że Ram i księżniczka są pochodzenia arabskiego, więc jestem do nich uprzedzony. Ale to nieprawda, *mademoiselle*.

- Nigdy by mi to nawet nie przyszło do głowy, monsieur Weiss - zapewniła go szczerze Allegra.

- Cóż, wielu ludziom by przyszło - mruknął. - Ale mam swoje powody, żeby im nie ufać. Zwłaszcza Ramowi. Pracowałem tam, kiedy Levantowie go przygarnęli. Patrzyłem, jak jego znaczenie w firmie rośnie i muszę przyznać, że na to zasługiwał. Był nieustrudzonym pracownikiem i do tego bardzo bystrym młodzieńcem. Ale byłem tam też, kiedy Jules zmarł, zostawiając wszystko Ramowi i uważam, że... że nastąpiło to w dziwnych okolicznościach.

- Co pan ma na myśli? - spytała Allegra. - Sugeruje pan, że...

- Niech pani sobie myśli, co tylko chce - westchnął Weiss. - Ale moim zdaniem, Ram mógł pomóc biednemu Julesowi przenieść się na tamten świat.

Allegra zaniemówiła z wrażenia. Niemożliwe, pomyślała. Skoro został przez nich przygarnięty i do tego adoptowany, co by zyskał, przyspieszając śmierć Julesa Levanta? Zresztą, to nie pasowało do Ramtane'a Tadjera, którego poznała, Wyglądał na zdecydowanie zbyt inteligentnego i cierpliwego człowieka, żeby ryzykować utratę wszystkiego - co, jak wiedział, i tak by kiedyś dostał - przyspieszając naturalny bieg zdarzeń.

- A księżniczka? Dlaczego jej pan nie ufa?

- Nie mogę pani podać żadnego konkretnego dowodu na jej... nazwijmy to z braku lepszego określenia, słaby charakter. Nie. Nie słyszałem, żeby zrobiła coś złego. W każdym razie, jeszcze nie.

- Więc dlaczego jej pan nie ufa? Czemu kwestionuje pan motywy, dla których założyła fundację dobroczynną?

Staruszek wzruszył ramionami.

- Niech pani to nazwie instynktem, *mademoiselle* -powiedział. - Wiem, że to nie jest zadowalająca odpowiedź. Ale wiem też, że księżniczka Karima potrafi pielęgnować urazy. Doznała w przeszłości emocjonalnych krzywd i upokorzeń. Dlatego sędzę, że jest ostatnią osobą na tym świecie, która by przeszła jakąś duchową przemianę. Nie. Sędzę, że raczej planuje zemstę na tych, którzy ją kiedyś źle potraktowali.

Allegra nie wiedziała, co ma o tym wszystkim myśleć. Czy możliwe, że przypuszczenia *monsieur* Weissa były jedynie insynuacjami zgorzkniałego starca? Ale dlaczego miałby mówić takie rzeczy? Mimo swego podeszłego wieku sprawiał wrażenie całkowicie poczytalnego, czemu więc miałby oczerniać księżniczkę przed Allegrą, w końcu obcą dlań osobą.

- Ma pan jeszcze jakiś kontakt z *monsieur* Tadjerem? -spytała.

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie. Ram nie potrzebuje takiego starca. - Nagle się uśmiechnął, a jego oczy przybrały chytry wyraz. - Ale widuję go od czasu do czasu, choć on o tym nie wie.

Allegra uniosła brwi, okazując zaciekawienie.

- Co pan ma na myśli?

- Ram nadal utrzymuje w tym budynku mieszkanie, które otrzymał przed laty od Hannah i Julesa.

- Mieszkanko? Tutaj? W tym budynku?

- Owszem. Zrobili dla niego to samo, co dla mnie i Elisse. Po tym, jak go przygarnęli, otrzymał od nich tutaj skromne lokum. I zatrzymał je, mimo że żyje teraz jak pasza w wielkiej rezydencji kilka przecznic stąd.

- Niewiarygodne - powiedziała zdumiona Allegra.

- Nie aż tak bardzo - mruknął Weiss. - Wie pani, on tu sprowadza kobiety. Zapewne takie kobiety, których woli nie zabierać do swego domu.

Na chwilę zapadła niezręczna cisza.

- To brzmi trochę... podejrzenie - odezwała się w końcu Allegra.
Monsieur Weiss zaśmiał się cicho.

- Powiedziałbym, że to akurat najmniejsza z jego przywar. Wielu mężczyzn tutaj utrzymuje kochanki, a jestem pewien, że i w Ameryce się to zdarza, jednak w wypadku Rama wygląda to nieco inaczej. Przez lata przewinęło się tu wiele kobiet, jak mi mówiono i jak sam widziałem. Ale to chyba nie ma nic do rzeczy, prawda? - Wypił resztkę wina i odstawił kieliszek. - Mam nadzieję, że trochę pani pomogłem, *mademoiselle*.

Allegra była zadowolona, że ma okazję zakończyć spotkanie.

- Z pewnością. Bardzo panu dziękuję, że zgodził się pan na moją wizytę i zechciał mi poświęcić czas. Przyjemnie się z panem rozmawiało.

- Mnie także było miło panią poznać, *mademoiselle Sheridan*. Mam nadzieję, że pani znajdzie to, czego szuka.

- Myślę, że znajdę - potwierdziła. - Częściowo dzięki panu. -
Podniosła się z krzesła. - Proszę nie wstawać, sama trafię do wyjścia.

- Nie, nie - zaprotestował, unosząc się ociężale. - Jestem
wprawdzie stary, ale nie aż tak, żeby zapomnieć o dobrym
wychowaniu.

Allegra pozwoliła się odprowadzić do drzwi i z uśmiechem
podała mu rękę na pożegnanie.

- Jest pani uroczą młodą damą - powiedział. - Proszę przyjść
jeszcze kiedyś, jeśli będzie pani miała ochotę. Sprawi mi pani dużą
przyjemność odwiedzinami.

- Dziękuję, *monsieur* Weiss. Chętnie bym jeszcze kiedyś z
panem porozmawiała - odrzekła szczerze. Mimo że nie mogła się
doczekać spotkania z Toddem, przykro jej było zostawiać tego
staruszka.

Kiedy wyszła na ulicę, ogarnął ją głęboki smutek. Biedak jest
taki schorowany i samotny, pomyślała, a przy tym ciekawy i pełen
życia. Nie sądziła, by jeszcze kiedyś było im dane się zobaczyć.
Rozejrzała się za taksówką, ale w pobliżu żadnej nie dostrzegła,
ruszyła więc przed siebie z nadzieją, że zmierza w stronę jakiejś
głównej ulicy. Zastanawiała się, czy powinna powiedzieć Toddowi o
tym, czego się dowiedziała. Trudno jej było się zdecydować. Jedno
nie ulegało wątpliwości: tajemnica szmaragdów zawładnęła jej
wyobraźnią bez reszty. Wiedziała, że nie zazna spokoju, dopóki nie
rozwiąże tej zagadki.

R o z d z i a ł 1 8

Allegra przeszła szybko pod arkadą Palais Royal do restauracji Le Grand Vefour. Od razu dostrzegła Todda siedzącego przy dwuosobowym stoliku. On także ją zobaczył i natychmiast wstał, co nie uszło uwagi szefa sali.

- *Mademoiselle Sheridan?* - zagadnął Allegrę.

- Owszem - potwierdziła. - Widzę już osobę, która na mnie czeka, tam, w głębi.

- Zechce pani zostawić płaszcz?

- Nie, raczej go zatrzymam. - Na zewnątrz było wietrznie, szaro i trochę zziębła.

- Jak pani sobie życzy. Proszę za mną. Zaprowadził ją do stolika, odsunął krzesło i poczekał, aż usiadła. Następnie podał jej kartę dań i napełnił kieliszek szampanem z butelki, która czekała w kubelku z lodem na stojaku obok stolika.

- Ach, prawdziwy eliksir bogów - pochwaliła trunek Allegra. - Dziękuję, *monsieur*.

Szef sali uklonił się i zostawił ich samych.

- Wyglądasz, jakbyś się z czegoś bardzo cieszył - powiedziała z uśmiechem do wyraźnie rozpromienionego Todda.

- Po prostu cieszę się, że cię widzę. - Wziął ją za rękę.

- Ja też się cieszę, że cię widzę.

- Rezerwując stolik, nie miałem pojęcia, że ta restauracja praktycznie sąsiaduje z salonem Julesa Levanta - wyznał Todd.

- Myślisz, że powinniśmy stąd wyjść? - spytała, rozglądając się dyskretnie.

- Nie sądzę, byśmy musieli zachować aż tak drastyczne środki ostrożności - uspokoił ją Todd. - Zresztą dowiedziałem się przypadkiem, że Ramtane'a Tadjera nie ma dziś w sklepie, więc chyba nie ryzykujemy niepożądanego spotkania.

Allegra uniosła brwi w wyrazie zdumienia.

- A skąd to wiesz? - Wysunęła ręce z rękawów, ale pozostawiła płaszcz zarzucony na ramiona.

- Poczekaj tylko, aż ci opowiem, co się wydarzyło. - Todd pociągnął łyk szampana. - Szcześnie wyjątkowo mi dopisało, kiedy ty chodziłaś po sklepach. - Nagle się zdziwił. - A gdzie masz torby z zakupami?

- Nie znalazłam niczego ciekawego - skłamała bez zajknięcia Allegra.

Todd przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią bez słowa.

- Allegro - odezwał się wreszcie - czy ja wyglądam na kogoś, kto się wczoraj urodził? Tu, w Paryżu nie mogłaś znaleźć nic ciekawego?

- Odstawił kieliszek. - Lepiej powiedz mi prawdę.

- Najpierw chcę usłyszeć, co ty masz mi do powiedzenia - odrzekła zdecydowanym tonem. - Zachowujesz się bardzo tajemniczo, co sugeruje, że nie poprzestałeś na spacerze ulicami miasta. Skąd wiesz, na przykład, że Ramtane'a Tadjera nie było dziś w sklepie?

- Postanowiłem ci pomóc dowiedzieć się czegoś więcej na temat tych szmaragdów - zaczął ostrożnie. - Przyszło mi do głowy, że

Tadger wie, jak ty wyglądasz, ale mnie nikt wcześniej nie widział w sklepie Julesa Levanta - dodał szybko tonem usprawiedliwienia.

Choć była na niego zła, odruchowo nadstawiła uszu.

- Mów dalej.

- Poszedłem tam i zachowywałem się, jakbym był klientem szukającym pierścionka ze szmaragdem. Prawdę mówiąc, powiedziałem sprzedawczyni, że przyjechałem do Paryża, żeby licytować pierścioneł księżniczki Karimy.

Allegra omal nie zakrztusiła się szampanem.

- Naprawdę?

Todd energicznie pokiwał głową.

- Połknęła haczyk razem ze słałwikiem i żyłką. Co więcej, chyba jej wpadłem w oko. - Uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Jasne - mruknęła Allegra. - Jak wszystkim kobietom, co?

- Może niektórym - odparł żartobliwie wyzywającym tonem. - Ale to nie to, co myślisz. Ta dama musi mieć przynajmniej siedemdziesiąt lat. Tak czy inaczej, zaproponowała, że pokaże mi księgi sklepowe.

Allegra niemal uniosła się na krzesła.

- Księgi sklepowe? - powtórzyła z niedowierzaniem. -

Niemożliwe.

Przy stoliku pojawił się kelner.

- Są państwo gotowi złożyć zamówienie?

- Potrzebujemy jeszcze paru minut - zbył go Todd.

- Musisz mi powiedzieć, czego się dowiedziałeś - zażądała Allegra, kiedy kelner się oddalił.

- Całkiem sporo. Jules Levant w swojej karierze miał do czynienia z wieloma szmaragdami dokładnie tej samej wielkości i koloru co szmaragd księżniczki Karimy. Zrobiłem listę osób, którym zostały sprzedane.

- Och, kochany! Jesteś niesamowity. - Pochyliła się nad stolikiem, żeby ucałować Todda.

Znów się rozpromienił.

- Sprzedawczyni nawet się nie zorientowała, że spisałem ich nazwiska - zapewnił. - Tak była pochłonięta opowiadaniem mi anegdot o tych ludziach...

- Kto? - przerwała mu niecierpliwie Allegra. - Kto je kupił? I ile osób było w to zamieszanych?

- Muszę zerknąć na moją listę. Ale pamiętam, że była broszka i bransoleta. A także naszyjnik. Kolczyki. I wreszcie pierścionek, który trafił do księżniczki Karimy. Każdy z klejnotów został kupiony przez inną osobę.

Mózg Allegry zaczął pracować na zwiększonych obrotach. Szmaragdy musiały stanowić komplet. Wszystkie miały tę samą wagę i kolor. Rzadkie zjawisko. Szczególnie w przypadku szmaragdów. A Jules Levant - albo Ramtane Tadjer - umyślnie je rozdzielił, mimo że miałyby znacznie większą wartość, gdyby je sprzedano razem.

- No i jak się spisałem? - zapytał z dumą Todd, wyraźnie oczekując pochwał.

- Fantastycznie. Genialnie. - Napiała się szampana. - Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć tę listę.

- Proszę bardzo. - Wyciągnął niepozorny kawałek papieru z wewnętrznej kieszeni na piersi.

Allegra niemal wyrwała mu go z ręki.

Broszka - Costas Stephanides, przeczytała. Oczywiście wiedziała, kim był ten bogaty Grek. Bez wątpienia kupił broszkę dla swojej kochanki, greckiej aktorki... Jak ona się nazywała? Marina Koutsoukou.

Bransoleta - generał Ramondo Gonzales-Viega. To nazwisko było jej obce, ale wiedziała, że może łatwo sprawdzić, o kogo chodzi.

Naszyjnik - paryżanin, wicehrabia de Rabe kupił go dla swojej vicomtesse. Allegra знаła jej nazwisko z gazetowych rubryk poświęconych modzie i najwyższemu kręgom towarzyskim.

Wicehrabina była jednym z tych bogatych, chudych motyli, których każdy ruch jest zauważony i opisany, a sposób ubierania się i urządzania domu naśladowany przez kobiety na całym świecie.

Kolczyki - William Cosgrove Hutchison, nowojorczyk. Allegra wyteżyła umysł. Wiedziała, że już gdzieś słyszała to nazwisko, ale nie potrafiła go umiejscowić. Prawdopodobnie był jednym z tych bogatych od pokoleń mieszkańców Nowego Jorku, którzy starannie unikają wszelkiego rozgłosu.

Lista obejmowała całe mnóstwo trzydziestoczworoipółkaratowych szmaragdów tego samego koloru. Allegra nawet nie próbowała liczyć, ile byłyby warte, gdyby je z

powrotem połączyć i sprzedać jako komplet. Pierścionek księżniczki Karimy stanowił jedyny wyjątek: kamień był tej samej wielkości i barwy co reszta, ale miał ową niepowtarzalną skazę.

- To niesamowite - powiedziała do Todda. - Nadal nie mogę uwierzyć, że tego dokonałeś. - Posłała mu całusa nad stolikiem.

Kelner zjawił się po raz drugi.

- Potrzebują państwo jeszcze więcej czasu? - Dolał im szampana.

- Chyba jesteśmy gotowi - oznajmił Todd. - Może zamówię dla nas obojga?

- Świetnie - zgodziła się chętnie Allegra.

- Weźmiemy jagnięcinę. Słabo wysmażoną.

- Żadnych przystawek, monsieur?

- Nie, dziękujemy. - Todd spojrzał pytająco na Allegrę.

Odpowiedziała kiwnięciem głowy.

- Doskonale - powiedział kelner i się oddalił.

- A teraz ty mi opowiesz, co robiłaś, dobrze? - zwrócił się Todd do Allegry.

- No cóż... poszperałam trochę w Internecie. - Postanowiła jednak zataić, że była w banku i skorzystała z komputera monsieur Lenoira.

- Aha. I co wyszperałaś?

- Chciałam się czegoś dowiedzieć o samym Julesie Levancie.

-I?

- Znalazłam niejakiego Solomona Weissa, który u niego pracował. Był szlifierzem. Odkryłam, że nadal żyje i mieszka w Paryżu.

Todd wyraźnie się ożywił.

- I poszłaś do niego? Czego się dowiedziałas?

- Jest wdowcem dobrze po osiemdziesiątce i mieszka na rue des Rosiers. To niewielkie skupisko Żydów w dzielnicy Marais.

- Nie wydaje ci się to dziwne? - spytał z zadumą Todd. - Mieszkałaś w dzielnicy Marais w kawalerce Paula. Byłaś w muzeum w Marais, gdzie dwukrotnie do ciebie strzelano. Zameldowaliśmy się w hotelu w Marais i zaraz się z niego wynieśliśmy. A teraz znalazłaś tego Weissa także w Marais. Wszystko się kręci w obrębie tej dzielnicy.

- Owszem - przyznała Allegra. - Ale to jeszcze nie koniec. Ramtane Tadjer ma mieszkanie w Marais. W tej samej kamienicy, co Weiss. Dostał je przed laty od Levantów, kiedy go przygarnęli, i zatrzymał.

- Jezu! - wykrzyknął Todd. - Znowu on. To znaczy, że byłaś w domu, gdzie mieszka.

- Nie, nie - uspokoiła go. - On tam nie mieszka. Weiss powiedział, że Tadjer ma rezydencję kilka przecznic dalej, ale zatrzymał to mieszkanie po to, żeby się tam umawiać na schadzki.

- Aha. - Todd uśmiechnął się pod nosem. - Zatem nasz pan Tadjer albo jest żonaty, albo nie chce się brzydko zabawiać we własnym domu.

- Na to wygląda - potwierdziła obojętnym tonem, choć z jakiegoś powodu uwierała ją myśl, że ten przystojny, czarujący mężczyzna miałby się angażować w podejrzone związki z kobietami.

Podano im jedzenie. Delektując się smakowitą jagnięciną z warzywami, Allegra opowiedziała Toddowi o swojej wizycie u Solomona Weissa. Kiedy skończyła, Todd w milczeniu dojadł swoją porcję i dopiero wtedy się odezwał:

- Mam wrażenie, że ty znalazłaś jeden wielki fragment układanki, a ja drugi. Wiemy, komu sprzedano te szmaragdy i wiemy, że Tadjer od lat je skupuje. Chociaż madame de la Montarron nie wspomniała o tym, by odzyskali jakiś klejnot z tych, które mi pokazała.

- Mogła o tym nawet nie wiedzieć - podsunęła Allegra.

- To prawda - przyznał. - Prawdopodobnie nie wie. Inaczej na pewno by mi powiedziała. Bo musisz wiedzieć, że jest niezwykle rozmowna. Jak już zaczęła opowiadać, to nie mogła skończyć.

- Dziwne, że Solomon Weiss tyle wiedział. - Allegra wzruszyła ramionami. - Pewnie to nieważne, ale jestem ciekawa skąd.

- Madame wiedziała natomiast, że Tadjer licytował pierścioneł księżniczki Karimy - odrzekł Todd.

- Wszyscy w Paryżu o tym wiedzieli - przypomniała mu Allegra.

- No, ale to był szczególny przypadek, zważywszy na osobę księżniczki i w ogóle.

- I co teraz powinniśmy zrobić z tym, czego się dowiedzieliśmy?

- Dobre pytanie - zgodziła się Allegra. - Podobnie jak to, skąd pochodzą te szmaragdy? I dlaczego Ramtane Tadjer chce je odzyskać?

- Tylko jak mamy znaleźć odpowiedzi?

- Nie wiem. Ale mój dociekliwy umysł domaga się wyjaśnienia tej sprawy. - Odłożyła sztucce na talerz. - Było pyszne. Masz ochotę na deser?

- Jeśli ty coś zamówisz, to ja też - powiedział Todd.

- Wszystko tu jest fantastyczne, ale chyba wolę wrócić do hotelu. Trzeba urządzić burzę mózgów.

Wyszli z restauracji, omijając tę część pasażu pod arkadami, gdzie mieścił się salon Julesa Levanta.

- Jak ci się udało uwolnić od tej sprzedawczyni? - spytała z zaciekawieniem Allegra.

- Powiedziałem, że jestem umówiony na lunch z narzeczoną. Była zachwycona, że para zakochanych gołąbków spotyka się na lunchu w Le Grand Vefour.

- To chyba bardzo francuska reakcja - zaśmiała się Allegra.

- Chyba tak. Ale madame de la Montarron oczekuje, że wrócę do jej sklepu jeszcze dzisiaj albo w poniedziałek.

- Będzie rozczarowana, bo już cię nie zobaczy. Todd czule uściskał jej dłoń.

- Może tak, a może nie. Mają tam bardzo ładną biżuterię.

- Och, nie drocz się ze mną. Wszystkie ich wyroby są piękne, ale też odpowiednio drogie.

- Jesteś w stanie dojść pieszo do hotelu na tych obcasach? -
spytał Todd, spoglądając na jej niebotyczne szpilki.

- Jasne - zapewniła go Allegra. - Stopy mi odpoczęły, a poza tym mamy niedaleko.

Todd cmoknął ją w policzek.

- Cudownie być tu z tobą, w tym pięknym mieście.

- Mimo że jest szaro i zimno?

- A kto by się przejmował pogodą? - Cmoknął ją jeszcze raz.

- Ja na pewno nie. - Przystanąła, żeby pocałować go porządnie,
w usta.

Zapatrzeni w siebie nawzajem, nie zauważyli, że są
obserwowani. Po dłuższej chwili podjęli spacer w stronę placu
Vendome, nieświadomi, że ktoś podąża krok w krok za nimi.

Sylvie krążyła po mieszkaniu Paula, położonym na parterze,
stukając obcasami o chłodną kamienną posadzkę. Wypuszczała wciąż
nowe chmury szarego dymu, które unosiły się wolno w stronę sufitu.

Paul obserwował ją, siedząc na sofie, napięty jak struna. Sylvie
fascynowała go i przerażała zarazem, a jej dzisiejsze teatralne gesty
wyjątkowo działały mu na nerwy.

Otrzymana od niej szczodra dawka krystalicznej
metaamfetaminy wprawiła go w dziwny stan: był mocno pobudzony,
a jednocześnie zobojętniały na wszelkie problemy, podczas gdy umysł
nie pozwalał mu zapomnieć, że jego kłopoty tak naprawdę dopiero się
zaczynają.

Tup, tup! Aż się wzdrygnął, gdy Sylvie wykonała kolejny ostry skręt w swej jednostajnej wędrówce po pokoju. Patrzył, jak zaciąga się gauloisem bez filtra, a potem wypuszcza smrodliwą chmurę dymu.

Był w niej zakochany od lat i wciąż od nowa zadawał sobie pytanie, jakim cudem mogła zwrócić uwagę na kogoś takiego jak on. Mogła przecież mieć każdego. Nie był wprawdzie jedynym mężczyzną w jej życiu, ale cieszył się każdą chwilą, jaką była skłonna mu poświęcić.

Poznali się w le Rosey, ekskluzywnej szkole z internatem, i jakkolwiek dziwna mogła się innym wydawać ich przyjaźń - on był małomównym, nieatrakcyjnym nudziarzem, a ona cieszącą się wielkim powodzeniem duszą towarzystwa - od razu znaleźli wspólny język. Oboje czuli się obco w tym snobistycznym miejscu i razem szukali zapomnienia w miękkich narkotykach. Nie różnili się pod tym względem od reszty uczniów, ale połączyła ich trwała więź, choć zawsze to Sylvie decydowała, nigdy odwrotnie. Miała zwyczaj przychodzić do niego po ognistych wieczorach spędzonych z innymi chłopakami; wciągała go wtedy do łóżka i, naćpana, kochała się z nim namiętnie, racząc go opowieściami

o tym, o ile jest lepszy od tych bogatych osiłków, którzy dbają tylko o swoje przyjemności i zaraz potem zbierają manatki.

- Jesteś podobny do mnie, Paul - mawiała. – Wrażliwy i czuły. Pełen inwencji. Masz artystyczną duszę. Nie tak, jak te zwierzaki. - Uprawiali seks do upadłego, aż w końcu ciała odmawiały im posłuszeństwa i zapadali w długi, narkotyczny sen.

Czas, jaki teraz spędzali razem, siłą rzeczy był ograniczony z powodu jej pobytu w Stanach. Często jednak przyjeżdżała do Paryża, a i Paul co jakiś czas odbywał wyprawę do Nowego Jorku, żeby się zobaczyć z ukochaną. Zrobiliby dla niej wszystko i wcale mu nie przeszkadzało, że nie może liczyć na wzajemność.

- Masz wódkę?

Pytanie nie od razu do niego dotarło, choć widział, że Sylvie zatrzymała się gwałtownie i patrzyła na niego wyczekująco. Widział, jak poruszają się jej piękne, wymalowane usta. Był jednak do tego stopnia oszołomiony, że nie potrafił udzielić odpowiedzi.

- Masz wódkę? - powtórzyła głośniejszym głosem.

- A, tak, jasne. - Poderwał się z sofy i przeszedł do lodówki. Wyjął z zamrażalnika butelkę stolicznej i napełnił dwa kieliszki niemal po brzegi. Podał jej jeden z uśmiechem. - Proszę.

Sylvie pociągnęła wielki łyk i lekko się otrząsnęła.

- *Magnifique*. - Odwzajemniła uśmiech.

Paul także się napił; alkohol przyjemnie rozgrzał mu gardło i żołądek.

- Może usiądziemy i trochę się odprężymy - zaproponował.

Sylvie zrzuciła buty i usiadła na kanapie, podwijając nogi. Poklepała zachęcająco miejsce obok siebie.

- Chodź tu, Paul, skarbie. Musimy porozmawiać. Usiadł posłusznie, czekając, co nastąpi dalej. Nigdy nie wiedział, czego się spodziewać, jako że Sylvie była, delikatnie mówiąc, nieprzewidywalna.

Pogładziła go po twarzy; czuł lekkie drapanie jej paznokci na policzku.

- Chcę, żebyś mi pomógł.

- W czym miałbym ci pomóc? - spytał.

- Chcę się dobrać Allegrze do skóry. - Zmrużyła oczy. - Chcę jej odpłacić za to, że załatwiła mnie w Nowym Jorku.

- Chyba byłoby lepiej, gdybyśmy zostawili tę sprawę w spokoju, nie sądzisz?

Nie odpowiedziała. Podniosła kieliszek do ust.

- Sylvie, masz szczęście, że udało ci się zwać z Nowego Jorku i Whitehead cię nie zatrzymał. Oboje mamy szczęście, że siedzimy teraz w tym mieszkaniu, a nie na jakimś pieprzonym posterunku policji. Mógł kazać cię ścigać. Nas. Nie pomyślałaś o tym?

Sylvie wzruszyła ramionami.

- Nie będzie mnie ścigał, jestem tego pewna. Nie zależy mu na głupich paru tysiącach dolarów, tylko na tym pieprzonym szmaragdzie dla Kitty. Poza tym on mnie lubił. Cholernie mnie lubił.

- Ty chyba nie...

- Nie bądź głupi - obruszyła się. - Jasne, że nie. On nie jest w moim typie, a poza tym to by zepsuło nasze dobre stosunki służbowe. Płacił mi ogromną pensję, a ja świetnie wykonywałam swoją pracę. Nic więcej. - Położyła mu dłoń na udzie. - Zapomnijmy o nim. On się nie liczy, tylko ta suka Allegra. Ona i jej chłopak. Zrujnowali mi życie, a co gorsza, upokorzyli ciebie. Tego im nigdy nie daruję.

- Ale... to bezcelowe - próbował oponować Paul. - Poza tym, co możemy zrobić? W poniedziałek wracają do Nowego Jorku, a nawet nie wiemy, gdzie są teraz.

Na ustach Sylvie zaigrał chytry uśmieszek.

- Och, ja chyba wiem.

Paul przyjrzał jej się ze zdziwieniem.

- To gdzie są?

- W Ritzu, oczywiście. Według planu to właśnie tam miała się zatrzymać Allegra i jestem pewna, że po rozmowie z Hiltonem poszli prosto do Ritza.

- No to możemy od razu dać sobie spokój - powiedział Paul. - Ritz jest jak bunkier. Nigdy nam się nie uda do nich dostać. Zresztą, co moglibyśmy im zrobić?

- Coś... co by ją zniszczyło - wycodziła wolno Sylvie.

- Czyli co konkretnie? - dociekał Paul.

- Coś prostego... jak na przykład... oblanie twarzy kwasem.

Paul osłupiał.

- Chyba... posuwasz się za daleko - wykrztusił przerażony. - Sylvie, moglibyśmy ściągnąć na siebie poważne kłopoty. Nie podoba mi się ten pomysł.

Odstawiła kieliszek i położyła Paulowi dłonie na ramionach. Patrząc mu głęboko w oczy, powiedziała:

- Zaufaj mi, skarbie. - Pocałowała go w usta. - Nic nam się nie stanie. - Nastąpił kolejny pocałunek. - Zupełnie nic. - Ich usta zetknęły

się po raz trzeci. - Jutro lub pojutrze będziemy w Prowansji i nikt się o tym nie dowie.

Próbował się wyswobodzić, ale go przytrzymała.

- Nie, Sylvie. Naprawdę mi się to nie podoba. Mówisz tak... bo jesteś naćpana.

Roześmiała się głośno.

- To śmieszne. A jeśli nawet, to co z tego? Chcę to zrobić. To bardzo proste, wszystko przemyślałam. - Przeniosła dłonie na jego uda i zaczęła go gładzić, powolnymi, zmysłowymi ruchami. - Załatwimy tę drobnostkę przed wyjazdem do Saint Remy. I zaczniemy tam nowe życie... razem.

- Razem? - Spojrzał jej w oczy. - Czy to oznacza...

- Oznacza to, co powiedziałam, Paul - przerwała mu ostro. - Tak. My dwoje. Razem w Saint Remy. Zaczniemy nowe życie. Z dala od nowojorskiego i paryskiego wyścigu szczurów. Możemy uprawiać ogród, urządzić dom i prowadzić zdrowe życie.

Paul dostrzegł wyraz rozmarzenia w jej oczach. Nie wiedział, czy może wierzyć w to, co mu powiedziała, ale bardzo tego pragnął. Pragnął tego z całego serca.

- Zrobimy to - zdecydował. - Za wszelką cenę. Razem.

Po powrocie z siłowni Cameron wziął prysznic i właśnie się ubierał; Jason patrzył z podziwem na jego smukłe, gibkie ciało o wyraźnie zarysowanej muskulaturze.

Cameron odwrócił głowę i uśmiechnął się do niego, błyskając olśniewającymi zębami.

- O czym myślisz?

- Och, o niczym - wyjąkał chłopak, zaskoczony.

- Nie kłam, bo i tak zawsze poznam - ostrzegł go Cameron, czułym gestem targając mu włosy.

- Myślałem o tym, jakie mam szczęście - przyznał się Jason.

- Co masz na myśli? - spytał Cameron, choć dobrze znał odpowiedź.

- Bo... bo mnie kochasz.

Stojąc naprzeciw Jasona na szeroko rozstawionych nogach, Cameron pochylił się i go pocałował. Potem pogładził go po policzku i znów się wyprostował.

- Idziesz dziś rano do studia, tak? - Zabrzmiało to bardziej jak rozkaz niż pytanie.

Jason pokiwał głową.

- Jestem gotowy do wyjścia.

- Potem wracasz prosto tutaj.

- Tak. Ale to mi chwilę zajmie. Przynajmniej dwie godziny.

Może więcej. Tam jest całe mnóstwo projektów.

- Po prostu wszystko skseruj - polecił Cameron. - Pamiętaj, wszystko - powtórzył z naciskiem. - Nie obchodzi mnie, czy to będzie szkicownik, notatnik... papiery z sejfu, czy rysunki wiszące na ścianie. Masz wszystko skserować.

- Nie martw się, skseruję - zapewnił go Jason.

- A skoro już jesteśmy przy tym temacie, może byś wziął kilka luźnych kamieni? - zaproponował Cameron.

Chłopak nagle zbladł, zrobiło mu się niedobrze.

- Zaraz, chwileczkę. Tego nie było w umowie. Nie mówiłeś nic o zabieraniu kamieni.

Cameron znów potargał mu włosy.

- Och, daj spokój. Nawet niczego nie zauważy. Tu skubniesz jakiś brylancik, tam rubinek... - Wykonał gest, jakby zbierał okruchy.

- Może zauważyć - zaproponował Jason.

- Nie opowiadaj głupot. Nawet Allegra Sheridan nie zdoła się doliczyć każdego kamyczka. - Chwycił go pieścizotliwie za podbródek. - Przecież byłem tam z tobą, kochany - przypomniał Jasonowi. - Wiem, jak wygląda jej studio. Możesz mi wierzyć, nie zorientuje się, że zniknęło kilka karatów tego czy tamtego. Po prostu wrzucić parę kamyczków do kieszeni. - Pocałował go namiętnie w usta. - Dla mnie, kochany. Zrób to dla mnie.

Polecenie wzbudziło wewnętrzny sprzeciw Jasona, ale nie potrafił się oprzeć Cameronowi. Jego nieograniczone ambicje, drapieżne pragnienia i nienasycone ciało pociągały chłopaka tak bardzo, że był gotów zrobić wszystko, o co tamten poprosi, nawet jeśli to oznaczało działanie na szkodę najlepszej przyjaciółki, jaką miał w życiu. Wiedział, że Allegra nigdy mu nie wybaczy, kiedy odkryje, że skopiował jej projekty.

- Lepiej już pójdę - powiedział, wstając z krzesła.

- Grzeczny chłopiec - pochwalił Cameron, żartobliwie klepiąc go w pośladek. - Będę tu jak wrócisz i razem to uczymy. Uśmiechnij się.

- Okay - rzucił Jason, wychodząc.

Pół godziny później był już w studiu; szybko upychał szkicowniki i teczki w plecaku i płóciennej torbie, które przyniósł ze sobą specjalnie w tym celu. Kilka rysunków wyjął z ramek, więc później będzie musiał je z powrotem oprawić. Pomyślał, że zajmie mu to wszystko więcej czasu, niż planował.

Można było odnieść wrażenie, że Allegra nie wyrzuciła żadnego ze swych projektów. Niektóre z nich oczywiście rozpoznawał, ale ku swemu zaskoczeniu odkrył też całe mnóstwo innych, których nigdy mu nie pokazywała.

Szybko dokończył pakowanie. Zamierzał pojechać do Brooklynu i tam wszystko skopiować; nie chciał korzystać z żadnego punktu ksero w sąsiedztwie, bo to pociągało za sobą zbyt duże ryzyko.

Na końcu otworzył sejf i sięgając do różnych woreczków, zebrał garść szlachetnych i półszlachetnych kamieni. Nie brał więcej niż trzy lub najwyżej cztery takie same. Wiedział, że jedynym sposobem odkrycia braków byłoby sprawdzenie faktur i przeliczenie kamieni, po odjęciu tych, które zostały już wykorzystane. Zadanie niewdzięczne i wyjątkowo czasochłonne.

Nagle zadzwoniła komórka. Szybko sięgnął do etui przy pasku i jak ostatnio miał w zwyczaju, zanim odebrał, sprawdził, kto dzwoni. Na widok informacji poczuł uderzenie gorąca na twarzy i szyi. To był ten sam numer, który wyświetlał mu się wiele razy w ciągu ostatnich dwóch czy trzech dni. Allegra. Po krótkim wahaniu wsunął telefon z powrotem do pokrowca.

Zaczął się śpieszyć. Wsunął kamienie do lewej, pustej kieszeni dzinsów. W prawej trzymał pieniądze, a nie chciał nosić razem z nimi kamieni. Zamknął sejf, zarzucił plecak na ramię i podniósł z ziemi torbę.

Na szczęście Cameron dał mu pieniądze na taksówkę do Brooklynu. Chłopak miał nadzieję, że uda mu się przejechać w obie strony bez zbędnego czekania. Zresztą, jego nowy partner zadbał o wszystko. Gdyby były trudności ze znalezieniem taksówki, wystarczyło zadzwonić do wypożyczalni limuzyn i podać numer rachunku Camerona, by Jason został zawieziony na Manhattan dosłownie w parę minut.

Wychodząc ze studia, myślał o swoim szczęściu. Chciał jak najszybciej załatwić sprawę i wrócić do kochanka, który przerastał jego najśmielsze marzenia.

- Wybacz mi, Marcus - powiedziała księżniczka - ale muszę odebrać ten telefon.

Marcus niedbale pokiwał głową, choć nie uszło jego uwagi napięcie Karimy, kiedy wstawiała od stołu i wychodziła z jadalni. Jak wszyscy ci, którzy ją znali, był zafascynowany doniesieniami prasowymi o nowej drodze duchowej, rzekomo wybranej przez jego przyjaciółkę, i jak wszyscy, którzy znali ją naprawdę dobrze, nie wierzył w ani jedno słowo owych medialnych rewelacji. Plotki kwitły, ma się rozumieć, a liczba spekulacji snutych w kręgach międzynarodowej elity osiągnęła rozmiary epidemii.

Kiedy poprosiła, żeby Marcus towarzyszył jej na aukcji, a potem wyjechał z nią na wieś, był zachwycony. Życzenie Karimy wydatnie podniosło jego notowania wśród znajomych. Mógł się spodziewać, że pojawią się liczne zaproszenia, ponieważ każdy będzie chciał wyciągnąć od niego jakieś nowiny na wiadomy temat. Gdyby księżniczka Małgorzata jeszcze żyła, pewnie też by teraz do mnie bezustannie wydzwaniała, pomyślał.

Zapalił papierosa i pociągnął łyk wybornego wina, które podano im do lunchu. Zaczynał się trochę gubić w całej tej sytuacji. Karima zawsze wydawała się łatwa do rozszyfrowania, przynajmniej jemu, tymczasem nagle stała się dziwnie tajemnicza. Była też ostatnio bardziej drażliwa niż zwykle i mniej rozmowna. Kiedy poprzedniego wieczoru poruszył temat jej fundacji charytatywnej, zbyła go krótko, mówiąc, że „jej ludzie w Genewie” wszystkim się zajmują. Później natomiast, kiedy spytał o nową ścieżkę duchową, księżniczka odpowiedziała mu w nader zagadkowy sposób:

- Osiągnęłam wiek, w którym spokój wewnętrzny jest bardzo ważny, drogi Marcusie. Dlatego słucham różnych doradców, badam grunt, sprawdzam, co jest dla mnie najlepsze.

Gdyby nie to, że mówiąc te słowa, przeszywała go ognistym spojrzeniem, roześmiałby się w głos. Nie odważył się jednak okazać rozbawienia. Księżniczka sprawiała wrażenie śmiertelnie poważnej, a za nic nie chciał się narażać na jeden z jej legendarnych ataków gniewu.

Trzymając w jednej ręce papierosa, w drugiej kieliszek, przeszedł do salonu. Zastanawiał się nad nietypowym zachowaniem Karimy; ostatnio odbywała mnóstwo poufnych rozmów telefonicznych.

Zgasiwszy niedopałek w popielniczce, wrócił do jadalni, żeby sobie dolać wina. Kryształowa karafka była pusta. Pchnął wahadłowe drzwi do schowka na trunki i rozejrzał się po półkach, jednak i tam niczego nie znalazł. Wszedł do kuchni w poszukiwaniu Mimi, ale jej nie było.

Nagle usłyszał podniesiony głos Karimy. Drzwi prowadzące na ganek były uchylone. Marcus przystanął i zaczął podsłuchiwać, ciekaw, co ją tak zdenerwowało. Nie mógł uwierzyć własnym uszom. Mówiła po arabsku! Rozpoznał język bez trudu, ponieważ w Eaton, a potem w Oxfordzie spotykał studentów z różnych krajów Wschodu. Jednakże nigdy dotąd nie słyszał, by Karima -a znał ją od trzydziestu paru lat - rozmawiała w swoim ojczystym języku.

Słuchał dalej, choć nie rozumiał, o czym jest mowa; udawało mu się wychwycić jedynie często powtarzane imię Yamal. Nagle poczuł się nieswojo i najciszej, jak mógł, wycofał się spod drzwi. Już samo podsłuchiwanie było naganne, oczywiście, ale Marcus doszedł do wniosku, że dzieje się coś bardzo dziwnego i nie chciał, by wyszło na jaw, że cokolwiek słyszał.

Zostawił pusty kieliszek na stole w jadalni i wyszedł do holu, gdzie zdjął z wieszaka swoją pikowaną kurtkę, po czym szybko wymknął się na zewnątrz. Na żwirowym podjeździe skręcił w prawo,

w stronę wejścia dla służby. Było stamtąd bliżej do ogrodów na tyłach posiadłości. Wprawdzie z powodu pory roku większość roślin pozostawała bezlistna, ale mógł podziwiać starannie rozplanowane rabaty, posągi i basen oraz schludnie utrzymany pas lasu na obrzeżach.

Przystanął, żeby zapalić papierosa, a potem ruszył przed siebie. Okrążając narożnik zabudowań, usłyszał jakieś głosy i dostrzegł tył nieznanego auta zaparkowanego na końcu podjazdu. Kiedy podszedł bliżej, odkrył, że to ferrari. Szedł dalej, rozkoszując się świeżym, chłodnym powietrzem. Znow usłyszał głosy i ujrzał wysokiego, muskularnego mężczyznę o kruczoczarnych włosach i śniadej cerze. Nieznajomy odwrócił się, sięgając po papierosa i wtedy Marcus zobaczył jego profil: wyraźnie zarysowane kości policzkowe, orli nos, mocne szczęki i zmysłowe usta. Patrzył z przyjemnością, przyznając w duchu, że w życiu nie widział przystojniejszego mężczyzny. Domyślił się, że to musi być ten młody człowiek, o którym wspominała mu Karima. Ów niezwykle kosztowny utrzymanek. Cóż, najwyraźniej niczego mu nie brakowało, skoro jeździł ferrari.

Prowadził ożywioną rozmowę z księżniczką, ale Marcus nie był w stanie usłyszeć, o czym. Karima stała przy drzwiach ganku, a jej rozmówca koło samochodu. Zdając sobie sprawę, że znow narusza prywatność pani domu, Marcus zaczął się powoli wycofywać. Starał się robić to bezszelestnie, z nadzieją, że nie usłyszą, jak żwir chrzęści pod jego stopami. Miał szczęście, oboje byli tak pochłonięci rozmową, że żadne z nich go nie zauważyło. Zniknąwszy bezpiecznie

z ich pola widzenia, przyspieszył kroku i wrócił na taras przed głównym wejściem do domu.

Chryste, pomyślał, co ona knuje? Wcale nie rozmawiała przez telefon, tylko spotkała się z tym oszalamiającym przystojniakiem.

Wszedł do holu, odwiesił kurtkę na wieszak i usiadł przy stole w jadalni. Omal nie podskoczył, kiedy nagle stanęła przed nim Mimi.

- Wychodził pan, *monsieur*? - bardziej stwierdziła, niż spytała, świdrując go małymi, ukrytymi pośród zmarszczek oczyma.

- Czy wychodziłem? - Zaśmiał się z udawaną swobodą. - Och, wypaliłem tylko papierosa na tarasie.

- Potrzebuje pan czegoś, *monsieur*? - Nie spuszczała wzroku z jego twarzy.

- Napiłbym się jeszcze tego boskiego wina, które podano do lunchu.

- Dobrze. - Mimi podeszła, żeby wziąć karafkę.

- Czy księżniczka wróci do stołu? - spytał. - Mam nadzieję, że nic... się nie stało?

- Pani zaraz wróci - odpowiedziała zdecydowanym tonem staruszka. - Przyniosę panu wino.

- *Merci*, Mimi.

Żałował, że nie może po prostu zapytać Karimy, co się dzieje. Jednakże taka bezpośredniość nie wchodziła w grę. Musiał w jakiś inny sposób znaleźć rozwiązanie tej zagadki. Jednego wszakże był pewien. Młody mężczyzna, z którym rozmawiała, nie był jej duchowym doradcą.

Marcus nie mógł się zdradzić z tym, że cokolwiek widział lub słyszał. Natomiast powinien się postarać, by usłyszeć i zobaczyć więcej. Miał nadzieję, że Mimi nie zauważyła go przy wejściu dla służby.

Jakże wspaniale byłoby wrócić do Paryża, a potem pojechać do Londynu i Nowego Jorku z najświeższymi nowinami na temat życia księżniczki. Świat umierał z ciekawości - w każdym razie ten świat, który się liczył - więc gdyby umiejętnie rozegrał zdobyte atuty, dzięki temu jednemu weekendowi z Karimą mógłby jadać prośzone kolacje przez najbliższych kilka lat.

- Jak on się nazywał, Jacqueline? - spytał ostrym tonem Ram.

Zmarszczyła czoło, co było nie lada wyczynem, zważywszy na ilość zastrzyków botoksu, które napięły jej skórę.

- Już panu mówiłam - westchnęła z rezygnacją. - Nie wiem.

Zastanawiała się, ile razy jeszcze *monsieur* Tadjer zada jej to pytanie i jakie znaczenie może mieć nazwisko nieznanego. Był po prostu przystojnym, zakochanym mężczyzną, który szukał pierścionka ze szmaragdem. Nieszkodliwym i do tego bardzo uprzejmym jak na Amerykanina.

- Niech mi pani opowie jeszcze raz wszystko po kolei - zażądał Ram. Był wściekły; *madame* de la Montarron jeszcze go nie widziała w takim stanie.

Bez pośpiechu powtórzyła relację. Kiedy skończyła, miała wrażenie, że widzi dym bijący z nozdrzy Ramtane'a Tadjera. Wściekał się, od kiedy tylko wszedł do sklepu. Odbył kilka rozmów przez

telefon komórkowy w swoim gabinecie, a potem czepiał się jej, jakby była jakimś pospolitym złodziejaskiem.

- Nigdy więcej nie wolno pani pokazywać ksiąg nikomu bez mojego osobistego pozwolenia! - wrzasnął. - Nigdy! Zrozumiano?

- A co mam zrobić, kiedy któryś z naszych najlepszych klientów zechce je obejrzeć? Któryś z saudyjskich czy kuwejskich książąt albo Niarchos lub Goulandris? Albo ktoś z panującego rodu? Może mi pan powie?

- W takich sytuacjach - odparł nieco spokojniejszym głosem - zrobi pani to, co zawsze, Jacqueline. - Spokój nie trwał długo, twarz Rama znów zaczęła pąsowieć. - Ale to nie dotyczy pierwszego lepszego głupiego Amerykanina, jak ten, który tu był dzisiaj. - Walnął pięścią w *bureau plat*.

Róże w kryształowym wazonie zachybotały się na wszystkie strony. *Madame de la Montarron* z nieporuszoną wyrazem twarzy popatrzyła na swego pracodawcę. Co za barbarzyńca, pomyślała. Pokazuje swoje prawdziwe oblicze.

- Przypuszczam, że gdyby ten młody człowiek wszedł i powiedział panu, że licytował szmaragd księżniczki Karimy w Dufour, poświęciłby mu pan trochę uwagi - powiedziała z godnością. - Nie mam racji?

Ram miał ochotę wymierzyć jej policzek. Nie mógł sobie jednak pozwolić na folgowanie emocjom. Potrzebował *madame de la Montarron* prawie tak samo, jak ona potrzebowała jego. Nie była nikim wyjątkowym, ale pracowała w sklepie Julesa Levanta od lat i

stała się niezastąpiona. Niektórzy z najlepszych klientów życzyli sobie być obsługiwani tylko przez tę kobietę. Ostatecznie pochodziła z ich świata. Nie tylko знаła wielu z nich, orientowała się w ich upodobaniach, znała ich rodziny i dziwactwa, ale też miała ogromną wiedzę na temat biżuterii. Nie mógł zapomnieć, że po prostu była jedną z nich, choć wiarołomny mąż zostawił ją bez grosza.

Wziął kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić, po czym usiadł przy *bureau plat*, naprzeciw starszej kobiety.

- Mówi pani, że zatrzymał się w Ritzu?

- Tak - potwierdziła, kiwając głową.

- I na pewno to był ten mężczyzna, którego mi pani wskazała?

Ten, który wychodził z Le Grand Vefour z młodą kobietą?

I tym razem przytaknęła.

- Spodziewałam się, że przyprowadzi tu tę młodą damę po lunchu - powiedziała. - Ale widać mają inne plany. - Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie, jak mogą wyglądać owe plany. Miała nadzieję, że ta kobieta jest warta tak atrakcyjnego, troskliwego i pod każdym względem czarującego mężczyzny.

- Wyjdę teraz - oznajmił Ram. - Mam mnóstwo spraw do załatwienia. Wierzę, że zrobi pani to, co kazałem. Gdyby ten mężczyzna tu wrócił... albo ta kobieta, natychmiast pani do mnie zadzwoni.

- Oczywiście.

- I będzie pani trzymać księgi w biurze, chyba że zjawi się dobrze nam znany klient i będzie chciał je obejrzeć.

- Tak. - Dotknęła wylakierowanej na sztywno fryzury.
- Dobrze. Lepiej, żebym się więcej na pani nie zawiódł. -

Odwrócił się i wyszedł.

Jacqueline de la Montarron podniosła się z krzesła, dostojna jak łąbędź. W myślach posłała za odchodzącym Ramem wiązkę soczystych epitetów, jakich żadna dama nigdy nie wypowiedziałaby na głos.

Kitty stała przed szafą w krótkim jedwabnym kimonie i przeglądała ubrania wiszące w schludnym rzędzie. Ruchy miała gwałtowne, pełne złości; wcale się nie przejmowała, że robi hałas, chociaż Hilton spał obok w wielkim łóżku. Drewniane wieszaki stuknęły o siebie, foliowe worki głośno szeleściły; a nieprzerwane chrapanie dochodzące z łóżka jeszcze podsyciło jej gniew.

Nie miała w co się ubrać. Wszystko, co ewentualnie mogłaby włożyć, znajdowało się w jej mieszkaniu. Miała dość ciągłego biegania między własnym domem a apartamentem Hiltona. Zabawa w czekanie stawała się nie do zniesienia. Czekanie, aż on zaproponuje, żeby się do niego wprowadziła.

Przesuwając wieszaki gniewnymi szarpnięciami, jednym rzutem oka oceniała kolejne stroje. Swojej garderoby też miała już dosyć. Zamierzała coś z tym zrobić. Jeszcze tego dnia. Dokonać zasadniczych zmian. Zacznie od Diora. Kupi każdą kreację Johna Galliano, w którą się zmieści. Stamtąd uda się do Roberto Cavallego i jeśli znajdzie w jego sklepie coś, czego jeszcze nie ma, natychmiast to

kupi. Potem Versace, ma się rozumieć. No i koniecznie musi się rozejrzeć u Alexandra McQueena.

Od sklepów jubilerskich będzie się trzymać z daleka. Kupowanie biżuterii należało do mężczyzn. I stanowiło główny powód jej obecnego rozdrażnienia. Poprzedniego dnia dzwoniła do domu aukcyjnego Dufour i dowiedziała się, że pierścionek księżniczki Karimy kupiła młoda kobieta, której danych nie chciano zdradzić. Myśl, że jakaś inna kobieta będzie miała ten pierścionek, drażyła mózg Kitty niczym podstępna choroba. Chwilami wręcz uniemożliwiała jej racjonalne myślenie i zachowanie. Jeszcze nigdy w życiu niczego nie pragnęła tak bardzo, jak tego klejnotu, a teraz ktoś sprzątnął jej go sprzed nosa. Inna kobieta.

Trzask! Trzask! Wieszaki tłukły o siebie coraz gwałtowniej. Kitty była tak pochłonięta wybieraniem kreacji, która by pasowała do jej nastroju, że nie zauważyła, iż Hilton już nie chrapie, tylko podparty na łokciu przygląda jej się spod ściągniętych brwi.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz? - odezwał się w końcu. Nie odpowiedziała; nadal ze złością przeglądała garderobę, jakby go w ogóle nie słyszała.

Hilton patrzył jeszcze przez chwilę, wreszcie zirytowany jej dziecinnymi dąsami wstał z łóżka, podszedł do niej od tyłu i obejmując ją w pasie, otarł się policzkiem o jej włosy.

- Przestań! - wykrzyknęła, sztywniejac. - Po prostu... zostaw mnie w spokoju!

Nie zwracając uwagi na jej protesty, całował ją po szyi.

Kitty zaprzestała szperania w szafie. Stała w milczeniu, próbując się uspokoić. Nie chciała zdenerwować kochanka, nie na tym etapie ich związku, a z pewnością nie mogło mu się podobać, że ciska się ze złości od samego rana. Odwróciła się do niego przodem.

- Dzień dobry - powiedział z uśmiechem.
- Dzień dobry - odrzekła z pewnym przymusem.
- Czyżbyś wstała lewą nogą? - Zajrzał jej w oczy.

Kitty odwróciła wzrok, zastanawiając się, co powiedzieć. Może powinna być z nim szczerą? Taka taktyka wydawała się trochę ryzykowna, ale Hilton powinien docenić uczciwe postawienie sprawy. Pod tym względem był staroświecki.

Przybrała dobrze wyćwiczoną i sprawdzoną minę zagubionej dziewczynki.

- Przepraszam, Hiltonie. Zachowuję się jak rozpieszczona smarkuła.

Zawsze tak się zachowujesz, pomyślał.

- Powiedz, o co chodzi - poprosił.
- Och... to głupie... i nieważne. - Głos jej lekko drżał.
- No mów. - Pocałował ją na zachętę. - Powiedz, o co ci chodzi.

Wszystko, co cię martwi, jest dla mnie ważne, powinnaś to wiedzieć.

- Ja... po prostu nie mogę przestać myśleć o pierścionku księżniczki Karimy - wyrzuciła z siebie. Poczuła, że jego objęcia stały się luźniejsze, a na twarzy pojawił się wyraz. .. rozczarowania? -
Wiem, że to brzmi niedorzecznie -dodała szybko - ale zawsze ją podziwiałam.

- Wiem. - Starał się nie okazywać irytacji, chociaż był już zmęczony. Kitty nie potrafiła odpuścić. Mimo to nie chciał zepsuć niespodzianki. Planował dać jej pierścionek w następnym tygodniu i jednocześnie się oświadczyć. Gdyby teraz powiedział prawdę, cały efekt by przepadł.

- W Dufour nie chcą mi wyjawić, kto kupił pierścionek - poskarżyła się płaczliwie. - Ale wiem, że ty mógłbyś się dowiedzieć.

- Dlaczego akurat dla mnie miałoby zrobić wyjątek? - spytał nonszalanckim tonem.

- Dobrze wiesz, Hiltonie. Powiedzą ci wszystko ze względu na twoje pieniądze i władzę.

Oczywiście miała rację, ale musiał jakoś zyskać na cza-sie. Wprawdzie zaczynał mieć dość udawania - podobnie jak obsesji Kitty na punkcie tego pierścionka - ale trzeba było jakoś odwrócić jej uwagę.

- Może do nich zatelefonuję - obiecał. - Nie mogę zadzwonić przed poniedziałkiem, ale zobaczę, co się da zrobić.

- Naprawdę? - Przywarła do niego biodrami.

- Dla ciebie wszystko. - Pocałował ją, wsuwając rękę pod kuse kimono.

- Och, Hiltonie - wymruczała. - Jesteś dla mnie taki dobry.

Rzeczywiście się starał, ale zaczynał mieć wątpliwości, czy Kitty na to zasługuje. Objął jej piersi, zaciskając lekko palce na brodawkach, które natychmiast nabrzmiały pod jego dotykiem.

- Hmmm... - Pocałował ją namiętnie. - Może byśmy wrócili do łóżka? Chyba nie masz nic pilniejszego do roboty?

Pokręciła głową, chwytając go za pośladki.

- Nie, Hiltonie - wyszeptwała. - Nic. Zupełnie nic.

Pociągnął ją na łóżko. Wprawdzie dziecinne wybuchy złości u Kitty zaczynały go nudzić, ale jej piękne ciało niezmiennie budziło żądę. Zadawał sobie jednak pytanie, czy fizyczna rozkosz, jaką mu dawała, jest warta tak wielkiego zachodu. Żadna inna kobieta nie zaspokajała go tak, jak Kitty, ale powoli zaczął dostrzegać, że pragnie czegoś więcej. A ona nie była w stanie dać więcej.

Usłyszawszy dzwonek, z trudem podniósł się z fotela i podszedł do drzwi, żeby wcisnąć guzik domofonu. To Maurice, pomyślał, przyniósł mi coś na obiad. Trochę wcześniej niż zwykle, ale nie ma co narzekać. Ludzie z delikatesów naprzeciwno okazywali mu wiele życzliwości od czasu śmierci Elisse: przynosili jedzenie, pomagali mu schodzić i wchodzić po schodach, kiedy musiał wyjść -co ostatnio zdarzało się rzadko - i zabierali rzeczy do pralni. Pomyślał, że taka wielkoduszność to prawdziwy cud w dzisiejszych czasach. Pozwolili mu odzyskać wiarę w człowieczeństwo.

Przekręcając klucz w zamku, słyszał odgłos kroków na schodach. Zostawiwszy drzwi uchylone, powłócząc nogami, wrócił do pokoju i usiadł. Ściszył radio, w którym puszczali Requiem Faure'ego, subtelny, nostalgiczny utwór.

Usłyszał, jak drzwi szorują o podłogę przy otwieraniu, a potem stukot, kiedy się zamknęły.

- Siedzę w salonie, Maurice! - zawołał. - Jesteś dziś wcześniej.

Bardziej wyczuł, niż usłyszał ruch przy wejściu do pokoju; odwrócił głowę w tamtą stronę. Zmrużył oczy za grubymi szklami okularów.

- To ty! - wykrzyknął, ale zabrzmiało to niewiele głośniejsze niż szept. - Co tu robisz? Czego chcesz?

Gość pochylił się nad nim.

- Jak się miewasz, Solomonie? - spytał z uśmiechem na ustach.

- Jakby cię to obchodziło... - mruknął Weiss.

- Masz rację. - Mężczyzna rozejrzał się po pokoju, podszedł do sofy i wziął jedną z poduszek. Stojąc na szeroko rozstawionych nogach, obojętnym wzrokiem spojrzął na starca siedzącego w głębokim skórzanym fotelu.

Solomon Weiss popatrzył najpierw na niego, a potem na poduszkę.

- Więc do tego doszło, co?

Mężczyzna nie odpowiedział. Zdjął starcowi okulary z nosa i odłożył je na radio. Następnie, trzymając poduszkę w obu rękach, przyłożył ją mocno do twarzy Solomona, wciskając mu głowę w oparcie. Weiss wydał z siebie stłumiony krzyk i próbował ściągnąć z ust gruby materiał. Rozpaczliwe próby na nic się nie zdały, napastnik miał dużo siły. Ofiara przez chwilę machała rękami i nogami, a potem znieruchomiała, by w końcu osunąć się bezwładnie.

Mężczyzna odniósł poduszkę na miejsce, spulchniwszy ją kilkoma klepnięciami. Wziął okulary z radia i włożył zmarłemu z

powrotem na nos. Ujął zwiotczalą rękę Weissa, żeby sprawdzić puls. Niczego nie wyczuł. Pogłodził radio. Zdjął lateksowe rękawiczki i schował je do kieszeni marynarki.

Wyszedł z mieszkania, zamykając za sobą drzwi.

Scandalous

R o z d z i a ł 1 9

Przede wszystkim musimy spróbować porozmawiać ze wszystkimi osobami z twojej listy - oznajmiła Allegra, przechadzając się tam i z powrotem po hotelowej sypialni. - Z każdym, kto kupił któryś z tych szmaragdów od Julesa Levanta. - Pociągnęła łyk szampana, który czekał na nich w apartamencie.

- Po co? - spytał Todd, wyciągnięty na jedwabnej pościeli. Zdążył się już rozebrać; pozostał jedynie w bokserkach. - Co to zmienia?

- Chcę wiedzieć, czy nadal je mają - wyjaśniła Allegra. Miała na sobie hotelowy szlafrok ściągnięty paskiem.

- Ale dlaczego? - nie ustępował Todd.

- Ramtane Tadjer próbuje odkupić wszystkie kamienie. Nie wiem, dlaczego, poza tym, że zebrane z powrotem w komplet miałyby wielką wartość, ale...

- Zaczekaj - przerwał jej Todd. - Nie możesz być pewna, że kiedyś stanowiły komplet, Ally.

- Masz rację - przyznała. - Ale są tak do siebie podobne, że jako projektantka biżuterii uważam, że kiedyś stanowiły jedną całość. Potem z jakiegoś niewiadomego powodu je rozdzielono i sprzedawano pojedynczo. - Nie chciała mu jeszcze wyjawiać, że zaczyna rozumieć, dlaczego tak zrobiono, bo Todd mógłby uznać, że powinni się trzymać z daleka od całej tej sprawy.

- A teraz Tadjer próbuje wszystkie odzyskać - podsumował Todd.

- Właśnie.
- Dlaczego?
- Bo razem bardzo zyskają na wartości. Drogocenny komplet jednakowych szmaragdów. A ich pochodzenie może być bardzo interesujące.
- Co jeszcze dodatkowo podniesie wartość klejnotów -podsunął Todd.
- Owszem. Mogły należeć do Marii Antoniny albo kogoś równie sławnego. Możesz sobie wyobrazić, jak by to wpłynęło na ich cenę. Widziałeś, ile ludzie byli gotowi zapłacić za sam pierścionek księżniczki Karimy.
- W takim razie dziwię się, dlaczego Tadjer w ogóle je sprzedał.
- Wtedy to nie on decydował. Rządził jego szef.
- Zapomniałem o tym drobnym szczególe - przyznał Todd.
- Jednak główny powód, dla którego szmaragdy zostały sprzedane pojedynczo, był taki, że Jules Levant zdobył je w jakiś nietypowy sposób.
- Ukradł?
- Może. Albo ktoś, kto mu je sprzedał, nie chciał, by zostały rozpoznane - rozmyślała na głos Allegra. - Tak czy inaczej, biorę się do obdzwaniania ludzi z listy. Łatwiej będzie skorzystać z hotelowej centrali, choć może drożej. Ale skoro to nie my płacimy... Wicehrabia de Rabe mieszka tu, w Paryżu. Zobaczymy, czy uda nam się coś od niego wyciągnąć. - Podniosła słuchawkę hotelowego telefonu i

wybrała numer centrali. - Mówi *mademoiselle* Sheridan. Proszę mnie połączyć z rezydencją wicehrabiego Philippe'a de Rabe.

- Chwileczkę, *mademoiselle* - odpowiedziała natychmiast operatorka.

- Tu, w Ritzu, są tak przyzwyczajeni do ważnych nazwisk, że ani przez moment się nie zawahała - powiedziała Allegra do Todda, zakrywając dłonią słuchawkę.

Todd odpowiedział jej szerokim uśmiechem.

Po drugiej stronie linii odezwał się kobiecy głos.

- *Bonjour*.

- *Bonjour* - przywitała się Allegra. - Z wicehrabią de Rabe, *s'il vous plait*.

Zapadła chwila ciszy, a potem ten sam głos powiedział:

- *Le vicomte* zmarł.

- Ojej, bardzo mi przykro - powiedziała szybko Allegra. - A czy mogłabym porozmawiać z *vicomtesse*?

- A kogo mam zaanonsować?

- Nazywam się Allegra Sheridan. Prowadzę badania do artykułu na temat biżuterii, a jeden z klejnotów, o których piszę, należy do *vicomtesse*.

- Chwileczkę,

Allegra skrzyżowała palce na szczęście i uniosła dłoń, tak żeby Todd widział. W odpowiedzi skrzyżował palce u stóp i pokazał jej nogę. Dziewczyna z trudem się opanowała, żeby nie parsknąć śmiechem.

- *Madame Sheridan?* - Głos, który teraz rozległ się w słuchawce, był melodyjny i dystyngowany.

Allegra darowała sobie sprostowanie, że nie jest *madame*, lecz *mademoiselle*.

- *Oui* - potwierdziła.

- Mówię po angielsku - oznajmiła wicehrabina. - Co chciałaby pani wiedzieć, *madame*?

- Piszę do pewnego czasopisma artykuł o szmaragdach i zbierając materiały, zobaczyłam na zdjęciu w księgach sklepowych wspaniały naszyjnik ze szmaragdów, który *vicomte* kupił kilka lat temu od Julesa Levanta.

- Tak?

Nie pójdzie z nią łatwo, pomyślała Allegra.

- Mam nadzieję, że nie uzna mnie pani za wścibską, ale zastanawiałam się, czy ten naszyjnik jest nadal w pani posiadaniu. Jednym z założeń artykułu jest przedstawienie pochodzenia niektórych klejnotów ze szmaragdami. Oczywiście nie wymienię nazwiska, jeśli pani nie będzie sobie tego życzyła.

- Rozumiem. - Jej rozmówczyni odchrząknęła. - Obawiam się, *madame*, że zadzwoniła pani w niewłaściwe miejsce.

- Słucham?

- Mój mąż nie kupił tego naszyjnika dla mnie, *madame*. Kupił go dla swojej kochanki.

O mój Boże, co ja najlepszego zrobiłam, pomyślała z przerażeniem Allegra.

- Bardzo mi przykro - wybąkała. - Nie wiedziałam...

- Oczywiście - odrzekła spokojnie vicomtesse. - Skąd miałyby pani wiedzieć? Jeśli pani zależy na dalszych informacjach, radzę zadzwonić do Danielle Dandois. Jeśli zechce pani chwilkę poczekać, podam pani numer.

- Dziękuję.

- Ma pani coś do pisania? - odezwała się vicomtesse po krótkiej pauzie.

- Tak. - Allegra szybko zanotowała numer.

- Życzę szczęścia. Obawiam się, że Danielle jest... nazwijmy to, nie zawsze do końca odpowiedzialna.

- Bardzo pani dziękuję.

- Nie ma za co - odparła vicomtesse i odłożyła słuchawkę.

Allegra skrzywiła się, patrząc na Todda.

- Co jest? - spytał zdziwiony.

- Dałam plamę. - Powiedziała mu, co usłyszała od wicehrabiny.

- Jezu, to przypomina wtykanie kija w mrowisko - zauważył ze śmiechem.

- Na to wygląda. Trudno, czas na następny telefon.

- Może najpierw małego buziaczka? - zaproponował

Todd. Po kieliszku wyborowego szampana Allegra wydała mu się jeszcze bardziej pociągająca niż zwykle. Wziął ją w ramiona i namiętnie pocałował.

- Ach, cóż za pokusa - westchnęła, odsuwając się od niego. - Ale najpierw obowiązki. Pozwól, że załatwię ten telefon.

- No dobrze - zgodził się, obejmując ją w pasie. - Ale się pośpiesz. - Pocałował ją w kark.

Allegra odepchnęła go ze śmiechem i wybrała numer otrzymany od wicehrabiny.

Telefon odebrano po czterech sygnałach.

- Antykwariat Danielle Dandois - odezwał się męski głos.

Allegra na moment zaniemówiła. Nie przypuszczała, że dodzwoni się do firmy.

- *Z madame Dandois, s'il vous plait* - poprosiła.

- Mogę wiedzieć, kto mówi? - spytał mężczyzna.

- Nazywam się Allegra Sheridan. Obawiam się, że *madame Dandois* mnie nie zna. Dostałam numer od wicehrabiny de Rabe. - Allegra liczyła na to, że wzmianka o *vicomtesse* utoruje jej drogę do *madame Dandois*.

- W jakiej sprawie? - Głos miał teraz nieprzyjazne brzmienie.

- To sprawa osobista, *monsieur*.

- Proszę poczekać.

Po chwili słuchawkę przejęła kobieta.

- Słucham, tu Danielle Dandois. W czym mogę pani pomóc?

Allegra zaserwowała jej tę samą historyjkę o artykule, którą wcześniej usłyszała wicehrabina. Kiedy skończyła, Danielle Dandois wybuchnęła perlistym śmiechem.

- Przepraszam, *madame Sheridan*. Nie mogłam się powstrzymać. *Vicomtesse* będzie wściekła przez długie tygodnie. - Znów się

zaśmiała. - Obawiam się jednak, że nie mogę pani pomóc - zakończyła.

- O... - Allegra nie kryła rozczarowania.

- Niestety, madame. Musi pani zadzwonić do tego drania Ramtane'a Tadjera. Jest właścicielem sklepu Julesa Levanta. Odkupił ode mnie ten naszyjnik po śmierci Philippe'a. Dostałam dobrą cenę, chociaż długo się targował.

- Rozumiem. Więc to on jest teraz w posiadaniu szmaragdów.

- O ile mi wiadomo, tak. Nigdy mi tak naprawdę nie zależało na tym naszyjniku. Nie był w moim guście. Nosiłam go tylko dla Philippe'a. W gruncie rzeczy drań wyświadczył mi przysługę, kupując ode mnie tę błyskotkę. -Znowu się roześmiała.

- Bardzo pani dziękuję za pomoc, madame.

Allegra odłożyła słuchawkę i odwróciła się do Todda, który wpatrywał się w nią z niemym pytaniem w oczach.

- Ramtane Tadjer odkupił od niej naszyjnik - powiedziała.

- Cudownie. - Objął ją i pocałował. - Może zrobisz sobie przerwę, a ja porozmawiam z następną osobą.

- Nie musisz. Sama to zaczęłam i...

- Jestem tu po to, żeby ci pomagać - przerwał jej Todd. -

Zapomniałaś? Daj mi tę listę. Przebiegł wzrokiem kolumnę nazwisk. - Może zadzwonię do tego Greka, Costasa Stephanidesa. Zawsze mi się podobała ta aktorka, z którą się prowadzał. Jak ona się nazywa?

- Marina Koutsoukou. Ale nie dodzwonisz się do Stephanidesa, bo kilka lat temu umarł.

- Jesteś pewna?

- Tak. Musimy spróbować jakoś znaleźć Marinę Koutsoukou.

- Czy oni byli małżeństwem?

- Nie sądzę. Wiem, że miał wielką posiadłość na Mykonos, tej greckiej wyspie. Pisali o tym we wszystkich czasopismach.

- Chyba najpierw trzeba zdobyć numer Stephanidesa na Mykonos - stwierdził Todd. - Może się zamienimy miejscami? Ty się wyciągnij, a ja podzwonię.

- Jesteś kochany. - Allegra nagrodziła go pocałunkiem.

Wdrapała się na ogromne łóże i usiadła, wygodnie oparta o poduszki.

Todd przysiadł na krawędzi łóżka i sięgnął po słuchawkę.

- Chcę się połączyć z rezydencją Costasa Stephanidesa na Mykonos w Grecji - powiedział do operatorki. - Niestety, nie znam numeru.

Odwrócił się i mrugnął porozumiewawczo do Allegry.

- Został pan połączony - poinformowała go po chwili operatorka.

- Merci. - Ponownie odwrócił się do Allegry. - Połączyli mnie - oznajmił zdumiony.

Po wielu sygnałach Todd zniechęcony już miał dać za wygraną, kiedy w słuchawce odezwała się jakaś kobieta.

- *Kalimera.*

- *Kalimera* - odpowiedział Todd jednym z pięciu greckich słów, jakie znał. - Mówi pani po angielsku?

- Oczywiście - odparła z nutą urazy w głosie.

- Nazywam się Todd Hall. Piszę artykuł o sławnych szmaragdach. - Był zadowolony, że napił się szampana, bo dzięki temu kłamstwa wychodziły mu z ust całkiem gładko.

- Tak? - W głosie kobiety pojawiło się zniecierpliwienie.

- Próbuję się skontaktować z kimś z rodziny pana Costasa Stephanidesa, ponieważ... - zaczął.

- Jestem Arianna Stephanides - przerwała mu kobieta. - Jego córka.

- Cudownie - ucieszył się Todd. - Może mogłaby mi pani pomóc. Pani ojciec kupił przed laty u Julesa Levanta szmaragdową broszkę i...

- Do rzeczy... - O żadnej uprzejmości nie było już mowy.

- Przepraszam. Ta broszka jest jednym z klejnotów, o których będę pisał. Dlatego chciałbym wiedzieć, czy nadal ją pani ma.

- A czemu miałabym to panu mówić? - warknęła kobieta. - Równie dobrze może pan być zwykłym złodziejem.

Todd wystraszył się, że jego rozmówczyni zaraz rzuci słuchawką.

- Jestem pisarzem. A właściwie studentem. Dzwonię z Nowego Jorku. Nie mógłbym ukraść pani broszki, nawet gdybym chciał. Zbieram tylko materiały do artykułu, a ta broszka...

- Nie mam tego szmaragdu - przerwała mu ostro. - Zatrzymała go kochanka mojego ojca. Niech pan zadzwoni do tej suki.

Trzask odkładanej słuchawki niemal poraził Toddowi ucho.

- Jezu, świetnie mi idzie z kobietami - rzucił kpiąco do Allegry.

- Co się stało? - spytała zaciekawiona. Opowiedział jej przebieg rozmowy.

- W takim razie musimy w jakiś inny sposób zdobyć numer Mariny Koutsoukou - zdecydowała Allegra. - Ciekawa jestem, czy nadal mieszka na Mykonos.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać - odparł Todd, wybierając ponownie numer hotelowej centrali. Poprosił operatorkę o kolejne połączenie.

Telefon odebrano po drugim sygnale.

- *Kalimera*. - Tym razem głos należał do mężczyzny.

- *Kalimera*. Mówi pan po angielsku?

- Oczywiście. - Pytanie Todda wzbudziło coś w rodzaju pogardliwego parsknięcia.

- Próbuję się skontaktować z *madame* Mariną Koutsoukou - wyjaśnił Todd. Piszę artykuł o słynnych szmaragdach, jeden z nich znajduje się w broszce, którą dostała od Costasa Stephanidesa. Pomyślałem...

- *Madame* Koutsoukou tu nie ma - przerwano mu bezceremonialnie.

- A orientuje się pan, gdzie mógłbym ją zastać? - spytał grzecznie Todd. - Ten artykuł...

- *Madame* jest w Londynie.

Todd odetchnął głęboko, niemal żałując, że podjął się tak beznadziejnego zadania. Jednak zniechęcenie szybko go opuściło, kiedy Allegra zniecka połaskotała go w pośladek.

- Czy mógłby mi pan podać jej londyński numer? - spytał, czując świeży przyływ energii. - To bardzo ważne.

- Nie podajemy numeru *madame* obcym - powiedział mężczyzna z wyraźną satysfakcją.

- Ale ten numer dostałem od córki Costasa Stephanidesa - skłamał Todd. - Rozumie, jakie to ważne i...

- Arianna Stephanides dała panu ten numer? - spytał mężczyzna z niedowierzaniem.

- Owszem - potwierdził bez zająknięcia Todd.

- No cóż, w takim razie mogę przekazać *madame* pański numer i jeśli będzie miała ochotę, to do pana oddzwoni.

- Doskonale - powiedział Todd. - Dzwonię z hotelu Ritz w Paryżu. - Podyktował numer.

- Dobrze. Przekażę *madame*. Jeśli uzna za stosowne, to do pana zatelefonuje.

- Bardzo panu dziękuję.

- Bardzo proszę. - To zabrzmiało już uprzejmie. Todd odłożył słuchawkę i odwrócił się do Allegry.

- Trzymaj kciuki. *Madame*, bo tak ją nazywa lokaj, czy kim on tam jest, może do nas zadzwoni z Londynu.

- Fantastycznie. - Allegra zarzuciła mu ręce na szyję. - Zasłużyłeś na całusa.

- Nareszcie. - Ochoczo wyegzekwował nagrodę. Podniecony namiętym pocałunkiem, wsunął ręce pod szlafrok Allegry, która z radością poddała się tym pieszczotom.

- Hmmm... - wymruczała przyzwalająco. Rozwiązała pasek i wysunęła ręce ze szlafroka.

Todd szybko zdjął bokserki. Przywarli do siebie gwałtownie. Allegra miała wrażenie, że czuje jego dłonie we wszystkich miejscach ciała jednocześnie. Była zaskoczona siłą swego pożądania. Kiedy gorące usta Todda dotknęły jej piersi, pogładziła jego nabrzmiąły członek.

Todd wydał z siebie gardłowy jęk i odchylił głowę do tyłu. Potem wolno pieścił wargami jej brzuch, bez pośpiechu zmierzając w dół, pozostawiając wilgotny ślad na jej rozgrzanej skórze. Gdy dotarł językiem do tego najczulszego miejsca, odruchowo uniosła biodra, wychodząc mu naprzeciw.

- Ach... ach... Todd... - wyszeptała bez tchu.

Nie był w stanie dłużej zwlekać. Przykrył jej usta zachłannym pocałunkiem i wszedł w nią jednym mocnym pchnięciem.

Zaczął się w niej poruszać, najpierw powoli, rozkoszując się każdym kolejnym doznaniem, potem coraz szybciej, aż w końcu oboje zatracili się w szaleńczym rytmie.

- Ach... Todd - wykrzyknęła Allegra, czując pierwsze skurcze orgazmu. - Och... ja...

Nie potrzebował nic więcej, by także osiągnąć spełnienie. Na moment zastygł w bezruchu, a potem rozluźniony, jakby nagle uszło z niego powietrze, opadł na nią, okrywając jej twarz lekkimi, czułymi pocałunkami.

- Kocham cię, Ally - wydyszał. — Boże... jak ja cię kocham.

Objęła go mocno i przyciągnęła do siebie z całych sił.

- Ja... też... cię kocham, Todd - powiedziała, z trudem łapiąc powietrze.

Wciąż objęci, przetoczyli się na bok. Todd odgarnął jej z czoła kosmyk włosów, a potem pocałował ją w usta. Dzwonek telefonu wyrwał ich z miłego odrętwienia.

- Lepiej odbiorę - powiedział Todd ze śmiechem.

Allegra tylko pokiwała głową.

- Mam nadzieję, że to Marina Koutsoukou, skoro już muszę się od ciebie oderwać - westchnął Todd.

Paul zanurzył rękę w pojemniku na brudną bieliznę, ale nie mógł wyczuć chłodnego kształtu. Zaniepokojony wytrząsnął całą zawartość na podłogę.

- *Merde!* - zaklął. Z wściekłością kopnął stertę brudów. - Suka! Ukradła mi broń!

- Co jest, do diabła? - spytała Sylvie, zaglądając do łazienki.

- Miałem tu schowany pistolet. - Twarz Paula wykrzywił grymas strachu.

- Co? - wrzasnęła. - Nie ma go? Paul pokręcił głową.

- Nie mogę w to uwierzyć.

Sylvie weszła do łazienki i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Uspokój się. Nie będzie nam potrzebny.

Paul wyglądał tak, jakby zaraz miał się rozpłakać.

- Zdajesz sobie sprawę, jak trudno było zdobyć ten pistolet? Musiałem go ukraść dziadkowi. On... gdyby wiedział...

Sylvie pogłaskała go po włosach.

- Nie martw się, Paul. Twój dziadek nigdy się nie dowie. Jest zupełnie zniedołężniały.

- Muszę być bardzo ostrożny - chlipnął Paul. - Dał mi tę kamienicę. Co będzie, jeżeli zmieni zdanie? Co będzie, jak postanowi mi ją odebrać?

- Nic takiego się nie stanie - próbowała go pocieszyć. - Chodź do pokoju. - Wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą. Paul niechętnie opuścił łazienkę, jakby pozostanie tam mogło sprawić, że pistolet pojawi się nagle w pojemniku.

Kiedy już usiedli obok siebie na sofie, Sylvie sięgnęła do torebki i z uśmiechem wyjęła pudełeczko po miętówkach. Uniosła wieczko i paznokciem nabrała niewielką porcję białego proszku.

- Masz, pociągnij sobie jeszcze, Paul. Pokręcił głową.

- Raczej nie... - Wciąż czuł się pobudzony po tym, co wziął wcześniej i jednocześnie zły, że nie był w stanie uprawiać seksu z Sylvie. Przez narkotyk nie miał erekcji. A teraz jeszcze się okazało, że zginął pistolet.

- No weź - kusila Sylvie. - Co ci szkodzi? Mamy jeszcze mnóstwo w twoim mieszkaniu na dole. Ja sobie pociągnę. A ty powinienesz dotrzymać mi kroku, nie uważasz?

Paul spojrział na nią niepewnie.

- Dobrze - zgodził się w końcu. Chwycił jej dłoń, przysunął do dziurki od nosa i wciągnął cały proszek, jaki się znajdował na paznokciu. - Hm... - westchnął, odchylając się na oparcie sofy.

Sylvie szybko nabrała porcję dla siebie, wciągnęła i schowała pudełeczko z powrotem do torebki, tym razem wkładając je do przegródki zapinanej na osobny zamek. Potem nachyliła się i pocałowała Paula w policzek.

- Rozchmurz się, to nie koniec świata. Nie potrzebujemy broni. Nie chcemy się przecież wpakować w tego rodzaju kłopoty.

- Boże, pewnie, że nie! - wykrzyknął Paul. - Nie zamierzałem używać tego pistoletu, Sylvie. Ja tylko... miałem go po prostu na wszelki wypadek.

- Na wypadek czego? - spytała Sylvie.

- No wiesz... Gdyby jakiś diler się stawiał, albo coś...

- Och, nie przesadzaj - skarciła go. - Nic się nie stanie ani tobie, ani mnie. - Wyjęła papierosa z paczki leżącej na stole i zapaliła. - Chyba powinniśmy wziąć twój samochód i pojechać do Ritza.

- W porządku, ale co będziemy tam robić?

- Zaczekamy na Allegrę i jej durnego chłopaka - wyjaśniła Sylvie, wypuszczając dym nosem.

- Tego się domyśliłem. Ale co zrobimy, jak się już na nich doczekamy?

- Mam pewien pomysł, jak wydrzeć im z rąk ten pierścionek - odpowiedziała z tajemniczą miną.

Podnosząc słuchawkę, Todd nie był przygotowany na to, że od razu usłyszy niski, gardłowy głos Mariny Koutsoukou. Ten szczególny tembr głosu, spowodowany latami picia i palenia, stanowił jeden z jej głównych atutów.

- Pan Hall?

- Tak - potwierdził skwapliwie Todd. - Bardzo dziękuję, że pani do mnie zadzwoniła, pani Koutsoukou.

- Mój służący Dimitri powiedział, że rozmawiał pan z Arianną Stephanides.

- Owszem. Piszę artykuł o sławnych klejnotach, szczególnie o szmaragdach, i staram się czegoś dowiedzieć o broszce, którą dostała pani od ojca madame Stephanides. Badam losy kilku wybranych klejnotów. Skąd pochodzą i w czyim posiadaniu znajdują się obecnie.

Usłyszał ciężkie westchnienie, wyrażające rezygnację i smutek.

- Nie mam tej broszki, panie Hall.

- Aha, rozumiem - odrzekł Todd. - Mógłbym spytać, co się z nią stało?

- Sprzedałam ją. Po śmierci Costasa potrzebowałam gotówki, żeby przetrwać do czasu, aż znajdę pracę. Pomógł mi wydać pieniądze, jakie zarobiłam, grając w filmach, a potem zostawił mnie z niczym.

- To straszne - wtrącił Todd ze współczuciem.

- Wcale nie takie straszne - zaprzeczyła tonem pełnym dramatyzmu. - Dokładnie tego się spodziewałam. Niczego. Kiedy żył, było nam razem cudownie i tylko to się liczy, panie Hall. Kogo obchodzą jakieś szmaragdy? Ważne jest serce. Ale nie dlatego pan do mnie dzwonił, prawda?

- Niezupełnie - przyznał Todd. - Jak już mówiłem, staram się prześledzić losy tego szmaragdu.

- Został sprzedany na aukcji w domu Christie's. W Genewie. - Parsknęła śmiechem. - Jako „własność pewnej damy”. Czyż to nie śmieszne?

- Chodziło o zachowanie anonimowości? - chciał się upewnić Todd.

- Oczywiście. Nie mogłam pozwolić na to, by w wytwórniach filmowych wiedziano, że potrzebuję pieniędzy, bo producenci próbowaliby mnie wykorzystać. - Zamilkła na chwilę; Todd słyszał, jak zaciąga się papierosem. - Wylicytował ją ten seksowny młody Arab. Ten, od którego Costas ją kupił. Nie pamiętam jego nazwiska. Był z tego słynnego sklepu jubilerskiego w Paryżu. Przyjechał ze swoją biżuterią na Mykonos, do domu w Aghios Stephanos. Gdybym nie była taka szczęśliwa z Costasem, od razu, tam na miejscu bym go uwiodła. - Zaniósła się niskim śmiechem, który szybko przeszedł w kaszel. - Tak czy owak, to on potem odkupił broszkę. A co z nią zrobił, tego już nie wiem.

- Jestem pani bardzo wdzięczny za telefon - podziękował jej Todd. - Bardzo mi pani pomogła.

- Nie wiem, w czym panu pomogłam, ale bardzo proszę, panie Hall. - Odłożyła słuchawkę.

- Powiedz mi, czego się dowiedziałeś - zażądała Allegra, choć właściwie domyślała się całego przebiegu rozmowy.

- Dokładnie tego, czego się spodziewaliśmy - oznajmił z uśmiechem Todd. - Sprzedała broszkę na aukcji w Christie's w Genewie, a kupił ją „ten seksowny Arab”.

- Naprawdę?

Todd potwierdził, starając się wiernie odtworzyć wypowiedzi Mariny Koutsoukou.

- Założę się, że usłyszymy mniej więcej to samo od generała i tego faceta z Nowego Jorku - oświadczyła Allegra.

- Prawdopodobnie - zgodził się z nią Todd. - Jeśli byli zmuszeni sprzedać swoje klejnoty.

- Z powodu czyjejś śmierci lub rozwodu, lub... czego tam jeszcze - dodała. - Mam nadzieję, że uda nam się skontaktować z generałem. Może być trudno, skoro żyje na wygnaniu w Miami. Mogą go ścigać jacyś dawni wrogowie. No i ten człowiek w Nowym Jorku. Jak się nazywa?

Todd zerknął na listę.

- Hutchison. William Cosgrove Hutchison.

- On nie powinien stanowić wielkiego problemu - powiedziała z zadumą Allegra. - Tak mi się przynajmniej wydaje.

- Chcesz, żebym do niego zadzwonił? - spytał Todd.

- Sama to zrobię - zdecydowała. - Możemy działać na zmianę, co ty na to?

- Zgoda. Pod warunkiem, że tymczasem coś zjemy. Nie jesteś głodna?

- Jestem. Zawsze głodnieję od seksu.

- Nie możesz za bardzo przytyć, więc może lepiej damy sobie spokój z seksem - zażartował. - Co ty na to?

- Wolę być szczęśliwą grubaską.

Todd, zadowolony z odpowiedzi, nachylił się, żeby pocałować Allegrę.

- Poczekaj. - Zrobiła unik. - Najpierw zadzwonię do Hutchisona do Nowego Jorku.

- Jasne. A ja w tym czasie wskoczę pod prysznic.

- Może do ciebie przyjdę, jeśli rozmowa nie potrwa zbyt długo.

- Wtedy prysznic może potrwać bardzo długo.

- Idź już - pogoniła go ze śmiechem.

Cmoknął ją w policzek i zeskoczył z łóżka. Allegra wzięła do ręki listę, wybrała numer centrali i poprosiła o połączenie.

- Mam trzech W C. lub Williamów C. Hutchisonów - odezwała się po chwili operatorka z ledwie wyczuwalnym akcentem. - Zna pani adres?

- Niestety, nie - odrzekła Allegra. - A może mi pani powiedzieć, jakie pani ma adresy?

- Jeden na Zachodniej Dziewięćdziesiątej Piątej, jeden na Moore Street i jeden na Park Avenue.

- Spróbujmy zadzwonić pod numer na Park Avenue - zdecydowała Allegra, uznając ten adres za najbardziej prawdopodobny.

Odebrano prawie natychmiast.

- Halo - rozległ się starczy, zrzedliwy głos.

- Pan Hutchison?

- A kto mówi? - Ton był zdecydowanie nieprzyjemny.

- Nazywam się Allegra Sheridan i piszę artykuł o słynnych szmaragdach. Śledzę ich historię, rozumie pan, i zastanawiam się, czy jest pan tym samym Williamem Hutchisonem, który parę lat temu kupił szmaragdowe kolczyki w sklepie Julesa Levanta w Paryżu.

- A jakże, kupilem - zachichotał do słuchawki. - To była jedna z najgorszych pomyłek w moim życiu.

- Tak? - wyraziła zaskoczenie Allegra. Odniosła wrażenie, że jej rozmówca jest po kilku drinkach. Nie była pewna, czy to dobrze wróży, postanowiła jednak brnąć dalej. - Mogę spytać, dlaczego pan tak uważa?

- Ona była najśłodsza istotą, jaką sobie można wyobrazić. Dopóki nie ograniczyłem jej pieniędzy na wydatki. Wtedy zmieniła się w jędzę. W życiu czegoś podobnego nie widziałem. Te kolczyki były prezentem ślubnym i po rozwodzie zabrała je ze sobą. Nie było umowy przedmałżeńskiej. Mój najgłupszy błąd w życiu!

- To straszne - powiedziała ze współczuciem. - Orientuje się pan, czy nadal je ma?

W słuchawce znów zagulgotało: staruszek się śmiał.

- Wiem, że z całą pewnością ich nie ma. Wprawdzie mnie nabrała, ale nie udało jej się mnie oskubać. Sprzedała te cholerne błyskotki, bo potrzebowała pieniędzy. Co wciąż od nowa napawa mnie radością. W Sotheby's w Monte Carlo. Jako „własność pewnej damy”. Według mnie powinny pójść jako „własność pewnej dziwki”.

- Rozumiem. Nie wie pan przypadkiem, kto je kupił?

- Ależ wiem, jak najbardziej. Ten sam czaruś, który mi je sprzedał. Ma sklep jubilerski w Paryżu. Wie pani, ten...

- Jules Levant? - podpowiedziała Allegra.

- Właśnie - podchwycił zadowolony. - Wmówił Lily, że te szmaragdy są wyjątkowe, jednakowej wielkości i koloru. Powiedział też, że prawdopodobnie pochodzą z kopalń Kleopatry w Egipcie.

- To fascynujące - wtrąciła Allegra z udanym zachwytem.

- Kosztowały fascynującą kupę dolarów. Mówi pani, że pisze artykuł? - spytał, jakby nagle sobie przypomniał, dlaczego z nią rozmawia. - Do jakiej gazety?

- Jestem studentką - skłamała gładko Allegra. - To uczelniana gazeta.

- No dobrze. Ale byłbym wdzięczny, gdyby pani nie wymieniała mojego nazwiska.

- Oczywiście. Obiecuję, że tego nie zrobię. Bardzo panu dziękuję, panie Hutchison. Przyjemnie się z panem rozmawiało.

- Żegnam. - Przerwał połączenie. Allegra wolno odłożyła słuchawkę.

- Trzy załatwione, jeden do załatwienia - powiedziała na głos. Z otwartych drzwi łazienki dobiegał szum prysznic. Pomyślała o Toddzie, o strumieniach gorącej wody opływających jego nagie ciało.

Wstała z łóżka i boso przeszła do łazienki. Ledwie zdążyła zrzucić z siebie szlafrok, gdy poczuła, jak śliska, mokra dłoń chwytają ją za kark.

- Ty... ty łobuzie! - wykrzyknęła i zaraz zaczęła się śmiać. - Tak mnie przestraszyłeś, że o mało nie dostałam zawału.

Todd patrzył na nią, uśmiechnięty od ucha do ucha; mokre włosy kleiły mu się do czoła.

- Chodź tu, mała dziewczynko - powiedział, przyciągając ją do siebie. - Wielki zły wilk ma coś dla ciebie.

- Nie mam pojęcia, co by to mogło być.

Wkrótce potem poprzez szum wody słysząc było jęki i okrzyki ekstazy.

- Daj mi kluczyki - zażądała Sylvie. - Ja poprowadzę.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł - odparł Paul. - To antyk, wart mnóstwo pieniędzy. - Spojrzał z dumą na dwuosobowego mercedesa 300S z 1953 roku.

Ciemnozielony lakier - tak ciemny, że prawie czarny - lśnił mimo cienkiej powłoczki kurzu, a składany brezentowy dach był w stanie wręcz idealnym. Wszystkie chromowane elementy zachowały nieskazitelny połysk, nawet felgi świeciły z białych kręgów opon. Tym cudem rzadko wyjeżdżano poza zamkową posiadłość dziadka i przyległe tereny jego sąsiadów z Doliny Loary.

- Och, daj spokój - zirytowała się Sylvie. - Umiem prowadzić nie gorzej od ciebie. Może nawet lepiej. - Wyciągnęła rękę. - Dawaj kluczyki.

- Naprawdę nie podoba mi się ten pomysł - upierał się Paul. - Dziadek dostałby szału, gdyby się dowiedział, że pozwoliłem komuś innemu usiąść za kierownicą.

- Spójrz prawdzie w oczy, Paul - powiedziała ze złością Sylvie. - Twój drogi dziadunio pewnie nawet by cię nie poznał, gdybyś mu podjechał pod nos tą bryką. Pleśniej w tym swoim przeciekającym zamczysku. Nawalony na okrągło.

- Sylvie, jesteś naćpana, a ten samochód...

- Ty też jesteś naćpany - przerwała mu gniewnie. - I to o wiele bardziej niż ja. Nigdy nie miałam wypadku i teraz też go nie spowoduję. - Chwyła Paula za rękę, usiłując odebrać mu kluczyki.

W końcu poddał się z ciężkim westchnieniem. Nienawidził takich scen i był gotów zgodzić się niemal na wszystko, byle ich uniknąć.

- Jeśli coś się stanie...

- Nic się nie stanie. - Uśmiechnęła się do niego bez troski. - Dokładnie wiem, co robię. Wsiadaj już. Jedziemy.

Otworzył przed nią drzwi, żeby mogła się wsunąć na fotel kierowcy obity skórą w naturalnym odcieniu. Sam usiadł na miejscu pasażera.

- To nie automat - ostrzegł.

- Powiedz mi coś, czego nie wiem. - Sylvie włączyła silnik i wrzuciła wsteczny bieg. - Fajnie byłoby opuścić dach, nie sądzisz? - Zaczęła tyłem wyjeżdżać z parkingu.

- Jest za zimno - zwrócił jej uwagę Paul. Odruchowo przetarł z kurzu piękną drewnianą deskę rozdzielczą. Pomyślał, że musi sobie sprawić odpowiedni pokrowiec na auto. Mimo że stało w garażu,

który kosztował ogromne pieniądze, wszędzie osiadał kurz unoszący się w miejskim powietrzu.

Sylvie wyjechała na ulicę, skręciła w prawo i jadąc rue Vieille du Tempe, kierowała się ku rue de Rivoli, gdzie z kolei skręciła na zachód. Paul przekonał się z ulgą, że prowadziła całkiem sprawnie, panując nad dużym, ciężkim autem tak, jakby jeździła nim już wiele razy.

- Dokąd jedziemy? - spytał.

- Już ci mówiłam. Na plac Vendome. Do Ritza.

- Sylvie - odezwał się ugodowym tonem. - Ritz jest jak forteca, na pewno nas tam nie wpuszczą.

Zaśmiała się, uderzając otwartą dłonią w kierownicę.

- Nie będziemy wchodzić do środka. - Zerknęła na niego kątem oka.

- W takim razie, co chcesz zrobić?

- Czekać. Niedługo wyjdą gdzieś na kolację.

- Możemy tam tkwić godzinami - westchnął.

- Nie, Paul. Zapamiętaj moje słowa. Niedługo wyjdą, żeby coś zjeść. To Amerykanie.

Ruch był niewielki, szybko więc dotarli do rue de Castiglione. Sylvie skręciła w prawo i dalej zmierzała prosto, na plac Vendome, który znajdował się całkiem niedaleko na północ.

- Nie będziemy mogli zaparkować - powiedział Paul.

- Zdziwisz się. Taką bryką? Jak trochę poflirtuję z żandarmem? Będziemy mogli się kręcić koło Ritza, jak długo zechcemy.

- Wątpię - nie dał się przekonać.

Sylvie wjechała na ogromny plac i okrążyła stojącą pośrodku wielką kolumnę z brązu, upamiętniającą bitwę pod Austerlitz. Pomnik Napoleona, tak często usuwany i stawiany na powrót, spoglądał na nich z góry, kiedy mijali numer piętnaście - eleganckie wejście do hotelu Ritz. Sylvie zatrzymała samochód i wrzuciła na luz, ale nie wyłączała silnika.

- Teraz patrzmy - powiedziała do Paula. - Jeśli zobaczysz ich pierwszy, to mi powiedz.

- Na razie widzę żandarma zmierzającego w naszą stronę.

- Całkiem niczego sobie - powiedziała Sylvie, rozpinając bluzkę prawie do pasa. Nie nosiła stanika, więc kiedy ją rozchyliła, widać było niemal całe piersi. - Masz się nie odzywać.

Zapaliła papierosa i opuściła szybę.

- Hello - zagadnęła z uśmiechem, kiedy żandarm się do nich zbliżył. Miał srogą minę, dopóki nie zobaczył tego, co przed nim odstoniła.

- Mademoiselle - powiedział, nachylając się do okna -nie wolno pani tu parkować.

- Czekamy na mojego dziadka - powiedziała przymilnym głosem. - Obiecuję, że zostaniemy tu tylko kilka minut. Przyjechał z prowincji i mieszka w Ritzu. Nie jest w stanie przejść więcej niż kilka kroków, dlatego czekam, aż mamam sprowadzi go do samochodu.

- Mówi pani, że tylko kilka minut? - Żandarm wyraźnie nie mógł oderwać oczu od jej śmiałego dekoltu.

- Obiecuję. A potem zaraz się stąd wyniesiemy - za-szczebiotała.

- No dobrze, ale niech to naprawdę będzie tylko kilka minut. -

Dotknął karoserii dłonią w rękawiczce i się oddalił.

- Jesteś bezwstydna - powiedział Paul ze śmiechem.

- Nie spuszczaaj oka z wejścia do hotelu - rozkazała mu Sylvie, sięgając do torebki. - A ja nabiorę dla nas po małej porcyjce.

- A żandarm? - przeraził się Paul.

- Pewnie sam by wziął, gdybym mu zaproponowała. - Wymacała pudełeczko po miętówkach. - To i parę minut na tylnym siedzeniu.

- Jesteś szalona - stwierdził Paul.

- Nie. Jestem praktyczna - sprostowała Sylvie.

- Jesteś gotowa? - zawołał Todd w stronę łazienki.

- Za sekundę - odpowiedziała Allegra.

Jeszcze raz sprawdziła makijaż przed lustrem, a potem uperfumowała się za uszami i w wycięciu prostego czarnego swetra, który włożyła do krótkiej spódniczki. Spakowała się tylko na parę dni, ale była zadowolona, że zabrała rzeczy eleganckie, które pasowały na różne okazje, a w dodatku prezentowały się całkiem seksownie.

Zgasiła światło w łazience i przeszła do sypialni, gdzie czekał Todd.

- To dobrze, że nie trzeba dziś się stroić na wyjście - powiedział.

- Nie miałem ochoty zakładać garnituru.

- Wyglądasz świetnie. - Cmoknęła go w policzek. -Mnie też odpowiada swobodniejszy ubiór.

- Chcesz jeszcze raz wykręcić do generała, zanim wyjdziemy? - spytał.

Próbowali się dodzwonić do niego do Miami już kilka razy, ale nikt nie odbierał. Co dziwne, nie zgłaszała się też automatyczna sekretarka.

- Poprosiłem operatorkę, żeby na razie dała sobie spokój, dopóki nie wrócimy - powiedziała Allegra. - Poza tym jestem prawie pewna, że usłyszymy od niego to samo co od pozostałych. Chodźmy poszukać jakiejś przyzwoitej restauracji. Umieram z głodu.

Zjechali windą na parter i wyszli na plac Vendome. Wieczór był chłodny i wietrzny; ulicą jechało zaledwie parę samochodów, a nieliczni przechodnie podążali do swoich domów.

- Cała ta okolica jest... jak Ritz - zauważyła Allegra ze śmiechem. - I wieje chłodem. Mam nadzieję, że znajdziemy w pobliżu coś przytulniejszego.

- Na pewno - odrzekł Todd. - Może po prostu będziemy szli przed siebie, aż coś nam się spodoba?

Wziął ją za rękę i zgodnie ruszyli w kierunku północnym. Zapadała już ciemność, ale plac był rzęsiście oświetlony.

- Zaczekaj - odezwała się Allegra, patrząc na posąg Napoleona. - Podejdźmy do kolumny. Chcę ją obejrzeć z bliska.

- Dobrze - zgodził się Todd.

Zaczęli iść w kierunku ogromnej konstrukcji. Nagle rozległ się ryk silnika samochodowego. Allegra przystanęła, spoglądając w stronę, skąd dobiegał dźwięk, ale zobaczyła jedynie oślepiające plamy reflektorów.

- Co, u licha...

Todd podążył za jej wzrokiem. Ujrzał światła samochodowe skierowane prosto na nich.

- Ally! - krzyknął. - Ally, na bok!

Słyszała go, lecz nie była w stanie się poruszyć. Stała nieruchomo, jakby stopy przymarzły jej do ziemi. Samochód zbliżał się szybko. Todd szarpnął ją za rękę, tak że straciła równowagę.

Zachwiała się gwałtownie i poleciała w bok. Zobaczyła tuż przed sobą chromowany zderzak i mogłaby przysiąc, że czuje ciepło bijące spod maski.

- Nie! - krzyknęła z bólu, szorując nogami po kamiennym bruku.

Nagle została uniesiona w powietrze i nim się zorientowała, co się dzieje, upadła, nie mogąc złapać tchu.

- Cholera! - zaklął Todd.

Allegra przez chwilę trwała w bezruchu, usiłując dojść do siebie. Stopniowo docierało do niej, że leży na Toddzie, a oboje znajdują się wewnątrz ogrodzenia otaczającego kolumnę.

- Nic ci się nie stało? - spytał z troską.

- Ch... chyba nie - wyjąkała niepewnie. - A tobie?

- Nic mi nie jest. Niech to szlag. Jutro będzie nas wszystko bolało. - Pozbierali się na tyle, by usiąść obok siebie na ziemi.

- Co to było? - Allegra spojrzała na Todda pytającym wzrokiem.

- Żebym to ja wiedział... - Potrząsnął głową.

- Chyba uratowałeś mi życie.

Wstał i wyciągnął rękę do dziewczyny, pomagając jej się podnieść.

- Może to ty mnie uratowałaś. Pierwsza zauważyłaś to cholerne auto, pędzące prosto na nas.

-Boże... naprawdę mogliśmy zginąć, Todd. To wszystko moja wina. To przeze mnie wpakowaliśmy się w kłopoty.

Przytulił ją czule.

- Nie musiałem się w nic pakować. Sam chciałem. -Popatrzył na nią z niepokojem. - Na pewno nic ci się nie stało? Jak twoje nogi?

Allegra opuściła wzrok.

- Mam podarte rajstopy. I może parę zadrapań. Nic poważnego. A ty? Wzięłaś na siebie cały ciężar upadku.

Todd wzruszył ramionami.

- Nic mi nie jest. Zdążyłaś się przyjrzeć temu autu?

- Prawie nic nie widziałam. A ty?

- Ja też nie. Tylko światła.

- Widziałam zderzak i przód... - przypomniała sobie. -

Wyglądał... wyglądał trochę staroświecko. Ale nie rozpoznałam marki.

Todd rozejrzał się po wielkim placu. Nikt nie przystanął, żeby spojrzeć, co się stało, jak można się było spodziewać.

- Zastanawiam się, czy ktoś w ogóle widział całe to zdarzenie.

- Nie wiadomo. Poza tym, chyba nie chcemy wzywać policji?

- Jesteś pewna? Ktoś dopiero co próbował nas przejechać.

- Wiem, ale raczej chodźmy coś zjeść. Objął ją ramieniem i przygarnął do siebie.

- Chcesz, żebyśmy wrócili do hotelu i zamówili jedzenie do pokoju?

- Może to dobry pomysł... - Pokiwała głową.

Todd pomógł jej przejść przez barierkę i ruszyli z powrotem przez plac w stronę Ritza. Nagle znów usłyszeli znajomy ryk silnika, całkiem niedaleko.

- No nie! Cholera, nie wierzę! - zaklął Todd. Allegra ponownie wskoczyła za ogrodzenie, chroniąc się w pobliżu kolumny.

- Patrz! - zawołała. - To ten sam samochód! Mercedes kierował się na nich, ale w ostatniej chwili

odbił w bok; kierowca najwyraźniej nie chciał się rozbić na potężnej przeszkodzie.

- To jacyś wariaci! - zawołał Todd. - Kompletni wariaci.

Samochód pomknął w stronę rue de la Paix. Allegra i Todd śledzili go wzrokiem; widzieli, jak nagle znieruchomiał, a potem usłyszeli głośny wybuch. W powietrze poleciały kawałki metalu i szkła. Po pierwszej eksplozji nastąpiła druga. Kula ognia rozświetliła wieczorny mrok. Plac nagle ożył; ludzie biegli zewsząd w stronę miejsca wypadku. Słychać było krzyki i nawoływania, a po chwili także syreny karetek i radiowozów.

Allegra ścisnęła rękę Todda, przyciskając się do niego z drżeniem.

- Nie chcę tam iść - powiedział - ale chyba powinienem rzucić okiem... Może zaczekasz tu na mnie?

- Nie! Idę z tobą. Nie zostanę sama.

Jeszcze raz pomógł jej przejść przez barierkę i razem skierowali się w stronę rue de la Paix. Dopiero na miejscu wypadku zobaczyli, że to nie auto próbujące ich przejechać stanęło w płomieniach, lecz samochód, z którym się zderzyło. Policjanci zaczęli kierować ruchem pojazdów tak, by omijały miejsce zdarzenia, i pokrzykiwali na gapiów, żeby się trzymali z daleka. Mimo to wokoło panował lekki chaos i Toddowi z Allegrą udało się podejść na tyle blisko, że owiał ich żar i dym.

Składany dach mercedesa sterczał niemal pionowo; w pomarańczowym świetle płomieni wyraźnie widać było osobę siedzącą za kierownicą. Allegra głośno wciągnęła powietrze, zakrywając usta dłonią.

- O mój Boże... - wyszeptała, kryjąc twarz na ramieniu Todda.
- Sylvie - powiedział zdziwiony.

Rozpoznali ją bez trudu; migające światła radiowozów, karetok i nadjeżdżających wozów strażackich rzucały na jej twarz upiorne kolorowe błyski. Drzwi od strony kierowcy były szeroko otwarte. Lewa ręka Sylvie zwisała bezwładnie na zewnątrz. Kolumna kierownicy na skutek uderzenia wysunęła się, przygważdżając dziewczynę do fotela. Głowę miała odchyloną do tyłu pod nienaturalnym kątem. Na szyi i częściowo odkrytych piersiach widać było krew. Nie zdradzała żadnych oznak życia i Todd sądził, że zginęła. Miała zmiażdżoną klatkę piersiową i prawdopodobnie złamany kręgosłup.

Okrążyli mercedesa, żeby zajrzeć na siedzenie pasażera. Mimo zerwanego dachu, z miejsca, gdzie stali, trudno było dostrzec cokolwiek w środku. Jedno nie ulegało wątpliwości: pasażer wyleciał przez przednią szybę.

- Jezu! - wykrzyknął Todd, kiedy przeszli nieco dalej do przodu. Odwrócił się szybko, przygarniając Allegrę do siebie. Nie chciał, żeby zobaczyła ten przerażający widok. Paul leżał rozciągnięty na masce, głowę miał niemal całkowicie oderwaną od szyi. W otwartych oczach migotały odbite błyski płomieni.

Allegra milczała. Cała się trzęsła; żołądek podchodził jej do gardła i przez chwilę obawiała się, że zwymiotuje.

Todd objął ją za ramiona i szybko odprowadził z miejsca wypadku.

R o z d z i a ł 2 0

Wrócili do hotelu; Todd od razu zaprowadził Allegrę do sypialni i posadził na łóżku.

- Zrobię nam po drinku - zaproponował. Pokiwała głową, próbując się uśmiechnąć. Podszedł do barku, nalał do dwóch szklaneczek szkockiej i wrzucił lód. Jedną podał Allegrze.

- Dziękuję.

Usiadł obok niej i otoczył ją ramieniem.

- Nic ci nie będzie? - spytał. - Mogę wezwać hotelowego lekarza, żeby ci coś dał na uspokojenie.

- Nie, nie trzeba. - Pociągnęła łyk rozgrzewającego trunku. - Myślę, że to wystarczy.

Todd także się napił. Przez jakiś czas rozmawiali o wypadku, dziwiąc się, że Sylvie mogła skończyć z kimś takim jak Paul.

Wreszcie Todd powiedział:

- Wiesz, że w żaden sposób nie jesteś za to odpowiedzialna.

- Wiem... - zaczęła, ale przerwał jej dźwięk telefonu.

- Założę się, że to generał - powiedział Todd. - Chcesz, żebym z nim porozmawiał?

- Nie, sama to zrobię. - Podniosła słuchawkę. - Halo?

- Mademoiselle Sheridan - odezwała się operatorka. - Mam połączenie z numerem, o który pani prosiła.

- Dziękuję. - Usłyszała ciche kliknięcie. - Halo? - powtórzyła.

- Tak? - Głos należał do kobiety i miał wyraźny hiszpański akcent.

- Chciałabym rozmawiać z Ramondem Gonzalesem--Viega -
powiedziała Allegra.

- A kto mówi?

- Nazywam się Allegra Sheridan. - Wyrecytowała historyjkę,
którą oboje z Toddem opowiadali wcześniejszym rozmówcom.

- Jestem Dorisita Luisa Gonzales-Viega - przedstawiła się
kobieta wyniosłym tonem. - Jestem żona generała. Generał w szpitalu.

- O, przykro mi - odrzekła Allegra.

Była zaskoczona, że osoba, która zajmowała tak wysoką pozycję
w swym rodzinnym kraju, tak słabo mówi po angielsku. Znała w
Nowym Jorku wielu ludzi z Południowej Ameryki, którzy posługiwali
się nienaganną angielszczyzną.

- Dzwonię w złym momencie. Miałam nadzieję, że generał
będzie w stanie mi pomóc.

- Generał umierający - wyjaśniła kobieta. - Wie pani, na raka.

- To straszne. Bardzo mi przykro - powtórzyła Allegra.

Kobieta nagle zaczęła płakać, a właściwie żałośnie pochlipywać.
Allegra wciąż trzymała słuchawkę przy uchu, zastanawiając się, co
powiedzieć.

- Señora Gonzales-Viega, żałuję, że nie mogę pani jakoś pomóc
- oświadczyła wreszcie.

- Ahi, nie - wykrztusiła kobieta przez łyżę. - Nic nie można
pomóc. Momento. - Allegra usłyszała, jak generałowa odkłada
słuchawkę i wydmuchuje nos. - Señora Sheridan - odezwała się znów
po chwili. - Chyba mogę powiedzieć to, co pani chce.

- Nie chcę pani sprawiać kłopotu - odparła szczerze

Allegra. Jeśli ta biedna kobieta nie czuła się na siłach rozmawiać w tym momencie, mogli zadzwonić później albo w ogóle zapomnieć o sprawie. Allegra i tak była prawie pewna, że Ramtane Tadjer odkupił szmaragdy.

- Żaden kłopot - zapewniła señora Gonzales-Viega. - Gdyby mój mąż tu był, wtedy kłopot. Nie lubi, żeby przypominać o tej bransoletce. Jest taki dumny. Lubi, jak noszę tę bransoletę. Przy jego znajomych. Zawsze tak mówi.

- Rozumiem - wtrąciła Allegra. - To piękna bransoletka.

- Si, si, si - podchwyciła señora Gonzales-Viega. - Duże, duże szmaragdy. Nie widziała pani takich dużych szmaragdów, señora. - Jej głos był pełen dumy i entuzjazmu. Allegra wyobrażała sobie, że generał mógł mówić podobnie.

- Tak, wielkie szmaragdy. I dobrane wielkością - powiedziała.

- Si. Mówili, że ważne to dobranie. Mój mąż kupuje bransoletkę w Paryżu. U Julesa Levanta, tego słynnego jubilera. Noszę dniami i nocami. Potem rewolucja. Przyjeżdżamy do Miami, do kondominium na Brickell Avenue.

- Mielicie państwo szczęście, że udało wam się uciec. - Mówiąc to, Allegra poczuła się jak hipokrytka. Pamiętała, że w swoim ojczystym kraju generał był jednym z ludzi odpowiedzialnych za „zniknięcia” - przeciwników politycznych, aresztowania obywateli protestujących przeciw reżimowi, masowe egzekucje i chowanie ofiar w bezimiennych grobach.

- Si. Wielkie szczęście. Zabijają dużo ludzi, ale my do Miami. Generał daje pieniądze do banku tutaj. Do Espiri-tos Santos Bank na Brickell Avenue. Bardzo bezpiecznie. Ale nie dość. Myślimy, że szybko wrócimy. Że mój mąż będzie zbawca kraju. Ale nie ma tak. Więc mieszkamy w kondominium, a pieniądze się kończą.

- To przykre. - Allegra pragnęła tylko usłyszeć, co się stało ze szmaragdami.

- Si, straszne życie teraz - ciągnie señora, - Dlatego sprzedajemy bransoletkę w Sotheby's. Kupuje jubiler z Paryża.

- Przynajmniej mieliście państwo co sprzedać. - To pocieszenie nawet dla niej samej zabrzmiało bardzo nieporadnie.

- Przetrwałam dużo rzeczy - odparła señora Gonzales--Viega. - To też przetrwam.

- Z pewnością. - Allegra pragnęła jak najszybciej zakończyć rozmowę. - Jestem pani bardzo wdzięczna, że zechciała mi pani poświęcić swój czas.

- De nada. Życzę pani szczęścia. Więcej niż ja mam.

- Gracias - odpowiedziała Allegra.

Kiedy kobieta odłożyła słuchawkę, Allegra z westchnieniem ulgi odwróciła się do Todda.

- No to już wiemy, że monsieur Tadjer ma wszystkie szmaragdy poza tym jednym, który spoczywa tu, w sejfie - stwierdził Todd.

Allegra przez dłuższą chwilę milczała pogrążona w zadumie.

- Zapomnieliśmy o jednym - odezwała się w końcu.

- O czym?

- O tym, że w Dufour chcieli mi wcisnąć inny szmaragd. Księżniczka Karima miała ostatni kamień z kompletu i coś mi mówi, że ta „pomyłka”, jak ją nazwano, wcale nie była pomyłką. Ktoś pomagał księżniczce. Chętnie zobaczę jej minę, kiedy powiem, że w Dufour próbowali mi dać nie ten szmaragd, co trzeba.

- Niby jak zamierzasz to zrobić? - spytał zaskoczony Todd.

- Złożę jej niezapowiedzianą wizytę.

- Nie dopuszczą nas do niej - ostrzegł Todd.

- Założę się, że mi się uda, jeśli stanę na jej progu i powiem, że to ja kupiłam pierścionek. - Uśmiechnęła się do Todda. Doszła do wniosku, że lepiej będzie nie wspominać mu, iż Solomon Weiss uważa księżniczkę za kobietę śmiertelnie niebezpieczną.

- Mądra z ciebie dziewczyna - pochwalił ją Todd, odwzajemniając uśmiech. - Chyba masz rację. A czy wiesz, gdzie jej szukać?

- W gazetach pisano, że po aukcji wyjechała do swojego starego młyna za miastem. W lesie Fontainebleau. Podobno ma zamieszkać tam na stałe po sprzedaniu paryskiej rezydencji.

- Wiesz, gdzie to jest?

Allegra zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie, ale znajdziemy.

- Jak?

- Z samego rana wynajmiemy samochód i pojedziemy do Fontainebleau. Będziemy jeździć w kółko, aż znajdziemy. Będziemy

się zatrzymywać i pytać. Powiemy, że zgubiliśmy drogę. Że zaproszono nas tam na lunch, ale zabłądziliśmy.

- Naprawdę myślisz, że się uda?
- Jasne. Ludzie będą wiedzieli, gdzie mieszka księżniczka.
- Może - mruknął Todd, nie do końca przekonany.
- Wchodzisz w to?
- Jasne - zapewnił z żartobliwym mrugnięciem.

Ram zaciągnął się kubańskim cygarem, a potem wypuścił długi strumień niebieskawego dymu, który roz-szedł się powoli po nieco mrocznym wnętrzu wspaniałej biblioteki. Tego wieczoru w hotel particulier przy rue Elzevir panowała cisza; służba albo miała wychodne, albo udała się już do swoich pokoiów. Po gimnastyce, jaką odbył poprzedniej nocy, zabawiając się z młodą prostytutką wziętą z ulicy, oraz tym, co zrobił na rue des Rosiers, Ram czuł się jednocześnie wyczerpany i pobudzony. Jego marzenie zaczynało nabierać realnych kształtów i to wystarczyło, by wezbrało w nim napięcie, które musiał rozładować.

Przyszło mu do głowy, że mógłby wezwać jedną ze swoich dziewczyn na telefon i pójść ponownie na rue des Rosiers, ale zaraz zrezygnował z tego pomysłu. Nie chciał się znaleźć w tamtej okolicy, kiedy zostaną odkryte zwłoki Solomona Weissa... o ile już ich ktoś nie znalazł. Ram wiedział, że sąsiedzi często zagląдают do staruszka, a delikatesy z naprzeciwka dostarczają mu jedzenie. Nie sądził, by powstały jakiegokolwiek podejrzenia co do śmierci starego szlifierza, ale

też nie chciał się narażać na niewygodne pytania ze strony przypadkowo spotkanego, wścibskiego sąsiada.

Z drugiej strony jednak wręcz powinien się wybrać do swego mieszkanka w Marais. Nie tylko po to, by spędzić kolejną noc na erotycznych rozrywkach, lecz przede wszystkim po to, by zabrać szmaragdy, oprawy i zdjęcia, przechowywane od lat w ukrytym tam małym sejfie.

Przez ostatnie lata wielokrotnie rozważał możliwość przeniesienia wszystkiego do sklepu, ale ostatecznie nigdy się na to nie zdecydował. W firmie zbyt wiele się działo, istniało więc zbyt wielkie ryzyko, że coś może się wydać. Mógł na przykład zapomnieć schować klucze i przez nieuwagę dać któremuś z pracowników okazję do zobaczenia, co kryje jego prywatny sejf. Z tego samego powodu nie przeniósł swoich skarbów na rue Elzevir.

Teraz jednak, kiedy jego wysiłki zbliżały się wreszcie do końca, nadszedł odpowiedni czas, żeby to zrobić. Mógł pójść do swego mieszkania na rue des Rosiers z jedną z dziewczyn, zabawić się, a potem ją odprawić i przenieść zawartość sejfu do hotel pañiculier na rue Elzevir, by tu -może już w ciągu najbliższych paru dni - osobiście umieścić szmaragdy w ich oryginalnych oprawach.

Ponownie zaciągnął się cygarem, rozkoszując się bogactwem jego smaku. Tak. Każe Kadarowi, by po pracy w hotelu zbadał sytuację na rue des Rosiers. Prawdopodobnie ciało Weissa zostało już znalezione i zabrane, więc wszystko w starej kamienicy wróciło do

normy. Poza tym musiał się dowiedzieć od Kudara, jak wygląda sprawa tej Sheridan i jej chłopaka.

Wybrał numer na komórce.

Kadar odebrał po drugim sygnale.

- Halo.

- Możesz teraz rozmawiać? - spytał Ram.

- Chwileczkę. Oddzwonię do pana za minutę.

- Tylko się pośpiesz - warknął Ram i przerwał połączenie.

Czekał, przerzucając strony notesu z adresami. Kogo wybrać na dzisiejszą noc?, zadał sobie w duchu pytanie. Która z tych piękności zasługuje na moje towarzystwo? Nagle jego wzrok padł na nazwisko Clement. Josette Clement. Doskonała kandydatka, ucieszył się. Blondynka o jasnej karnacji, wysoka i szczupła. Bardzo przypomina tę Amerykankę.

Komórka zadzwoniła.

- Widzę, że masz tam dużo roboty - odezwał się Ram.

- Owszem - potwierdził Kadar. - Gonią nas tu jak psy. Ram postanowił zignorować cierpki ton odpowiedzi.

Sam znalazł Kadarowi tę pracę i choć rozumiał jego zmęczenie, wolałby usłyszeć słowa wdzięczności zamiast utyskiwań.

- Ta Sheridan i jej chłopak są u siebie czy wyszli z hotelu? - spytał.

- Niedawno wyszli. Ale mówiłem panu, że dziś wieczorem nie będę mógł wejść do ich apartamentu - przypomniał mu Kadar z

lekkim zniecierpliwieniem. - Mogę to zrobić dopiero jutro. Nasz szef...

- Nie zapomniałem - przerwał mu Ram. - Może być jutro. Na dziś wieczór, jak skończysz pracę, mam dla ciebie małe zadanie.

- O co chodzi? - spytał Kadar.

- Przejdź się na rue des Rosiers i zadzwoń do mnie, czy kręci się tam policja i czy wokół kamienicy panuje większy ruch niż zwykle.

- Pójdę tam zaraz po skończeniu zmiany - obiecał Kadar.

- Dobrze. Chcę też, żebyś jutro rano przed pracą wstąpił tu do mnie i zabrał coś dla panny Sheridan i jej ukochanego.

- O której?

- Powiedzmy około jedenastej. Możesz być?

- Tak. Będę punktualnie.

- No to do zobaczenia rano - zakończył rozmowę Ram.

Następnie wyjął z szuflady biurka pojedynczy arkusz grubego welinowego papieru i kopertę. Pozostała mu do załatwienia jeszcze jedna sprawa przed telefonem do Josette Clement.

Wziął do ręki złote wieczne pióro Julesa Levanta - takie samo jak te, które dawali w prezencie specjalnym klientom - i zaczął pisać. Ubiję dwa ptaszki jednym strzałem, pomyślał z zadowoleniem.

Cameron powoli przekładał kartki z odbitkami, oglądając każdą z zainteresowaniem. Jason siedział obok na kanapie, patrząc w drugą stronę; zmuszał się do zerknięcia na rysunek tylko wtedy, gdy partner zwracał mu uwagę na jakiś szczegół.

Kiedy Jason wrócił z Brooklynu z kopiami projektów i kamieniami, kochanek powitał go jak bohatera wracającego z wojennej wyprawy. Mina mu nieco zrzędała, gdy się przekonał, że chłopak niezbyt dużo zabrał z sejfu Allegry. Szybko jednak ukrył rozczarowanie i nie szczędził mu pochwał. Potem zaprowadził go do sypialni i zaczął rozbierać, długo i powoli, jakby odprawiał jakiś tajemny rytuał.

- Popatrz na to. - Pełen entuzjazmu głos Camerona wyrwał Jasona z rozmyślań. Patrzył na rysunek kogucika. - Czemu sam na to nie wpadłem? Takie proste, a takie świetne. Wszyscy wykorzystywali ten wzór, ale nie w taki sposób. Oczywiście, do masowej produkcji trzeba będzie zmienić detale. Szlachetne kamienie zastąpi się półszlachetnymi albo sztucznymi. O osiemnastokaratowym złocie też nie ma mowy. Najwyżej dziesięć karatów. Albo raczej samo złocenie.

Patrząc na rysunek, Jason przypomniał sobie chwilę, kiedy Allegra po raz pierwszy mu go pokazała. Siedzieli wtedy sami w studiu, zajęci każde swoją robotą. Skończyła rysować i spytała, czy wzór mu się podoba. Odpowiedział, że bardzo. Że kogucik przypomina mu Allegrę, bo jest uroczy i zabawny, a jednocześnie elegancki. Ucieszona pochwałą, pocałowała go wtedy w policzek.

- Co ci jest? - spytał Cameron. - W ogóle się nie odzywasz.

Jason wzruszył ramionami.

- Nic mi nie jest.

- Wydaje mi się, że za bardzo się przejmujesz. - Cameron przyjrzał mu się podejrzliwie. - Masz poczucie winy?

- Nie, właściwie nie - skłamał Jason.

- Nie powinieneś czuć się winny. Nie pozwalałam. - Żartobliwie pogroził mu palcem. - Bardzo dobrze zrobiłeś. Od lat cię wykorzystywała, płaciła ci nędzne grosze za ciężką pracę, a przecież zasługujesz na więcej. Poza tym pewnie nawet nie rozpozna własnego projektu w masowej produkcji. - Zaśmiał się, ale szybko ucichł, widząc, że chłopak nie wygląda na rozbawionego. Objął go więc za ramiona i przyciągnął do siebie. - Posłuchaj, jesteś teraz ze mną, rozumiesz? Tworzymy drużynę. Razem podbijemy świat. Tylko my dwaj. - Pocałował go w czoło.

Jason poczuł, że znów zaczyna ulegać czarowi swego kochanka, jakby tamten miał na niego jakiś magiczny wpływ.

- Naprawdę tak myślisz?

- Musisz pytać? - Cameron potrząsnął nim lekko. - Nie obrażaj mnie. - Pokazał na siebie palcem. - Ja nie kłamię. Nie oszukuję. Nie zrobiłbym tego mojemu chłopakowi. - Pocałował go z uśmiechem. - Co powiesz na to, żebyśmy wieczorem gdzieś razem wyszli? Chcę się tobą pochwalić. Pokazać wszystkim, co nas łączy.

Dreńczęce poczucie winy, że zdradził Allegrę, ustąpiło miejsca rodzącej się dumie.

- Dokąd mielibyśmy pójść? - spytał Jason.

- Na kolację. Potem moglibyśmy odwiedzić kilka barów... i może parę klubów.

W innych okolicznościach myśl o pokazaniu się z Cameronem jako swoim partnerem bardzo by Jasona podnieciła. Od tak dawna

zazdrościł innym parom... Cameron był przystojny, świetnie zbudowany i do tego piekielnie inteligentny. W dodatku znał wszystkich ważnych ludzi. Jednak Jason nie był pewien, czy tak naprawdę ma ochotę włączyć się z nim po barach.

- Chyba... byłoby miło - powiedział z wahaniem. Kolejne kłamstwo bynajmniej nie poprawiło mu samopoczucia.

- No to załatwione. - Cameron zmierzwił mu włosy. - To będzie tak, jakbyśmy krzyczeli z dachu o naszym związku. - Nachylił się, żeby go pocałować.

Jason odwzajemnił pocałunek, bo uznał, że tak wypada, ale nie zdołał wykrzesać z siebie choćby cienia entuzjazmu.

- Hmmmm... - wymruczał Cameron, przyciągając go do siebie i kładąc mu dłoń na udzie. - Mamy mnóstwo czasu, zanim zaczniemy się zbierać do wyjścia. Możemy go przyjemnie wykorzystać...

R o z d z i a ł 2 1

Jechali malutkim ciemnoniebieskim renault. Allegra trzymała na kolanach mapę otrzymaną w wypożyczalni, a Todd siedział za kierownicą, z nogami zadziwiająco łatwo upchniętymi pod deską rozdzielczą. Trasa przedstawiała się dość prosto. Z Porte d'Italie dotarli drogą A6 do N7, która miała ich zaprowadzić do Fontainebleau. Cała podróż z Paryża miała, jak im powiedziano, trwać około godziny.

- Wiesz tylko tyle, że mieszka gdzieś w pobliżu Fontainebleau - przypomniał Todd, gdy mknęli autostradą przez Ile-de-France.

- Widziałam ten młyn w jakimś czasopiśmie. Czytałam też o nim wzmiankę w katalogu domu aukcyjnego.

- Sądząc po mapie, to całkiem spory obszar. Nie wiem, czy uda nam się tam trafić. - Był nastawiony sceptycznie.

- Znajdziemy ją. - Allegra nie traciła optymizmu. Zerknęła na Todda z uśmiechem. - Założę się, że wystarczy, jak się napijemy wina w Fontainebleau lub w którymś z okolicznych miasteczek i trochę popytamy.

- Możliwe, że trzeba będzie wypić niejeden kieliszek - mruknął Todd.

- Trzeba będzie się też zatrzymać na lunch i zatankować, i nie wiadomo co jeszcze.

- Lunch brzmi zachęcająco - ożywił się. - Już od pewnego czasu burczy mi w brzuchu.

- Mnie też - przyznała się Allegra. Wstali późno i po szybkim śniadaniu składającym się z kawy i croissantów z masłem od razu wyruszyli w drogę.

Dojechawszy do Fontainebleau, zobaczyli, że roi się tam od restauracji i kawiarni, zarówno na głównej ulicy, jak i w bocznych przecznicach.

- Może zaparkujemy i trochę się rozejrzemy - zaproponowała Allegra.

- Świetnie - zgodził się ochoczo Todd.

Ponieważ nie zaczął się jeszcze sezon turystyczny, ulice były prawie puste i parkowanie nie stanowiło żadnego problemu. Wysiedli z samochodu i trzymając się za ręce, ruszyli wolno rue de France, często przystając, by rzucić okiem na menu wystawione w oknie lub wypisane kredą na tablicy przed drzwiami. Ostatecznie zdecydowali się na Croquembouche, restaurację o umiarkowanych cenach i ciekawym wystroju.

- Sporo tu ludzi - zauważyła Allegra - i mnóstwo kelnerów i kelnerek.

- Co oznacza, że będzie kogo wypytywać?

- Właśnie.

Obsługująca ich kelnerka, modnie ubrana młoda kobieta o oryginalnie ufarbowanych włosach, przyjęła zamówienie na wino. Nim odeszła, zostawiając im czas na wybranie potraw, Allegra ją zagadnęła:

- Słyszałam, że księżniczka Karima mieszka w tej okolicy.

- Tak? - Dziewczyna uniosła starannie wyskubane brwi.

- Myślałam, że może pani wie, gdzie.

- Non. - Pokręciła głową. - A ta księżniczka Karima to jest sławna?

- Oui - potwierdziła Allegra. - Bardzo bogata i sławna. Kelnerka jeszcze raz pokręciła głową, wyraźnie zmartwiona. Nagłe oczy jej się zaświeciły.

Guy będzie wiedział. On wszystko wie. Zwłaszcza jeśli to dotyczy bogatych albo sławnych ludzi. Przyślę go do państwa.

Zanim wróciła z winem, do ich stolika zbliżył się jeden z kelnerów. Miał około osiemnastu lat; wyželowane na sztywno włosy sterczały mu na głowie niczym blond rożki.

- Fleur mówi, że pytacie o księżniczkę Karimę - odezwał się po angielsku z silnym francuskim akcentem.

- Owszem - przyznała Allegra. - Słyszałam, że ma dom w tej okolicy.

- Zgadza się. Nawet kiedyś u nas była. Jest taka piękna... ale widać, że miała operację plastyczną.

- Zatem musi mieszkać gdzieś niedaleko?

- Niedaleko. W starym młynie przebudowanym na dom. To wspaniała posiadłość. W lesie, z wielkim ogrodem.

- Wiesz może, jak tam dojechać? - wtrącił się Todd.

- Pewnie - odpowiedział chłopak z nutą urazy w głosie. - Musicie jechać do Melun, a stamtąd na Meaux. -Przyjrzał im się z

westchnieniem. - Ale jesteście Amerykanami. Nie znacie tego terenu.
Narysuję mapę i za chwilę wam przyniosę.

- Bylibyśmy wdzięczni - ucieszyła się Allegra.

- Zaraz wrócę. Mamy dużo gości, więc muszę już iść. - Oddalił się spieszenie.

- Ma bzika na punkcie gwiazd - uznał Todd.

- A my mamy szczęście - dodała Allegra.

Kończyli jedzenie, kiedy młody kelner znów się pojawił.

- Proszę. - Podał Allegrze skrawek papieru. - To tutaj. - Wskazał krzyżyk na narysowanej ołówkiem mapce. - Nie da się przegapić.

- Bardzo dziękujemy - powiedziała.

Todd dyskretnie wsunął chłopcu do ręki przygotowany wcześniej dziesięcioeuroowy banknot.

- Dziękuję, monsieur.

Dokończyli posiłek, zapłacili i ruszyli w dalszą drogę. W niecałe pół godziny dotarli do Melun i skręcili w szosę N36 prowadzącą na północ, do Meaux.

- Mam nadzieję, że nas wpuści - odezwał się Todd.

- Wpuści nas, kiedy się dowie, kim jestem - zapewniła go Allegra.

Księżniczka Karima sięgnęła po dzwoniący telefon.

- Halo?

Marcus zauważył raptowną zmianę w jej zachowaniu; dopiero co spoczywała w leniwej pozie na szezlongu, odprężona i uśmiechnięta, a tu nagle poderwała się ze zmarszczonym czołem i nie

zwracając uwagi na niego, wymknęła się z oranżerii. Kiedy go mijala, Marcus wyczuł zapach perfum Golkonda, których używała często i obficie.

Tajemnicze telefony nie ustawały, a tajemnic Marcus nienawidził ponad wszystko. Podszedł do przeszklonych drzwi wychodzących na ogród. Postanowił wybrać się na spacer wśród eleganckich gazonów, ale kiedy już chwycił za klamkę, księżniczka Karima wróciła do oranżerii.

- Przepraszam cię, mój drogi - zaszcebiotała zdyszana. - Musiałam odebrać telefon od jednego z moich okropnych księgowych. Sam wiesz, jacy oni są.

- Owszem, wiem. Nudni i bez wyobraźni. Zawsze próbują zepsuć zabawę.

- Doskonale to ująłeś - pochwaliła go Karima ze śmiechem. Za ich plecami rozległ się szorstki głos Mimi.

- *Madame?*

- Słucham, Mimi, o co chodzi? - spytała Karima.

- Ktoś dzwoni do bramy - powiedziała tak zrzędlwym tonem, jakby przeszkodzono jej w czymś bardzo ważnym. - Jakaś kobieta chce się z panią widzieć.

Karima popatrzyła na staruszkę ze zdziwieniem.

- Co takiego? Tutaj? Kim jest ta kobieta?

- Mówi, że nazywa się Allegra Sheridan.

- Nie znam nikogo o tym nazwisku. Odpraw ją.

- Mówi, że kupiła pani pierścionek ze szmaragdem w Dufour - wyjaśniła Mimi. -I że musi z panią porozmawiać.

- Co?! - wykrzyknęli jednocześnie księżniczka i Marcus.

Wymienili spojrzenia.

- Czego ona tu, u diabła, szuka? - zdziwiła się na głos Karima.

Marcus wzruszył ramionami.

- Kto wie? Może po prostu chce się z tobą spotkać i używa pierścionka jako pretekstu.

Księżniczka zapaliła papierosa, po czym przeszła się tam i z powrotem po oranżerii.

- Powiedz, że mogę jej poświęcić tylko chwilę - zwróciła się do Mimi po krótkim namyśle.

- Jest ze swoim narzeczonym - dodała służąca.

- Wpuść ich oboje.

Po jej wyjściu Karima spojrzała na Marcusa pytająco.

- Jak, według ciebie, ta Amerykanka mnie znalazła?

- Nie mam pojęcia, ale z pewnością nie jest tajemnicą, że tu mieszkasz. Ostrzegałem cię, żebyś nie pozwalała pokazywać zdjęć domu w czasopiśmie.

- Ale kto by się spodziewał czegoś takiego? Trzeba wyjątkowej zuchwałości, żeby tak po prostu stanąć na moim progu.

- Jest Amerykanką - przypomniał jej Marcus. - Wiesz, jacy oni są. Agresywni i nieokrzesani.

- To akurat w nich lubię - przyznała szczerze. - Nie są obciążeni całym tym europejskim snobizmem i obsesją szlachetnie urodzonych przodków. Poznałam w życiu paru bardzo miłych ludzi ze Stanów.

- Masz rację, oczywiście - zgodził się Marcus. - Mówiłem tak ogólnie. Sam mam kilku wspaniałych znajomych Amerykanów. Naturalnie bardzo bogatych. Karima parsknęła śmiechem.

- Cóż, tak czy inaczej, cieszę się, że tu jesteś i pomożesz mi się zmierzyć z tą... istotą, która przejęła mój pierścionek.

Mimi wprowadziła do oranżerii Allegrę i Todda.

- Mademoiselle Sheridan i monsieur Hall - powiedziała.

Karima i Marcus zgodnie zmierzili ich wzrokiem; Allegra poczuła się, jakby była klaczą, ocenianą pod kątem możliwości wyścigowych i rozrodczych przez parę doświadczonych handlarzy koni.

- Przepraszam za najście - odezwała się - ale bardzo chciałam panią poznać, a pani numeru nie było w książce.

- Postanowiła udawać jedną z licznych wielbicielek, zafascynowanych urodą, bogactwem i stylem życia księżniczki. Wyciągnęła rękę. - Jestem Allegra Sheridan, projektantka biżuterii z Nowego Jorku, a to mój narzeczony, Todd Hall.

Księżniczka Karima łaskawie pozwoliła im kolejno potrzymać końce swoich palców.

- Mój przyjaciel, Marcus Setville-Penhurst - wskazała na swego towarzysza.

- Miło mi państwa poznać - powiedział Marcus tonem wyuczonym w Eton. Przywitał się z obojgiem, energicznie potrząsając ich dłońmi.

Księżniczka Karima zauważyła, że Allegra nie nosi pierścionka, ale bynajmniej jej to nie zaskoczyło. Domyśliła się, że klejnot spoczywa w sejfie w apartamencie księcia i księżnej Windsoru w Ritzu.

- Proszę, skoro państwo już tu są, to może usiadziemy?

- zachęciła, wskazując fotele ustawione wokół szeszlongów zajmowanych przez nią i Marcusa. - Mimi, przynieś butelkę louis roederer cristal - zwróciła się do starej służącej.

- Oui, madame.

- Och, proszę sobie nie robić kłopotu - powiedziała szybko Allegra. - Wpadliśmy tylko na chwilkę. Naprawdę.

- To żaden kłopot - zapewniła księżniczka Karima, przyjmując wdzięczną pozę na szeszlongu. - Zapłaciła pani mnóstwo pieniędzy, żeby móc nosić mój pierścionek, a tym samym wniosła ogromny wkład w fundację. Pani pieniądze pomogą bardzo wielu ludziom, którzy mieli w życiu mniej szczęścia.

Allegra z Toddem zajęli miejsca w fotelach, a Marcus, nieco zaskoczony gościnnością Karimy, ponownie wyciągnął się na szeszlongu.

- Muszę pani wyznać, że nie kupiłam tego pierścionka dla siebie - odezwała się Allegra.

- Doprawdy? - zdziwiła się księżniczka. - Zatem dla kogo go pani kupiła?

- Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć. Księżniczka Karima na moment popadła w zadumę, po czym oznajmiła:

- Szkoda, że się nie dowiem, kto wspomógł moją fundację, panno Sheridan. Podobnie jak nie poznam kobiety, która będzie nosić mój pierścionek.

- Nie sądzę, by to długo pozostało tajemnicą - włączył się do rozmowy Todd. - Według nas właściciel czeka z ujawnieniem się do czasu, gdy podaruje klejnot swojej towarzyszce życia.

- Ach, więc ten pierścionek ma być niespodzianką - wtrącił uprzejmie Marcus.

- Tak przypuszczam - powiedział Todd.

- Pewnie kupił go Amerykanin - rzucił domyślnie Marcus.

- Owszem - potwierdziła Allegra.

Mimi wniosła na srebrnej tacy butelkę schłodzonego szampana i kieliszki. Uważnie je napełniła, podała wszystkim i opuściła oranżerię.

- Wypijmy toast za pannę Sheridan, za to, że wygrała licytację w Dufour - zaproponował Marcus, unosząc kieliszek.

- Tak - podchwyciła księżniczka Karima. - Za pani sukces.

Napili się szampana.

- Szkoda, że pierścionek nie należy do pani, panno Sheridan - westchnęła księżniczka Karima. - Jest pani piękną kobietą i bardzo by pasował do pani karnacji.

- Dziękuję - odparła przymilnym tonem Allegra. - A ja zawsze uważałam panią za jedną z najpiękniejszych i najbardziej stylowych kobiet na świecie.

- Bardzo pani miła - zaśmiała się Karima. - Ale mówi pani o kobiecie, która już nie istnieje. Tamta księżniczka Karima jest obecnie znacznie starsza i, mam nadzieję, znacznie mądrzejsza. - Przeniosła wzrok na Todda. -Szkoda, panie Hall, że nie kupił pan tego pierścionka dla swojej narzeczonej.

- Cena trochę przekraczała moje możliwości - odparł ze śmiechem.

- Ośmielam się twierdzić, że przekraczała możliwości większości ludzi - wtrącił Marcus.

- Ale gdybym dysponował taką sumą, z pewnością bym się nie zawahał, żeby kupić go Ally - dodał Todd z uśmiechem, biorąc ją za rękę.

- Ma pani szczęście, panno Sheridan - odezwała się księżniczka.
- Ten przystojny młody człowiek jest w pani bardzo zakochany.

- O, tak... - Allegra nigdy nie śledziła plotek z życia księżniczki Karimy w rubrykach towarzyskich, ale musiała przyznać, że ta kobieta jest nie tylko stylowa i piękna, ale też w jakiś nieuchwytny sposób groźna. Sama myśl o takiej przeciwniczce budziła lęk.

- Pracuje pani w Ameryce? - spytał Marcus. Allegra przytaknęła ruchem głowy.

- Projektuję biżuterię - dodała tonem wyjaśnienia.

- To bardzo ciekawe - powiedziała uprzejmie księżniczka Karima. - Pracuje pani samodzielnie?

- Tak, przynajmniej tak było do tej pory.

- A pan, panie Hall, też ma jakieś zajęcie? - zwróciła się do Todda.

- Jestem architektem krajobrazu - skłamał Todd. -I muszę przyznać, że zachwycił mnie pani ogród.

- Och, jest stanowczo za wcześnie, żeby docenić w pełni jego urok - odrzekła księżniczka. - Jest naprawdę cudowny późną wiosną i na początku lata.

- Ale sam układ i nasadzenia są fantastyczne - pochwalił z entuzjazmem Todd. - Doskonale pomyślane.

- Owszem - przyznał Marcus. - Zawsze uważałem podobnie. Został tak rozplanowany, że cieszy oko nawet zimą. To zasługa Karimy.

- Czy to znaczy, że sama urządziła pani ten ogród? - spytał ze zdumieniem Todd.

- Owszem, z małą pomocą.

- Niewiarygodne. Wygląda, jakby zaprojektował go jakiś światowej klasy architekt.

- Pochlebia mi pan, panie Hall. - Po krótkiej pauzie dodała: - Chciałby pan go obejrzeć? - Spojrzała na niego pytająco.

- Z przyjemnością - odparł Todd. - Oczywiście, jeśli to nie nazbyt wielki kłopot.

- Zatem przejdźmy się wszyscy - zaproponowała Karima, podnosząc się z szezlongu. - Wezmę tylko płaszcz i możemy pospacerować.

Zaczęli się zbierać do wyjścia; księżniczka na moment ich opuściła.

- Karima bardzo poważnie traktuje swój ogród - wyjaśnił Marcus. - Zajmowanie się nim daje jej wiele przyjemności.

- I uspokaja - dodała księżniczka, powróciwszy do nich w długim do ziemi, czarnym płaszczu z kapturem. - Ogród to doskonałe miejsce, żeby usiąść i zastanowić się nad życiem.

Z uśmiechem skierowała się do przeszklonych drzwi, otwartych przez Marcusa. Wyszła na taras, za nią Allegra, Todd i Marcus ostatni.

Po kilku minutach spaceru Allegra nagle się zatrzymała.

- Przepraszam, czy mogłabym zajrzeć do łazienki i zaraz do państwa wrócić? Obawiam się, że nie mogę z tym poczekać.

Reszta również przystanęła.

- Oczywiście - powiedziała księżniczka po ledwie zauważalnym momencie wahania. - Przejdzie pani przez oranżerię i jadalnię, skróci w prawo i w holu na lewo znajdzie łazienkę.

- Dziękuję. - Zawróciwszy na pięcie, Allegra ruszyła dobrze utrzymaną zwirową ścieżką w stronę tarasu. Przed drzwiami do oranżerii obejrzała się za siebie. Trójka spacerowiczów zniknęła za rogiem wielkiego domu.

Szybko przeszła przez oranżerię i jadalnię do holu. W powietrzu dało się wyczuć zapach drogich perfum księżniczki, co lekko Allegrę

deprymowało. Miała wrażenie, że sama Karima jest gdzieś obok i śledzi każdy jej krok. Pierwsze drzwi po prawej stronie były uchylone. Zajrzawszy do środka, dziewczyna zobaczyła niewielki pokój, najwyraźniej służący za gabinet. Przed oknem stało wielkie biurko, a za nim fotel, zwrócony przodem do wejścia.

Allegra rozejrzała się po holu, a potem weszła do pokoju i zbliżyła się do biurka. Popatrzyła na papiery, starannie poukładane na lśniącym blacie. Były tam drukowane na eleganckim kartonie zaproszenia, czasopisma, katalogi, rachunki, osobista korespondencja oraz...

Co to może być?, pomyślała z zaciekawieniem.

Pochyliwszy się nad plikiem kartek wielkości koperty, zauważyła, że na wierzchu leży potwierdzenie przelewu z jednego z paryskich banków do banku w Genewie. Na kilka milionów euro. To pewnie ta jej fundacja, pomyślała. Przewertowawszy pośpiesznie górną część pliku odkryła, że wszystkie kartki są kopiami podobnych przelewów; każdy dotyczył milionów euro i według każdego pieniądze szły tą samą drogą, z Paryża do Genewy.

Allegra uświadomiła sobie, że w sumie chodzi o kwotę przekraczającą sto milionów euro. A więc księżniczka naprawdę poważnie traktuje swoją działalność charytatywną. Na czymkolwiek by ona polegała.

Przejrzała jeszcze kilka bankowych wydruków i nagle poczuła ciarki na plecach. Pod spodem znajdowały się kopie podobnych przelewów, tyle że z banku w Genewie do banku w jednym z krajów

arabskich. Wydało jej się dziwne, że te ogromne sumy były przesyłane najpierw do Szwajcarii, a dopiero potem dalej.

Dlaczego nie bezpośrednio do tamtego banku?, próbowała zrozumieć. I dlaczego przez Szwajcarię? Przyjrząwszy się ponownie cyfrom, stwierdziła, że kwoty są identyczne. Na przykład piętnaście milionów euro szło do Szwajcarii, a potem również piętnaście milionów wędrowało do arabskiego banku.

Obejrzała się nerwowo na drzwi, po czym znów popatrzyła na biurko. Jej wzrok przyciągnął notes oprawiony w czarną skórę aligatora. Przejrzała go szybko, ale nic szczególnego nie rzuciło jej się w oczy. Zwykły notes, pełen adresów i numerów telefonów; niektóre były wykreślone i zastąpione nowymi. Kiedy już miała go odłożyć na miejsce, ze środka wypadła luźna kartka. Widniały na niej trzy imiona: Ali, Hassan i Nessim. Przy każdym znajdował się numer telefonu. Allegra chwyciła ołówek ze srebrnej podstawki i zanotowała najpierw numery kont w szwajcarskim i arabskim banku, a potem trzy imiona z przypisanymi do nich telefonami. Skończywszy, schowała kartkę do kieszeni i jeszcze raz obrzuciła spojrzeniem blat biurka. Nic więcej nie przyciągnęło jej uwagi.

Podeszła do drzwi i ostrożnie wyjrzała na zewnątrz. Nie dostrzegła nikogo. Już w holu uświadomiła sobie, że naprawdę musi skorzystać z łazienki. Pewnie to nerwy, pomyślała. Bez trudu trafiła tam, gdzie skierowała ją księżniczka Karima, a potem szybko ruszyła z powrotem do ogrodu. Przechodząc przez oranżerię, niemal wpadła

na starą służącą, która opróżniała popielniczki do srebrnego kubła. Staruszka przyjrzała jej się podejrzliwie, mrużąc oczy.

- Mademoiselle? - odezwała się pytającym tonem.

- Korzystałam z toalety - wyjaśniła Allegra z uśmiechem.

Służąca nadal wpatrywała się w nią w milczeniu. Allegra opuściła oranżerię z irracjonalnym poczuciem, że ta kobieta przejrzała ją na wylot i wie o niedawnym przeszukaniu biurka. Boję się jej, pomyślała. Przyspieszyła kroku, chcąc jak najszybciej znaleźć się blisko Todda. Znalazła wszystkich przy różanych rabatach otoczonych rzędami starannie przystrzyżonego bukszpanu.

- O, jest pani nareszcie - powitał ją wesoło Marcus.

- Wszystko w porządku? - spytał z troską Todd. - Zaczynaliśmy się już o ciebie martwić.

- Nie ma powodu - zapewniła Allegra z uśmiechem. - Już mi lepiej.

- Znalazła pani wszystko, co trzeba? - zapytała księżniczka.

- Tak, dziękuję.

Poszli dalej. Księżniczka opowiadała o rozmaitych odmianach róż, a Todd z zaciekawieniem wypytywał ją o szczegóły. Obejrzawszy kilka kwiatowych kwater, cieplarnie i część parku, wrócili do oranżerii, gdzie Marcus ponownie napełnił kieliszki szampanem.

- Była pani bardzo łaskawa, poświęcając nam tyle czasu - zwrócił się Todd z wdzięcznością do księżniczki. - To dla mnie wspaniałe doświadczenie zawodowe.

- Miło mi, że się panu podobało - odparła uprzejmie, zapalając papierosa.

- Zastanawiałam się, czy zechce mi pani wyjaśnić pewną sprawę - zaczęła niepewnie Allegra.

- O co chodzi? - spytała księżniczka Karima, wydmuchując chmurę dymu.

- Po tym, jak wylicytowałam w Dufour najwyższą sumę za pani szmaragd, poszłam go odebrać, a wtedy przyniesiono mi zupełnie inny pierścionek.

- Co takiego? - Księżniczka gwałtownie poderwała się z szezlongu.

- Pracownicy galerii powiedzieli, że zrobili duplikaty, żeby ich używać do zdjęć i zaoszczędzić na ubezpieczeniu. Tłumaczyli, że pani klejnoty są tak cenne, że woleli, by w ogóle nie znalazły się poza domem aukcyjnym. Nie chciano podejmować żadnego ryzyka.

- Och, rozumiem - mruknęła księżniczka.

- To bardzo dziwne, że próbowano dać mi duplikat, nie sądzi pani?

- To niedorzeczne! - wybuchnął Marcus. - Absolutnie niedopuszczalne.

- Zwykła pomyłka - uznała księżniczka Karima, wzruszając ramionami. - Wiecie, jak oni są zajęci. Takie rzeczy po prostu się zdarzają.

- Ale taka pomyłka? - Allegra nie kryła zdziwienia. - Gdybym się nie znała na kamieniach i nie obejrzała dokładnie pani pierścionka

przed aukcją, pewnie bym się nawet nie zorientowała, że to inny klejnot.

- Nie mam pojęcia, co się mogło stać, panno Sheridan. Jeśli ma pani pytania, należy je zadać pracownikom Dufour, nie mnie.

- Och, bardzo przepraszam. Nie chciałam, by to zabrzmiało tak, jakbym sugerowała, że miała pani coś wspólnego z tym oszustwem, czy...

- Oszustwo?! - wykrzyknęła z oburzeniem księżniczka. - Nie wydaje mi się prawdopodobne, panno Sheridan.

- A mnie tak - odparła spokojnie Allegra. - Podejrzewam, że pracownicy galerii umyślnie próbowali mi wcisnąć inny pierścionek zamiast wylicytowanego. Zastanawiam się, dlaczego chcieli zatrzymać ten, który należał do pani.

- To jakieś bzdury. - Księżniczka skrzywiła się z niesmakiem. - Kompletne bzdury. Nie wie pani, o czym mówi. - Zgasiła niedopałek w popielniczce. - To była zwykła pomyłka. Którą naprawiono - dodała z naciskiem.

- Dopiero po tym, jak zwróciłam im uwagę - nie ustępowała Allegra. - I monsieur Ramtane Tadjer ze sklepu Julesa Levanta przyszedł mi z pomocą.

- Ramtane... On o tym wiedział? Allegra potwierdziła skinieniem.

- Widział, co się dzieje i także obejrzał pierścionek przez lupę. Od razu odkrył, że dano mi inny szmaragd.

- Jest właścicielem sklepu Julesa Levanta - wyjaśniła księżniczka Marcusowi.

- Ależ wiem, kim on jest, moja droga - obruszył się jej przyjaciel.

- No cóż, panno Sheridan, żałuję, że nie potrafię odpowiedzieć na pani pytania, ale uważam, że zaszła najzwyklejsza pomyłka. Ni mniej, ni więcej, tylko pomyłka. - Karima wstała z szezlongu. - A teraz, jeśli mi państwo wybaczą... mam przed sobą wyczerpujący wieczór. -Przeniosła wzrok z Allegrы na Todda.

Szybko odstawili kieliszki z resztkami szampana; odprawa była jednoznaczna. Wiedzieli, że nie dowiedzą się tutaj niczego więcej.

- Bardzo dziękujemy - powiedział Todd. - Naprawdę doceniamy pani gościnność.

Pani domu tylko wzruszyła ramionami.

- Wspaniale było panią poznać - dodała Allegra. - Jest pani taką wielkoduszną osobą.

Księżniczka spojrzała na nią tak, jakby szukała w tych słowach ukrytej ironii.

- Życzę wam obojgu szczęścia - powiedziała. - Ciekawie będzie dowiedzieć się, dla kogo kupiła pani mój pierścionek. Mam nadzieję, że ta kobieta będzie go warta.

- Jestem pewna, że tak - oświadczyła Allegra z przekonaniem. - Jeszcze raz dziękujemy.

Mimi pojawiła się nagle, jakby wyrosła spod ziemi. Pokazała ręką na drzwi do jadalni.

- Do widzenia - pożegnał się Todd.

- Do widzenia - odpowiedzieli unisono księżniczka Karima z Marcusem.

Allegra z Todem poszli za Mimi do wyjścia. Wrócili do samochodu, zapięli pasy i ruszyli żwirowym podjazdem w stronę kutej żelaznej bramy, która sama się otworzyła.

- Jezu! - wykrzyknęła Allegra z ulgą, kiedy znaleźli się już na autostradzie. - Cieszę się, że mamy to za sobą.

- Jak ci poszło w domu? - spytał Todd.

- Sama nie wiem. - Opowiedziała mu, co znalazła na biurku w gabinecie.

- To może nic nie znaczyć, ale może też znaczyć bardzo wiele - oświadczył.

- Wiem. - Wyjęła z kieszeni zapisany świstek i przeczytała mu imiona.

- To także może znaczyć wszystko i nic.

- Właściwie nie wiem, co z tym zrobić. - Odetchnęła głęboko. - W każdym razie cieszę się, że opuściliśmy to miejsce.

- Świetnie się spisałaś - pochwalił Todd, ściskając ją za kolano. - Bardzo mi się podobało, jak udawałaś jej zagorzałą fankę, a potem przyparłaś tę kobietę do muru w sprawie rzekomej pomyłki w Dufour.

- A ty doskonale odegrałeś rolę architekta krajobrazu. Prawie ci uwierzyłam.

Todd wybuchnął śmiechem.

Wracali do Paryża, rozmawiając o tym, czego się dowiedzieli i zastanawiając się wspólnie, co dalej.

- Jeśli chodzi o numery kont w Szwajcarii, to nawet Hilton Whitehead niewiele zdziała - wyraził przypuszczenie Todd. - Nie mówiąc już o tych w arabskim banku.

- To prawda - zgodziła się z nim Allegra. - Uzyskanie od banku jakichkolwiek informacji jest raczej niemożliwe, nawet przez rząd, a co dopiero przez osobę prywatną. Wydaje mi się jednak dziwne, że księżniczka przesyła pieniądze najpierw do Szwajcarii, a potem do arabskiego banku. Nie widzę w tym sensu. Chyba że chce mieć swobodny dostęp do gotówki w tamtych krajach. - Spojrzała na Todda. - Czy wydaje ci się prawdopodobne, że Karima będzie prowadzić akcję dobroczynną na Bliskim Wschodzie?

Todd pokręcił głową.

- Z tego, co o niej czytałem, sędzę, że wręcz przeciwnie. Od wczesnej młodości próbuje wymazać wszystkie swoje powiązania z Bliskim Wschodem. Za wszelką cenę chce uchodzić za Europejkę i kosmopolitkę.

- Może zmieniła zdanie - powiedziała z zadumą Allegra. - Może chce wrócić do swoich korzeni.

- Może. Ale jej styl życia raczej na to nie wskazuje. Widziałś to, co gazety nazywają skromnym młynem. Wielka posiadłość warta miliony dolarów, samo jej utrzymanie musi kosztować fortunę. Nie wygląda, żeby nasza księżniczka ślubowała ubóstwo.

- Nie, chociaż mimo że żyje w luksusie, narzuciła sobie pewne ograniczenia. Mam mętlik w głowie, ale jednego jestem pewna: wiedziała o zamianie pierścionków w Dufour. Według mnie, trochę za gorliwie broniła galerii.

- No, nie wiem - odrzekł ostrożnie Todd. - Ja odniosłem wrażenie, że była zaskoczona.

- Nie, moim zdaniem wcale nie - upierała się Allegra. - Wiedziała o wszystkim.

- Może masz rację - ustąpił Todd. - Rozumiem, że podpowiada ci to kobieca intuicja. Ale muszę przyznać, że mnie księżniczka by nabrała.

- Warto by zatelefonować pod te numery i przekonać się, do kogo należą. Allegra spojrzała na swoje zapiski.

- W tym akurat może nam pomóc Hilton Whitehead. Myślę, że będzie w stanie to sprawdzić.

- Naprawdę tak. sądzisz?

- Ma kontakty w firmach komunikacyjnych na całym świecie.

- W takim razie powinniśmy do niego zadzwonić - zdecydowała Allegra. - Odszukała w torebce telefon komórkowy. - Poza tym chcę go zawiadomić o Sylvie i Paulu.

- Jeśli jeszcze nie wie - mruknął Todd.

Jacht był prawdziwym pływającym pałacem, lecz w przeciwieństwie do wielu nowo wybudowanych świątyń luksusu przemierzających ciepłe wody planety, wciąż przypominał łódź. Nie było na nim plastiku i włókna szklanego, ton marmuru czy też

wymyślnych tkanin i sprzętów, zamiast nich zastosowano tekowe i mahoniowe drewno, brąz i nikiel, oraz naturalne płótno. O ile wybór materiałów użytych do konstrukcji i dekoracji mógł uchodzić za trochę staroświecki, o tyle wyposażenie obejmowało wszystkie dostępne elementy najnowocześniejszej techniki, między innymi GPS, dwustronną komunikację satelitarną, cyfrowy system nawigacji, sonar, radar, szerokopasmowe łącze internetowe i aparaturę do wideokonferencji. Poza licznymi plazmowymi telewizorami o wielkich ekranach, odtwarzaczami CD i podręczną biblioteką, rozrywce mogły służyć ślizgacze, skutery wodne oraz sprzęt do windsurfingu. Na pokładzie znajdował się także helikopter, w każdej chwili gotowy do startu.

Na północnym wschodzie pogoda nie sprzyjała jeszcze żeglowaniu dla przyjemności i zazwyczaj jacht aż do lata przebywał na Karaibach. Hilton Whitehead uznał jednak, że wyjątkowa okazja wymaga sprowadzenia wytwornego pływającego stateczku z Saint Bart's do Nowego Jorku, żeby urządzić na łodzi przyjęcie połączone z wycieczką wokół Manhattanu. Szybko rozesłał zaproszenia do przemysłowych i towarzyskich gigantów na całym świecie i niecierpliwie wyczekiwał momentu, gdy podczas szampańskiej zabawy ogłosi zaręczyny z Kitty. Dodatkową niespodzianką miało być obdarowanie szczęśliwej narzeczonej pierścieniem, który należał do księżniczki Karimy.

Jacht przyplłynął poprzedniego dnia i stał przycumowany w New Jersey, ponieważ na Manhattanie nie było odpowiedniego miejsca dla

tak długiej jednostki. Załoga i ludzie z firmy cateringowej krzżeli się po pokładzie, przygotowując wszystko do przyjęcia, które miało się odbyć za dwa dni o zmierzchu. Hilton zjawił się w New Jersey osobiście, żeby dopilnować szczegółów. Przywiózł ze sobą Kitty.

- Czasami mnie zadziwiasz, Hiltonie - powiedziała, spoglądając na niego znad ostatniego numeru włoskiego wydania „Vogue”, który studiowała tak uważnie, jakby to była Biblia.

Hilton popatrzył na Kitty, rozciągniętą na pasiastej, biało-niebieskiej kanapie w głównym salonie.

- Dlaczego? - spytał z uśmiechem.

- Zatrudniasz tylu ludzi, a musisz sam przyjeżdżać, żeby się upewnić, czy wszystko robią jak trzeba. Nie rozumiem, za co ty im właściwie płacisz?

- Zależy mi, żeby to przyjęcie było zorganizowane perfekcyjnie, dlatego chcę sprawdzić, czy wszystko jest dopięte na ostatni guzik.

Kitty westchnęła z rezygnacją.

- Nie rozumiem, czemu akurat to przyjęcie ma być takie wyjątkowe. Gromada biznesmenów i paru snobów z towarzystwa. Chcesz na nich zrobić wrażenie? Przecież jesteś lepszy od każdego z nich.

- No cóż, to naprawdę ma być wyjątkowe przyjęcie. Kitty polizała palec, żeby przewrócić kolejną stronę czasopisma.

- Ja tam nie widzę w nim nic wyjątkowego.

- Zobaczysz, zobaczysz... - mruknął Hilton pod nosem.

- Och, Hiltonie, jesteś taki tajemniczy. Co masz zamiar zrobić? Pochwalić się jakimś nowym nabytkiem? Nową fuzją?

- Może.

- Osobiście uważam, że najlepsze są przyjęcia bez okazji. Organizowane po to, żeby się po prostu zabawić. Niektóre z twoich przyjęć przypominają nudne spotkania w interesach. Panowie popijają w swoim gronie, a panie prowadzą rozmowy o niczym. Kilka z nich stara się zabłysnąć strojami, ale większość wygląda jak sprzątaczkę w pożyczonych ciuchach. Doprawdy trudno sobie wyobrazić coś nudniejszego.

Hilton bezwiednie zacisnął szczęki. Kitty zaczynała go irytować. Gdyby wiedziała, że całe to zamieszanie jest z jej powodu, może zachowywałaby się inaczej... choć nawet tego nie mógł być pewien. Wiedział, że nie znosi większości ludzi, z którymi utrzymywał stosunki biznesowe ani ich żon. Nie lubiła też spotkań z przedstawicielami elity, z którymi był zaprzyjaźniony; bardziej pociągali ją zblazowani hedoniści, żyjący jedynie rozrywkami.

- Posłuchaj - zaczął, starając się zachować cierpliwość. - To przyjęcie jest dla mnie ważne i mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawić. Wiem, że niektórzy z tych ludzi nie są specjalnie błyskotliwi, ale większość naprawdę wiele osiągnęła w życiu.

- Ha! - prychnęła Kitty. - Zrobili pieniądze. Głównie to im się udało. Ale nawet nie wiedzą, jak je wydawać.

- Kitty, gadasz bzdury - rzucił ze złością. - Oni po prostu nie wydają ich w taki sposób, jak ty byś to robiła. Co roku przeznaczają

miliony na różne godne cele. Zakładają fundacje charytatywne, budują szpitale, sierocińce, szkoły, muzea... Może nie wydaje ci się to specjalnie efektowne, ale dzięki nim świat staje się trochę lepszy.

Kitty miała świadomość, że posunęła się trochę za daleko i doszła do wniosku, że należy szybko załagodzić sytuację.

- Nie chciałam cię zdenerwować - powiedziała przymilnym tonem. - Przepraszam, kochany. - Podniosła się z kanapy i podeszła do Hiltona. - Wybacz mi, proszę. - Pocałowała go. - Zrozum, że po prostu trochę się przy nich nudzę. Wiem, że są mili i robią dobre rzeczy. Nie powinieneś myśleć, że nie doceniam ich zasług.

Hilton zajrzał jej głęboko w oczy. Nikt inny nie zaspokajał go seksualnie tak, jak Kitty, ale ostatnio zaczęło do niego docierać, że jest zepsuta i nieszczerą. Nie był pewien, czy potrafi z tym żyć. Jednak widząc skruchę na jej ślicznej twarzy, czując bliskość wspaniałego, zmysłowego ciała, natychmiast był skłonny wybaczyć jej egoizm i próżność.

Przycisnęła się do niego piersiami, jednocześnie obejmując go i gładząc po plecach.

- Hiltonie - wymruczała zalotnie. - Wiem, że jestem niegrzeczną dziewczynką, ale postaram się poprawić. Obiecuję. - Pocałowała go namiętnie.

Nie potrafił się jej oprzeć. Odwzajemnił pocałunek, czując napięcie w całym ciele. Kitty przeniosła dłoń na jego udo.

Oboje się wzdrygnęli, kiedy nagle zadzwonił telefon Hiltona.

- Niech to diabli. - Oderwał się od niej.

- Nie odbieraj - poprosiła.

- Muszę. - Wyjął aparat z etui przy pasku. - Hilton Whitehead.

Kitty wróciła na kanapę i wyciągnęła się w kuszącej pozie.

- Witam - rzucił do telefonu. - Proszę chwilkę poczekać. Chcę porozmawiać, ale muszę przejść do mojej prywatnej kabiny. Straszne tu zamieszanie.

- Jesteś na łodzi? - spytała Allegra.

- Owszem. Zaczekałem w New Jersey. Pojutrze wydaję wielkie przyjęcie i miałem nadzieję, że zdążycie z Toddem wrócić na czas, żeby wziąć w nim udział.

- Brzmi obiecująco - powiedziała. - Czy to jest...?

- Owszem - potwierdził szybko Whitehead, domyśliwszy się, o co jej chodzi. - Chwileczkę. - Wszedł do kabiny i zamknął za sobą drzwi. - Teraz możemy swobodnie rozmawiać. Proszę mi powiedzieć, jak tam nasze sprawy?

- No cóż, trochę się wydarzyło. Z przykrością muszę ci donieść, że Sylvie zginęła w wypadku samochodowym.

- Zginęła? - powtórzył z niedowierzaniem.

- Tak, jej przyjaciel Paul również. - Opowiedziała mu, jak Sylvie próbowała przejechać ją i Todda i jak się to skończyło.

Hilton przyjął wiadomość z ciężkim westchnieniem.

- To bez sensu - stwierdził ze smutkiem. - Myślę, że w głębi duszy była dobrym człowiekiem. I świetnie się spisywała jako pracownik. Naprawdę tego nie rozumiem...

- Ja też - przyznała Allegra.

- Dobrze, że mi powiedziałaś. Byłem tak zajęty przygotowaniami do przyjęcia, że właściwie z nikim się nie kontaktowałem.

- Jest jeszcze coś - dodała.

- Co takiego?

- Złożyliśmy dziś z Toddem wizytę księżniczce Ka-rimie.

- Słucham? Nie wierzę.

- A jednak. Chciałam się przekonać, co ma do powiedzenia na temat zamiany pierścionków w Dufour. - Przedstawiła mu szczegóły wyprawy do Fontainebleau.

- Jesteście niesamowici! - zawołał ze śmiechem. - Powinienem was zatrudnić.

- Obawiam się, że oboje mamy już dość przygód. - Allegra także się roześmiała.

- Prawdopodobnie nie uda mi się już dzisiaj złapać nikogo w Dufour - uznał Whitehead - .. .ale w poniedziałek zadzwonię tu i tam. Znam parę osób z zarządu galerii, więc może się czegoś dowiemy.

- Jest jeszcze jedna sprawa, w której chyba mógłbyś nam pomóc. - Powiedziała mu o przelewach i tajemniczych numerach telefonów. - Kiedy przeglądałam kopie przelewów, zauważyłam na biurku notes z adresami. Te imiona i numery były zapisane na kartce, która z niego wypadła.

- Chwileczkę. Wezmę tylko coś do pisania.

Allegra czekała, spoglądając przez okno samochodu. Zbliżali się już do Porte d'Italie; pozostał im do przejechania niewielki odcinek drogi powrotnej do hotelu.

Kiedy Hilton znów się odezwał, podyktowała mu imiona i numery.

- Nie wiem, czy sprawdzenie, kim są ci ludzie, cokolwiek nam da - zastrzegła. - Mogą być na przykład ogrodnikami, ale coś mi mówi, że raczej nimi nie są.

- Wygląda na to, że księżniczka coś knuje. Najwyraźniej gromadzi pieniądze w arabskim banku i chce to zachować w tajemnicy - odrzekł Whitehead. - Zaraz się tym zajmę i do was oddzwonię. Potrzebuję co najmniej godziny, ale oddzwonię na pewno.

- Bardzo dziękuję, Hiltonie.

Zakończyli rozmowę; Allegra wrzuciła komórkę do torebki i spojrzała na Todda.

- Zamierza od razu zabrać się do sprawdzania tych numerów telefonów - powiedziała.

- Mam nadzieję, że uda mu się coś odkryć - westchnął. - Może przynajmniej się dowiemy, jak to naprawdę jest z naszą księżniczką.

Allegra dostrzegła w oddali bliźniacze wieże Notre-Dame.

- Miło będzie znaleźć się z powrotem w Ritzu. Mam ochotę na prysznic i małą drzemkę. A ty?

Spojrzał na nią z przewrotnym uśmiechem.

- Doskonały pomysł. Bardzo mi się podoba. Możemy wziąć prysznic razem, żeby oszczędzić wodę.

- Ach, to ekologiczne podejście - powiedziała Allegra.
- Jasne. Jedyne właściwe.

Scandalous

R o z d z i a ł 2 2

Jason obudził się z potwornym bólem głowy i nieprzyjemną suchością w ustach. Ciało miał jak z ołowiu; marzył tylko o tym, żeby jeszcze trochę pospać. Suszyło go jednak tak strasznie, że dowlókł się do kuchni i wypił duszkiem trzy szklanki wody. Następnie poczłapał do łazienki i przejrzał się w lustrze. Włosy miał pozalepiane w tłuste strąki, skórę na twarzy szorstką i zszarzałą, oczy nabiegłe krwią i sino podkrążone. Wydał z siebie jęk, który zabrzmiał bardziej jak żałosne skrzeczenie z powodu wyschniętego gardła.

Wrócił do kuchni, nalał sobie szklankę soku pomarańczowego, opróżnił ją jednym haustem i otarł usta wierzchem dłoni. Jeszcze nigdy w życiu nie zdarzył mu się tak potężny kac. Przypomniawszy sobie jednak, że też nigdy w życiu tyle nie wypił, nie mówiąc już o mieszaniu alkoholu z narkotykami. Opadł na krzesło przy kuchennym stole, podpierając dłońmi obolałą głowę.

Wieczór zaczął się od tego, że Cameron zabrał go do trzech popularnych barów, wypełnionych atrakcyjnymi, napalonymi facetami. Stawiał Jasonowi drinka za drinkiem - szkocką whisky z wodą - i z entuzjazmem przedstawiał go różnym nowojorskim ważniakom. Wiódł go za sobą przez gwarny, modnie ubrany tłum niczym wystawowego byka. Zanim w końcu wyszli stamtąd, żeby coś zjeść, Jason miał wrażenie, że wymienił uściski dłoni i pocałunki chyba z setką przystojnych mężczyzn.

W restauracji dołączyli do trzech innych par: słynnego projektanta mody z towarzyszem, znanego dekoratora wnętrz z

przyjacielem i wściekle bogatego maklera z Wall Street ze swoim chłopcem maskotką. Pili koktajle, potem jakieś nieprzyzwoicie drogie wino do kolacji, a na koniec znów drinki.

Okolo północy Jason ledwie się trzymał na nogach; chciał wrócić do domu i położyć się spać.

- Dopiero zaczynamy - ofuknął go Cameron. - Do rana daleko. - Zaprowadził go do restauracyjnej łazienki, wyjął z kieszeni pojemniczek z kokainą i podał Jasonowi słomkę. - Pociągnij zdrowy niuch każdą z dziurek, złotko - poradził.

Jason miał opory. Przed laty zdarzyło mu się kilka razy palić marihuanę, ale poza tym nigdy nie eksperymentował z narkotykami. Cameron jednak nalegał i chłopak w końcu ustąpił. Niemal od razu poczuł działanie kokainy; miał wrażenie, że eksplodowała mu w mózgu. Zmęczenie nagle znikło. Poczul niesamowity przypływ energii, usta same wygięły mu się w uśmiechu.

- Teraz ruszamy do klubów - zdecydował Cameron.

Tak zaczęła się ich wędrówka po najmodniejszych klubach tanecznych na Manhattanie, trwająca do następnego ranka. Tańczyli, przytulając się do siebie bez skrępowania. Pili jednego drinka za drugim. Wciągali kokainę. Łykali tabletki ekstazy. Wąchali azotyn amylu.

Jason nalał sobie kolejną szklanekę soku pomarańczowego i tym razem pił ją powoli. Woda zmieszana w żołądku z sokiem zaczynała gasić nieznośne pragnienie. Gdyby jeszcze ustąpiło bolesne pulsowanie w głowie, poczułby się prawie jak człowiek. Wstał od

kuchennego stołu i przeszedł na palcach do łazienki, gdzie w szafce z lekami znalazł aspirynę. Połknął trzy tabletki, popijając je wodą.

Wracając do kuchni przez sypialnię, zerknął na łóżko i stanął jak wryty.

Jakiś mężczyzna, którego imienia Jason nawet nie pamiętał - Gary? Greg? Gray? - leżał przytulony do Camerona. Ramię Camerona spoczywało na jego barkach. Obaj spali smacznie, najwyraźniej nie przejmując się obecnością Jasona.

Miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Przypomniawszy sobie, jak Cameron namawiał tego chłopaka, żeby poszedł z nimi do domu. Patrzył na niego i dotykał go, co chwilę zapewniając Jasona, że to nic nie znaczy.

- Przecież wszyscy tak robią - powtarzał. - To nic ważnego, tylko wzbogaci nasz związek.

Jason wrócił do kuchni i usiadł przy stole. Oparł głowę na rękach. Poczuł, jak na czoło wychodzą mu krople potu. Coś dziwnego działo się z jego żołądkiem. Chwycił ścierkę, wytarł sobie twarz i siedział, gapiąc się przed siebie niewidzącym wzrokiem.

Nagle oczy zaszczyły mu łzami; nacisnął palcami powieki, starając się powstrzymać płacz. Dotarło do niego z całą jasnością, że Cameron po prostu go wykorzystał. Jeśli nawet czuł do Jasona autentyczny pociąg fizyczny, to jego zapewnienia o miłości nic nie znaczyły.

Łzy nie dały się zatrzymać, spływały po policzkach. Ciałem chłopaka wstrząsnął szloch. Zasłonił usta dłonią, żeby nie było go słychać. Byłem taki głupi, pomyślał, ślepy idiota! Cameron

wykorzystał mnie jak zabawkę, żeby sobie poużywać i co gorsza, zdobyć projekty Allegry.

Ponieważ Jason w końcu musiał przyznać, że tamtemu brakło pomysłów. Albo też był zbyt leniwy, żeby się samemu wysilać. Szukał drogi na skróty i znalazł ją dzięki Jaso-nowi. Uwiódł go seksem i obietnicami wiecznej miłości, a on połknął przynętę, stając się jego gorliwym współnikiem w kradzieży projektów Allegry.

Jak mogłem być aż tak głupi?, nie mógł się nadziwić. Jak mógł się związać z kimś tak całkowicie pozbawionym skrupułów? Dlaczego wcześniej nie zauważył, że Cameron jest zwykłym oszustem?

Jason czuł, że potrzebuje długiego, gorącego prysznica, żeby zmyć z siebie wszelkie ślady po tym człowieku. Urwał kawałek papierowego ręcznika, wydmuchał nos, a potem przez chwilę stał oparty o granitowy blat kuchenny. Zgnębiony i pełen żalu, uzmysłowił sobie, że jeszcze nigdy w życiu nie czuł się taki samotny. Oddałby wiele, by móc porozmawiać z jakąś przyjazną duszą. Tylko że nie miał już nikogo takiego. Allegra zawsze była dla niego przyjaciółką, a on zdradził jej zaufanie.

Pulsowanie w skroniach stopniowo słabło. Kiedy już był w stanie w miarę jasno myśleć, podjął decyzję. Zamierzał zrobić wszystko, co się da, żeby naprawić swój błąd.

Wszedł do pracowni, gdzie leżały kserokopie projektów Allegry. Spakował je do plecaka i płóciennej torby. Potem otworzył szufladę biurka, do której Cameron w jego obecności schował woreczki z

kamieniami. Jason pamiętał, że tamten wrzucił je niedbałym ruchem, jakby były bezwartościowym śmieciem.

Wsunąwszy woreczki do plecaka, wyszedł z pracowni, zostawił plecak i torbę przy drzwiach wyjściowych i na palcach przeszedł przez sypialnię do łazienki, skąd wziął swoje przybory toaletowe. Potem, starając się zachowywać jak najciszej, zabrał z sypialni swoje ubrania, nie zapominając o skarpetkach i butach.

Ubrał się w kuchni, wyjął kurtkę z szafy w holu i już miał otworzyć drzwi, gdy nagle się zawahał. Ponownie wrócił do kuchni i w notatniku używanym do spisywania list zakupów, szybko nabazgrał ołówkiem wiadomość:

Cameron,

Odchodzę i zabieram ze sobą kserokopie i kamienie. Zostawiłem trochę ubrań. Możesz je zatrzymać, choć nie wydaje mi się, żeby były w twoim stylu. Byłbym wdzięczny, gdybyś je odesłał do mojego mieszkania. Nie chcę o tym z tobą rozmawiać ani nie chcę cię więcej widzieć. Proszę, nie próbuj się ze mną kontaktować. Jason

Ram wszedł do swojej biblioteki na rue de Elzevir i zbliżył się do połączonej konsoli służącej za barek. Nalał armaniaku do staroświeckiego kryształowego kieliszka i opróżnił go jednym haustem. Nie chciał pić za dużo. Pragnął zachować najlepszą formę na nadchodzący wieczór. Już sama myśl o tym, co go czeka, była podniecająca i dodawała mu energii.

Zasiadł za wielkim dziewiętnastowiecznym biurkiem. Zapalając cygaro, wspomniął udaną poprzednią noc. Josette dostarczyła mu

chwilowej przyjemności, jakkolwiek nie wykraczało to poza zwykłą erotyczną rozrywkę. Był zadowolony, że zadzwonił i sprowadził ją do siebie, czego zwykle raczej nie robił. Elegancka i obyta, zawsze znała najświeższe plotki, jako że miała powiązania z najwyższymi kręgami rządowymi, biznesowymi i towarzyskimi. Zaspokoila jego potrzeby z wdziękiem damy, oczywiście za odpowiednio wysoką zapłatę, i teraz mogła zabawiać swoich możnych i bogatych klientów opowieściami o jurności Rama, jego wytwornym domu, znakomitym guście i wyjątkowej szczodrości. Jednakże spotkanie z Josette tylko zaostrzyło jego nienasycony apetyt. Dopiero dzisiejszy wieczór miał mu zapewnić satysfakcję, jaką rzadko zdarza się osiągać. Był o tym przekonany.

Wysunął szufladę i wyciągnął z niej małą plastikową torebkę ukrytą pod stosem starych zaproszeń. Obejrzał ją przy świetle padającym ze stojącej na biurku antycznej lampy z połączanego brązu. W torebce znajdowały się żelowe kapsułki pełne zmielonego proszku, znane pod nazwą pigulek gwałtu. Jedna wystarczała, by pozbawić kogoś świadomości na kilka godzin. Kadar był nieocenionym dostawcą tego rodzaju substancji.

Ram wsunął torebkę do kieszeni marynarki. Wkrótce spodziewał się wiadomości od Allegry Sheridan i jej chłopaka. A potem miała się zacząć zabawa, podczas której zamierzał wprowadzić w życie ostatni punkt swego planu.

Wstał od biurka i podszedł do jednego z balkonowych okien wychodzących na rue Elzevir. Poprzedniego wieczoru postanowił

jednak nie przynosić do domu szmaragdów, oryginalnych opraw i zdjęć. Zostawił je w sejfie w mieszkaniu na rue des Rosiers. Był zadowolony z podjętej decyzji. Rozsunął zasłony i spojrzął na hotel particulier po drugiej stronie ulicy. Po kolacji zabiorę ich na rue des Rosiers, pomyślał. Ta wścibska para amerykańskich prostaków przekona się, dlaczego szmaragd Karimy jest taki ważny. To będzie ich ostatnia radość, zanim znikną z tego świata.

Todd otworzył drzwi hotelowego pokoju i przepuścił Allegrę przodem. Zaczepiwszy o coś obcasem, spojrzała pod nogi i zobaczyła dużą welinową kopertę w kolorze kości słoniowej. Pochyliła się, żeby ją podnieść.

- Co to jest? - zdziwiła się na głos. Todd zajrzał jej przez ramię.

- Nie wiem, ale jest na niej twoje nazwisko. Allegra rozdarła kopertę, wyjęła ze środka akrusz grubego listowego papieru i przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Nie wierzę własnym oczom. Posłuchaj - zwróciła się do Todda.

- *„Droga panno Sheridan, byłbym zaszczycony, mogąc gościć panią i pani przyjaciela na kolacji w moim domu dziś wieczorem. Cieszę się, że panią poznałem i przyszło mi do głowy, że moglibyśmy się spotkać, by porozmawiać o pani karierze. Firma Julesa Levanta zawsze jest otwarta na młodych, kreatywnych projektantów biżuterii, warto więc byłoby pomówić o różnych możliwościach, zanim wyjedzie pani z powrotem do Nowego Jorku. Przyślę po państwa samochód o wpół do ósmej. Gdyby państwo nie mogli skorzystać z zaproszenia, proszę mnie o tym powiadomić, dzwoniąc pod niżej podany numer.*

Nawiasem mówiąc, Paryż to małe miasto; byłem zachwycony, dowiedziałysy się, że zamieszkaliście państwo w Ritzu! Mam nadzieję, że się nie narzucam i że zechcą państwo spełnić moją prośbę. Z poważaniem, Ramtane Tadjer". - Skończywszy czytać, spojrziała na Todda spod uniesionych brwi. - Nie mogę w to uwierzyć.

- Skąd on, u diabła, wiedział, gdzie jesteśmy? - zdziwił się Todd.

- „Paryż to małe miasto” - zacytowała z ironią Allegra. Todd usiadł na łóżku i zaczął ściągać buty.

- Albo nas śledzono, albo on ma wszędzie szpiegów.

- Chyba powinnam się przestraszyć, ale myślę... - zaczęła Allegra z zadumą.

- Co myślisz? - wszedł jej w słowo Todd.

- Po prostu jestem ciekawa owych „możliwości”.

- Sądzisz, że naprawdę chodzi mu o to, co napisał?

Odpowiedziała wzruszeniem ramion.

Todd przyjrzał jej się z pobłażliwym uśmiechem.

- Allegra, zastanów się przez chwilę. Przypomnij sobie, do jakich wniosków doszliśmy wspólnie na temat tego człowieka.

Skupuje szmaragdy i ten, który ty masz, także chciał kupić, zgadza się?

Pokiwała głową.

- Ktoś do ciebie strzelał w muzeum, zgadza się?

- Prawdopodobnie - potwierdziła z wahaniem.

- Prawdopodobnie? - Głos Todda przybrał ostrzejszy ton. - Ten facet jest niebezpieczny.

- Ale zaprosił nas oboje na kolację - zauważyła.

- Ty po prostu chcesz wykorzystać okazję, żeby coś od niego wyciągnąć, tak? - spytał Todd podejrzliwie.

- Ja... po prostu jestem ciekawa. A ty nie? - próbowała się bronić.

Todd opuścił wzrok na podłogę; przez chwilę milczał zadumany.

- I tak, i nie - odezwał się w końcu. - Nie chcę cię narażać na żadne niebezpieczeństwo.

- Och, daj spokój, Todd. Jestem już dużą dziewczynką. Poza tym przecież dopiero co wróciliśmy z wizyty u księżniczki Karimy, która z całą pewnością też jest zamieszana w aferę ze szmaragdami.

- Ale ten Tadjer... Sam nie wiem... - Todd nie miał ochoty łatwo ustąpić.

- Posłuchaj. - Allegra postanowiła sięgnąć po bardziej racjonalne argumenty. - Cokolwiek by o nim myśleć, nie może być tak całkiem szalony. Jest uznanym jubilerem, sławnym i powszechnie szanowanym. Nie będzie przecież próbował żadnych sztuczek we własnym domu. Zresztą nie zabierzemy ze sobą pierścionka. Pozostanie tutaj, bezpiecznie ukryty w sejfie. Sam więc powiedz, czego mielibyśmy się obawiać?

- Myślę, że powinniśmy się obawiać wielu rzeczy. - Todd westchnął. - Ale skoro tak ci zależy na wyjaśnieniu tej sprawy, to chyba zjemy kolację z... - Wziął od Allegrzy zaproszenie i spojrzał na nazwisko. - ...z panem Ramta-ne'em Tadjerem.

Allegra podziękowała mu szerokim uśmiechem.

- Mamy czas, żeby wziąć prysznic i się przebrać - powiedziała, zerkając na zegarek. - Może nawet zdążymy wypić po drinku, zanim przyjedzie po nas samochód.

- Może najpierw się napijmy - zaproponował Todd. - Prysznic i ubieranie mogą poczekać. Jak myślisz?

- Myślę, że chodzi ci o szybki numer.

Todd zbliżył się do niej z chytrym uśmiechem.

- Taaak...? - mruknął przeciągle. - Skąd ci przyszedł do głowy taki pomysł?

Hilton Whitehead martwił się o Allegrę i Todda; wiedział, że musi się z nimi jak najszybciej skontaktować. Domyślał się, że igrają z ogniem, ale nigdy by nie przypuszczał, że może chodzić o coś takiego.

Kiedy sięgał po telefon, żeby do nich zadzwonić, ktoś zapukał do drzwi kabiny.

- Później - zawołał. - Teraz jestem zajęty.

- Hiltonie, to ja - dobiegł go stłumiony głos Kitty. - Wpuść mnie.

-I po chwili: - Co ty tam robisz?

Zniecierpliwiony otworzył drzwi.

- Posłuchaj, muszę zatelefonować w bardzo ważnej sprawie.

Zaraz do ciebie przyjdę.

Twarz Kitty spochmurniała.

- Czemu nie mogę tu posiedzieć, jak będziesz dzwonił? Tam jest istne szaleństwo. Ci wszyscy kelnerzy i dekoratorzy... Tylko im zawadzam.

- No dobrze - westchnął z rezygnacją. - Ale proszę cię, siedź cicho i nie przeszkadzaj. To może być sprawa życia i śmierci.

Kitty uniosła brwi.

- Życia i śmierci? - powtórzyła piskliwie. - W co ty się wmieszałeś?

- W nic. Usiądź. I proszę, bądź cicho.

Kitty posłusznie usadowiła się na kanapie. Sięgnęła po leżące na stoliku obok czasopismo, ale nie spuszczała wzroku z Hiltona, który krążył po kabinie, przejęty i zdenerwowany.

- Allegro - powiedział do telefonu. - Todd. Zadzwońcie do mnie natychmiast po odsłuchaniu tej wiadomości. Chcę, żebyście jak najszybciej wsiedli do samolotu. Te imiona i numery, które miałem sprawdzić... Wszyscy ci trzech mężczyźni są związani z organizacjami terrorystycznymi. A dwaj z nich mają kontakty z Al Kaidą. Chcę, żebyście...

Nagle odsunął od ucha telefon i popatrzył na niego tak, jakby trzymał w dłoni węża.

- Cholera jasna! - zaklął.

Kitty poderwała się na równe nogi.

- O co chodzi, Hiltonie? - spytała przestraszona. - Co się dzieje?

- Nie można zostawić dłuższej wiadomości - wyjaśnił szorstkim tonem.

- Wiesz, że nie o to mi chodzi - obruszyła się. Usiadł na brzegu łóżka, odwrócony do niej plecami.

- Dwoje ludzi wypełnia dla mnie pewne zadanie i obawiam się, że bardzo poważnie ryzykują.

- O co chodzi z tymi organizacjami terrorystycznymi? I z Al Kaidą? - Nie odpowiadał, więc Kitty zniecierpliwiona tupnęła nogą. - Powiedz mi, Hiltonie. To brzmi bardzo groźnie. Co się, u diabła, dzieje?

- Nie martw się, tobie ani mnie nic nie grozi - rzekł ponuro. - Boję się o tych dwoje w Europie.

- Jesteś pewien? - Kitty nie wyglądała na przekonaną.

- Na sto procent. Wreszcie odetchnęła z ulgą.

- Pomyślałam, że może to chodzi o ciebie. Ci ludzie są szaleni. Przestraszyłam się, że może ktoś chce ci zrobić krzywdę tylko dlatego, że jesteś Amerykaninem, i do tego bogatym.

- Och, na litość boską, Kitty - zachnął się. - To nie ma nic wspólnego ze mną...

Kitty usiadła obok niego na łóżku.

- Dzięki Bogu - westchnęła, gładząc go po policzku. - Nie chciałabym, żeby coś ci się stało. Nam.

Odwrócił się, żeby spojrzeć jej w twarz.

- A tamci dwoje? Mogą mieć poważne kłopoty.

- Ważne, że my jesteśmy bezpieczni - odparła spokojnie Kitty.

- Ciebie naprawdę nie obchodzą inni ludzie, prawda? Musnęła jego wargi pocałunkiem.

- Oczywiście, że mnie obchodzą - zapewniła. - Skoro są dla ciebie ważni, to dla mnie także.

Hilton Whitehead nie po raz pierwszy miał wątpliwości, czy w słowach Kitty jest choćby cień prawdy. Zastanawiał się, czy rzeczywiście obchodzi ją ktokolwiek poza nią samą.

- Posłuchaj... - Uścisnął lekko jej rękę. - Muszę zadzwonić jeszcze w parę miejsc. W interesach. To nie potrwa długo. Może byś w tym czasie popływała w basenie albo znalazła sobie jakąś inną rozrywkę?

Kitty wyczuła, że będzie lepiej, jeśli zostawi go samego.

- Dobrze - powiedziała z udawanym entuzjazmem. -Może... obejrzę jakiś film.

- Świetny pomysł - pochwalił ją. - Jest kilka nowych na DVD. Niedługo do ciebie przyjdę.

Już w progu odwróciła się, żeby mu posłać całusa.

- Do zobaczenia - wymruczała uwodzicielsko. Pokiwał głową i zamknął za nią drzwi. Musiał się upewnić, czy samolot jest we Francji, gotowy do startu. Planował też zadzwonić do Ritza i zostawić wiadomość w recepcji, na wypadek gdyby Allegra nie odsłuchiwała poczty głosowej. Martwiło go, że nie odebrała telefonu, kiedy do niej dzwonił. Może przez nieuwagę wyłączyła komórkę. A jeśli wyszli gdzieś z Toddem i są poza zasięgiem? A jeśli...

Przywołał się w duchu do porządku. Nie mógł sobie pozwolić na panikę. Należało spokojnie pomyśleć: Tylko... jak mógł im pomóc, znajdując się tysiące kilometrów od nich?

Nagle pożałował, że w ogóle wpadł mu w oko ten przekłety szmaragd.

R o z d z i a ł 2 3

Allegra z Toddem trzymali się za ręce, siedząc na tylnym siedzeniu wielkiego bentleya. Szofer o imieniu Marcel powiedział im, że jazda do monsieur Tadjera potrwa tylko kilka minut. Allegra miała ochotę go zagadnąć o Gerarda, ochroniarza, który został zastrzelony, ale po namyśle uznała, że lepiej nie zadawać żadnych pytań.

Przynajmniej na razie. W lewej ręce mocno ścisnęła czarną atłasową torebkę, zapinaną na metalowy zatrzask ozdobiony sztucznymi brylancikami. Cieszyła się, że zabrała ją ze sobą do Paryża. Pistolet Paula doskonale się w niej mieścił.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Marcel, skręcając na brukowany podjazd. Zahamował, wziął do ręki pilota i nacisnął jeden z guzików. Wielkie skrzydła bramy wolno rozsunęły się na boki. Oboje odwrócili się do okien.

- O kurczę! - wykrzyknął z podziwem Todd. - Nasz gospodarz musi sprzedawać dużo biżuterii.

- Też tak sędzę - powiedziała Allegra. - I wygląda na to, że wie, jak wydawać pieniądze.

Samochód zatrzymał się na dziedzińcu, przed wejściem do wielkiego kamiennego gmachu. Pośrodku dziedzińca znajdował się okrągły klomb, na którym rósł duży bukszpan, przycięty w kształt trzech nałożonych na siebie kul, największej w dole, najmniejszej u wierzchołka; niższe krzaczki tej samej rośliny, również starannie przystrzyżone, wyznaczały granice klombu.

Marcel otworzył drzwi bentleya od zewnątrz, żeby Allegra mogła wysiąść. Todd przesunął się po siedzeniu i wysiadł za nią, z tej samej strony. Oboje zadarli głowy, podziwiając fasadę imponującej, dwupiętrowej budowli.

- Wygląda na koniec szesnastego lub początek siedemnastego wieku - ocenił Todd.

Nagle otwarły się masywne dębowe drzwi i pan domu wyszedł im naprzeciw.

- Witam w moich progach - powitał ich z szerokim uśmiechem. Uścisnął im dłonie. - Ramtane Tadjer -przedstawił się Toddowi. - Dla przyjaciół Ram. Tak się cieszę, że państwo mogli przyjechać.

- Todd Hall, miło mi pana poznać - powiedział Todd. -Allegra opowiadała mi o pańskim fantastycznym sklepie.

- Jestem zaszczycony, panno Sheridan - zwrócił się Ram do Allegry.

- Proszę mnie nazywać po imieniu.

- Zatem Allegro i Todd... - Zawiesił głos, spoglądając pytająco na Todda. Po jego aprobującym skinieniu głową, dokończył: - Zapraszam do środka. - Wskazał na otwarte drzwi.

Rozejrzawszy się dokoła, Allegra odkryła, że Marcel zniknął, jakby się zapadł pod ziemię. Todd wziął ją za rękę i razem przekroczyli próg. Allegra na moment wstrzymała oddech z wrażenia.

- Wspaniała rezydencja - odezwała się pełnym podziwu, ściszym głosem.

- Po prostu dom - odrzekł skromnie Ram.

Z sufitu w wielkim holu zwisał ogromny żyrandol z setkami kryształowych sopli, kulek i wisiorków. Na ścianach znajdowały się nieco wyblakłe, choć nadal barwne gobeliny przedstawiające sielankowe scenki pasterskie. Pod ścianami stały pięknie rzeźbione skrzynie i komody, zastawione złożonymi świecznikami i cynowymi wazami.

- Może najpierw napijemy się czegoś w salonie - zaproponował Ram.

W holu pojawił się Marcel. Pomógł Allegrze zdjąć płaszcz. Todd nie miał okrycia, przyjechał w samym garniturze, ale oddał Marcelowi swoje rękawiczki i szalik.

- Tędy, proszę na górę. - Ram wyciągnął rękę w stronę schodów z misternie kutą balustradą.

Allegra i Todd ruszyli za nim po kamiennej posadzce z płyt ułożonych w ukośny wzór.

- Czy dobrze odgadłem, że budynek pochodzi z końca szesnastego lub początku siedemnastego wieku? - spytał Todd, kiedy wchodzili po dębowo-marmurowych schodach.

- Bardzo jesteś spostrzegawczy - powiedział z uznaniem Ram. - Początek siedemnastego.

- Od dawna tu mieszkasz? - włączyła się do rozmowy Allegra.

- Od kilku lat - brzmiała odpowiedź Rama. - Odziedziczyłem ten dom po śmierci Julesa Levanta.

- Był bardzo wielkodusznym człowiekiem - stwierdziła Allegra.

- W istocie - przyznał Ram. - Traktował mnie jak ojciec. On i jego żona przygarnęli mnie, kiedy byłem chłopcem.

Na pierwszym piętrze Ram skierował się do łukowatego przejścia na lewo od schodów.

- To tutaj.

Allegra i Todd poczuli się, jakby wstępowali do jaskini Ali Baby. Dwa kryształowe żyrandole oświetlały ściany obite bogato rzeźbioną boazerią, wypełnione obrazami i grafikami. Umeblowanie składało się wyłącznie z siedemnasto- lub osiemnastowiecznych francuskich antyków. Lampy, ustawione na stolikach, tworzyły dodatkowe plamy światła w ogromnym pomieszczeniu, dodając mu nieco przytulności.

Ram usadowił ich na wygodnej, obitej zamszem kanapie, a sam zasiadł naprzeciw w fotelu. Marcel znów pojawił się znikąd, jakby za sprawą czarów, z trzema kieliszkami szampana na srebrnej tacy. Potem zniknął tak samo bezszelestnie, jak się pojawił.

- Mam nadzieję, że nie uznacie mnie za aroganta, ale pomyślałem, że szampan będzie odpowiedni na tę okazję - powiedział Ram.

- Nie mamy nic przeciwko temu - zapewniła Allegra.

- Oczywiście - podchwycił uprzejmie Todd. Ram uniósł kieliszek.

- Za... parę młodych kochanków.

Allegra poczuła ciepło rumieńca na policzkach. Todd popatrzył na nią z uśmiechem.

- Jestem za.

Popijając szampana, rozmawiali o rezydencji. Todd zadawał Ramowi pytania na temat historii budowli, interesował się też niektórymi obrazami i meblami. Im więcej się dowiadywał, tym większe wrażenie robiły na nim doskonały gust gospodarza oraz jego rozległa wiedza. Coraz trudniej mu było uwierzyć, że ktoś taki mógłby być zamieszany w jakiegokolwiek ciemne sprawy.

Po mniej więcej półgodzinie Ram zaprowadził ich do równie wspaniałej jadalni, oświetlonej nastrojowym światłem świec ustawionych na stole. Freski na ścianach przedstawiały sceny polowań; postacie myśliwych, konie i psy wyglądały jak żywe na tle zielonych lasów i łąk. Marcel zaczął podawać do stołu. Smakowity posiłek składał się z gęsich wątróbek, grillowanych przepiórek w żurawinowym sosie, z dzikim ryżem i szparagami, oraz deseru w postaci perfekcyjnie przyrządzonego, ociekającego kaloriami creme brulee. Rozmowa przy jedzeniu toczyła się lekko, a dotyczyła głównie wspaniałego domu Rama i uroków francuskiej kuchni.

- Chyba jeszcze nie jadłam takiego pysznego creme brulee - pochwaliła szczerze Allegra.

- Ja też - przyznał Todd.

- Cieszę się, że wam smakowało - powiedział Ram. -Przekażę kucharzowi. Niewielu potrafi go dobrze przyrządzić. - Popatrzył na Allegrę, a potem na Todda. - Myślę, że moglibyśmy wstąpić na drinka do mojej małej kryjówki. To niedaleko, właściwie tuż za rogiem. Lubię to miejsce, bo tam przychodzą mi do głowy najlepsze pomysły.

Moglibyśmy porozmawiać o możliwościach współpracy, Allegro, bo w końcu po to cię zaprosiłem.

- To bardzo miłe z twojej strony - powiedział Todd, trochę zaniepokojony nieoczekiwaną propozycją - ale niedługo musimy wracać do hotelu. Wyjeżdżamy do Nowego Jorku jutro z samego rana.

- Tak naprawdę zamierzali wracać dopiero w poniedziałek, ale Ramtane Tadjer wcale nie musiał o tym wiedzieć. - Może omówicie sprawę telefonicznie, jak już będziemy w domu?

Allegra spojrzała na Todda z irytacją, co nie uszło uwagi Rama.

- Och, uważam, że takie rzeczy załatwia się raczej osobiście, nie sądzisz, Allegro?

- Skoro to tak blisko, może jednak tam wstąpimy? Możemy się wyspać jutro w samolocie, a chciałabym usłyszeć, co masz mi do powiedzenia na temat naszej ewentualnej współpracy. - Allegra zwracała się do Rama, ale patrzyła przy tym na Todda.

- Mówisz, że to tuż za rogiem? - upewnił się Todd.

- Tak. Mam tam parę rzeczy, które chciałbym wam pokazać.

Myślę, że zainteresują szczególnie ciebie, Allegro.

- Tak? - Nie kryła zaciekawienia.

- Kilka wyjątkowych klejnotów - powiedział Ram. Na moment zawiesił głos dla uzyskania lepszego efektu. -Smaragdów. - Przeniósł wzrok na Todda. - Więc jak?

- Koniecznie muszę je zobaczyć - zdecydowała.

- No cóż... - Todd wciąż się wahał. - Niech będzie. -Nie mógł przecież pozwolić, by poszła tam sama.

- Świetnie - ucieszył się Ram. - Marcel nas podwiezie.

Po paru minutach siedzieli w wielkim bentleyu, zadziwiająco sprawnie przemieszczającym się wąskimi uliczkami Marais. Kiedy stanęli przed jedną z kamienic na rue des Rosiers, Allegra bezwiednie wstrzymała oddech. Znajdowali się przed domem, w którym mieszkał monsieur Weiss! Chciała to powiedzieć Toddowi, ale nie mogła się przecież zdradzić z tym, że prowadząc swoje prywatne śledztwo, rozmawiała ze starym szlifierzem o szmaragdach.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Ram. - To moje dawne lokum.

Wysiedli z samochodu i razem weszli do budynku. Wdrapali się po schodach na trzecie piętro, gdzie Ram otworzył duże stalowe drzwi.

- Mam to mieszkanie od czasu, gdy byłem chłopcem. Dostałem je od Julesa Levanta - wyjaśnił. - Zawsze służyło mi za azyl. Dom z dala od domu.

Mieszkanie składało się z dużego pokoju, wnęki kuchennej i łazienki. Pokój umeblowany był dużą, wygodną kanapą i fotelami, paroma stolikami, na których stały lampy, i półkami pełnymi książek. Na ścianach wisiały tanie plakaty, jakimi często ozdabiają swe pokoje studenci lub młode pary na dorobku. Sufit był na tyle wysoko, że mieściła się pod nim otoczona metalową barierką antresola, na którą prowadziły strome schody, podobne do drabiny. Z dołu widzieli wielkie łóżko z dwiema nocnymi szafkami i skrzynią na pościel oraz sporą szafę wbudowaną pod skosem dachu.

- Urocze wnętrze - wyraziła uznanie Allegra. -I sprawia wrażenie bardzo wygodnego.

- Zatem rozumiesz, dlaczego czasem lubię się tu zaszyć - powiedział Ram.

- Przypomina moje pierwsze mieszkanie w Nowym Jorku - odezwał się Todd.

- Usiądźcie, proszę - zachęcił ich Ram. Obszedł pokój dookoła, zapalając po kolei lampy.

Todd pomógł Allegrze zdjąć płaszcz, po czym odłożył go wraz ze swoimi rękawiczkami i szalikiem na opacie jednego z foteli. Usiedli razem na kanapie.

- Napijemy się armaniaku - zaproponował Ram. Stał w słabo oświetlonej wnęce kuchennej z butelką w dłoni. -To bardzo dobry, stary trunek. Jeden z najlepszych. - Odwrócony do nich plecami, wyjął z kuchennej szafki kieliszki i zaczął je napełniać.

- Widzę, że masz tu dużo książek na temat kamieni szlachetnych i projektowania biżuterii - zagadnęła Allegra, spoglądając z kanapy w stronę półek.

- Owszem - przyznał Ram, wciąż odwrócony do nich tyłem. - Większość z nich dostałem od Julesa i Hannah Levantów. Przeszedłem przy nich prawdziwe studia. Nauczyli mnie wszystkiego, co ma związek z jubilerstwem.

- To znaczy, że nigdy nie uczęszczałeś do żadnej szkoły przygotowującej do tego zawodu? - spytał Todd.

- Nie. Uczyłem się w pracy. Myślę, że to najlepsza metoda. Cóż, zaczynałem, mając piętnaście lat, więc nim osiągnąłem wiek odpowiedni do rozpoczęcia normalnych studiów, znacznie przewyższałem wiedzą większość adeptów tego zawodu.

W końcu odwrócił się do nich twarzą.

- Proszę. - Podeszedł i podał im kieliszki, a potem wrócił do kuchenki po swój. - Na zdrowie.

- Na zdrowie - odpowiedzieli równocześnie Allegra z Toddem.

Ram umoczył usta w armaniaku, obserwując oboje. Usiadł naprzeciw nich w fotelu.

- Smakuje? - zapytał.

- Doskonały - pochwaliła Allegra, mimo że ledwie spróbowała trunku. Nie znosiła żadnego alkoholu typu brandy, odkąd odkryła, że ma po nim straszego kaca, ale nie chciała tego mówić uprzejmemu gospodarzowi.

- Gładko wchodzi - odparł dyplomatycznie Todd, kołysząc lekko kieliszkiem. W istocie uważał, że trunek ma dziwny smak. Podobny do jakiegoś lekarstwa. Zupełnie nie przypominał armaniaku, który czasem pijał jego ojciec.

Ram odstawił kieliszek i oparł dłonie na kolanach.

- Chyba możemy przejść do rzeczy - oznajmił. - Mam tu w sejfie coś, co chciałbym wam pokazać, Przepraszam na moment, zaraz wrócę.

- W porządku - powiedziała Allegra. Nagle zaczęło jej się kręcić w głowie. - Proszę... się nie śpieszyć.

Ram wszedł na antresolę i wyjął z kieszeni klucz. Na drzwiach szafy znajdowała się duża kłódka, której wcześniej nie zauważyli. Wsunął w nią klucz, przekręcił, otworzył drzwi i zniknął we wnętrzu szafy.

Allegra spojrzała pytająco na Todda i przestraszyła się jego półprzytomnych oczu.

- Todd - szepnęła, ściskając go za ramię. Popatrzył na nią oszołomiony; wyraźnie miał trudności ze zrozumieniem, co do niego mówiła.

O mój Boże, pomyślała z lękiem, w tym armaniaku coś jest.

Potrząsała Toddem coraz gwałtowniej, ale on tylko gapił się na nią szklistym wzrokiem. Sięgnęła po jego kieliszek i wylała całą zawartość za oparcie kanapy. Ze swoim zrobiła dokładnie to samo. Miała nadzieję, że Ram niczego nie zauważy.

Widząc, że Toddowi głowa zaczyna opadać na piersi, Allegra szarpnęła nim z całej siły. -C...CO...? - wymamrotała.

- Todd - syknęła. - Nie możesz zasnąć. Staraj się jakoś trzymać.

- C... co...?

Ram wrócił z czarnym plastikowym workiem, jakich się używa na śmieci.

- Och, czyżby nasz przyjaciel za dużo wypił? - odezwał się na widok Todda.

- Obawiam się, że tak - odparła z wymuszonym uśmiechem. - Oboje mamy słabość do dobrego alkoholu. - Zawroty głowy następowały falami; mijały na chwilę, by na nowo powrócić. Nie

mogę odpłynąć, myślała gorączkowo, nie, za wszelką cenę muszę zachować trzeźwość umysłu.

- Nic nie szkodzi - zachichotał Ram. - W razie potrzeby Marcel bez trudu zanieś go do samochodu. - Usiadł i położył worek na stoliku. - Widzę, że ty też skończyłaś drinka.

- Mam dość, nie będę więcej piła - powiedziała Allegra. - Boję się, że także mogłabym zasnąć.

- Jednak ci naleję. - Ram podniósł się z fotela.

- Nie, nie, naprawdę - zaprotestowała Allegra. - Nie mogę więcej.

Ram bez słowa wziął jej pusty kieliszek i skierował się do wnęki.

- Zaraz wrócę. Sam też się jeszcze napiję.

Allegra miała wrażenie, że każdy mięsień w jej ciele jest nienaturalnie rozluźniony. Nie wolno mi wpadać w panikę. Muszę za wszelką cenę nad sobą panować. Zaczęła potrząsać głową, rękami, stopami, na przemian opuszczać i prostować ramiona, pochylać się na boki.

Ram wrócił z napełnionymi kieliszkami.

- Na zdrowie.

- Z... zdrowie - wymamrotała, z trudem utrzymując kieliszek w zdrętwiałych palcach. Udała, że moczy usta w armaniaku.

- Teraz pokażę ci, co tu mam. - Gospodarz otworzył worek i wyciągnął z niego kilka pudełek.

Allegra z zaciekawieniem obserwowała jego ruchy, choć musiała się bardzo starać, żeby mieć otwarte oczy.

Z pierwszego pudełka wyjął jakiś przedmiot owinięty grubo białą bibułą. Zaczął powoli odwijać warstwę po warstwie, aż ukazał się masywny złoty naszyjnik o wymyślnym wzorze, a właściwie sama oprawa z widocznymi miejscami po kamieniach. Sądząc po otworach w oprawie, kamieni - dużych i jednakowej wielkości - musiało być sporo, a jeden prawdopodobnie znajdował się w doczepionym do naszyjnika wisiorze. Klejnot prawie na pewno pochodził z dziewiętnastego wieku lub był doskonałą kopią.

- Wiesz, co to jest? - spytał Ram.

- To... to naszyjnik z epoki wiktoriańskiej - odpowiedziała, z wysiłkiem artykułując każde słowo. - A... albo trochę późniejszy.

- Zgadza się - potwierdził Ram z uśmiechem.

Szybko otworzył pozostałe pudełka i wyjął z nich podobne zawiniątka. Odrzuciwszy na bok strzępy bibuły, ułożył rzędem na stoliku inne okazy. Allegra patrzyła na to, co kiedyś było parą kolczyków, broszką, naszyjnikiem i bransoletą. Puste złote oprawy, choć wykonane po mistrzowsku i niepozbawione własnego piękna, bez kamieni wyglądały dziwnie żałośnie.

- A to? - Ram wpatrywał się w nią, czekając na odpowiedź.

-T... tak samo, jak naszyjnik, wik... wiktoriańskie oprawy - wymamrotała.

- Tylko tyle widzisz, Allegro? - Nie przestawał się uśmiechać.

Skinęła potakująco głową. Todd poruszył się na kanapie i wydał z siebie cichy jęk.

- W takim razie pokażę ci coś jeszcze - powiedział Ram.

Wyciągnął z worka kolejne pudełko, długie i płaskie. W środku znajdowała się manilowa koperta. Ram wyjął z niej niewielki plik zdjęć i podał nad stolikiem Allegrze. - Myślę, że ci się spodobają.

Sięgnęła po nie ręką tak ciężką i słabą, że nie mogła nic w niej utrzymać. Zdjęcia rozsypały się po blacie. Zgarnęła je obiema dłońmi i spojrzała na fotografię na samym wierzchu. Zamroczenie, z którym bezskutecznie walczyła od pewnego czasu, nagle błyskawicznie ustąpiło; dopływ adrenaliny zniwelował działanie narkotyku.

Szmaragdy! Oczywiście. Fotografia przedstawiała naszyjnik z kamieniami tkwiącymi na swoich miejscach, identycznymi pod względem wielkości i koloru. Przejrzała pozostałe odbitki i znalazła na nich to, czego się spodziewała: oprawy leżące przed nią na stole, ale wypełnione szmaragdami. Szmaragdami, które Tadjer skupował od lat, sprzedanymi wcześniej przez Julesa Levanta.

Allegra uniosła wzrok; Ram wpatrywał się w nią błyszczącymi oczyma, z uśmiechem wciąż przyklejonym do warg.

- To są te szmaragdy, które sprzedawałeś, a później z powrotem skupowałeś, prawda?

- Wiedziałaś - powiedział spokojnym, niemal czułym tonem. - Domyślałem się tego. Chcesz je zobaczyć?

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Masz je tutaj? - spytała zdziwiona, że trzyma kamienie warte miliony dolarów tak po prostu, w tym mieszkaniu.

- Owszem. Leżą przed tobą. - Otworzył ostatnie pudełko i wyjął z niego kilka płóciennych woreczków. Wytrząsnął szmaragdy na stół, jakby były zwykłymi rzeczonymi kamykami.

Allegra wstrzymała oddech. Widziała w życiu wiele szlachetnych kamieni - nawet sama posiadała sporo cennych okazów - ale widok tak dużej liczby pięknie ubarwionych szmaragdów jednakowej wielkości był doprawdy niesamowity. Musiała ich być co najmniej setka.

- Robią wrażenie, prawda?

- Niewiarygodne - szepnęła Allegra. - Niezwykłe.

- Ale jednego mi brakuje - powiedział cicho Ram. Spojrzała mu w twarz.

- Pierścionka księżniczki Karimy.

- Właśnie. Muszę go mieć.

Allegra dostrzegła w jego ciemnych oczach błysk szaleństwa. Wyglądał jak ktoś, kto nie powstrzyma się przed niczym, byle zdobyć to, czego pragnie.

- Dlaczego? - zdziwiła się. - Masz to wszystko. - Wskazała na skarby rozłożone na stoliku. - Po co ci jeszcze jej pierścionek?

- Naprawdę nie wiesz? - spytał z niedowierzaniem. - Czy tylko się ze mną droczysz?

Pokręciła głową.

- Nie. Myślę, że wiem, skąd pochodzą te szmaragdy - powiedziała szczerze - ale nie rozumiem, dlaczego musisz mieć także pierścionek.

Ram przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu.

- Pierścionek jest tak naprawdę wisiorem od naszyjnika - odezwał się w końcu.

- I co z tego? Masz dość szmaragdów, żeby go uzupełnić.

- Widzę, że muszę ci coś wyjaśnić - oświadczył Ram z wyraźną satysfakcją.

- Z pewnością - podchwyciła cierpkim tonem Allegra. - Na przykład, czego dodałeś Toddowi do drinka. - W tym momencie poczuła, że znów ogarnia ją ta sama dziwna słabość co wcześniej. Powieki zaczęły jej ciążyć, mózg wypełniła mgła, gęsta niczym wata. Otrząsnęła się, prostując plecy. - Mnie zresztą także.

- Tylko odrobinę czegoś, co sprzyja otwartości - odpowiedział Ram, nie przestając się uśmiechać. - A co do Todda... Nie chciałem, żeby twój chłopak przeszkadzał nam w zabawie.

- Ty... ty draniu!

- Taki język nie przystoi damie, Allegro.

- A zwabianie nas tutaj i usypianie narkotykiem nie przystoi jednemu z najsłynniejszych jubilerów na świecie! - rzuciła mu w twarz ze złością.

- Zuchwała z ciebie dziewczyna - zaśmiał się Ram. - Podobają mi się takie.

- A ty jesteś dla mnie odrażający.

- Przekonamy się, na jak długo wystarczy ci tego ognia. - Zajrzał jej w oczy, spodziewając się ujrzeć w nich lęk, ale napotkał jedynie wściekłość. - Powiedziałaś, że wiesz, skąd pochodzą te klejnoty...

- Owszem. - Wytrzymała jego wzrok bez mrugnięcia.

- To może mi powiesz. Chciałbym usłyszeć twoją teorię.

- Domyślam się, że ty... albo raczej Jules Levant, kupił te szmaragdy od Wallis Simpson, księżnej Windsoru.

Ram uniósł swój kieliszek w geście toastu.

- Bardzo dobrze, Allegro. Rzeczywiście zostały kupione od księżnej Windsoru wiele lat temu. Przez Julesa Levanta. Kupował od niej sporo biżuterii. Zgłaszała kradzież niektórych klejnotów, żeby dostać pieniądze z ubezpieczenia. Zarówno ona, jak i jej mąż lubili żyć ponad stan. -Po krótkiej pauzie dodał: - W istocie wiele klejnotów sprzedanych na aukcjach po jej śmierci wcześniej uznano za skradzione.

Mimo że Allegra była prawie pewna słuszności swoich podejrzeń, słowa Rama ją zaskoczyły. Pomyśleć tylko, że legendarni kochankowie, książę i księżna Windsoru, musieli wyprzedawać biżuterię, żeby utrzymać dawny styl życia. Jakby tego było mało, wyłudzała pieniądze od firm ubezpieczeniowych. Nieszczęsny Edward wyzbył się nie tylko korony, poślubiając ukochaną kobietę...

- Nie mogła się pokazać w tych klejnotach - mówił dalej Ram. - W każdym razie nie mogła nosić tych szmaragdów w ich oryginalnych oprawach.

- Zapewne nawet gdyby były inaczej oprawione, nie odważyłaby się ich założyć.

- Istotnie, mogłaby wywołać wielki skandal, gdyby się w nich pokazała.

- Ponieważ księżę i księżna Windsoru je ukradli - dopowiedziała Allegra.

Ram zaklaskał z uznaniem.

- Znowu masz rację. Widzę, że umiesz kojarzyć fakty.

- Brytyjska rodzina królewska nie byłaby zadowolona z potwierdzenia, że ich krewniak, który zrzekł się tronu, i jego kochanka wyjechali, zabierając ze sobą słynne szmaragdy Windsorów. A gdyby księżna pokazała się w nich publicznie, cały świat poznałby prawdę.

- Właśnie. Oczywiście, krążyły różne plotki, ale nigdy nie było żadnego dowodu na to, że wzięli te szmaragdy.

- Ty masz ten dowód.

- Brawo! - Pociągnął łyk armaniaku. - Jules Levant rozdzielił komplet, oprawił kamienie na nowo i przez lata sprzedawał klejnoty pojedynczo, żeby nikt się nie zorientował.

- A potem ty je wszystkie stopniowo odkupiłeś, żeby mieć komplet.

- Zgadza się - przyznał Ram. - Jest tylko jeden mały problem.

- Pierścionek.

- Owszem. To on jest kluczem do wszystkiego.

- Chodzi o skazę na kamieniu - domyśliła się Allegra.

- Bingo. Pierścionek z kamieniem, który był pierwotnie wisiosem w naszyjniku, stanowi niepodważalny dowód, że to szmaragdy Windsorów. Ludzie znający klejnoty rodziny królewskiej nazywali ten szmaragd Diabelskim Kamieniem.

Diabelski Kamień. Allegra poczuła ciarki na plecach. Uświadomiła sobie, że to określenie doskonale pasuje do skazy na szmaragdzie, ponieważ miała kształt diabelskiej głowy z rogami. Skaza, przez którą kamień powinien stracić na wartości, czyniła go jeszcze cenniejszym.

- Musisz zdobyć ten pierścionek, żeby klejnoty znów stworzyły komplet - powiedziała.

- Oczywiście. Muszę mieć je wszystkie, żeby mój plan się powiódł.

- Jaki plan?

- Mam zamiar zaproponować Windsorom, aby je odkupili - wyjaśnił spokojnym, niemal obojętnym tonem. -Bardzo dyskretnie. Po cichu. Za kilkaset milionów dolarów.

- Kilkaset milionów! - wykrzyknęła Allegra.

- Dla nich to żadna suma.

- A jeśli nie skorzystają z oferty? - spytała. Ram uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Och, możesz mi wierzyć, że skorzystają. Ponieważ mam zamiar ich uprzedzić, że jeśli nie odkupią tych szmaragdów, to cały świat się dowie, że David Windsor i jego uroczą żonka, księżna

Windsoru, je ukradli. Jestem pewien, że nie będą chcieli kolejnego skandalu.

- Mówiąc krótko, zamierzasz na nich wymusić ten zakup?

- Chyba można tak powiedzieć - przyznał z uśmiechem. - Ale wolę ująć to inaczej: dam brytyjskiej rodzinie królewskiej szansę odzyskania dawno zaginionych skarbów.

- Przecież wcale nie potrzebujesz tych pieniędzy - rzuciła ze złością Allegra. - Jesteś zwykłym draniem bez skrupułów.

Ram wzruszył ramionami.

- Jeszcze tego nie zrobiłem - przypomniał jej. - I nie zrobię, dopóki nie będę miał Diabelskiego Kamienia. Który znajduje się w twoich rękach.

Allegra zignorowała jego ostatnią uwagę.

- Jeśli nie dostanę dziś tego szmaragdu, ty i twój chłopak zginiecie. Tu, w tym mieszkaniu. - Przeszył ją dziwnie pałającym wzrokiem. - Ale najpierw dostarczę ci rozkoszy, jakich jeszcze nie zaznałaś. Szkoda, że nie będziesz mogła ich zapamiętać, bo zaraz potem umrzesz.

Allegra poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Ogarnął ją nieprzyjemny chłód. Starła się nie okazywać emocji, choć miała ochotę jednocześnie krzyczeć i płakać. Co ja narobiłam?, pomyślała z rozpaczą.

R o z d z i a ł 2 4

Jamal wszedł do Ritza ubrany w szyty na miarę garnitur z granatowego tenisu, mocno wykrochmaloną białą koszulę i perłowszary krawat od Charveta. Na nogach miał buty wykonane ręcznie przez Johna Lobba. Wyglądał jak uosobienie biznesmena działającego na skalę międzynarodową lub dziedzica wielkiej fortuny. Portier wiedział jednak, że ma do czynienia z ceniącą się bardzo wysoko męską prostytutką, z której dyskretnych usług korzystali czasami szacowni hotelowi goście.

Kiedy Yamal się do niego zbliżył, portier skinął głową, wyciągając rękę wymownym gestem. Yamal z uśmiechem położył na jego otwartej dłoni banknot stueurowy, po czym wszedł do windy i wjechał na piętro, gdzie mieszkała Allegra Sheridan ze swoim chłopakiem. Przed drzwiami ich apartamentu rozejrzał się, sprawdzając, czy nikogo nie ma w pobliżu, a potem wyciągnął z kieszeni narzędzia.

Otwarcie zamka zajęło mu niespełna dwie minuty. Wiedział, gdzie szukać sejfu, skierował się więc od razu do szafy w sypialni. Rozgarnąwszy nieliczne ubrania wiszące na wieszakach, przykleknął na jednym kolanie. Wyciągnął z drugiej kieszeni niewielkie kółko z kluczami. Wybrał ten, który wydał mu się odpowiedni i kilka razy bezskutecznie próbował włożyć go do zamka. Z następnym kluczem poszło mu niewiele lepiej; wprawdzie wszedł do dziurki, ale nie dało się go przekreślić.

Yamal był tak skupiony na tym, co robił, że nie usłyszał ani odgłosu otwieranych drzwi, ani cichych kroków za plecami.

- Cholera - zaklął po angielsku, zorientowawszy się, że trzeci klucz także nie pasuje.

Oddzielając na kółku następny, wyczuł za sobą ruch powietrza. Włosy na karku zjeżyły mu się ze strachu; wiedział z całą pewnością, że ktoś jest w pokoju. Odwróciwszy szybko głowę, zobaczył wysokiego śniadego mężczyznę, który mierzył do niego z pistoletu.

- Laa! - szepnął po arabsku. - Nie!

Rzucił się pod nogi przeciwnika, chcąc przewrócić go na ziemię, i jednocześnie sięgnął do kabury pod marynarką po rewolwer. Tamten był jednak szybszy: zdążył pociągnąć za spust.

- Laa! - wykrzyknął Yamal tuż przed tym, nim rozległ się dźwięk strzału. Na jego czole pojawiła się niewielka dziurka, a tył głowy eksplodował, obryzgując zawartość szafy. Upadł twarzą na dywan. Tracąc kontrolę nad funkcjami ciała, zabrudził swój elegancki garnitur.

Kadar odsunął stopą zwłoki na bok, następnie podszedł do łóżka, ściągnął jedwabną narzutę i rzucił ją na dno szafy, żeby nie ubrudzić sobie butów krwią, mózgiem i odłamkami kości. Wyjął z kieszeni spodni pojedynczy klucz i przyklęknął przed sejfem. Bez trudu otworzył zamek.

Zajrzał do środka, aby wyjąć pudełko z pierścionkiem i inne wartościowe rzeczy, które by tam znalazł.

- Niech to szlag! - zaklął po angielsku. Sejf był pusty.

Księżniczka Karima poląła kostki, lodu w szklance kolejną porcją jacka danielsa.

- Napijesz się jeszcze, mój drogi? - zwróciła się do Marcusa.

- Czemu nie? - odpowiedział z uśmiechem. - Jestem już lekko wstawiony. Równie dobrze mogę się jeszcze trochę doprawić.

Do pokoju weszła Mimi.

- Telefon do pani, *madame* - oznajmiła, patrząc na Karimę.

- Przyjmij wiadomość - poleciała jej księżniczka. - Nie chcę, żeby mi teraz przeszkadzano.

Mimi odchrząknęła znacząco.

- Lepiej, żeby pani odebrała, *madame* - powiedziała z naciskiem.

Księżniczka Karima uniosła brwi i odłożyła papierosa do popielniczki.

- Wybacz, Marcus - rzuciła z irytacją. - Zaraz wrócę. Patrzył, jak szła przez hol do swojego gabinetu. Mimi wycofała się do kuchni.

Marcus odstawił szklanke, podniósł się z trudem i ruszył śladem Karimy. Znaczna ilość wypitego alkoholu dodała mu animuszu.

Przyczał się za uchylonymi drzwiami.

- *As-salaam alaikum* - usłyszał.

Arabskie powitanie. Nie wygląda to najlepiej, pomyślał. Ona coś knuje. Inaczej by się z nimi nie zadawała.

Nie rozumiał treści rozmowy, ale nie ulegało dla niego wątpliwości, że księżniczka jest bardzo zdenerwowana. Mówiła szybko, poniesionym głosem. Nagle wysiłki Marcusa zostały nagrodzone.

- Został zamordowany? - spytała Karima po angielsku.

Marcus skamieniał. W głowie mu zawirowało. Miał nadzieję, że usłyszy jakieś smakowite plotki, ale to przeszło wszelkie wyobrażenie...

- *Maah as-salaam* - rzuciła nagle do słuchawki, kończąc rozmowę. Marcus zrobił krok w tył, a potem odwrócił się, żeby umknąć z powrotem do salonu. Napotkał przenikliwe spojrzenie Mimi, która obserwowała go, stojąc w drugim końcu holu.

Marcus zaśmiał się niepewnie.

- Poszedłem sprawdzić, czy Karima nie chce drinka, ale już chyba skończyła - wyjaśnił.

Gospodyni bez słowa odprowadziła go wzrokiem. Marcus usiadł na sofie w salonie, pociągnął duży łyk ze Swojego kieliszka i zapalił papierosa.

Księżniczka weszła do pokoju; na jej pięknej twarzy widać było troskę. Nie patrząc na Markusa, usiadła na kanapie, napiła się i sięgnęła po papierosa. Cały czas milczała.

- Wszystko w porządku, kochanie? - zagadnął ją, starając się zachować lekki ton. - Wyglądasz na zmartwioną.

Posłała mu wyniosłe i zarazem karcące spojrzenie, mając nadzieję, że nie dostrzegł jej strachu.

- Nie podoba mi się, że podsłuchujesz - powiedziała ze złością.

- Karimo - zaczął Marcus przeproszającym tonem - nie chciałem cię zdenerwować. Poza tym nie znam arabskiego.

Ale doskonale znasz angielski, pomyślała księżniczka. Uznała, że jej towarzysz stał się niewygodny.

- Pojawił się drobny problem rodzinny - powiedziała już łagodniej.

- Mam nadzieję, że nic poważnego. Karima pokręciła głową.

- Nie. - Parsknęła śmiechem, który zabrzmiał fałszywie nawet w jej własnych uszach. - Mały przewrót pałacowy.

- O kurczę... - Marcus ucieszył się, że Karima odzyskuje dobry humor. - To ciekawe.

- Powiedziałabym, że raczej typowe. Wiesz, te rodzinne waśnie...

Pociągnęła łyk alkoholu. Jeden z informatorów w Paryżu doniósł jej właśnie o strzelaninie w Ritzu. Śmierć Yamala mało ją obeszła - był przystojny i zabawny, ale niewiele dla niej znaczył - zmartwiła się jednak utratą pierścionka. Był ostatnim ogniwem łączącym ją ze Stefano.

- Mam nadzieję, że wszystko dobrze się skończy - powiedział życzliwie Marcus.

Księżniczka Karima westchnęła.

- Och, tak sędzę. Jeszcze odrobinę whisky, mój drogi?

- spytała niemal wesoło. - Ja się napiję. Próby przewrotów budzą pragnienie.

- Czemu nie? - zgodził się z ochotą.

-Ja przyniosę. - Podniosła się z kanapy. - Wezmę z kuchni jeszcze trochę lodu.

- Może ci w czymś pomóc? - zaproponował, chcąc się przypochlebić.

- Nie, nie trzeba. - Sięgnęła po srebrny kubek na lód.

- Zaraz wrócę.

Ram podniósł się z fotela.

- Dostyc gadania, Allegro - powiedział. - Chyba wyjaśniłem ci już wszystko. Zubożała księżna sprzedaje klejnoty, które do niej nie należą. Jules Levant je kupuje. Ja odkupuję szmaragdy po odziedziczeniu jego firmy, a potem...

- Jestem pewna... że Jules Levant... przewróciłby się w grobie - przerwała mu Allegra. Narkotyk wciąż działał; każde słowo kosztowało ją wiele wysiłku. - ...gdyby wiedział, co zrobiłeś z jego... z jego dziedzictwem.

- Ale nie wie - powiedział obojętnie Ram. - Nie żyje. Wiem, bo sam go zabiłem.

Allegra osłupiała z przerażenia.

- Ty... naprawdę go zabiłeś? - wykrztusiła.

-I tak był umierający. Podobnie jak jego przyjaciel, który mieszkał tu obok, Solomon Weiss. Ja im tylko trochę pomogłem.

- Pan Weiss nie żyje? Dopiero co się z nim widziałam...

- Wiem, że u niego byłaś. Jak sądzisz, dlaczego się go pozbyłem?

Bała się, że zaraz zemdleje. Rozpaczliwie walczyła z oszołomieniem. Nie może pozwolić, żeby to on wygrał. Musi go pokonać, choćby ze względu na Solomona Weissa.

Ram podszedł do jednej z szafek i otworzył stojące na niej ozdobne pudełko. Kiedy się odwrócił, Allegra zobaczyła, że trzyma w rękach dwie pary kajdanek.

- Co... co robisz? - wykrztusiła przez ściśnięte gardło. Ram zbliżył się do kanapy. Zachichotał, widząc, jak Allegra próbuje się przed nim cofnąć.

- To dla twojego chłopaka - powiedział, zatraskując kajdanki na nadgarstkach Todda. Ten nawet nie zareagował.

- Nie! Nie dotykaj go! - zawołała Allegra. Stając na drżących nogach, pchnęła Rama z całych sił, ale była tak słaba, że zachwiała się i upadła na stolik.

- Uważaj, żeby się nie potłuc, Allegro - ostrzegł ją Ram, zapinając większe kajdanki na kostkach nóg Todda.

Allegra próbowała wstać, trzymając się stolika.

- No, twój chłopak nigdzie nie pójdzie - oznajmił z zadowoleniem Ram, zacierając ręce.

- Och, Todd - załkała Allegra, opadając na kanapę obok niego. - Todd...

Ram chwycił ją za nadgarstki i mocno przyciągnął do siebie.

- A ty pójdiesz ze mną, Allegro. Do mojej kryjówki. Mojego pokoiku zabaw.

Nie miała dość sił, żeby z nim walczyć. Leżała bezwładnie, oszołomiona narkotykiem, próbując przynajmniej stawić bierny opór napastnikowi.

- Nie pomagasz mi, Allegro - powiedział takim tonem, jakby karcił niesforne dziecko. - Wstań.

Nawet nie drgnęła. Niech się sukinsyn pomęczy, pomyślała ze złością. Cokolwiek zamierza ze mną zrobić, z pewnością mu tego nie ułatwię.

- Wstań natychmiast! - wysyczał Ram przez zaciśnięte zęby i pociągnął ją ku sobie. Zsunęła się bezwładnie z kanapy i leżała na podłodze, opierając głowę na kolanach, niczym szmaciana lalka. - Niech cię diabli! - zaklął. Puścił ręce Allegry i wymierzył jej mocny policzek.

-Ty... ty draniu! - wykrzyknęła, chwytając się za twarz.

Ram podniósł rękę, żeby powtórzyć cios, ale w tym samym momencie zadzwoniła jego komórka. Klnąc pod nosem, podszedł do półki, na której położył telefon.

- Tak? - odezwał się do aparatu, nie spuszczając wzroku z dziewczyny dźwigającej się na nogi.

Księżniczka Karima sypnęła garść lodowych kostek do kryształowej szklaneczki Marcusa i polała je whisky.

- Dolać wody? - spytała.

- Niekoniecznie - odpowiedział bełkotliwie.

Podawała mu drinka, przyrządziła drugą porcję dla siebie i wróciła na sofę.

- Na zdrowie. - Uniosła szklaneczkę.

- Na zdrowie. - Marcus napił się whisky, a potem spojrzał mętnym wzrokiem na swoją towarzyszkę, - Mój Boże, Karimo - zachichotał - nie żałujemy sobie dzisiaj. Chyba jestem pijany.

Roześmiała się perliście.

- Ja też. Może powinniśmy wyjść na spacer do ogrodu, żeby trochę wytrzeźwieć.

- Spacer? Mówisz poważnie?

- Jak najbardziej - potwierdziła radośnie. - Przyniosę nam jakieś cieplejsze ubrania.

Wyszła z pokoju, szeleszcząc fałdami jedwabnego kaftana, obszytego pleciana lamówką z prawdziwego złota.

Marcus zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko; był zadowolony, że Karima znów zachowuje się tak, jak przedtem. Jakby już się niczym nie przejmowała.

Wróciła po chwili w długim do ziemi, czarnym płaszczu z kapturem i kaszmirową kurtką Marcusa przewieszoną przez ramię.

- Proszę, mój drogi. Wstawaj i chodźmy.

Marcus podniósł się ociężale, wziął od niej kurtkę i założył z pewnym trudem.

- Zabierzmy ze sobą drinki - zaproponowała Karima.

- Pomogą nam wytrzeźwieć - zakpił, sięgając po swoją szklanekę.

Wyszli z oranżerii przez balkonowe drzwi i wolnym krokiem ruszyli przez ogród. Ich oddechy zamieniały się w obłoczki pary w chłodnym, wieczornym powietrzu.

- Miło tu, prawda? - odezwała się księżniczka Karima.

- Cudownie - przyznał Marcus.
- Chodźmy do pergoli nad stawem i posiedźmy tam chwilę.
- Doskonały pomysł - pochwalił Marcus, unosząc szklaneczkę do ust. - Zawsze masz świetne pomysły, Ka-rimo.

Dotarli do pergoli i usiedli obok siebie na ławce. Grube, poskręcane pędy wisterii, jeszcze bez liści, rzucały w świetle księżyca niesamowite cienie.

- Tak tu spokojnie i pięknie... - odezwał się Marcus rozmarzonym głosem.

- Pięknie - przyznała Karima, kołysząc szklanką, żeby zamieszać whisky.

Od tyłu zbliżała się do nich bezszelestnie niska, ciemna postać.

- Spójrz, Marcus, czy to łabędź pływa tam, po stawie? - ożywiła się Karima.

- Nic nie widzę - odparł, wyteżając wzrok. Nagle poczuł coś zimnego na karku, - Co...? - zaczął.

Karima szybko odsunęła się od niego, zatykając rękami uszy.

Marcus zastygł z otwartymi ustami i oczyma wytrzeszczonymi ze zdziwienia. Kula eksplodowała w jego mózgu. Nawet nie usłyszał wyciszonego tłumikiem strzału z rewolweru. Osunął się bezwładnie z ławki na ziemię.

Księżniczka Karima cofnęła się, nie patrząc na ciało. Mimi wyszła zza ławki i schowała rewolwer do kieszeni fartucha.

- Idź - rzuciła do Karimy. - Ja się tym zajmę.

Księżniczka pokiwała głową, unikając spojrzenia małych, blisko osadzonych oczu staruszki. Zaczęła się pośpiesznie oddalać w stronę domu, zostawiając za sobą w powietrzu zapach perfum Golkonda.

- Laheen! - zaklął po arabsku Ram. - Niech cię wszyscy diabli, Kadar!

Allegra przysłuchiwała się rozmowie, siedząc na kanapie. Domyśliła się, iż Ram otrzymał właśnie wiadomość, że pierścionka nie ma w sejfie w Ritzu. Pomyślała, aby zabrać klejnot do monsieur Lenoira i poprosić o wysłanie szmaragdu pocztą dyplomatyczną do Nowego Jorku, okazał się bardzo rozsądny. Lenoir miał kontakty w ambasadzie amerykańskiej, więc nie sprawiło mu to żadnego kłopotu.

Ram patrzył na nią z drugiego końca pokoju, na przemian mówiąc i słuchając. Głos miał już spokojniejszy, ale wciąż był purpurowy ze złości. Nagle odwrócił się do niej plecami, co przyjęła z ulgą, nie mogąc znieść pełnego nienawiści spojrzenia.

Todd wydał z siebie cichy jęk. Allegra czule pogładziła go po włosach. Kiedy jęknął ponownie, chwyciła go za ramię i próbowała cucić, jednak bez rezultatu. Miała wielką ochotę wtulić się w niego i zamknąć oczy, poddając się narkotycznej senności. Wiedziała jednak, że nie może sobie na to pozwolić, że musi zebrać wszystkie siły i walczyć.

Zastanawiała się, co ją czeka, czy Ram będzie próbował ją zgwałcić. Na moment niemal wpadła w panikę, uświadomiwszy sobie, jak bardzo jest bezradna i słaba. Jednego wszakże mogła być pewna: że on jej nie zabije... przynajmniej nie od razu. Była jedyną osobą,

która wiedziała, gdzie znajduje się szmaragd. Wołała na razie sobie nie wyobrażać, co będzie, kiedy Ram odkryje, że pierścionek znalazł się już w Nowym Jorku. Co mógłby zrobić, dowiedziawszy się, że bezcenny klejnot jest poza jego zasięgiem?

- *Maah as-salaam* - usłyszała, zanim Ram wyłączył telefon i znów odwrócił się do niej przodem. Na jego ściągniętej złością twarzy nagle pojawił się uśmiech.

- Jesteś bardzo sprytna, Allegro - powiedział.

- Tak? Niby dlaczego? - spytała z udawaną naiwnością.

- Ukryłaś gdzieś ten szmaragd - odparł, zbliżając się do niej powoli. - Nie ma go w sejfie. Mój człowiek przewrócił wszystko do góry nogami i nigdzie go nie znalazł.

- Nie jestem kompletną idiotką - rzuciła urażonym tonem.

- Nie jesteś, to muszę ci przyznać. - Patrzył na nią z góry. - Ale mimo to jesteś głupia. - Chwycił ją za włosy i pociągnął z całej siły.

- Nie! - krzyknęła Allegra. - Puść! To boli.

- Dopiero zaczyna boleć - wycedził, szarpiąc ją jeszcze mocniej. - Jeszcze nie wiesz, co to ból. Ale się dowiesz, zanim z tobą skończę.

Allegra miała wrażenie, że cała czaszka jej płonie, ale ból wyrwał ją z oszołomienia, dodając tym samym sił do walki.

- Wstawaj - warknął Ram. - Pójdiesz ze mną, jeśli nie z własnej woli, to zaciągnę cię za włosy.

- Jeśli... mnie puścisz, to wstanę... - Ledwie zdołała wykrztusić te słowa.

Ram trochę poluzował uścisk, umożliwiając jej podniesienie się z kanapy. Torebka Allegry upadła na dywan. Po momencie wahania dziewczyna schyliła się, żeby ją podnieść.

- Raczej nie będzie ci potrzebna - zauważył Ram ze złośliwym uśmiechem.

Allegra także wykrzywiła usta w wymuszonym uśmiechu, zaciskając kurczowo palce na zapięciu z brylancików.

- Dama powinna być przygotowana na każdą ewentualność, nie sądzisz, Ram?

Lekko zdziwiony zmianą w jej zachowaniu, wziął ją za drugą, wolną rękę.

- Chodź ze mną. Zabawimy się trochę, a potem mi powiesz, gdzie ukryłaś szmaragd.

Posłusznie dała się zaprowadzić na antresolę.

Ram otworzył drzwi szafy, która okazała się wejściem do niewielkiego pomieszczenia. Zapalił światło i cofnął się, przepuszczając dziewczynę przed sobą.

Poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła; bała się, że zwymiotuje. Zobaczyła wielkie łóżko przykryte czarną narzutą, wyposażone w łańcuchy i liny przymocowane do ramy w nogach i u wezłowia. Również z sufitu zwisały łańcuchy zakończone wielkimi kajdanami. Do ścian, jak na wystawie, przymocowane były różne odrażające akcesoria: pasy, bicze, różgi oraz kilka masek i kapturów.

Nudności wprawdzie ustąpiły, ale pojawiła się dziwna miękkość w kolanach. Allegra poczuła lodowaty dreszcz na plecach, a potem

całe jej ciało pokryło się zimnym potem. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bała.

- Ściany są dźwiękoszczelne - odezwał się stojący za nią Ram. Czują na szyi ciepło jego oddechu. - Nikt nie usłyszy, jak się bawimy, Allegro. - Objął ją od tyłu, przyciskając do siebie.

Zaczęła się trząść; oczy zaszyły jej łzami. Wyteżając resztki sił, ścisnęła w dłoni torebkę.

- Ty drzysz, Allegro - stwierdził Ram drwiąco. - A myślałem, że jesteś odważną dziewczyną. Jak wszyscy Amerykanie. Dzielną i nieustraszoną.

Odwróciła się w jego objęciach i przywarła doń całym ciałem.

- Drzę z podniecenia - powiedziała szeptem. - Ten pokój jest taki fascynujący... tak pełen erotyzmu.

Na twarzy mężczyzny pojawił się wyraz zaskoczenia; nie był pewien, czy powinien jej wierzyć.

- Cieszę się, że ci się podoba - powiedział po chwili wahania. - To nam obojgu ułatwi sprawę.

Allegra czuła bijący od niego żar. Ram, ogarnięty pożądaniem, pochylił się, aby ją pocałować.

Wtedy błyskawicznym ruchem uniosła torebkę i z całych sił uderzyła go w głowę. Kamyki z uszkodzonego zapięcia rozprysnęły się na wszystkie strony.

Ram puścił dziewczynę i odruchowo przycisnął ręce do krwawiącego czoła.

- Laheen! - ryknął. - Niech cię diabli!

Allegra cofnęła się szybko. Potknęła się i omal nie upadła na łóżko. Pałce jej drżały, ale otworzyła torebkę i wyciągnęła pistolet.

- Ty dziwko! - wrzasnął Tadjer, wciąż trzymając się za głowę. Dopiero kiedy opuścił ręce, dostrzegł lufę wycelowanej w siebie broni.

Allegra upuściła torebkę i trzymała teraz pistolet w obu dłoniach.

- Nie strzelisz - powiedział cicho Ram. - Sama nie wiesz, co robisz.

W momencie, gdy się na nią rzucił, pociągnęła za spust.

Huk był tak donośny, że boleśnie zadźwięczało jej w uszach. Czas jakby się zatrzymał; patrzyła przerażona, jak napastnik zastygł w bezruchu z szeroko otwartymi oczyma i rękami wyciągniętymi w jej stronę. Nagle z jego szyi wytrysnął strumień krwi. Próbował coś powiedzieć, ale słyhać było jedynie bulgotanie.

Upadł na podłogę z głuchym łomotem i po kilku gwałtownych skurczach znieruchomiał.

W pokoju cuchnęło prochem; ciszę zakłócał jedynie szmer oddechu Allegry.

Znów poczuła mdłości; nie była w stanie się ruszyć, porażona tym, co zrobiła. Z rany na szyi Rama nieprzerwanie lała się krew, jakby miał jej w sobie cały ocean.

Nie żył. I to ona go zabiła.

W końcu schyliła się po torebkę, schowała pistolet i wyszła, zamykając za sobą drzwi szafy. Zauważywszy kłódkę, zamknęła ją także.

Zeszła na dół i rozejrzała się po pokoju. Todd nadal leżał nieprzytomny na kanapie. Allegra zauważyła na półce telefon Tadjera. Wzięła aparat do ręki, wybrała numer policji i poprosiła, żeby przyjechali na rue des Rosiers. Pamiętała numer domu z wizyty u Solomona Weissa. Jeszcze jedna śmierć, za którą jestem odpowiedzialna, pomyślała.

Wreszcie jej wzrok padł na biżuterię leżącą na stoliku. Zgarnęła oprawy, szmaragdy i zdjęcia do worka, w którym trzymał je Ram. W szafie przy drzwiach wejściowych znalazła mocną ortalionową torbę turystyczną. Upchnęła w niej czarny worek i zasunęła zamek.

R o z d z i a ł 2 5

Przyjęcie odbyło się tydzień później, żeby oboje mogli wziąć w nim udział. W amerykańskim szpitalu w Paryżu Allegrze podano leki łagodzące szok, a Todda przetrzymano dwa dni na obserwacji. Potem nastąpiły długie godziny policyjnych przesłuchań, prowadzonych jednak z zaskakującą uprzejmością i taktem, dzięki odpowiedniej interwencji Hiltona Whiteheada i jego wpływowych przyjaciół.

W końcu Allegra i Todd dotarli do Nowego Jorku prywatnym gulfstreamem miliardera. Od momentu powrotu spędzili wiele czasu na rozmowach z Hiltonem, a i w czasie samego przyjęcia na jachcie tak się jakoś złożyło, że znaleźli się w jego prywatnej kabinie.

- Mam nadzieję, że da się coś zrobić w sprawie księżniczki Karimy - powiedziała Allegra. - Wiadomo, że zasila pieniędzmi komórki terrorystyczne na Bliskim Wschodzie.

Hilton pokiwał głową.

- Bez tych imion i numerów telefonów, które znalazłaś, nawet nie można byłoby rozpocząć śledztwa." Wprawdzie nadal nie mamy wiarygodnego dowodu, ale przynajmniej teraz zajmuje się nią Interpol.

- To oburzające - włączył się Todd. - Prawdopodobnie wysłała już setki milionów dolarów do tamtejszych banków. Allegra widziała kopie przelewów.

- Owszem, ale księżniczka Karima zawsze może twierdzić, że pieniądze są przeznaczone dla jej rodziny. Mówię wam, ta kobieta jest praktycznie nietykalna.

- Nie ma wątpliwości, że była w zмовie z monsieur Lorrainem z domu aukcyjnego - ciągnęła Allegra. - Myślę, że mogła chcieć zachować pierścionek ze względów sentymentalnych i podobnie jak Ramtane Tadjer nie cofnęłaby się przed niczym, żeby go odzyskać. Zdaje się, że wyszły na jaw jej powiązania z mężczyzną, którego znaleziono zastrzelonego w naszym pokoju hotelowym?

- Z tym żigolakiem? Miała jego nazwisko i numer telefonu w notesie - potwierdził Hilton. - Ale poza tym niczego nie można jej udowodnić.

- A śmierć Marcusa Penhursta? - podsunęła Allegra.

- Jego ciało znaleziono na jednej z ciemnych uliczek w Marais - odparł. - Policja uznała, że szukał tam seksualnych przygód, a rodzina życzyła sobie wyciszenia sprawy.

- Wiem, że był w to jakoś zamieszany - upierała się Allegra. - Podczas naszej wizyty odniosłam wrażenie, że są bardzo życzliwi.

- Ale nie masz żadnych dowodów - przypomniał jej Todd.

- Cóż, myślę, że będzie lepiej, jeśli oboje spróbujecie o tym wszystkim zapomnieć - poradził Hilton. - O mało nie straciliście życia przeze mnie i ten przeklęty szmaragd.

- Czy Kitty widziała już pierścionek? - zainteresowała się Allegra.

- Tak, pozwoliłem jej go obejrzeć. Choć pewnie nie powinienem.

- Powiedziałaś jej, że kupiłeś go dla niej? - spytał Todd.

- Owszem - westchnął Hilton. - I rozpętało się istne piekło, kiedy się dowiedziała, że zamierzam zwrócić pierścioneł prawowitemu właścicielowi.

- Nie chciała się z nim rozstać - rzuciła domyślnie Allegra. Widziała Kitty tylko raz po powrocie do Nowego Jorku, ale to krótkie spotkanie wystarczyło, by nabrała przekonania, że przyjaciółka Whiteheada nie należy do osób, które potrafią z czegoś zrezygnować w imię zasad.

- Za nic w świecie - przyznał Hilton.

- Pewnie dostaniesz honorowy tytuł szlachecki - powiedział Todd.

- Wątpię - odrzekł miliarder. - Nikt, ale to nikt, nie powinien wiedzieć, że szmaragdy zginęły, a tym bardziej, że zostały zwrócone.

- Szkoda - westchnęła Allegra - bo naprawdę dokonałeś wielkiego czynu.

- Dzięki tobie - przypomniał jej z uśmiechem. - To ty przywiozłaś te klejnoty w niepozornej turystycznej torbie.

- Przyjęcie zaręczynowe trwa w najlepsze. Co zamierzasz powiedzieć gościom? - spytał Todd. - Chodzi mi o to, że nie ma tu Kitty.

- Cóż, z pewnością nie ogłoszę naszych zaręczyn - odparł Hilton. - Pewnie nigdy jej już nie zobaczę.

- Tęsknisz za nią? - W głosie Allegry zabrzmiała nuta współczucia.

- Owszem. - Wzruszył ramionami. - No cóż, zawsze wiedziałem, że jest zdemoralizowana. Do diabła, ja też nie jestem święty. Oboje musieliśmy walczyć, żeby coś w życiu osiągnąć. I nic w tym złego. Ale w końcu przekroczyła pewną granicę. Według mnie, granicę przyzwoitości.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Kto tam? - zawołał Hilton.

- Jason.

- Proszę wejść.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - odezwał się od progu.

- Naturalnie, że nie. - Hilton wskazał mu krzesło. - Niech pan siada.

Chłopak usiadł i pociągnął łyk drinka, którego przyniósł ze sobą.

- Odbyłem z Jasonem długą rozmowę - zwrócił się Hilton do Allegry i Todda. - Opowiedział mi o twojej firmie, jak również o tym, co zrobił pod waszą nieobecność.

Jason poczerwieniał na twarzy.

- Mam nadzieję, że zdołam ci to jakoś wynagrodzić, Ally.

- Już to zrobiłeś - uspokoiła go. - Ale o czym tak długo rozmawialiście?

- Wiem, że twoje interesy nie idą ostatnio najlepiej i pomyślałem, że chętnie ci pomogę. W końcu jestem twoim dłużnikiem.

Allegra zaprzeczyła energicznym ruchem głowy.

- Mowy nie ma. Doceniam twoje dobre chęci, ale dziękuję, nie.
Poza tym... - Spojrzała na Todda z czułym uśmiechem. - ...zamierzam otworzyć sklep w budynku, który kupił Todd. Chcemy tam razem zamieszkać.

- Cóż, to dobra wiadomość - ucieszył się Hilton. - Gratuluję wam obojgu.

- Dzięki - odpowiedzieli jednocześnie. Miliarder spojrzał na Jasona.

- Jest dokładnie tak, jak pan przewidywał.

- Ally to twarda sztuka.

- Zgadza się. Udało mi się ją namówić jedynie na otwarcie sklepu - wyznał ze śmiechem Todd.

- W takim razie chciałbym, żeby dzisiejsze przyjęcie było imprezą promocyjną Studia Sheridan w SoHo. Nowego, świetnego sklepu jubilerskiego na Manhattanie. -Hilton uniósł ręce, żeby zapobiec ewentualnym protestom Allegrzy. - Dajcie mi minutę. Jest tu mnóstwo prasy, więc będziecie mieli darmową reklamę. Allegra, proszę, pozwól, że choć tyle dla ciebie zrobię.

Spojrzała najpierw na niego, potem na Todda, wreszcie na Jasona.

- Sarna nie wiem... Jeszcze nawet nie otworzyłam tego sklepu... i nie mam żadnych materiałów dla prasy...

- Owszem, masz - odezwał się Jason.

- Jak to? - zdziwiła się Allegra.

- Przepraszam, że znów działałem za twoimi plecami, ale kiedy Todd powiedział mi o twoich planach, postanowiłem wyświadczyć ci przysługę. Kazałem wydrukować folder i przyniosłem ze sobą kilka egzemplarzy. Nie zabij mnie, Ally. To jest...

- Nie zabiję cię. - Podeszła i pocałowała go w policzek. -
Dziękuję. Ale musisz obiecać, że od teraz przestaniesz działać za moimi plecami.

- Przestanę - obiecał solennie, po czym wybuchnął śmiechem.

- Skoro planujecie razem zamieszkać, może chcecie, żeby to było wasze przyjęcie zaręczynowe? - podsunął Hilton Whitehead.

Todd z Allegrą popatrzyli na siebie. Todd się nie odezwał, ale Allegra wiedziała, co chciałby od niej usłyszeć.

- Ja... no cóż... chyba nie mielibyśmy nic przeciwko temu. To znaczy, jeśli się zgadzasz, Todd - dodała szybko.

- Wiesz, że tak, Ally. - Porwał ją w objęcia. - Jeśli naprawdę tego chcesz.

- Tak, chcę - odpowiedziała z radością.

Podziękowania

Jeśli zaczęliście lekturę tej powieści od zerknięcia na ostatnie strony, żeby sprawdzić, jak się kończy, i natknęliście się na podziękowania, radziłabym, byście się jednak wstrzymali z ich przeczytaniem. Ciekawiej będzie zapoznać się z ich treścią po skończeniu książki. Wszystkie opisane przez mnie wydarzenia i postacie są fikcyjne, ale sam pomysł głównego wątku wziął się z pewnego interesującego wydarzenia w historii. Przez wiele lat krążyły plotki, że król Edward VIII - który abdykował, żeby poślubić amerykańską rozwódkę Wallis Simpson, wówczas otrzymał tytuł księcia Windsoru - udając się na wygnanie, zabrał ze sobą szmaragdy otrzymane w spadku po babce, królowej Aleksandrze. Wielu ludzi przypuszczało, że zrobił to za namową swojej małżonki. Niektórzy historycy uważają jednak za bardziej prawdopodobne, że szmaragdy królowej Aleksandry zostały rozdzielone pomiędzy kobiety z rodziny królewskiej. Mówiono też, że księżnej Windsoru ukradziono szkatułkę z biżuterią, kiedy wraz z mężem przebywała na wsi u hrabiego i hrabiny Dudley. Po Londynie zaczęły wówczas krążyć pogłoski, że za kradzież odpowiadają pewne osoby z Pałacu Buckingham, pragnące odzyskać królewskie precjoza. Jakkolwiek było naprawdę, co najmniej trzydzieści klejnotów zgłoszonych jako skradzione - za które Windsorowie otrzymali odszkodowanie - pojawiło się w 1987 roku w Genewie, na wyprzedaży biżuterii księżnej po jej śmierci. Jeśli nawet szmaragdy były kiedyś w

posiadaniu księżęcej pary, co wydaje się wątpliwe, nigdy nie znalazły się na jubilerskim rynku, ani pojedynczo, ani w komplecie.

Jestem winna wdzięczność nieżyjącej już lady Caroline Blackwo, której fascynująca opowieść o księżnej Windsoru {The Last of the Duchess, Nowy Jork; Pantheon Books, 1995) wzbudziła moje zainteresowanie zaginionymi klejnotami. Autorka wspominała o nich, opisując ostatnie dni życia księżnej w Paryżu, gdzie praktycznie była ona więźniem swej apodyktycznej prawniczki Maitre Blum. O słynnych zaginionych szmaragdach oraz krążących o nich plotkach pisze też Charles Higham w swojej książce poświęconej życiu księżnej Windsoru [The Duchess of Windsor: The Secret Life, Nowy Jork; McGraw-Hill, 1988). Reszta mojej opowieści jest całkowicie zmyślona.

Chciałabym także podziękować Laurze Lapachin i Stefanowi Friederianowi z Ornamentum Jewelry Studio and Gallery w Hudson, w stanie Nowy Jork, za ich bezcenne uwagi na temat projektowania i wyrobu biżuterii. Mam nadzieję że wasz interes kwitnie. Wyrażam również swą wdzięczność jubilerowi Dawidowi Gourgourinisowi i Ivo Stoykovowi z Mykonos w Grecji i Boca Raton na Florydzie, których opowieści o jubilerskim rzemiośle, inteligencja, gościnność i przede wszystkim dowcip były dla mnie prawdziwym natchnieniem.